

Thriller psychologiczny autora *W słusznej sprawie*

**JOHN
KATZENBACH**



**UPALNE LATO
W MIAMI**


AUREK
SPISAK
WYDAWNICTWO


AUREK
SPISAK
WYDAWNICTWO

JOHN
KATZENBACH
UPALNE LATO
WMIAMI

Przekład
Izabela Bukojemska
Michał Przeczek



Tytuł oryginału IN THE
HEAT OF THE SUMMER

Redakcja stylistyczna
MAGDALENA STACHOWICZ

Redakcja techniczna
ANDRZEJ WITKOWSKI

Korekta
MAŁGORZATA BORUTA
HANNA RYBAK

Opracowanie graficzne okładki
WYDAWNICTWO AMBER

Skład
WYDAWNICTWO

Informacje o nowościach i pozostałych książkach Wydawnictwa AMBER oraz
możliwość zamówienia możecie Państwo znaleźć na stronie
Internetu <http://www.amber.supermedia.pl>

Copyright © 1982 by John Katzenbach
All rights reserved.

For the Polish edition © Copyright by
Wydawnictwo Amber Sp. z o.o. 1999

ISBN 83-7245-118-4

Dla
Maddy

Rozdział pierwszy

Pierwszą ofiarę odnalazł na polu golfowym pewien biegacz. Był mężczyzną w średnim wieku. Biegał, bo martwił się o własne serce i rosnący brzuch. Pracował jako makler i nawet teraz, kiedy krążył po obwodzie pola golfowego, rozmyślał o liczbach, akcjach i opcjach. Teren należał do prywatnego klubu, położonego w eleganckiej okolicy i wyróżniał się znakomicie utrzymanymi trawnikami, wysokimi sosnami i wspaniałymi palmami. Poranny upał szybko przybierał na sile. Mężczyzna okrążył pole trzykrotnie, myśląc raczej o poziomie wskaźnika giełdowego Dow Jones, o swojej pracy i o tym, co będzie robił po powrocie z wakacji niż o okolicy, którą przemierzał. Kiedy dotarł do skraju zarośli, podniósł rękę, by otrzeć pot z czoła - i właśnie wtedy zobaczył coś kolorowego w gęstwinie paproci, palm i rozrośniętych krzewów. Wśród porannych cieni widniał jakiś kształt.

Mężczyzna ruszył dalej, wsłuchując się w głuchy odgłos własnych stóp uderzających o ziemię. Przebiegł następny odcinek i dopiero się zastanowił, co też przyciągnęło jego uwagę w tym gąszczu.

Kiedy po raz czwarty i ostatni zbliżał się do miejsca nazywanego „trzynastym zielonym”, stopniowo zwolnił tempo, aby móc dłużej popatrzeć na tamten punkt. Nagle uświadomił sobie, że panuje wielki upał, a słońce wisi nad polem golfowym niczym rozpalona lampa. Tym razem zauważył zarys ciała i kosmyk jasnych włosów. Zatrzymał się i przez chwilę łapał powietrze, a potem wszedł w zarośla. „O mój Boże” - powiedział na głos, chociaż nikt go nie słuchał. W późniejszej rozmowie ze mną przyznał, że kiedy zorientował się, na co właściwie patrzy, kompletnie stracił oddech, jak podczas sprintu i przez chwilę stał oszołomiony w pełnym słońcu, jakby zamienił się w kamień; starał się wciągnąć choć jeden haust powietrza w płuca. Nigdy wcześniej nie widział zamordowanego człowieka. Przez minutę czy dwie przyglądał się zwłokom z mieszanymi uczuciami przerażenia i fascynacji, a potem jak najszybciej pobiegł do najbliższego domu, by zatelefonować na policję. Serce zaczęło mu walić tak mocno, że mógł słyszeć jego rytm.

Ofiarą była kilkunastoletnia dziewczyna.

Wtedy, na początku, nie zdawałem sobie sprawy, że będzie to największy temat mojego życia. Nie miałem też żadnych przeczuc; dziennikarski szósty zmysł nie podpowiedział mi, że zostanę wciągnięty w tę historię i będę musiał najpierw zaniedbać dotychczasowe zajęcia, a potem ostatecznie je porzucić. Sprawa rozegrała się w tej porze roku, kiedy pojawiają się huragany. Rozpoczęła się w lipcu, w okresie, gdy w odległości tysięcy mil, gdzieś na Atlantyku zaczynają się zbierać wielkie, letnie burze. Wtedy w Miami jest wyjątkowo nieciekawie; tropikalne słońce wypala ulice miasta, odzierając je z wszelkiego cienia. Wściekły upał powoduje, że powietrze staje się ciężkie i nieruchome.

W pewnym sensie ta opowieść toczy się podobnie do wielkiego sztormu, który zbiera się, nabierając siły. Przypominam sobie, że akurat wtedy huragan tworzył się na Karaibach, niedaleko wybrzeża Wenezueli. Pojawił się najpierw na wodach w pobliżu Afryki, później prądy powietrzne przeniosły go przez ocean. Potężny wicher pędził przed sobą ulewne deszcze. Ponieważ był to pierwszy huragan w sezonie, Narodowa Służba Meteorologiczna nadała mu imię Amy. Później okazało się, że takie samo imię nosiła pierwsza ofiara kataklizmu.

W tylnej części pokoju redakcyjnego wisiała wielka mapa pogody, na której w czasie sezonu burz zaznaczano położenie i kierunki wszystkich huraganów. Analiza toru oznaczonego na tej mapie była elementem życia każdego reportera miejskiego; dzień w dzień sprawdzaliśmy, jakie postępy czyni sztorm, analizowaliśmy prognozy, rozważaliśmy różne możliwości i oglądaliśmy zdjęcia satelitarne, przesyłane przez serwisy informacyjne. Przypominam sobie, że fotografie tej burzy ujawniały masę rozproszonych, wirujących szarych chmur, widocznych nad regionem karaibskim. Półwysep Floryda wyglądał jak wielki, zgięty palec, wyciągnięty w kierunku kataklizmu. Oglądaliśmy te zdjęcia, szukając na nich oznak, że sztorm ma zamiar się rozbudować, skonsolidować i zmienić w huragan, który z wściekłym szumem popędzi nad falami w kierunku miasta.

Obok mapy pogody, na sąsiedniej ścianie, wisiało stare, oprawione zdjęcie, pożółkłe i spękane, stanowiące memento dla wszystkich pracujących w „Journal”. Zostało wykonane podczas huraganu w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku; jego siłę oznaczono na skali cyfrą trzy. Na fotografii widać było dużą palmę zgietą tak, że jej pień ułożył się równoległe do ziemi. W tle widniała wysoka na jakieś cztery metry ściana wody, która przewaliła się przez Miami Beach i zatokę, aby ostatecznie wytracić energię na bulwarze Biscayne w śródmieściu.

Naturalnie, mój artykuł nie dotyczył huraganu; później jednak doszedłem do wniosku, że te zabójstwa w znacznym stopniu się z nim kojarzą. Powstają w jakimś dziwnym, odległym miejscu, a potem rozlewają się na całe miasto jak fala napędzana potężną, naturalną siłą. Przypominam sobie, że w dniu pierwszego morderstwa - był to świąteczny dzień Czwartego Lipca, na rok przed dwusetną rocznicą powstania Stanów Zjednoczonych i w rok po rezygnacji prezydenta - wszyscy byliśmy przejęci pierwszym wielkim sztormem zbierającym się koło Wenezueli i śledziliśmy, jak wzmacnia się, wysysając energię z ciepłych wód Morza Karaibskiego. Pokój redakcyjny huczał od rozmów o huraganie.

Odnosiliśmy wrażenie, że będzie potężniał, aż osiągnie najwyższy, piąty stopień. Gazeta publikowała spekulacje na temat jego morderczego potencjału. Starzy wyjadacze powiadali, że od dawna wiadomo, iż miasto musi stać się celem potężnego uderzenia; przewidywano, że ta szczególna, szara masa wiatru i deszczu odległa o trzy tysiące kilometrów jest przeznaczona właśnie dla nas.

Myliliśmy się, rzecz jasna. Katakлизм nie uderzył w Miami, tylko skręcił w stronę lądu, pędząc nad Amerykę Środkową, gdzie zabił wielu ludzi, a wielu innych pozbawił dachu nad głową. To jednak nastąpiło w kilka tygodni później. Wtedy, na początku lipca, skupił na sobie całą naszą uwagę i, przynajmniej w mojej pamięci, służy za wytłumaczenie, dlaczego wszyscy patrzyliśmy gdzie indziej, kiedy w samym środku naszej okolicy wybuchła prawdziwa burza.

Czwartego lipca przyszedłem do redakcji wcześniej - był to dla mnie pierwszy dzień w pracy po powrocie z pogrzebu stryja. Tego dnia nie musiałem przychodzić, ale z podróży na północ wróciłem rozdrażniony i chciałem za wszelką cenę zapomnieć o ostatnich wydarzeniach w mojej rodzinie. Teraz jakoś przyzwyczaiłem się łączyć te dwa wydarzenia - zabójstwo nastolatki i samobójstwo mojego stryja - jakby należały do tej samej sztuki, mimo że dzieliło je pięć dni i setki kilometrów. W sali nie zastałem wielu ludzi - po pierwsze był to dzień świąteczny, po drugie wczesna pora. Sprawdziłem swoją skrytkę na listy - nic w niej nie znalazłem - i rzuciłem okiem na pierwsze wydanie „Miami Post”, które już się ukazało. Usiadłem za biurkiem myśląc, że mógłbym zatelefonować do Christine i powiedzieć, że już wróciłem. Ale ona pewnie była już w szpitalu, na sali operacyjnej i podawała gąbki, klamry oraz skalpele lekarzom wycinającym jeszcze jednego raka. Zdecydowałem, że zadzwonię do niej później i pójdziemy razem na kolację. Otworzyłem „Post” na dziale sportowym, aby zapoznać się z wynikami baseballu. W tym samym momencie zobaczyłem Nolana, redaktora działu miejskiego.

Nolan był potężnym mężczyzną, ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Zawsze chodził przygarbiony, co powodowało, że wyglądał na jeszcze cięższego i powolniejszego niż w rzeczywistości. Kiedy jednak pojawiała się jakaś duża sprawa, natychmiast się prostował, jakby zrzucał nadwagę i swoje zmartwienia, po czym koncentrował się na szczegółach. Rezygnował też z żartobliwego^ wesołego tonu i *zaczynał* się zachowywać jak sprawny, świadomy celu sierżant odpowiedzialny za musztrę. Był ogromnie popularny w redakcji - potrafił w jednej chwili żartować z reporterami, a w następnej załatwiać sprawy z kierownictwem.

W tej chwili siedział na blacie biurka pośrodku sali i rozmawiał z kimś przez telefon. Zauważyłem, że zapisuje coś i odkłada słuchawkę nagłym, znamionującym zadowolenie ruchem, a jednocześnie szuka kogoś oczami. Kiedy mnie zauważył, podniósł się szybko i podszedł do mojego biurka, przysuwając sobie krzesło.

- Nie spodziewałem się, że cię tu zastanę - powiedział. - Jak tam było?

Miał grzywę czarnych włosów z dziecinnym kosmykiem opadającym na czoło, który podskakiwał, kiedy jego właściciel coś mówił, jakby akcentując każde słowo.

- Prawie dokładnie tak, jak przewidywałem. Płacz, ciągłe rozmowy o zmarnowanym życiu i o tym, że z woli Boga przechodzi się do lepszego świata.

- To brzmi ponuro.

- I właśnie tak było.

- Wszystko dobrze?

- Przecież jestem tutaj, nie? - uśmiechnąłem się. - Nienaruszony. Żurna lista model tysiąc dziewięćset siedemdziesiąt. Spory przebieg, ale w dobrym stanie.

- Dobrze, dobrze - odparł Nolan. - Chcesz popracować nad nowym tematem czy wolisz się poobijać parę dni?

- Wolę tę historię, bez dwóch zdań. Królestwo za *story*. Obojętne, co to takiego.

- Co powiesz na morderstwo?

- Sugerujesz, żebym kogoś zabił?

- Chryste Panie, dlaczego pajacujesz?

- Przepraszam. Po prostu chcę o tym zapomnieć - powiedziałem.

Nolan uniósł brwi i przyjrzał mi się uważnie, a zarazem pytająco.

- Dobrze - oznajmił. - Czego tylko sobie życzysz. Postawię ci piwo, kiedy już będziesz miał chęć o tym pogadać... A jeśli nie będziesz miał chęci, to też ci postawię.

Roześmiałem się, on uśmiechnął się do mnie.

- A teraz zajmij się morderstwem - przynaglił. - To coś akurat dla ciebie: typowe zabójstwo z krwią i flakami; rozumiesz, policjanci i złodzieje, doskoła na dzień, w którym nic się nie dzieje.

- Co tam się stało?

- Chodzi o nastolatkę, podobno z zamożnej rodziny. Jej zwłoki znalazł no niedawno w Klubie Golfowym Riviera.

- Na początek nieźle. Co jeszcze wiesz? - zapytałem.

- Niewiele. Przypominasz sobie porucznika z wydziału zabójstw, który obiecał mi przysługę, kiedy wstrzymaliśmy tę historię o kidnappingu? To on dzwonił przed chwilą. Dopiero co wysłał na to miejsce ekipę i nie miał zbyt wielu informacji, nie licząc lokalizacji i faktu, że dziewczyna była nieletnia. Myślę, że może mi się przydać. Zamierzam korzystać z jego wdzięczności jeszcze przez pewien czas.

- Została zgwałcona?

- Nie wiem. Weź ze sobą fotografa i pojedź się rozejrzeć. Jeżeli będziesz miał jakiś punkt zaczepienia, odezwij się do mnie przez radio.

- W porządku. - Podniosłem się, wygrzebałem notatnik ze stosu papierów piętrzących się na biurku i poszedłem do działu fotograficznego.

- Hej! - krzyknął za mną Nolan. - Byłeś blisko z tym stryjkiem?

- Kiedy byłem mały - odpowiedziałem.

Andrew Porter lubił skręcać dużym samochodem - jedną rękę trzymał na kierownicy, drugą gestykulował w kierunku innych kierowców. Ruch był typowy dla wczesnego rana - przeważnie młodzi ludzie, wybierający się na plażę. Wiele samochodów ciągnęło za sobą łodzie i gromadziło się w korku u wjazdu na McArthur Causeway i do Key Biscayne. Jechaliśmy pod prąd, a więc stosunkowo szybko, w związku z czym ledwie mogłem dostrzec twarze ludzi w stojących wozach. Fotograf opowiadał o jakimś innym morderstwie, którym zajmował się w przeszłości. Mówił cicho, jego głos mieszał się z szumem silnika i klimatyzatora, pracującego na wysokich obrotach. W pewnej chwili zauważyłem, że przygotowuje sobie aparat, który miał na kolanach - jedną ręką przewija kliszę, drugą trzyma swobodnie w najwyższym punkcie koła kierownicy.

- Kiedyś robiłem to na szosie czterysta czterdziestej pierwszej, przy prędkości powyżej stu trzydziestu kilometrów na godzinę. Szybka pogoń za kilkoma dziećmi, które ukradły samochód. Pędziłem autostradą z policjantem drogówki. Nie miałem nawet czasu się przestraszyć - opowiadał ze śmiechem.

Przypomniałem sobie, jak wolno poruszał się sznur samochodów jadących z kościoła na cmentarz. W myślach widziałem karawan skręcający na rogu, a za nim długiego czarnego cadillaca, w którym siedzieli mój ojciec i jego szwagierka. Przez cały ranek padał deszcz, a pracujące wycieraczki dźwięczały niczym stłumiony werbel. W moich uszach wciąż rozbrzmiewał hymn Korpusu Piechoty Morskiej, spływający z organów na cały kościół; potężne, powolne dźwięki znajomej melodii stawały się trudne do rozpoznania, kiedy odgrywano ją dla upamiętnienia zmarłych, a nie dla żywych. Pamiętam, jaki byłem zaskoczony, kiedy zobaczyłem trumnę udekorowaną flagą narodową; żywe kolory wydawały się niestosowne, zupełnie nie na miejscu w tym szarym dniu i w ciemnym kościele.

Najpierw przemówił pastor.

- Wysłuchaj, Ojcze, naszej modlitwy za duszę Lewisa Andersona i zapewnij mu w niebiosach pokój, którego szukał na ziemi...

Pokój to przeciwieństwo wojny, myślałem.

Stryj był potężny jak niedźwiedź - miał długie, muskularne ramiona i klatkę piersiową szeroką niczym rycerska tarcza. Mówił głębkim głosem i nawet kiedy się śmiał, pobrzmiwały w nim groźne tony, jakieś napięcie, przyciągające uwagę otoczenia. Swoim sprawnym lewym okiem potrafił tak na mnie spojrzeć, że czułem chłód i strach.

Prawe oko stracił na Iwo Jimie. Mówił, że stało się to w połowie drogi na Suribachi, tuż przed wywieszeniem flagi. Nie zapamiętał tego momentu - był za bardzo oszołomiony morfiną i zszokowany, aby zrozumieć, co się wokół niego dzieje. Któregoś razu powiedział mi, że utrata oka stanowiła dla niego dziwaczne przeżycie; początkowo miał wrażenie, że umiera, a potem, że wszystko to przytrafiło się komu innemu.

Mówił, że czuł krew i ból, jakby coś wybuchło mu w mózgu. A przy tym był przekonany, że trafili nie jego, tylko kogoś zupełnie innego.

Kiedy byłem mały, dostawałem od niego rozmaite rzeczy. Książki na temat korpusu marines, Purpurowe Serce, japońską flagę ze wschodzącym słońcem,

zdobytą w Tarawa. Kiedyś na Boże Narodzenie dał mi długi, rzeźbiony nóż myśliwski z kosztowną pochwą ze skóry.

- Przyda ci się - powiedział. Przez długie lata trzymałem ten nóż na moim biurku.

- Jeżeli będziesz kiedyś czegoś potrzebował, czegokolwiek, wiesz, gdzie tego szukać - powiedział. Aleja nigdy o nic nie prosiłem.

Później ksiądz odczytał fragment z Księgi Eklezjasty. Dobrze znany urywek: wszystko ma swój czas i każda sprawa pod słońcem ma swoją porę. Przypomniała mi się popularna piosenka, cytująca te słowa. Ale kiedy odczytywano je w kościele, brzmiały inaczej, dźwięczniej, odbijały się echem od sklepienia.

Stryj z żoną pojawiali się u nas przy okazji świąt - na Dzień Dziękczynienia, Boże Narodzenie, nieraz też na urodziny... zawsze wtedy, gdy panowało napięcie. Nie mieli dzieci - nie wiem dlaczego.

Stryj dużo wtedy pił. Uważnie patrzyłem, jak upijał się na sympatycznie, dolewając sobie do szklanki i popijając bez końca; niepomyślnie na wszystko, nucił sobie hymn. Jego dobre oko było zamglone, a to drugie, sztuczne, rozwarło szeroko i nic nie widzące.

Czasem w nocy słyszałem, jak krzyczał przez sen.

Kiedy pastor skończył czytać, zapadła cisza. Do ołtarza podszedł mój ojciec. Barwy flagi zdawały się odbijać w mdłym świetle, padającym na twarz ojca.

- W czterdziestym pierwszym roku mój brat wyruszył na wojnę - powiedział; słuchałem go uważnie. - Nie jestem pewien, czy kiedykolwiek z niej powrócił...

Potępiamy wojnę, myślałem. Potępiamy Iwo Jimę. Mówimy, że stracił tam coś więcej niż oko. Przyłożyłem rękę do czoła, potem zakryłem oczy. Dobiegał do mnie opadający i wznoszący się na przemian głos ojca.

Kiedy rozmawiał ze mną przez telefon, był bardzo rzeczowy:

- Twój stryj popełnił samobójstwo. Przykro mi, że muszę cię o tym zawiadomić - powiedział.

- Jak to się stało? - zapytałem. Zawsze te dziennikarskie nawyki.

- Nie zdarzyło się nic szczególnego. Zaproponowano mu nową posadę na uniwersytecie, gdzieś na Południu. Zdobywanie funduszków, nadzorowanie akademickich programów. On był w tym dobry.

- Był wtedy pijany?

- Twoja ciotka twierdzi, że nie. Utrzymuje, że był trzeźwy; przeglądał ja kies swoje stare szpargały z czasów, kiedy służył w marines. Nic nie powie dział, tylko poszedł na górę i wziął z gabinetu pistolet. Miał dwudziestkędwójkę. Następnie wszedł do łazienki, zamknął drzwi i się zastrzelił.

- Nie zostawił żadnej wiadomości, żadnego listu?

- Nic.

- Współczuję ci - powiedziałem.

- W pewnym sensie jest to ulga. Był przez tyle lat tak strasznie nieszczerze śliwy.

- Dlaczego?

- Któż to wie?

Oczywiście ty to wiesz, pomyślałem sobie. Któż inny, jeśli nie ty?

Ojciec skończył przemawiać; organista zagrał pierwsze akordy hymnu. Od brzegów Montezумы - dokąd? Tutaj. Kościół, pogrzeb. Była tam warta honorowa. Żołnierze odnieśli trumnę do karawanu. Semper Fi. Poszedłem za nimi. Wsunęli ją przez tylne drzwi i odstepili na bok. Ich ruchy były oszczędne i zarazem przesadne. Wojskowa precyzja, której pompa maskuje wszystko, pomyślałem. Ciotka płakała, natomiast ojciec miał suche oczy. Zdawał się kierować ruchem, kiedy wszyscy zasiedliśmy w samochodach, żeby pojechać na cmentarz.

Nabożeństwo nad grobem było krótsze niż się spodziewałem. Pastor znowu cytował Pismo Święte - same znane rzeczy: z prochu powstałeś, w proch się obrócisz. Nie słuchałem, co mówił. Obserwowałem twarze wszystkich obecnych. Przyglądałem się swojemu bratu. Zastanawiałem się, jak bym się czuł, gdyby on umarł. Słuchałem deszczu bębniącego w rozpięty nad grobem baldachim. W pobliżu cierpliwie czekali grabarze z łopatami. Pomyślałem, że przy takiej robocie człowiek musi się nauczyć cierpliwości. Kiedy uroczystość dobiegła końca, uścisnęliśmy sobie dłonie na pożegnanie, życząc jeden drugiemu wszystkiego najlepszego. Odszukałem ojca i powiedziałem mu:

- Muszę wracać.
- W domu ciotki odbędzie się stypa. Chciałbym, abyś tam poszedł.
- Muszę wracać - powtórzyłem. - Po południu mam samolot. Wezmę tak sówkę.
- W porządku - zgodził się ojciec i odszedł.

Myślałem o huraganie u brzegów Wenezueli. Usiłowałem sobie wyobrazić jego epicentrum, gdzie wiatr wiruje po obwodzie koncentrycznych kół, coraz to mniejszych. Naprawdę musiałem wracać.

- To tam - powiedział podniecony Porter.

Spojrzałem przed siebie i zauważyłem pół tuzina wozów policyjnych, zaparkowanych bezładnie na poboczu drogi. W ich reflektorach odbijało się słońce. O kilka kroków dalej, na trawniku dużej, eleganckiej posiadłości stało grono gapiów. Dostrzegłem żółty samochód lekarza sądowego oraz zielono-białą ciężarówkę, używaną przez techników wydziału zabójstw. Zatrzymaliśmy się obok pierwszego radiowozu.

- Jesteśmy na czas, wyprzedziliśmy wszystkich innych. Nigdzie nie widać kamer telewizyjnych. - Porter zawiesił sobie na szyi jeden aparat i przygotowywał następny. - Chodźmy, zanim tam wszystko zakryją.

Wyskoczył z samochodu i szybko ruszył po ścieżce. Podeszedłem za nim, z trudem nadążając.

Wreszcie funkcjonariusz policji zatrzymał nas krótkim warknięciem:

- Stać! - Potem podeszedł bliżej i powiedział: - Jesteście wystarczająco blisko.
- Stąd nie mogę robić zdjęć - zaprotestował Porter. - Muszę podejść. Niech się pan nie boi, nie sfotografuję niczego, czego nie chcecie.

Gliniarz kręcił głową. Wtrąciłem się.

- Kto tu dowodzi?

- Detektyw Martinez i detektyw Wilson - odrzekł. - Możecie z nimi pogadać, jak skończą. Teraz macie tu czekać.

Odwrócił się plecami.

- Pójdę tam - oznajmił Porter, pokazując ręką na trawiastą część pola. - Będę miał lepszy kąt.

Odszedł, starając się zniknąć policjantowi z oczu. Zauważyłem, że jeden z detektywów patrzy na mnie i kiwa ręką. Zbliżyłem się do niego.

- Jak leci, Martinez? - zapytałem. - Co tu macie?

- Dawno cię nie widziałem - odparł. - Ostatni raz w marcu, na procesie.

Pamiętałem ten przypadek - Martinez był głównym świadkiem w sprawie kilkunastoletniego dzieciaka oskarżonego o zamordowanie turysty, który pytał o drogę. Wydarzenie to stało się bardzo głośnie, szczególnie kiedy obrońca oskarżonego wystąpił z argumentem, że nastolatkowi pomieszało się w głowie, ponieważ mieszka w getcie. Nowatorska linia obrony - sędziowie przysięgli obradowali przez dwie godziny, zanim odrzucili ten punkt widzenia. W redakcji wszyscy uznali, że to bardzo zabawne.

- Brakuje zbrodni wysokiej jakości, jeśli wiesz, co mam na myśli - powiedziałem.

Martinez roześmiał się.

- Faktycznie, same zwyczajne przestępstwa, gwałty, rabunki. Nic ciekawego.

- W tym rzecz. Jak myślisz, może tutaj znajdziemy coś bardziej interesującego?

- Pełno krwi - odrzekł Martinez patrząc na mnie. - Młoda dziewczyna, pewnie szesnaście, siedemnaście lat, dokładnie nie wiadomo, bo leży twarzą do dołu. Jest tu doktor Smith, ale jeszcze jej nie odwrócił. Zdaje się, że ktoś strzelił jej w tył głowy z potężnego rewolweru. Może magnum trzy pięćdziesiąt siedem, a może czterdzieści pięć czy czterdzieści cztery special. W każdym razie wielka broń; większa część potylicy została odstrzelona.

Wydobyłem notatnik i zacząłem zapisywać. Detektyw przyglądał mi się przez chwilę, po czym wrócił do swojej relacji:

- Chryste, człowiekowi robi się niedobrze, kiedy widzi, jak ginie taki dzieciak - oświadczył.

Zapisałem jego słowa z największą dokładnością.

- Jedna rzecz jest dziwna, ale to jeszcze nie do publikacji.

- Co to takiego?

- Nie do gazety, rozumiesz? - zapytał wprost.

- Dobra, dobra. O co chodzi?

- Miała ręce związane za plecami. Nie widziałem czegoś takiego... - zastanawiał się chwilę -... od czasu zastrzelenia tego gangstera i hazardzisty, którego znaleźliśmy w Glades. Przypominasz sobie?

- Mówisz o tym, co się określa jako „styl egzekucji“?

- Właśnie - roześmiał się. - Ale dlaczego ktoś miałby wykonywać wyrok na nastolatce?

— Została zgwałcona?

- Nie mam jeszcze pewności, ale jej ubranie wygląda na nietknięte, wszystko na miejscu. Myślę, że raczej nie.

- Co ma na sobie?

- Dzinsy, T-shirt, sandały. Zwyczajnie, jak to maolaty - powiedział, rozglądając się. - O rany, nadchodzą twoi bracia i siostry.

Odwrociłem się - przyjechali ludzie z telewizji. Zbliżali się kolejno: dźwiękowiec, dziennikarz i kamerzysta.

- Złapiesz mnie później - rzucił Martinez. - Porozmawiaj z lekarzem. I z tamtym facetem w szortach. To on znalazł ciało. I jeszcze jedno...

- O co chodzi?

- Zwracaj się raczej do mnie. Wilson ma córkę w tym wieku. Chyba bardzo go to uderzyło.

- Zgoda - odrzekłem. - A co z identyfikacją ofiary?

- Potem - rzucił detektyw i szybko odszedł.

Po przyjeździe ekipy telewizyjnej kilku innych policjantów w mundurach wyłoniło się z zarośli, by utrzymać dziennikarzy w odpowiedniej odległości. Ci wydawali się usatysfakcjonowani możliwością filmowania z dystansu gliniarzy przeszukujących miejsce zabójstwa. Wróciłem do samochodu i połączyłem się przez radiotelefon z działem miejskim. Najpierw odpowiedziała sekretarka, a w chwilę później usłyszałem przez głośnik skrzeczący głos Nolana.

- Co tam masz? - zapytał

- Niezła historia - odparłem. - Może chodzi o porwanie. Nie wiem. Sprawa wydaje się bardzo dziwna. Dziewczyna miała ręce związane z tyłu. Zastrzelona w taki sposób, jakby ktoś wykonał egzekucję. To na razie nie do publikacji, ale niebawem będzie można napisać.

- Zdjęcia w porządku?

- Mam nadzieję. Andy Porter schował się w krzakach z długoogniskowym obiektywem. Teren przeszukuje kupa gliniarzy.

- Brzmi niezłe. Zapowiada się lepiej niż fotoreportaż z parady z okazji Czwartego Lipca, który planowaliśmy. - Usłyszałem, jak się śmieje.

- Posłuchaj, chcę, aby ktoś coś dla mnie zrobił - ciągnąłem.

- O co chodzi?

- Każ komuś zatelefonować do biura osób zaginionych lokalnej komendy policji. Niech się dowie, czy wczoraj w ciągu dnia albo w nocy nikt z Glades nie informował o zaginięciu dziecka. Chcę tylko sprawdzić.

- Dobry pomysł. Każę się komuś tym zająć, zanim gliny wpadną na ten pomysł. Do zobaczenia.

Odłożyłem słuchawkę. Czuję pod pachami pot, lepki i nieprzyjemny. Niebo zdawało się nieskończonym przestworem błękitu. Ani jednej chmurki, tylko słońce, lazur i upał. Poszedłem szukać faceta, który znalazł ciało.

Znalazłem go przy jednym z wozów patrolowych. Przedstawiłem się, a on oznajmił, że codziennie czyta nasz „Journal”. Był to krępy, niski mężczyzna z włosami ostrzyżonymi w stylu modnym wśród republikanów.

- Nic takiego nigdy mi się nie przydarzyło - powiedział. - Nawet kiedy byłem w wojsku w pięćdziesiątym czwartym, nie widziałem niczego podobnego.

- Jak to dokładnie było? - zapytałem, zapisując jego słowa. Facet wydał się mocno zszokowany i był wystarczająco rozmowny, aby zapewnić mi uzupełniający wywiadzik do zasadniczego artykułu.

- Przypominam sobie, że zwróciłem uwagę na jej ramiona. Takie wątle, dziecinne. Były związane z tyłu, ale niezbyt ciasno, wie pan. Raczej luźno, tak jakby zabójca nie chciał, aby ją bolało. Mówię o tym, bo należałoby się raczej spodziewać, że będą związane mocno. - Opowiadający złożył ręce za plecami, aby zademonstrować. - Właśnie tak. Ale nie to jest najważniejsze.

Notowałem bez przerwy.

- Widziałem jej twarz. Robiła wrażenie, jakby spokojnie odpoczywała, mimo że nie miała większej części głowy. - Świadek przełknął ślinę. - Dziwna sprawa, prawda? Nie wiem, co mnie wtedy naszło. Stałem nad nią, patrzyłem, a mój umysł notował te wszystkie kliniczne obserwacje: jak była ułożona, gdzie spoczywała jej głowa, jak krew zlepiała jej włosy w splątaną masę. Była blondynką. Rozmawiałem już o tym z detektywem, wie pan: krótko, rzeczowo, tylko szczegóły. I wie pan, co się potem stało? Dostałem mdłości, o tam - pokazał kępę krzaków. - Przypuszczam, że ci faceci bez przerwy oglądają zwłoki. Ofiary morderstwa.

- Raczej tak. Niech pan powie, czym się pan zajmuje?

Słuchałem jednym uchem, kiedy rozwodził się nad swoimi sprawami. Opowiedział o trasie biegu, jaką wybrał, o porannym słońcu i o tym, że musiał przebiec obok niej ze trzy razy.

- Moje dzieciaki są młodsze - dorzucił.

- Możemy zrobić panu zdjęcie?

- Wolałbym nie - odpowiedział po chwili zastanowienia. - Czy musicie wymienić moje nazwisko?

- O tak, bezwarunkowo - potwierdziłem.

- Oj, to niedobrze. Chyba nie będę dobrze spał, dopóki go nie złapią.

- Nie martwiłbym się o to - pocieszyłem go.

- Dlaczego?

- Bo mam wrażenie, że facet, który wiąże i zabija młode dziewczyny, nie zrobiłby tego z człowiekiem dorosłym.

Zgodził się ze mną.

- Ale coś panu powiem - ciągnąłem. - Na pańskim miejscu trzymałbym się z daleka od ludzi z telewizji, bo inaczej wszystko będzie na antenie.

- Dzięki, będę o tym pamiętał - powiedział na pożegnanie. Odchodząc za uważylem, że chowa się głębiej w cieniu na poboczu drogi. Ruszyłem do Portera, który stał przy naszym samochodzie i rozmawiał przez radio z fotolaboratorium.

- Zrobiłem zdjęcie tego gościa, z którym rozmawiałeś - oznajmił. - Z daleka, ale powinno dobrze wyjść. A może lepiej zrobić zbliżenie?

- Nie, nie trzeba. Mógłbyś w ten sposób zwrócić na niego uwagę facetów z telewizji.

- Dobra - powiedział. - Pokręcmy się tu, dopóki nie zabiorą ciała. Szefo wie zawsze lubią to ujęcie: worek ze zwłokami ułożony na noszach. Tak samo jak w Wietnamie, czarny pokrowiec z zamkiem błyskawicznym. Czyż technika nie jest wspaniałą rzeczą?

- Jesteś cyniczny.

- A kto nie jest?

Czekaliśmy w cieniu przy drodze obserwując, jak pracują policjanci. Po niedługim czasie przynieśli nosze.

— Będę miał ujęcie - stwierdził Porter.

Podeksytowani kamerzyści biegli obok sanitariuszy z pogotowia ratunkowego, którzy wnosili zwłoki z zarośli. Patrzyłem, jak wsuwają czarną torbę do ambulansu. Zauważyłem, że Porter przyłączył się do ludzi z telewizji i szybko robi zdjęcia, jedno po drugim. W pewnym momencie odwrócił się do mnie z uśmiechem i wskazał na pokrowiec. Po ścieżce nadchodził lekarz, więc wysunąłem się z cienia, aby z nim pogadać. Kiedy go zatrzymałem, zapalał fajkę.

- Co mi pan może powiedzieć? - zapytałem.

- Nie dowiem się zbyt wiele, dopóki jej nie pokroję. Wygląda na to, że to był rewolwer dużego kalibru. Prawdopodobnie jeden strzał, sądząc z rozmiarów uszkodzeń. Chyba z bliskiej odległości, jakieś trzydzieści, pięćdziesiąt centymetrów.

- Skąd pan to wie?

- Otwór poszarpany, resztki prochu dookoła rany. Będę mógł ocenić to dokładnie pod mikroskopem. Teraz tylko zgaduję, ale przeważnie zgaduję dobrze.

- Jakież oznaki przemocy seksualnej?

- Dziwna rzecz, ale nie. To daje do myślenia, prawda? Bo młodych dziewcząt zwykle się w taki sposób nie morduje.

- A co pan może powiedzieć o sposobie, w jaki związano jej ręce?

- Niewiele. Chłopcy z laboratorium kryminalnego zabrali sznur.

- Jest pan pewien, że została zabita w tym miejscu? A nie ukryta później?

- Tak. Na liściach pobliskiej palmy znalazłem fragmenty jej ciała, wyrzucone podczas wystrzału.

- Ma pan jakąś teorię? Albo dalsze domysły?

Lekarz roześmiał się.

- W końcu okaże się, że to był zazdrosny chłopak albo ojczym, mający kręćka na punkcie seksu. Tak czy inaczej, powinniście być zadowoleni. To się nadaje do prasy.

Zignorowałem tę uszczypliwą uwagę. Doktor puszczał kłęby dymu z fajki; czułem, jak zapach tytoniu miesza się z wonią zżętej trawy.

— Niech pan pyta detektywa. Kiedy zrobimy sekcję zwłok. Czekać do mnie później, kiedy przyjdzie do mnie na poczekaniu. Pewnie skończy-
z: my wczesnym popołudniem.



- Wie pan, kim ona może być?

- W porządku - zgodziłem się. - Zgłoszę się do pana.

Zauważyłem, że Martinez i jego partner Wilson stoją przy swoim nie oznakowanym samochodzie, otoczeni tłumem reporterów telewizyjnych. Poszedłem posłuchać, o czym mówią. Detektyw robił wrażenie rozgoryczonego - wyglądało na to, że ktoś już się dowiedział o związanych z tytu rękach. To tyle na temat informacji, które podaje sienie do publikacji. Mówił Wilson. Był starszy od swojego partnera, miał ze czterdzieści pięć lat i należał do bardziej zaawansowanych wiekiem detektywów w wydziale zabójstw. Jego bujną, czarną czuprynę przyprószyła już nieco siwizna, a wysunięty do przodu podbródek jakby wiecznie kogoś prowokował. Miał na sobie konserwatywny granatowy garnitur z miniaturką amerykańskiej flagi w klapie. Twarz zaczerwieniła mu się od słońca i od pytań, jakie zadawano. Podchodząc usłyszałem, jak mówi:

- Słuchajcie, nie podam żadnych szczegółów. To po prostu przerażające. No bo... - przerwał, patrząc w oko kamery - ... co taki dzieciak mógł komu zawinąć? Chcę powiedzieć, że nastolatki mają takie samo prawo dojrzewać i stać się jak każdy z nas. Kiedy widzę coś takiego, wszystko się we mnie przewraca. To naprawdę może załamać człowieka. - Wilson był autentycznie wściekły. - To naprawdę wstyd. Wcale się tym nie przejmujecie - zakończył.

- Daj spokój, Phil - wtrącił się Martinez. - Wystarczy. Idziemy stąd. - Spojrzała na mnie i lekko uniósł brwi. Kręcąc głową, zapisał słowa Wilsona.

To jest robota dla nich, ale i dla nas, myślałem. Nie ma różnicy.

- Dorwiemy tego gościa - ciągnął Wilson. - Mam nadzieję, że zgnije w pu dle. Chciałbym, żeby przywrócili karę śmierci.

- Daj spokój, Phil, wystarczy już. - Martinez usiadł za kierownicą samochodu i zapalił silnik. - Jedziemy.

Wilson odwrócił się do kolegi.

- W porządku - rzekł i jeszcze raz spojrzął na kamery. — Później wydamy oficjalny komunikat. - Po tych słowach wszedł do samochodu i zatrzasnął drzwi z hukiem przypominającym sygnał do startu. Ekipa telewizyjna zaczęła się zwi jać. Porter czekał już na mnie w wozie. Włączył klimatyzator.

- Upalny dzień jak na morderstwo - powiedział. - Posłuchaj, chciałbym, abyśmy się zatrzymali po drodze. Sfotografuję paradę, zgoda?

- Nie ma sprawy.

Wyprowadził samochód na drogę z piskiem opon.

- Czwarty Lipca - mówił. - W ubiegłym roku mieliśmy Watergate. Jesz cze rok wcześniej zakończenie wojny. Za rok przypada dwóchsetlecie. Mnó stwo ludzi ubranych jak George Washington. Pewnie sami transwestyci. Ale kto by się tym przejmował?

Roześmiał się i po chwili zastanowienia ciągnął dalej:

- Może tylko skauci się tym martwią. Pamiętam, że kiedyś jako dzieciak brałem udział w paradzie. Nie było tak źle; miałem wrażenie, że nadeszło praw dziwe lato. Po tym je poznawałem.

Myślałem o swoim stryju, ubranym w mundur. Ojciec miał w gabinecie taką fotografię w ramce. Stryj był na niej młody i silny. Granatowo-czerwony uniform

dodawał mu imponującego wyglądu; to zestawienie barw miało znaczenie nie tylko dla ubrania, w jakim występował. Kiedy byłem mały, patrzyłem na to zdjęcie z zachwytem i fascynacją, jakby można było włożyć na siebie mundur jednocześnie z odwagą, siłą i męskością. Kolory na fotografii były równie żywe jak moje emocje. W wyobraźni ponownie usłyszałem muzykę graną na pogrzebie - ale po chwili zorientowałem się, że szyba w wozie jest opuszczona i docierają do mnie dźwięki maszerującej nieopodal orkiestry, ciężki warkot wielkiego bębna i rytm stóp uderzających o ziemię. Zatrzymaliśmy się.

- Gdybyśmy podjechali bliżej, nigdy byśmy się nie wydostali - powiedział Porter. - Chodź. To mniej więcej trzy przecznice dalej. Taka nieduża parada na bocznej ulicy. Później odbędzie się większy marsz, aleja chcę sfotografować dzieciaki ze szkół średnich. One są bardziej naturalne niż orkiestry z college'ów.

Przez chwilę myślałem o dziewczynie na polu golfowym. Pewnie spędziłaby ten dzień obserwując uroczystości na chodniku. A może sama by wzięła udział w przemarszu. Młodzianka, jasnowłosa, kroczyłaby samym środkiem jezdni. Ruszyłem za Porterem w kierunku, z którego dobiegała muzyka. Rozpoznałem tony — „Stars and Stripes Forever”. Cóż to za parada bez „Sousy”?

Nie zauważyłem wielkich tłumów, ale widzowie byli sympatycznie nastawieni. Pełno maluchów z balonikami i niemowląt w wózkach spacerowych. Orkiestra grała przebojową melodię, którą jednak niełatwo było rozpoznać w takiej aranżacji. Słońce odbijało się w mosiężnych instrumentach, słyszałem łoskot uderzających miarowo nóg. Porter prześliznął się wśród widzów i wyszedł na jezdnię. Obserwowałem, jak przysiada i wygina się, wybiega przed maszerujących, robiąc coraz to nowe zdjęcia. Muzyka to rozbrzmiewała głośniejsz, to cichła; skoncentrowałem wzrok na idących na przedzie dziewczętach z pałeczkami. Szły środkiem ulicy, a ich srebrne drążki kręciły w powietrzu młyńca, rzucając wokół ostre bliki. Dziewczyny miały na sobie złote mundury, w których odbijało się słońce, dzięki czemu zdawały się jeszcze bardziej błyszczące. Zwróciłem uwagę na jedną, idącą z brzegu. Jej pałka robiła wrażenie, jakby obracała się całkiem niezależnie od niej - to przyciągało uwagę tłumu. Zrobiła krok w tył i wyrzuciła drążek wysoko w górę. Pałka zdawała się tańczyć w rytm muzyki, wirując na tle błękitnego nieba. Potem długo kręciła się, spadając na dół. Dziewczyna wyciągnęła rękę, aby we właściwym momencie ją złapać.

Przez sekundę zdawało się, że jej się to udało, ale ta sama siła, jaką nadała drążkowi wyrzucając go w powietrze, teraz wyrwała go z jej dłoni - pałka upadła na bruk. Dziewczyna błyskawicznie złamała rytm, pochyliła się i podniosła ją. W sekundę później trzymała ją znowu w ręce i tańczyła dalej, ale jej buzia zmieniła się - wyglądała tak, jakby chciała ukryć łzy. Później odwróciła się i straciłem ją z pola widzenia. Po raz kolejny pomyślałem o nastolatce zamordowanej na polu golfowym. W tym wieku człowiek reaguje inaczej. Upuszczenie drążka na paradzie wywołuje łzy. Co jeszcze może je spowodować? Zerwanie z chłopakiem, ostre słowo, zawałona klasówka. To nie jest wiek na umieranie, nie ma łez dla ginących.

Wsluchiwałem się w dźwięk werbli, aż Porter stuknął mnie w ramię.
- Wracaj do realnego świata - powiedział.

Rozdział drugi

Do redakcji wróciliśmy po południu. Porter poszedł do studia fotograficznego wywoływać zdjęcia, a ja wolnym krokiem skierowałem się do swojego biurka. Nolan siedział na miejscu szefa działu miejskiego. Kiedy mnie zauważył, podniósł się i tanecznym krokiem przebiegł przez salę, uśmiechając się szeroko.

- Bingo - powiedział.

- O co chodzi? - zapytałem.

- Zdaje się, że dyspozytor w Gables odebrał ostatniej nocy co najmniej pół tuzina telefonów od pana Jerry'ego Hooksa i jego żony. On jest jednym z dyrektorów wysokiego szczebla w Eastern Airlines. Mają wielki dom w dzielnicy południowo-wschodniej, tuż za granicą Gables. A także szesnastoletnią córkę o imieniu Amy. Wczoraj wieczorem dziewczyna poszła z kolegami na przyjęcie i nie wróciła do domu. Bingo.

- Jesteś pewien, że to o nią chodzi?

- Mój porucznik na policji potwierdził to tuż przed twoim powrotem. Już wysłał dwóch detektywów do jej domu. Jestem zdania, że ty również powinieś tam pojechać.

Pamiętam, iż wtedy pomyślałem, że to właśnie jest najbardziej parszywy element mojej pracy, szczególnie w wypadku morderstwa. Oględziny okaleczonego ciała to nic takiego - po prostu zapamiętywanie szczegółów na chłodno. Ale odwiedziny w domu ofiary to zupełnie co innego. Nie wiedziałem, czego się spodziewać. W przeszłości grożono mi i rzucano się na szyję, płakano na ramieniu i wrzeszczano na mnie. Pomyślałem: tak łatwo obcuje się ze zmarłymi, a tak trudno z żywymi. Znowu wezwałem Portera - który akurat zaczął obrabiać swoje zdjęcia - i ruszyliśmy przez miasto do osieroconej rodziny.

Martinez i Wilson stali przed wejściem, kiedy się zjawiliśmy. Pierwszy nosił lustrzane okulary przeciwsłoneczne, takie, w które człowiek patrzy i widzi tylko samego siebie. Wilson ocierał czoło chusteczką. Białe płótno jakimś sposobem wchłaniało ciepło, zdawało się promienieć w dłoni detektywa. Porter powiedział:

- Witamy w rzeczywistości, panowie - po czym ruszyliśmy przez trawnik.

Pierwszy odezwał się Wilson.

- Chryste, szybcy jesteście, chłopcy. Nie umiecie usiedzieć na miejscu, co? Patrzyłem na niego przez moment, po czym zwróciłem się do Martineza:

- Jaka sytuacja w środku?

Popatrzył na mnie zza swoich okularów.

- Chyba są w szoku. Musiałem poprosić, żeby jedno z nich dokonało identyfikacji zwłok w kostnicy. Teraz czekamy na ojca.

- Jak przyjęli wiadomość?
 - Nie powiedzieli ani słowa. Wyglądało tak, jakby spodziewali się najgorzszego, kiedy dziecko nie wróciło na noc do domu. Najwyraźniej była to grzech na dziewczynka, nigdy nie denerwująca rodziców, która zawsze wracała wczesnie.

- Miała chłopaków? Są jacyś podejrzani?
 - Nikogo konkretnego. Żaden znany rodzicom chłopak nie miał do niej żalu. To znaczy żaden z tych, z którymi ostatnio zerwała.

Wtrącił się Wilson:
 - To było dobre, normalne dziecko. Żadnych prochów, żadnego seksu. Była cheerleaderką w liceum Sunset. Miała dobre stopnie, same A i B. Chciała zostać weterynarzem i pójść na studia. Boże, słabo mi się, robi, jak o tym myślę. - Spojrzał na mnie, bez przerwy ocierając czoło chusteczką. - Jak chcesz o tym napisać? Pozwól sobie powiedzieć, że jeżeli przysporzysz tej rodzinie jeszcze większego bólu, to...

- To co? - przerwałem. - Kim my jesteśmy, twoim zdaniem? Dobry Boże... Odwróciłem się do Martineza.
 - Dokąd teraz jedziecie?
 - Sprawdzimy to przyjęcie, na którym była. Sądząc po tym, co mówią rodzice, wątpię, czy dużo z tego wyniknie. To przeciętne dzieciaki ze szkoły średniej. Poczekamy na raport z autopsji. Zaczniemy analizować kartotekę przestępców seksualnych, ale to chyba również droga donikąd. Bo to nie wygląda na zbrodnię na tle seksualnym.

Spojrzałem na Wilsona:
 - A co ty myślisz?
 Nie odpowiedział od razu, więc dokończyłem zapisywać to, co usłyszałem od Martineza, skrobiąc pospiesznie w poprzek notatnika.
 - Myślę, że to jakiś psychol. No bo kto inny? Jeszcze nie mamy żadnego punktu zaczepienia. Ale obiecuję, że go znajdziemy.

Zauważyłem, że Martinez odwraca się, jakby sfrustrowany głośnym zobowiązaniem swojego kolegi.
 - Wiesz - wtrącił młodszy detektyw - w większości przypadków przyjeżdżamy na miejsce zbrodni wiedząc już, kto ją popełnił. W takich razach ofiara przeważnie leży na ziemi, a zabójca stoi nad nią z dymiącym pistoletem i płacz. Albo żona ma dość starego męża, który tłucze ją po ciężkim dniu w pracy, więc mu oddaje tak, żeby nie wstał. Niekiedy ojciec zapomina zamknąć broń, którą trzyma w domu do obrony rodziny i widzi, że jego pięcioletnie dziecko wyciąga ją i strzela samo do siebie. Są też rzadsze przypadki - facet ginie za kasą w swoim sklepie z przekąskami w getcie. Ale takich też zwykle wyłapujemy, bo wcześniej czy później ktoś zacznie za dużo gadać, a my mu tę gębę zatkamy. Albo narkotyki. Jedni ludzie strzelają, inni obrywają. To jak masło orzechowe i galaretki - tak właśnie to działa. Zorganizowana przestępczość jest trudna do ugryzienia. Rozumiesz, profesjonalni zabójcy zacierają swoje ślady. Ale przynajmniej mamy jakieś pojęcie, kto to zrobił, a przynajmniej kogo

to może obejść. Najmniejszy procent stanowią zabójstwa przypadkowe, nietypowe. Do tej kategorii należą zbrodnie na tle seksualnym. Ofiara i zabójca nie znają się. Mogą się spotkać tylko raz. Dwie istoty, których drogi krzyżują się tylko na chwilę. Żadnych motywów, świadków czy śladów. To prawdziwy problem dla nas. Sądzę, że właśnie z takim typem przestępstwa mamy w tym przypadku do czynienia. Chyba że chodzi o seksualne zboczenie, choć tego sobie nie wyobrażam.

- A co z tymi związanymi rękami? - zapytałem.

- Kto wie? - Martinez wruszył ramionami.

Popatrzyłem na dwóch detektywów.

- Coś trzymacie w zanadru - zauważyłem. - Opowiadacie mi tu historię pod tytułem „Nie mamy żadnych śladów”, a jutro rano kogoś aresztujecie, zgadza się? Akurat wtedy, kiedy wychodzi „Post”. Coś kryjecie. Nie musicie mi przecież mówić, co wykryliście, ale dajcie chociaż znać, czego mam się spodziewać.

Martinez rozzłościł się, a Wilson odwrócił tyłem.

- Nic ci nie powiem! - wybuchnął. - Jest ciało ze związanymi rękami, ukryte w krzakach. To wszystko. Nie ma tu żadnej magii. Morderca nie został na miejscu przestępstwa białej karteczki z odciskami palców oraz nazwiskiem i adresem! Chcesz szybkiego aresztowania? Mamy jedno w planie. Chryste Panie!

Nie miałem czasu odpowiedzieć, ponieważ w tej chwili otworzyły się frontowe drzwi domu. Dwaj detektywi cofnęli się, pozostawiając mi wolną drogę. Dołożyłem starań, aby usunąć z twarzy ślady gniewu, przywołałem też najbardziej uroczysty ton głosu. W ten sprawdzony sposób zawsze rozmawiałem z rodzinami dotkniętymi nieszczęściem - w rezultacie zbrodni, tragicznego wypadku czy też działania siły wyższej. Starałem się przekonać ich, że współczuję im w tej tragedii, ale zarazem uparcie dążyłem do wydobycia potrzebnych wiadomości. Przedstawiłem się mężczyźnie, który wyszedł jako pierwszy, a potem jego żonie, idącej tuż za nim. Zauważyłem, że mają zaczerwienione od płaczu oczy.

- Zdaję sobie sprawę, że to trudne chwile - oznajmiłem. - Bardzo by mi jednak pomogło, gdyby ktoś z państwa zechciał poświęcić trochę czasu i opowiedział o córce, jej nadziejach i marzeniach.

Ojciec skinął głową. Był tak wstrząśnięty, że moje słowa ledwie do niego docierały. Spojrzał na obu detektywów, którzy się nie sprzeciwili.

- To wspaniała dziewczyna - powiedział głosem, w którym wyczułem wielkie napięcie. - Prawie idealna. Wszyscy ją kochają. Jesteśmy bardzo zaniepokojeni.

Martinez ujął go za ramię.

- To będzie trudne - powiedział. - Lepiej od razu mieć to za sobą.

Mężczyzna przytaknął, a Martinez i Wilson sprowadzili go z ganku do samochodu. Patrzyłem, jak we trzech idą przez trawnik, a błyskające światło zdaje się akcentować każdy trudny krok. Za plecami słyszałem pstrykanie i ciche furkotanie aparatu fotograficznego. Zwróciłem się do matki.

- Może usiądziemy i porozmawiamy - zaproponowałem. - To zajmie im jakiś czas.

Zgodziła się w milczeniu i weszła do domu, a ja za nią, zostawiając otwarte drzwi, aby Porter również mógł się tam wśliznąć.

Przyglądałem się, jak kobieta powoli przechodzi przez hol do dużego salonu. Dokładnie obejrzałem pokój, zwracając uwagę na szczegóły i jednocześnie pilnie wszystko notując. Zadałem szybko pytanie:

- Czy mógłbym dostać szklanę wody? Na dworze jest bardzo gorąco.

Przez chwilę robiła wrażenie zakłopotanej, po czym odpowiedziała:

- Naturalnie. Zaraz panu przyniosę.

Zniknęła za drzwiami, które, jak przewidywałem, prowadziły do kuchni. Wykorzystałem tę chwilę, aby zebrać myśli i zaplanować dalsze postępowanie. Przyjrzałem się ścianie pokrytej rodzinnymi fotografiami. Zwróciłem uwagę na przemyślane rozmieszczenie nowoczesnych, niskich mebli. Uznałem, że są to rzeczy kosztowne. W rogu pokoju stało pianino. Zaznaczyłem w notatniku, że muszę o to zapytać. Zobaczyłem też dużą wieżę stereo, zanotowałem tytuły płyt leżących na zewnątrz - było tam kilka nagrań rockowych i kilka klasycznych. W salonie nie było telewizora. Przeszedłem przez pokój i przez rozsuwane, oszkłone drzwi wyjrzałem na dziedziniec za domem. Był tam basen, kilka drzew i ładnie utrzymany trawnik. Na Florydzie stan zieleńców mówi o tym, jak dalece właściciele domów przykładają się do walki ze słońcem. Usłyszałem, że kobieta wróciła do pokoju, więc odwróciłem się do niej.

- Właśnie podziwiałem pani trawnik. Wygląda tak, jak na Północy.

Uśmiechnęła się przelotnie i podała mi szklanę z wodą i lodem. Spojrzałem na Portera, który trzymał się z tyłu i usiłował dyskretnie robić zdjęcia. Matka robiła wrażenie zrezygnowanej - wzruszyła lekko ramionami i usiadła na krześle. Podparła ręką głowę i spojrzała na mnie.

- Nie może pan sobie wyobrazić, jak bardzo się martwimy. Jestem potwornie przerażona. — Jej głos brzmiał pewnie, choć oczy miała pełne łez. Zademontrowała niezwykle opanowanie. - Nie spałam przez całą noc. Jęny też. W pewnym momencie wyszedł i objechał całą okolicę. Powiedział, że zdaje sobie sprawę, że jej nie wypatrzy, ale czuje, że musi coś zrobić. Widzi pan, ona nigdy czegoś takiego nie robi - nie wychodzi na całą noc. Żadne z naszych dzieci tego nie robiło.

Używa czasu teraźniejszego, tak jak mąż. Jeszcze to do niej nie dotarło.

- Ile państwo macie dzieci? - zapytałem. Notowałem najszybciej jak mogłem. Niech mówi jak najdłużej, myślałem. Artykuł napisze się sam.

- Troje - odrzekła. - Amy jest najmłodsza. Jerry junior jest na drugim roku Uniwersytetu Stanforda, a jego starszy brat Stephen studiuje medycynę w Bostonie.

- Na Harvardzie?

Uśmiechnęła się.

- Przypuszczam, że chciałby tam się znaleźć. Ale jest w Tufts.

- To też niemałe osiągnięcie - wtrąciłem.

Przytaknęła ruchem głowy.

- Wie pan, on był na wojnie. Jako medyk z American Division. Nie pamiętam, jaki miał numer. Ale widział mnóstwo akcji i sądzę, że właśnie tam podjął decyzję. Wrócił do domu i zapisał się na letnie kursy z chemii i czegoś tam jeszcze, no i został przyjęty. Teraz jest na drugim roku.

- Niech mi pani opowie o córce — poprosiłem.

Wstrzymała oddech, jakby ją to zaskoczyło.

- Oni wszyscy byli dobrymi dziećmi. Nigdy nie miałam z nimi prawdziwych kłopotów. Stephen pojechał na wojnę wbrew naszym zastrzeżeniom, ponieważ, jak twierdził, ukończył szkołę i jest to jego obowiązek. Wykorzystał odroczenia i tak dalej. Jerry junior przysporzył nam trochę zmartwień, kiedy był w szkole - wie pan, demonstracje, długie włosy i różne takie. Ale to chyba nie miało na niego wielkiego wpływu. Najbardziej obawialiśmy się o narkotyki, bo zdawało się, że w szkole wszyscy się szprycują, jak to się mówi. Ale on dobrze radził sobie z nauką, tak samo jak jego brat. Niekiedy martwię się, że Amy będzie trudno im dorównać. Bracia zawsze bardzo wiele dla niej znaczą; chciała robić to, co oni, tak samo się zachowywać. Mam wrażenie, że czuła się zakłopotana, że jest dziewczynką i przez to jest inna. Lubiła przebywać poza domem; sądzę, bieganie po ogrodzie i wygłupianie się odegrało w jej dorastaniu większą rolę niż lalki i to wszystko, co zwykle robią małe dziewczynki. Zanim się tu przeprowadziliśmy, Jerry pracował w Northwest i przez wiele lat mieszkaliśmy w Minneapolis. Kiedy tu przyjechaliśmy... w październiku będę dzie dwa lata... cieszyłam się, że Amy będzie mogła dalej przebywać na powietrzu i dobrze się czuć. A nie byłoby to osiągalne, gdybyśmy się przenieśli do Nowego Jorku czy w jakieś podobne miejsce. Wie pan, tam, gdzie człowiek bez przerwy musi się martwić. To taka rozsądna dziewczyna.

- Jest cheerleaderką?

- No właśnie - matka roześmiała się, zakłócając na moment poważną atmosferę salonu. - A także wiceprzewodniczącą samorządu w swojej klasie. Chce być przodownicą w nauce, a potem iść na studia i zostać weterynarzem. Mam wrażenie, że to próba zbliżenia się do brata w jedyne skuteczny sposób. Myślę, że ona też pójdzie na medycynę...

Nagle zatrzymała się niczym nurek w trakcie skoku do wody, zawieszony nad głębiną.

- To znaczy, oczywiście... Nie wiem. Mój Boże, co się z nią stało?

Długo powstrzymywane łzy popłynęły niekontrolowanym strumieniem. Matka jęknęła głośno i zawisła bezsilnie na fotelu. To był moment klęski; wydawała się zagubiona i zmieszana. Widywałem już ludzi w takim stanie. W pokoju panowała cisza, zakłócana tylko szumem aparatu Portera. Kobieta ukryła twarz w dłoniach; kiwała się do przodu i do tyłu, jakby ktoś ją zranił fizycznie.

- Mój Boże -jęknęła. - Moje dziecko.

- Proszę, jeszcze tylko minutkę czy dwie - odezwałem się. - Czy ma pani zdjęcie Amy, które moglibyśmy zabrać? Potem je odeślemy. Najlepiej jedno z ostatnich.

Matka oderwała ręce od twarzy i popatrzyła na mnie.

- Zdjęcie?
- No właśnie. Coś z najnowszego albumu albo fotografia rodzinna.
- Przyniosę panu - zgodziła się i zagadnęła Portera. - Czy pan też chciał by szklanicę wody?

Nawet ja byłem pod wrażeniem. Pomyślałem o ludziach, którzy przyjmują potężny cios i potrafią się opanować. Porter przyjął propozycję; kobieta wyszła. Była wysoka, miała na sobie prostą, ale stylową kolorową sukienkę. Jasnokasztanowe włosy ściągnęła z tyłu głowy. Zwróciłem uwagę, że ma bardzo oszczędny makijaż. Gdyby umalowała się mocniej, łyzy wszystko by rozmazały. Poruszała się swobodnie, z gracją. Kiedy opuściła pokój, spojrzałem na Portera, ale on oglądał zdjęcia zawieszane na ścianie.

- Są dobre - powiedział. - Ktoś tu umie się posługiwać aparatem. A może robi to profesjonalnie. Odpowiednia kompozycja, oświetlenie, dobra robota.

Matka wróciła z fotografią w jednej ręce i szklanką napoju w drugiej.

- Większość zdjęć zrobił Jerry junior - powiedziała. Usłyszała uwagi Portera i zareagowała jak dumna matka. - Może spróbuje sił w pana zawodzie, kiedy skończy studia.

- Niech mu pani przy okazji wspomni, że uważam je za bardzo dobre - dodał Porter.

- Dziękuję. Bardzo mu to pochlebi - odparła z uśmiechem i podała mi fotografię. - Może być?

Przyjrzałem się jej dokładnie. Przedstawiała ładną, jasnowłosą nastolatkę o szerokim uśmiechu i otwartej twarzy. Dziewczyna miała na sobie dzinsy i stała koło basenu. U jej stóp leżał pies, collie.

- To nasza Lady. Kilka miesięcy temu musieliśmy ją uśpić. Amy bardzo to przeżyła. Chyba wtedy postanowiła, że zostanie weterynarzem. Zdjęcie zrobił Jerry junior.

- Jest doskonale - powiedziałem myśląc, że czytelnikom pęknie serce, kiedy je zobaczą. - Kiedy skończymy, zwrócę je pani.

- Będę wdzięczna.

Przez chwilę wszyscy troje staliśmy w milczeniu.

- Czy pana zdaniem jest jakaś szansa, to znaczy ewentualność, że policja się myli? - w jej oczach znowu zebrały się łzy. - O ile wiem, zdarzało się, że w takich sprawach popełniali błędy. Czy pan widział...

Nie była w stanie wykrztusić tego słowa.

Postanowiłem skłamać:

- Pomyłki zdarzają się często. Powinna pani poczekać na ostateczne orzeczenie. Oglądałem ciała, ale... - wskazałem na zdjęcie - ...doprawdy nie sposób powiedzieć.

- Kiedy wczoraj wychodziła, miała na sobie niebieskie dzinsy i koszulkę w czerwone i niebieskie paski.

Patrzyłem na Portera - byłem pewien, że ma przed oczami ten sam obraz co ja. Odwrócił się.

- Żałuję, ale nie podchodziłem tak blisko.

To była nieprawda.

Matka usiadła.

- Wszystko wydaje się takie nierealne. Jakbym nie wiedziała, co się dzieje, ale miała świadomość, że to coś ważnego. Jakby dotyczyło kogoś innego, a nie mnie. Jakbyście tu przyszli w sprawie jakiejś innej dziewczyny. To wszystko jedna wielka pomyłka. Czy to się dzieje naprawdę? Mój Boże! Sama nie wiem, co czuję, co mam myśleć... - Spojrzała na mnie. - Jak mam zachować rozsądek, skoro cały świat stoi na głowie?

Nie wiedziałem, co powiedzieć.

Wtedy właśnie zadzwonił telefon. Dźwięk był natarczywy, budził strach. Kobieta podniosła się, by podnieść słuchawkę. Przysłuchiwałem się. Dobrze wiedziałem, w czym rzecz, mimo że słyszałem tylko jej odpowiedź.

- Tak, kochanie - odezwała się. - Ze mną wszystko w porządku.

Jej twarz nagle jakby obwisła, a oczy rozszerzyły się.

- Mów! - krzyknęła. - Powiedz mi!

Widziałem, jak zamyka oczy i zaciska zęby. Usiadła na fotelu, wyprostowała się i podniosła sztywno głowę.

- Już siedzę! Powiedz mi! Mów!

Pod wpływem nagłego przerażenia podniosła rękę do ust.

- O mój Boże! - powiedziała. - Moja dziecina!

Delikatnie odłożyła słuchawkę. Przyszło mi do głowy, że zrobiła to tak, jakby nie chciała zakłócać spokoju. Podniosła wzrok na mnie.

- To ona - powiedziała głuchym głosem. - To moje dziecko. Moja dziewczynka.

- Czy mamy kogoś zawołać, proszę pani? - zapytałem. - Może sąsiadkę?

Robiła wrażenie, jakby nie dosłyszała.

- Moje dziecko - powtarzała. Porter wsunął głowę przez drzwi. Skinąłem na znak, że się zgadzam.

- Pójdziemy już, proszę pani - dodałem. - Bardzo nam przykro.

Jej głos brzmiał beznamiętnie i monotonicznie.

- Kto mógł to zrobić? - zapytała. - Co za bestia się tego dopuściła? Mój Boże, co się stało? Kto mógł chcieć zabić moje dziecko? Moje maleństwo.

Jej słowa zaczęły nagle pękać, jakby były zrobione z kryształu. Kobieta rozplakała się; słaniała się w fotelu i jęczała jak w boleściach. Telefon zadzwonił ponownie - raz i drugi. Matka nie poruszyła się. Po sekundzie podniosłem słuchawkę. To był jej mąż.

- Halo, halo, kochanie! - krzyczał.

- Nie - odrzekłem. - Jestem dziennikarzem z „Journal”. Niech pan słu cha, moim zdaniem ktoś powinien przy niej być. Może sąsiadka?

Mężczyzna był chyba zaskoczony - na chwilę zapadła cisza. Potem odezwał się:

- Owszem. To sąsiedni dom. Państwo Allen. Po prawej stronie. Muszę złożyć oświadczenie na policji. Niech pan jej powie, że wrócę najszybciej, jak będę mógł. No i dziękuję za pomoc.

- Ściągniemy sąsiadów - zapewniłem i wyłączyłem się. Porter podał ko biece szklanę z nie dopitą wodą; połknęła ją jednym haustem. - Pójdziemy już, proszę pani. Wszystko będzie dobrze.

Miałem wrażenie, że nic z tego do niej nie dociera. Jęczała bez przerwy.

Wysliśmy na powietrze. Wydawało się, że zrobiło się jeszcze goręcej, jeżeli to w ogóle możliwe.

- Sąsiedni dom, państwo Allen - przypomniałem.

Porter kiwnął głową i pobiegł przez trawnik. Widziałem, jak wchodzi do środka i pojawia się znowu, prowadząc za sobą mężczyznę i kobietę. Wpuścił ich do domu państwa Hooks i wrócił do mnie.

- Ostrzegłeś ich przed ludźmi z telewizji? Na pewno zjawią się tu za moment.

- Wspomniałem o tym - odparł - choć nie jestem pewien, czy to do nich dotarło. Ale niebawem zrozumieją, o co chodzi.

- No to zbieramy się. Może uda się złapać jej ojca w komendzie policji. Zaczyna być krucho z czasem.

Porter nie odezwał się już. Powoli ruszył spod krawężnika. Pomyślałem, że i jego trochę to wzięło, i uśmiechnąłem się. Połączyłem się przez radio z dziennikiem fotograficznym i poinformowałem, dokąd się teraz wybieramy. Nolan pewnie słyszał tę rozmowę, bo *zażądał* połączenia ze mną.

- No i jak to wygląda? - usłyszałem jego głos.

- Słuchaj, Nolan - odrzekłem głośno i z przekonaniem. - Mamy historię jak wszyscy diabli.

Promienie słońca odbijały się od asfaltu, zalewając przednią szybę jaskrawym światłem. Jechaliśmy do centrum miasta w milczeniu - ciszę przerywał tylko szum klimatyzatora i pisk opon.

Zauważyłem, że ojciec ofiary w towarzystwie dwóch detektywów wychodzi bocznymi drzwiami z komendy głównej policji. Wjeżdżaliśmy akurat na parking - wyskoczyłem z samochodu, zanim Porter *zdażył się zatrzymać*. *Udało* mi się ich dogonić, kiedy już dochodzili do wozu patrolowego. Ustawiłem się pomiędzy nimi i samochodem. Z tyłu usłyszałem kroki Portera.

- Panie Hooks, czy możemy chwilę porozmawiać? - zacząłem. Policjanci zawahali się; robili wrażenie poirytowanych. Zorientowałem się, że mężczyzna mnie nie poznaje.

- Jestem z „Journal” - przypomniałem. - Niedawno rozmawialiśmy przez telefon. Z pańską żoną zostali sąsiedzi.

Jego mina wskazywała, że skojarzył. Ale nie wykazywał chęci współpracy.

- Naprawdę nie wiem, co powiedzieć. Dziękuję, że pomógł pan mojej żonie, ale teraz, doprawdy, nie mam nic do powiedzenia. Mam nadzieję, że złapię winnego. Nie rozumiem, jak ktoś mógł to zrobić... naprawdę, nie mam nic do powiedzenia. Rozumie mnie pan?

- Naturalnie - odparłem, ale nie ruszyłem się, wciąż blokując dostęp do samochodu. - Czy ostatniej nocy podejrzewał pan coś takiego?

- Ależ skąd! Jak mógłbym sobie to wyobrazić? Pewnie, że byłem zdenerwowany. Kto by nie był? Obdzwońnię izby przyjęć w całym mieście dowiadując się, czyje tam nie przywieźli. Myślałem, że może miała wypadek samochodowy. Ale teraz naprawdę nie chcę rozmawiać, w porządku?

Zapisywałem jego słowa w notatniku.

- Chciałby pan, aby człowiek, który zamordował pańską córkę, został ukarany?

- Mój Boże! Tak! Chcę, żeby cierpiał - odpowiedział ojciec; jego głos łamał się jak cienki lód pod łyżwą. - Chciałbym, aby przeżył to wszystko, przez co ja teraz przechodzę! Mam nadzieję, że sam tego posmakuje.

Przerwał i znowu popatrzył na mnie.

- Teraz jednak naprawdę nie mogę nic powiedzieć - dorzucił.

- Oczywiście, rozumiem - zapewniłem ustępując im z drogi. Wilson ga pił się na mnie, siadając za kierownicą. Kiedy wóz ruszał, ojciec zasłonił ręką oczy. Identyczny gest zrobiła wcześniej jego żona - wyglądało, jakby chcieli, aby w ich oczach ujawnił się jakiś wewnętrzny obraz, coś, co utrwaliło się w ich wyobraźni. Odwróciłem się do Portera.

- Dobry materiał? - zapytałem.

- Owszem. Pierwsza klasa.

- Pierwsza strona?

- Nie może być inaczej.

- Nie może być inaczej - zgodziłem się. Było już późne popołudnie; za uważałem, że skwar robi się mniej dokuczliwy, jakby chciał się schować przed nocą. Wróciliśmy do redakcji.

Kiedy wchodziłem, Nolan właśnie skończył popołudniowe planowanie. Kiwnął na mnie, więc zbliżyłem się z szerokim uśmiechem.

- Dobry temat? - zapytał.

- Tak mi się wydaje - odrzekłem skromnie.

- Wezmę sobie kubek kawy, a ty opowiadaj po drodze.

Podszedł do automatu w rogu sali. Szybko zdałem mu relację, koncentrując się na głównych wątkach artykułu i pomijając część szczegółów. Opowiedziałem o zwłokach znalezionych obok zielonego pola golfowego i o biegaczu, który zauważył coś kolorowego w zaroślach. Mówiłem o matce dziewczyny, zdjęciach zawieszonych na ścianie, rozmowie telefonicznej i o tym, jak się załamała pod wpływem napięcia. Następnie opisałem zachowanie ojca i detektywów, a także zacytowałem kilka wypowiedzi pana Hooksa. Skończyłem. Nolan przez chwilę sączył swoją kawę i zastanawiał się.

- W porządku - odezwał się wreszcie. - Zaproponowałem to na pierwszą stronę i zgodzili się. Przesunęli do tyłu dużą rozkładówkę. Posłuchaj, o co mi chodzi: mniej więcej pół kolumny na główny tekst i jeszcze szpalta na boczku. Opisz osobno sprawę rodziców. Weźmiemy jeden czy dwa cytaty z ojca i matki do głównego tekstu. Zaczynasz od znalezienia ciała i stanu dochodzenia policyjnego, ale zaraz potem napisz o tych kolorach i reakcji rodziców, kapujesz?

- To nie jest złe, ale wierz mi, wolałbym zrobić boczek o tym gościu, który znalazł zwłoki. No i jeszcze jedno: czy będzie dalszy ciąg?
- Wiesz co - uśmiechnął się Nolan - możesz to pociągnąć, ale barwnie, rozumiesz? Chcę, żeby ludzie naprawdę poczuli, co to była za dziewczyna. I tylko jeden boczek. Na temat jej rodziców. Za parę dni możesz do tego wrócić i pogadać z facetem, który znalazł ciało; zapytaj go, czy ciągle uprawia jogging na tej samej trasie. To będzie ciekawe.
- Przytaknąłem.
- Ale mimo wszystko chcę to włączyć do zasadniczego tekstu - dodałem.
- Jasne - zgodził się Nolan. - Niczego nie pomijaj. To będzie w jutrzejszej gazecie, bomba z przedłużonym działaniem. A jak z ilustracjami? Są dobre?
- Podąłem mu zdjęcie, otrzymane od matki ofiary. Oglądał je przez chwilę.
- Chryste, ona naprawdę była śliczna - powiedział. - To jest całkiem dobre. Idę walczyć o miejsce z działem wiadomości. Ty masz zaraz siadać do pisania. *Zamierzam* to popchnąć osobiście.
- Dobra jest - odparłem. - Nie zgub zdjęcia. Obiecałem, że je oddam.
- Kto je robił? - zapytał Nolan.
- Jej brat, Jeny junior.
- No to otworzymy mu linię kredytową. Może być?
- Dobry pomysł.

Wtedy zatelefonowałem do Christine. Złapałem ją, kiedy wychodziła ze szpitala.

- U ciebie wszystko w porządku? - zapytała. - Jak pogrzeb?
- Jakoś przeżyłem - odparłem. - Wszyscy przeżyli.
- Kiedy cię zobaczą?
- Nie tak prędko. Muszę skończyć duży tekst.
- Poszedłeś do roboty? - Chyba była zaskoczona.
- Tak zdecydowałem. Nie ma sensu siedzieć i rozpamiętywać. Praca pozwala zapomnieć, przenieść uwagę na coś innego. To wspaniała ulga.
- Kocham cię. - W tej deklaracji był cień oskarżenia.
- Ja też muszę - roześmiałem się, a ona mi po chwili zawtórowała.
- Mam zrobić coś do jedzenia? - zapytała jeszcze.
- Może steki?
- No to na razie - powiedziała. - Wygląda na to, że chcesz coś uczcić.
- Tylko ciekawy artykuł - odparłem.

Odłożyłem słuchawkę i pochyliłem się nad maszyną do pisania. Dookoła pracowali inni reporterzy, szum rozmów prowadzonych przez telefon mieszał się ze staccatem elektrycznych maszyn do pisania. Pokój wypełniał się ciepłym światłem późnego popołudnia; umieszczone z jednej strony duże okna zajmowały całą ścianę. Zza swojego biurka miałem widok na śródmieście. Budynki zdawały się biec w górę aż po wieczorne cienie. Spojrzałem na starą fotografię zgiętej przez wiatr palmy na przeciwległej ścianie. Zauważyłem, że huragan

zbliżył się nieznacznie, nie zmieniając kursu - przesunął się na północ z lekkim odchyleniem w kierunku zachodnim. Mierzył prosto na Miami. Na chwilę zamknąłem oczy i zacząłem przywoływać obrazy, tak jak sztukmistrz tworzy fakty. Widziałem zwłoki i słońce odbijające się w jasnych włosach ofiary. Wyobraziłem sobie matkę, a potem ojca dziewczyny - oboje w stanie paniki. Wkręciłem kartkę papieru w maszynę i zacząłem wystukiwać litery, przywoływać słowa, formułować zdania i całe akapity. Miałem wrażenie, że jestem związany z tym urządzeniem; ono było instrumentem, a ja muzykiem. Pisałem:

*Szesnastoletnia uczennica z liceum Sunset, cheerleaderka...
Odnaleziona przez porannego biegacza... Miała związane ręce i
została zastrzelona, jakby ktoś wykonał wyrok...
Matka miała twarz ściągniętą i przerażoną...
Ojciec mówił niewyraźnie i z gniewem...
Policja ciągle szuka śladów, ale nie ma podejrzanych...*

Zapisane strony wyskakiwały z maszyny jedna po drugiej. Hałasy w pokoju redakcyjnym stopniowo oddaliły się ode mnie; miałem świadomość, że znalazłem się w swoim żywiole, gdy tak obrabiałem myśli i wrażenia z całego dnia. Napisałem główny artykuł i zająłem się uzupełniającym tekstem o rodzicach zamordowanej. Ledwie zauważyłem, jak zastępca szefa działu miejskiego zabiera kolejne partie z mojego biurka i niósł do komputera ze skanerem, aby je wprowadzić do redakcyjnej sieci. Skończyłem kwadrans przed ostatecznym terminem cytując słowa matki: „Kto mógłby chcieć zrobić coś takiego?”.

Przez chwilę wpatrywałem się w to zdanie, a mój umysł wypełniały wspomnienia o stryju. Wyobraziłem go sobie ze szklanką whisky z wodą w jednej ręce i albumem w drugiej, dumającego nad minionym czasem. W myślach widziałem jego twarz, wargi drżące od wspomnień, zdrowe oko napelniające się łzami. Widziałem też zdecydowany ruch ręki starego żołnierza, kiedy energicznie zatrzaskiwał album, a jednocześnie własne życie. Z pewnością szedł w ostatnią drogę krokiem odmierzonym, powolnym, niczym kondukt pogrzebowy. Wyobrażałem sobie, jak wchodzi po schodach na górę, do łazienki, trzymając w ręku dokładnie wyczyszczony i wypolerowany pistolet. Odgłos wystrzału musiał mu się wydać czymś podobnym do stuknięcia.

Nolan pochylił się" nade mną.

- To jest dobre. Skończyłeś? - zapytał.

Oddałem mu ostatnią stronę. Szybko przeleciał ją oczami.

- W porządku - orzekł. - Chodź do mnie. Pokażę ci, jakie zmiany wprowadziłem.

Podrzucił ostatni fragment operatorowi komputera i wrócił do siebie. Obok biurka Nolana stał nieduży monitor telewizyjny z klawiaturą; końcówka wyświetlacza wideo. Nacisnął kilka klawiszy i na ekranie ukazał się mój artykuł.

- Przeczytaj to.

Poprawki były nieznaczne, kilka słów zmieniło miejsce w szyku, przestawił akapitów. Nic wielkiego. Potem Nolan wywołał drugi tekst, który przeczytaliśmy razem.

- Zupełnie dobrze - pochwalił z uśmiechem. - A właśnie, żebym nie zapomniał.

Szybko dopisał u góry każdej strony:

Malcolm Anderson
publicysta zespołu redakcyjnego „Journal”

Jeszcze raz przewinął na ekranie oba teksty i doszedł do ostatniego cytatu z tego, co powiedziała matka.

- To całkiem niezłe na zakończenie - wtrąciłem.

- W tym zdaniu zawiera się wszystko, co? Odpowiednie podsumowanie - zgodził się ze mną.

Przytaknąłem bez słowa.

Ale obaj myliliśmy się całkowicie.

Rozdział trzeci

Następnego ranka nie od razu spojrzałem na pierwszą stronę dziennika. Christi-1N nie wstała wcześniej i zabrała gazetę sprzed drzwi. Zrobiła kawę i śniadanie, podczas gdy ja brałem prysznic; w łazience usłyszałem, jak coś do mnie woła. *Zadała* identyczne pytanie jak matka zamordowanej dziewczyny: „Jezu, kto mógł zrobić coś takiego”? Odpowiedziałem, że prawdopodobnie okaże się to, co zwykle - może zrobił to odrzucony przez ofiarę chłopak, o którym nie wiedzieli jej rodzice. Usłyszałem, jak zawołała: „Ale to też nie będzie wytłumaczenie”. Nie odpowiedziałem jej, splukując mydło z ciała. Czułem, jak letnia woda splywa mi na włosy i twarz. Okno łazienki było otwarte — mimo wczesnej pory wyczuwało się, że upał dojrzewającego dnia zaskakuje niczym silnik.

- Aż mi od tego słabo - powiedziała Christine, kiedy wróciłem po kąpieli.

- Od czego?

- Od takich zbrodni. Wiesz, umysł może wyobrazić sobie tuzin wyjaśnień tego rodzaju przestępstw: wściekłość, perwersja, chęć rabunku, nie wiem, co jeszcze. Ale żadne z tych wytłumaczeń nie stanowi wystarczającego powodu, aby odbierać życie takiemu dzieciakowi. Niedobrze mi się robi od samego myślenia o tym. A ty się nie przejmujesz?

- Nie myślę o tym w takich kategoriach.

— A w jakich? - naciskała Christine.

Smarowała bułeczkę masłem i marmoladą. Przez kuchenne okno sączyło się światło słoneczne i odbijało się w rękojeści noża odkładanego przez Christine na stół. Jej rudawobrzowe włosy były podstrzyżone z przodu, tworząc

jakby ramę dla twarzy, a z tyłu spływały do ramion. Słońce wydobywało z nich rudy odcień - wydawało się, że siedzi w czerwonej aureoli.

- No, mów - ponagliła mnie.

- To tylko artykuł - odrzekłem. - Tym się przecież zajmuję. Słuchaj, gazeta jest przede wszystkim kroniką tragedii, czyż nie? Wczoraj przyszła kolej na mnie. Musiałem rozgrzebać ten konkretny wypadek, a potem poinformować o nim czytelników na całym świecie, a przynajmniej w zasięgu kolportażu gazety, potrząsnąć nimi. Twoja reakcja jest prawdopodobnie typowym zachowaniem czytelnika podczas śniadania w okręgu wielkiego Miami. Jednak każdy przeczyta to, aby powiedzieć przynajmniej tyle: „Całe szczęście, że to nie mnie się przytrafiło”, i z tej przyczyny takie teksty się ukazują. W twoim zawodzie jest chyba tak samo. Czy uczestnicząc w operacji nie czujesz, że jesteś w jakiś sposób oderwana od tego proceduru? Nie odczuwasz zadowolenia, że ciebie to nie dotyczy?

- Nie, to nie jest dokładnie tak - sprzeciwiła się.

Wypiłem sok pomarańczowy i wyjąłem z gazety strony sportowe. Na wschodzie Jankesi powiększali przewagę, grzebiąc Baltimore i Red Sox. Liga Narodowa zdawała się zdominowana przez Cincinnati. Zauważyłem, że Tom Seaver jest pitcherem w Mets. Lubiłem patrzeć, jak on gra; odnosiło się wrażenie, że kiedy rzuca piłkę jego ciało jest bez reszty podporządkowane grze. Odchyłał się lekko do tyłu, aby po chwili gwałtownie wyrzucić przed siebie rękę i całe ciało w kierunku zawodnika odbijającego. Klękał na jedno kolano, aż szorował nim po ziemi, a ramię błyskawicznie przelatywało koło ucha i we właściwym momencie wyrzucało piłkę. Wyglądało to tak, jakby nie było najmniejszego przesunięcia w czasie między chwilą wypuszczenia piłki z palców i pojawieniem się jej na stanowisku gracza odbijającego, jakby Seaver był czarodziejem, który ma zdolność przerzucania tej piłki w sposób niedostrzegalny. Lubiłem patrzeć, jak rzuca na odległość dziewięćdziesięciu czy stu metrów, bo wtedy piłka wybucha na stanowisku odbijającego; zbaczając z kursu, żyje własnym życiem.

Kiedy wchodziłem do redakcji, zauważyłem, że większość personelu pije kawę na stojąco i przegląda gazetę. Przy wejściu zawsze układano stos egzemplarzy; wziąłem jeden, rzuciłem okiem i odłożyłem na miejsce. Woląłem usiąść za biurkiem i dopiero wtedy rozkoszować się swoim artykułem. Obejrzałem też pierwsze wydanie popołudniówki „Post”, aby się przekonać, jak oni to rozegrali. Nie przypomniałem sobie, abym poprzedniego dnia widział jakichś dziennikarzy z „Post”, ale z tego jeszcze nie wynika, że ich tam nie było. Kiedy szedłem na swoje miejsce, zaczepiło mnie kilku reporterów. „Dobry tekst” powiedział jeden. „Encore, encore!” żartował drugi. Mniej więcej tak działa się za każdym razem, kiedy ktoś zanotował sukces większego kalibru i napisał artykuł odbiegający od rutynowego układu pierwszej strony. Kiwnąłem głową udając, że doceniam te gesty i usiadłem przy biurku.

Mój tekst ułożono w górnej części strony, ponad linią złożenia gazety, powyżej wstępniaka adresowanego do czytelników w całym kraju. Tytuł brzmiał: ZNALEZIONO ZAMORDOWANĄ NASTOLATKĘ; POLICJA SZUKA ZABÓJCZY DZIAŁAJĄCEGO JAK „KAT”. Zajmował sześć szpalt. Patrzyłem na

zdjęcie dziewczyny. Nawet na niewyraźnej, czarno-białej odbitce w gazecie była czysta i piękna. Tekst uzupełniający, tak zwany boczek, także rozpoczynał się na pierwszej stronie - włamali go w artykuł zasadniczy. Jego tytuł wydrukowano mniejszą czcionką: ROZMOWA TELEFONICZNA... I ZACZYNA SIĘ TRAGEDIA. Pomyślałam, że jest może nieco przesadny, ale po chwili zastanowienia stwierdziłam, że praca dziennikarza nie polega na subtelnościach. Z satysfakcją przebiegałam wzrokiem dobrze znane słowa obu pozycji. Miałam wrażenie, że wspomnienia z poprzedniego dnia gdzieś znikły, a ich miejsce zajęły wydrukowane słowa, żywych ludzi zastąpiły opisy. Kiedy czytałem, na moim biurku zadzwonił telefon. To była Christine. — .Nie zamierzałam się kłócić - powiedziała.

- A czy my to robiliśmy?
- Nie. Wcale nie chciałam oskarżać cię o chłód.
- Ależ ja jestem chłodny. To jest związane z miejscem, jak mówią.
- Och... w gruncie rzeczy wcale taki nie jesteś.
- Mówię ci szczerą prawdę - roześmiałem się jeszcze raz.
- Nie wierzę w to. - Chyba była rozgoryczona.
- Gdzie jesteś?
- W szpitalu. Mam tylko parę minut. Za chwilę zejdą się lekarze, a ja muszę wszystko sprawdzić. Chciałam zadzwonić, bo... sama nie wiem... ty wydasz się tym tak mało zainteresowany.
- Nie mogę się wszystkim przejmować. Oszalałbym, gdybym się przed tym nie bronił. Każdy by zwariował. To tylko obrona przed tym całym szaleństwem.
- Chyba nie powinno tak być - upierała się.
- Powiedz mi jedno: kogo dziś kroicie?
- Biznesmena, a może prawnika, nie pamiętam. W średnim wieku.
- Ma rodzinę?
- Oczywiście.
- Jakie szansę przeżycia?
- Nie wiem. Szukamy czegoś w brzuchu. Nie wydaje mi się, aby lekarze naprawdę wiedzieli, co tam znajdują, ale tak czy owak, nie będzie to nic dobrego.
- Rozmawiałas z nim? Widziałas go w otoczeniu rodziny?
- Trochę pogadaliśmy. Widziałam go wczoraj z żoną i kilkunastoletnim synem. Wyglądali fatalnie, zwłaszcza ci dwoje, którym nic nie dolega.
- Powiedz, co ci wtedy przyszło na myśl?
- Nie wiem. Poczułam smutek i coś w rodzaju bezradności. Chciałam po dejsć, powiedzieć im, że nie mają się o co bać, że chirurdzy są znakomici, a cho roba się cofa. Że mogą się uspokoić i cieszyć na wspólną przyszłość, bo mają tę przyszłość przed sobą.
- No i dlaczego tego nie zrobiłaś?
- Bo to by było kłamstwo - powiedziała i zamilkła. Słyszałem w oddali czyjeś głosy.
- Muszę iść - rzuciła Christine.

- Zobaczymy się wieczorem - pożegnałem się.
- Do wieczora.

Odkładając słuchawkę miałem przed oczami obraz Christine, odzianej w obszerny fartuch chirurgiczny, jasnobłękitny albo zielony, z włosami mocno ściągniętymi do tyłu i ukrytymi pod antyseptycznym czepkiem, z maską zawieszoną na szyi jak biżuteria. Była prawie chuda, mogła się ubierać w luźne bluzy i portki, obowiązujące w sali operacyjnej, a i tak wyglądała szczupło. Kiedy zakładała maskę na twarz, widać było jedynie jej oczy.

Nie uważam Christine za piękność, ale oczy ma wyjątkowe: żywe, błyszczące, odzwierciedlające wszystkie emocje. Niekiedy zdawały się przemawiać, zanim usta zdążyły wypowiedzieć choć słowo. Często patrzyłem w te oczy, starając się odczytać zmiany jej nastroju. Byliśmy ze sobą od jakiegoś czasu, właściwie mieszkaliśmy razem, choć Christine zatrzymała sobie kawalerkę, niedaleko szpitala. Wracała tam, kiedy mnie nie było w mieście z powodu delegacji albo, tak jak przedwczoraj, pogrzebu stryja.

Kiedy się wczoraj spotkaliśmy, wypytywała mnie o ten pogrzeb. Ja wolałem rozmawiać o moim artykule, ale Christine nalegała; prosiła, bym opowiedział o reakcji rodziny.

- Jediną interesującą postacią był mój ojciec - stwierdziłem.
- Dlaczego?
- Bo najbardziej cierpiał i najmniej to okazywał.
- Jak to? Czyżby był tak blisko z bratem?
- Bracia zawsze są sobie bliscy - odparłem - niezależnie od tego, co ich różni przez całe życie. Nawet jeżeli się nienawidzą, to nie jest prawdziwa nie nawiść. Człowiek nigdy nie zachowuje się dwuznacznie, kiedy chodzi o jego brata.

Christine skinęła głową i zrezygnowała z dalszych pytań.

Poznaliśmy się przed rokiem. Zbierałem informacje na temat pobicia policjanta patrolującego w nocy rejon w zastępstwie funkcjonariusza, który wyjechał na urlop, kiedy doszła do mnie wiadomość o szaleńczym pościgu na drodze numer dziewięćdziesiąt pięć, przebiegającej przez centrum Miami. Nie miałem nic szczególnego do roboty, więc pojechałem popatrzeć, co będzie, kiedy już złapią tego rajdowca.

Okazało się, że był nim osiemnastoletni syn komisarza okręgowego. Zanim chłopak zakończył wycieczkę, ciągnąc za sobą przez całe miasto tuzin wozów patrolowych, zdołał wyrzucić z drogi dwóch innych kierowców, doprowadzić do karambolu kilka ścigających go radiowozów, a na koniec owinać się wokół słupa telefonicznego. Przyłączyłem się do gromady rozwścieczonych i poranionych ludzi, którzy trafili do śródmiejskiej kliniki. Widziałem umundurowanego policjanta, przyciskającego do głowy zakrwawiony kompres i obserwującego, jak wnoszą tego dzieciaka na noszach. - „Mam nadzieję, że ten mały skurwiel zdechnie” - powiedział gliniarz. Zanotowałem jego słowa, a kiedy zastanawiałem się nad nimi, usunęła mnie z drogi przechodząca pielęgniarka.

- Proszę nie kręcić się pod nogami - powiedziała.

- Taką mam robotę - odrzekłem.
- Popatrzyła na mnie dziwnym wzrokiem i roześmiała się cicho.
- Pewnie ma pan rację.

Zwróciłem uwagę na jej szczupłe ciało i zręczność, z jaką przemykała się pośród kontuzjowanych, przerażonych ludzi tłoczących się w sali nagłych przypadków. Wodziłem za nią oczami, kiedy szybko przechodziła między noszami i łóżkiem, zatrzymując się, by sprawdzić podstawowe objawy, po czym ruszała dalej. Z początku podziwiałem jej sprawność, a później opanowanie. Robiła wrażenie spokojnej wysepki na oceanie ogarniętym sztormem - kiedy takie porównanie przyszło mi do głowy, uśmiechnąłem się, bo stwierdziłem, że to straszny banał. Zauważyła moje spojrzenie i uśmiechnęła się w odpowiedzi.

- Przypomniał pan sobie coś wesołego? - zapytała. - To niech się pan tym ze mną podzieli.

Nie było w tym wyrzutu.

- Patrzyłem na panią - wyjaśniłem.

- Ach, tak - uśmiechnęła się znowu. Pamiętam, jak bardzo nie na miejscu wydał mi się w tym pomieszczeniu uśmiech, zdający się unosić ponad jękami rannych. - To pomaga zachować dobry humor.

- Pomaga - przyznałem.

Odwróciła się i podeszła do jednego z pacjentów. *Zbliżał się nieprzekraczalny termin, jeśli miałem zdążyć z tekstem przed zamknięciem numeru. Musiałem się dostać do telefonu, a potem zasiąść do maszyny do pisania. Kiedy wychodziłem, zatrzymałem się przy stanowisku pielęgniarek i odszukałem jej nazwisko, zapisane w dzienniku dyżurów. Był tam też numer jej domowego telefonu; zanotowałem jedno i drugie.*

Następnego dnia po południu zadzwoniłem do niej.

Ponownie skoncentrowałem się na leżącej przede mną gazecie. Otworzyłem ją i trafiłem na stronę wypełnioną zdjęciami mężczyzny, który *znalazł* zwłoki dziewczyny, i jej rodziców w różnych pozach. Na jednej z fotografii widniał ojciec ofiary w momencie wsiadania do samochodu pod komendą policji. Miał napiętą, ponurą twarz. Matka odkładająca słuchawkę telefoniczną patrzyła pustym wzrokiem - fotograf uchwycił ją w chwili, gdy niepewność zmieniała się w cierpienie. Te zdjęcia robiły ogromne wrażenie. Chwyciłem telefon i wykręciłem numer studia fotograficznego. Poprosiłem Portera, który po chwili się zgłosił.

- Bardzo dobre ujęcia - pochwaliłem go.

- Dzięki. Miałem mnóstwo dobrego materiału. Nie zdecydowali się wykorzystać zdjęcia ze zwłokami w torbie, choć myślałem, że je wezmą. Chcieli je zamieścić, dopóki nie zobaczyli fotografii, którą dała nam matka dziewczyny. Biorąc wszystko razem, to były dobre cele dla fotografa. No i autora tekstu.

- Fakt.

- A co przewidujesz na kontynuację? Myślisz o jakimś dalszym ciągu?

- Jeszcze nie wiem. Chcę porozmawiać z Nolanem.

- Gdybyś potrzebował ilustracji, wezwij mnie. Chciałbym się trzymać tego tematu, jeśli to możliwe.

- Dam ci znać - odrzekłem i rozłączyłem się.

Sprawdziłem, w jaki sposób „Post” poinformował o tym wydarzeniu. Oni też wyciągnęli ten materiał na pierwszą stronę, ale nie podali wielu szczegółów, które ja zdobyłem. Odszukali jakąś nastolatkę z sąsiedztwa, która widziała zamordowaną tamtego wieczoru. Dziewczyna stwierdziła, że Amy samotnie szła przez osiedle. To nie miało większego znaczenia, ale sposób, w jaki o tym napisali, sugerował, że później nikt już ofiary nie widział i że ktoś ją dorwał podczas wieczornego spaceru. To prawdziwa umiejętność dziennikarska - tworzyć wrażenie, że się coś wie, kiedy w istocie nie wie się nic. Zwróciłem także uwagę, że nie mieli zdjęcia dziewczyny; podparli się ujęciem przedstawiającym ekipę medyczną zabierającą z pola golfowego zwłoki w czarnym pokrowcu. Musieli też porozmawiać z państwem Allen, to znaczy z sąsiadami, których my sprowadziliśmy. Uśmiechnąłem się i zamknąłem gazetę z uczuciem satysfakcji. Jest to swoista mieszanina agresywności i dumy, jaką odczuwa dziennikarz, który pokonał konkurencję. Wynik przychodzi bardzo szybko i jest taki oczywisty.

Zabrałem się do pracy - sięgnąłem po telefon. Przed rozmową z Nolanem warto by porozumieć się z detektywami i uzyskać przynajmniej jakieś pojęcie, co robić dalej. Po drugiej stronie jakiś głos odpowiedział:

- Wydział zabójstw.

- Proszę z Martinezem - zacząłem. - Mówi Anderson z „Journal”.

Usłyszałem, że przełączają rozmowę, a następnie głos Martineza.

- Wielki dzień w dziennikarstwie - odezwał się ze śmiechem. - Już widzę te tytuły: „Wielka chwila reportera z »Journal«, proponują mu posadę w »New York Times«”.

- Chłopcy, nigdy was nie porzucę - odparłem. - Jak zdobywałbym materiały do artykułów, gdyby nie wy?

- Sam je sobie zorganizujesz. Już to robisz - detektyw znowu się roze śmiał.

- Trafiłeś mnie - przyznałem.

- Powiedz, co mogę dla ciebie zrobić? Uważam, że dobrze to napisałeś.

Nawet Wilson tak sądzi, chociaż by się do tego nie przyznał. Jest nadal roz wścieczony całą tą historią.

- Co nowego? — zapytałem. - Muszę to pociągnąć.

- Dziś rano mamy otrzymać wyniki autopsji, a ludzie z balistyki mówią, że też będą mieli niedługo wstępną opinię - ciągnął Martinez. - Poza tym planujemy przeprowadzenie wywiadów w sąsiedztwie. Takie rutynowe działania. Może ktoś widział, jak ona wsiadała do czyjś samochodu albo zauważył w pobliżu coś niezwykłego? Porozmawiamy z jej kolegami. Normalna pańska czyżna, nic z tych pasjonujących rzeczy, na jakie czekają twoi czytelnicy.

- Ile czasu ci to zajmie?

- Pewnie cały dzień. Będzie mnóstwo nacisków na Wilsona i na mnie, żebyśmy złapali tego gościa, ale wątpię, czy nam się uda. To nie do publikacji,

rzecz jasna. Mamy kilka podejrzeń, a głównie jedno: że to świr. Nie chcę za dużo o tym mówić.

- W porządku - zgodziłem się. - Dla mnie jest jeszcze wcześniej. Zadzwonię do ciebie jeszcze raz po południu, zgoda?

- Może być. Lekarz zrelacjonuje wyniki sekcji. Nie przypuszczam, by znał się w tym coś wymagającego zachowania tajemnicy. Ale to on będzie wiedział najlepiej.

Rozłączyłem się i przejrzałem notatki, sporządzone podczas tej rozmowy. Świr? Może uda się pociągnąć ten wątek. Zabrałem z biurka stertę papierów i poszedłem do szefa działu miejskiego. Nolan rozmawiał przez telefon z innym reporterem, zajmującym się sprawami sądowymi, dyskutując z nim na temat sposobu relacjonowania jakiegoś procesu. Po jakimś czasie odezwał się do mnie:

- Ten skubaniec nie sądzi, aby proces o morderstwo był wart obszernej relacji. Najbardziej irytujące jest to, że przypuszczalnie ma rację, ponieważ wie na ten temat o wiele więcej niż ja. Wykonałeś wczoraj dobrą robotę, ale to jeszcze nie koniec. Co zrobiłeś dla mnie dzisiaj, jak to mówią?

- Dziś zdobędę raport z autopsji i opinię balistyczną- odpowiedziałem z uśmiechem. - Martinez mówi, że będzie sprawdzał ludzi z okolicy. Nie spodziewa się po tym za wiele.

- Może i ty powinieneś zrobić to samo?

- To cholerna robota -jęknąłem. — Gdyby moja mama chciała, żebym został domokrądcą, dałaby mi encyklopedię.

Nolan wybuchnął śmiechem.

- Jestem dziś okrutny od samego rana, a do tego dochodzi normalna dawka sadyzmu oraz szczypta fatalnego humoru starego tetryka. Zaproponuj więc coś lepszego, zanim zachowam się wrednie i na przykład pošlę cię tam.

- Martinez wspomniał, że zabójcą może być jakiś czubek - powiedziałem. - Pewnie zboczeniec seksualny. Mógłbym w sądzie porozmawiać z paroma psychiatrami i dowiedzieć się, co o tym myślą.

- Dobry pomysł, choć wydaje mi się, że mamy jeszcze zbyt mało informacji, aby natychmiast iść do nich. Lepiej zadzwoń do kilku takich panów i zorientuj się, czy możesz się umówić na jutro lub jeszcze później. Będziemy już wiedzieć więcej i sprawy trochę zwolnią tempo. Potem rozejrzyj się po tym osiedlu i zastukaj do kilku domów. Zbierz reakcje ludzi. Zorientuj się, czy ku pują psy obronne i tak dalej.

- Szerzy się przerażenie - wtrąciłem.

- Pewnie - roześmiał się Nolan. - Po zabójstwie nastolatki okolicę opalają strach. Wiem, że to standardowy chwyt gazetowy, ale ciągle niezły, choć tak często wykorzystywany. No i dzięki temu utrzymamy ten temat na pierwszej stronie przez następny dzień. Zabierz fotografa.

Poczekaliśmy na dworze, aż Porter przyprowadzi samochód. Budynek „Journal” stał nad samą zatoką. Patrzyłem przed siebie i miałem wrażenie, że ciepła bryza podnosi na morzu niedużą, ostrą falę. Woda miała identyczną barwę

jak niebo - jasnobłękitną; przez chwilę czułem się zawieszony między tymi dwiema sferami, a upał otaczał mnie jak mgła. Usłyszałem klakson, odwróciłem się i zobaczyłem fotografa.

- Wracamy na pole bitwy - powiedział.

Sieknąłem, zajmując miejsce w środku - pot już mi spływał po czole.

Pojechaliśmy do domu zamordowanej dziewczyny. Był zamknięty - zasunięto zasłony w oknach i drzwiach. Nie dostrzegłem tam żadnego ruchu, ale na podjeździe stało kilka samochodów; pomyślałem, że przyjechali koledzy, a może i bracia ofiary - normalne zgromadzenie po czyjejś śmierci. Zaparkowaliśmy kawałek dalej. Zauważyłem dwie kilkunastoletnie dziewczyny idące chodnikiem i poszedłem w ich stronę.

- Czy pan jest prawdziwym dziennikarzem? - zapytała jedna z nich. Uśmiechnąłem się wyciągnąłem przepustkę wystawioną przez policję. Dziewczyna spojrzała na karteczkę, a potem na mnie.

- Nie za dobre to zdjęcie - oświadczyła. Jej koleżanka nie odzywała się.

- Znałyście ofiarę? - zapytałem.

- No jasne - odrzekła pierwsza; koleżanka kiwnęła głową. - Wszyscy tu tak ją znali. Była bardzo popularna.

- Chodziłyście do jednej klasy?

- Nie, ona była o rok wyżej - zdecydowała się w końcu przemówić druga z dziewcząt. - Ale bardzo często ją widywałyśmy.

- Powiedźcie, nie boicie się? Chodźcie tu sobie, jakby nic się nie stało. Co o tym myślicie?

Dziewczyny popatrzyły po sobie. W obcisłych dżinsach i T-shirtach wyglądały jak bliźniaczki. Miały też jednakowo obcięte włosy, sięgające ramion. Można było odnieść wrażenie, że nie umieją mówić bez gestykulowania, wydymania warg, szczyrzenia zębów czy akcentowania słów w jakiś inny sposób.

- Mój tata powiedział, że nie wolno mi wychodzić wieczorem, dopóki morderca nie zostanie schwytany - stwierdziła jedna.

- A co z tobą? - zapytałem jej koleżankę.

- Mama zrobiła mi wykład. Powiedziała, że nie mogę nigdzie chodzić, nawet do klubu pływackiego, chyba że z koleżanką. No i mam im mówić, do kąd wybieram się wieczorem. Ale i tak nie sądzę, by mnie puścili.

- Kiedy z tobą rozmawiali?

- Dziś rano. Jak tylko tę historię opisali w gazetach. Ale dowiedzieliśmy się już wczoraj wieczorem. Wszyscy tylko o tym mówili. Wciąż nie potrafię w to uwierzyć - relacjonowała pierwsza dziewczyna.

- Nigdy wcześniej nie myślałam o czymś takim - dorzuciła koleżanka. - Zastanawiam się, kto zajmie jej miejsce u cheerleaderek.

Doskonale, ucieszyłem się w duchu. Tak działa umysł nastolatki.

- Sądzicie, że wszyscy się boją? - zapytałem.

- O, tak - odpowiedziały jednogłośnie.

- Wszyscy dorośli - dodała ta druga.

- A wy się nie boicie?

- No, może trochę — wyznała. - Teraz jest dzień i trudno się przestraszyć. Może w nocy będę się bała.

Notowałem ich wypowiedzi na bieżąco, dodając uwagi dotyczące wyglądu dziewcząt. Zauważyłem kilkoro innych dzieci w wieku od dziewięciu do czternastu lat, jak oceniłem, które nam się przyglądały. To sprawa aparatu fotograficznego, który zawsze do tego rodzaju działań wnosi element fascynacji. Kiwnąłem, żeby się zbliżyły i za chwilę otoczyło mnie może z dziesięcioro dzieciaków z okolicy. Zacząłem im zadawać pytania, a Porter krążył w pewnym oddaleniu i robił zdjęcia.

- Ja się boję. Nie chcę, żeby mi się to przytrafiło - oznajmił jakiś chłopiec.

- Ja bym chyba walnęła mordercę tam, gdzie najbardziej boli - powie działa nastolatka zbliżająca się do pełnoletności. Jej wypowiedź spowodowała wybuch pełnego zakłopotania śmiechu u pozostałych.

- Myślę, że zabójca tu nie wróci - stwierdził mały chłopiec, najwyżej dzie więcioletni, wyraźnie przejęty sytuacją. - Czytałem, że oni nigdy nie wracają na miejsce zbrodni.

Zapisywałem wypowiedzi dzieci, a także ich imiona, nazwiska i adresy. Notatnik zapełniał się hieroglifami, które tylko ja sam byłem w stanie odcyfrować. Mówiły szybko, z podnieceniem -prawdopodobnie po raz pierwszy ubierały w słowa swoje opinie. Pomyślałem o niezgodności czasu i miejsca; rozmowa w pełnym słońcu z dziennikarzem, z fotoreporterem za plecami - to dla nich nowe doświadczenie. Wieczorem, samotne w swoich pokojach, w większości przypadków nie będą mogły usnąć z przerażenia. Dziecinna wyobraźnia. Bardzo istotna rzecz.

Nagle uciszyły się, a ja zauważyłem kobietę stojącą o parę kroków dalej, na środku trawnika przed domem. Wszyscy spojrzeliśmy w jej kierunku.

- Kim pan jest? - zapytała.

- Anderson z „Journal” - odparłem. - Chcę tylko zadać dzieciom kilka pytań.

- Joey, chodź tu.

Wystraszony dziewięcioletek wyskoczył z grupki dzieci.

- Idź się bawić do domu.

Posłusznie ruszył przez trawnik.

- Mam nadzieję, że pan wie, co robi - oświadczyła kobieta.

- O co pani chodzi? - zapytałem.

- Najpewniej wystraszył pan te dzieciaki na śmierć.

Dopiero wtedy zauważyłem w jej głosie ostry, emocjonalny ton.

- Obawiam się, że nie rozumiem - powiedziałem zbliżając się do niej.

- Chodzi o tego mordercę - odparła. - Straszy pan wszystkich jeszcze bardziej, przychodząc tutaj. Mój Boże, czy ma pan zamiar opublikować ich nazwiska?

- Najwyżej imiona, proszę pani - uspokajałem. - Nikt się nie dowie, kto to.

Kobieta kręciła głową, jakby chciała się uwolnić od przerażających myśli.

- Nie mogę w to uwierzyć. My nie jesteśmy żadnymi eksponatami, wie pan. Co panu daje prawo węszyć tu i wchodzić na prywatny teren?

- Niech się pani uspokoi - łagodziłem.

- Jak mam się uspokoić? - podniosła głos, ujawniając całą głębię przerażenia. - Jakim cudem ktoś może być spokojny po tym, co się stało? Ledwie zdołałam usnąć ostatniej nocy, kiedy się o tym dowiedziałam. No i te dzisiejsze gazety. Zabójca jest na wolności... pewnie jakiś szaleniec. Nie chcę, żeby znowu tu się pojawił.

Odwróciła się w stronę swojego domu i krzyknęła:

- Joey! Mówiłam ci, żebyś został w środku.

Pracowicie to wszystko notowałam.

- Przepraszam - powiedziała w pewnej chwili; głos miała już bardziej opamiętany. — Wszyscy są ogromnie przejęci sprawą córki Hooksów. Niektórzy rodzice zaczęli rano wydzwaniać, usiłując zorganizować kogoś do patrolowania ulic. Nic z tego nie wyszło, ale ludzie są przybici. Ja też.

Kobieta ucichła i spojrzała na mnie - nasze oczy spotkały się. Odniosłam wrażenie, że szuka u mnie odpowiedzi.

- To jest przypadek jeden na milion, nie uważa pani? - powiedziałam.

- Pewnie ma pan rację - odrzekła. - To samo powiedział mój mąż. Ale nic na to nie poradzę. Mam wrażenie, że my wszyscy... jak to powiedzieć?... jesteśmy narażeni na atak. Dlatego tak się boję. To jest jak inwazja niewidzialnego wroga. Człowiek wie, że oni tu są, ale nie jest w stanie ich zobaczyć i walczyć z nimi. Właśnie to mnie przeraża. Wiem, nie powinnam wrzeszczeć na Joeya; on i tak jest wystarczająco wystraszony, a kiedy widzi, że jego matka i ojciec są tacy zdenerwowani, to sprawa robi się jeszcze gorsza, ale jak mam walczyć z przeczuciami? I z jakiego powodu miałabym z nimi walczyć? Wolę, żeby siedział w domu, dopóki to wszystko się nie przewali. Pan wie, to jest spokojne przedmieście. Tutaj nie ma tylu zbrodni, co w centralnych dzielnicach. Włamania, kradzieże, owszem, ale nie to...

Ucichła, ale po chwili zdecydowała się postawić mi pytanie:

- Niech mi pan powie jako profesjonalista. Jestem pewna, że już widywał pan takie rzeczy. Co się stanie, kiedy policja złapie tego faceta?

Zastanawiałem się przez chwilę; nie mogłem się zdecydować, czy mam tę kobietę uspokoić, czy jeszcze bardziej postraszyć. Rozważyłem wartość dwóch wariantów odpowiedzi, mieszczących się w profilu artykułu, który zamierzałem napisać.

- Myślę, że słusznie pani robi, przejmując się tym - odparłem. - Ale nikt nie jest w stanie przewidzieć, jak postąpi przestępca tego rodzaju. A spekulowanie byłoby błędem.

Zauważyłem w jej twarzy niepokój.

- Pan myśli, że on może tu wrócić - to było w połowie pytanie, w połowie twierdzenie. Jej głos stał się bez wyrazu pod wpływem strachu, którego źródła nie potrafiłem w pełni zrozumieć. Wzruszyłem ramionami.

- Chyba nikt nie jest już bezpieczny. Naprawdę bezpieczny - powiedziała. - Mój Boże, to takie straszne, okropne.

Skinąłem głową. Czułem, jak gorący wiatr przykleja mi koszulę do pleców.

- Dobry Boże, w cośmy wdepnęli? - ciągnęła kobieta.

Później, już w samochodzie, Porter powiedział:

- Ta kobieta była znakomita, prawda? Właściwa mieszanka patosu i strachu, pierwiastka racjonalnego i irracjonalnego. Nie mogła się zdecydować, czy lepiej będzie spanikować, czy zachować rozsądek.

- Owszem - mruknąłem. Po drodze rozmawialiśmy o niej swobodnie, jak dwaj młodzi mężczyźni, komentujący to, co widzieli. Okna w wozie były szczelnie zamknięte, uliczny hałas przyćmiony przez szum klimatyzatora oraz szumy i gwizdy dobiegające z radia.

Po powrocie do redakcji usiadłem przy biurku i zatelefonowałem do wydziału zabójstw. Po chwili zgłosił się Martinez. Usłyszałem, że jeszcze ktoś inny podnosi słuchawkę i pomyślałem, że to Wilson włączył się do rozmowy.

- No to mów - zażądałem. - Co z tą autopsją?

- Zatelefonuj do lekarza, który ją przeprowadzał - odparł detektyw. - Dziw na sprawa. Mogę ci powiedzieć tylko tyle: została zabita jednym strzałem z automatycznej broni kaliber czterdzieści pięć i nie była molestowana seksualnie. Mniej więcej tego się spodziewaliśmy.

- A co w tym niezwykłego?

Martinez zawahał się.

- No cóż, nie widzę powodu, by ci tego nie powiedzieć. Lekarz twierdzi, że ona zginęła dopiero nad ranem. Przypuszczalnie o wpół do piątej albo piątej. Obliczył to na podstawie tempa spadku temperatury ciała. To wydaje się dość interesujące.

- Z jakiego powodu? - zapytałem.

- Bo musiała zostać porwana około dziesiątej wieczorem - wtrącił zniecierpliwiony Wilson. - Gdzie była przez cały ten czas? A jeżeli ją porwano, to dlaczego nie ma śladów seksu? A może kidnaping się nie udał? Musiała gdzieś przebywać, a cholernie trudno będzie ustalić, gdzie.

- Gdzie ją zamordowano?

- Przecież wiesz - włączył się Martinez. - Dokładnie tam, gdzie została znaleziona. Sam to napisałeś.

- Jezu, powinieneś czytać to, co piszesz - dodał Wilson.

Zapomniałem o tym. Niekiedy zadaję pytania, na które znam już odpowiedź, aby zyskać czas na wymyślenie następnych kwestii. Tak było i tym razem.

- Co z narzędziem zbrodni? Można by sądzić, że z tak małej odległości czterdziestkapiątka odstrzeliłaby jej całą głowę.

- Pocisk został wystrzelony pod kątem - oznajmił Martinez.

- Coś ci powiem - ponownie włączył się Wilson. - Ten skurwiel zna się na broni. Takie rzeczy się wyczuwa.

- Może to zawodowy porywacz? - dociekałem.

- Powiedzmy, że staramy się uwzględnić wszystkie ewentualności.

Zapadła cisza, po czym Martinez mówił dalej:

- Słuchaj, staramy się być pomocni w tej sprawie. Tego samego mamy prawo oczekiwać od ciebie. Opisujesz to, kierując się własnymi ocenami. Ale wiedz, że zamierzamy poruszyć każdy kamień w tym miejscu. Wezwaliśmy

nurków, aby poszukali broni w wodnej przeszkodzie na tym polu golfowym, mają też sprawdzić wszystkie szlaki wodne w okolicy. Rzecz w tym, że jeszcze nie mamy pewności, do jakiego typu zaliczyć tę zbrodnię. Możesz być jednak pewien, że coś tu wylezie na wierzch. Zawsze tak się dzieje. Może i do niczego nie dojdziemy, ale coś się wydarzy.

- Tak jest — potwierdził Wilson. - Coś będzie.

Nie udało mi się złapać lekarza, więc zostawiłem mu wiadomość z prośbą, żeby do mnie zadzwonił. Z Nolanem omówiliśmy pokrótce treść artykułu stanowiącego dalszy ciąg tej historii; on chciał, abym scenę z ulicy połączył z opisem aktualnego stanu dochodzenia policyjnego. Wróciłem do biurka i wpatrzyłem się w kartkę papieru, wkręconą w wałek maszyny. Zawsze staram się zrobić sobie chwilę przerwy, zanim przystąpię do pisania, nawet kiedy czas mnie bardzo popędza, aby odtworzyć w myśli to, co widziałem. Szybko przywołałem obrazy: dom zamknięty przed całym światem i dzieciaki na ulicy. Słyszałem ich głosy, widziałem miny, kiedy zmagaly się ze stawianymi przeze mnie pytaniami. Następnie wyobraziłem sobie matkę wychodzącą przed dom oraz jej głos, w którym obok uczucia paniki znalazły się też strach i zmieszanie. Zacząłem pisać:

*Dom przy ulicy Południowo-Zachodniej Sześćdziesiątej Dru-
giej jest zamknięty, zasłony opuszczone; zasłaniają wewnątrz przed
ciekawskimi. Oto milczące świadectwo tragedii, jaka dotknęła jego
mieszkańców.*

*Na zewnątrz, na zalanych słońcem ulicach tego ekskluzywnego
osiedla panują inne uczucia, zmieniły się nastroje. W tej okolicy,
zazwyczaj pełnej głosów bawiących się dzieci, zapanowała cisza.*

Ludzie się boją.

*Taką atmosferę stworzyło zamordowanie we wtorek nad ra-
nem szesnastoletniej sąsiadki tych ludzi, Amy Hooks. Podczas gdy
policja poszukuje śladów tej ciągle jeszcze nie do końca określo-
nej zbrodni, strach zbliża mieszkańców do siebie...*

Podszedł do mnie Nolan i popatrzył na słowa pojawiające się na papierze. Przerwałem na chwilę pisanie, a on czytał w milczeniu. Potem skinął głową.

- Dobrze, doskonale. Teraz wprowadź kilka cytatów, opisz stan policyjne go dochodzenia i wyniki autopsji. Daj czytelnikom garść informacji, a potem wracaj do sceny z ulicy.

Kiedy odchodził, aby porozmawiać z reporterami pracującymi nad innymi tekstami, zatrzymałem go:

— Hej, Nolan! Czy ty przypadkiem tam nie mieszkasz?

- Nie - odparł. - Mieszkam bardziej na południe, w Kendall. Na moją ulicę strach się nie zakradł, przynajmniej jak dotąd - skomentował ze śmiechem.

Wróciłem do artykułu. Myślałem o tym, co mi powiedział Martinez, i przeglądałem notatki. Uznałem, że lepiej będzie przejść do porządku dziennego nad

faktem, że policja nie była dotąd w stanie znaleźć punktu zaczepienia, a jednocześnie podkreślić, że w dochodzeniu rozważa się kilka możliwości. Wprowadzę tu trochę spekulacji na temat trudności z rozwiązywaniem tego rodzaju spraw - to się spodoba detektywom. Z drugiej strony, może pozwoli też zbrodniarzowi rozluźnić się, co bywa korzystne, no i złagodzi presję opinii publicznej na prowadzących śledztwo. Pomyślałem, że jeżeli do tego uda się im ująć przestępcę, to postawi ich w jeszcze lepszym świetle. Jeszcze raz wyobraziłem sobie kobietę stojącą przed domem, szczególny wyraz w jej oczach, ton głosu, zwiastujący obawę i zagubienie. Zastanawiałem się, ilu jeszcze ludzi czuje to, co ona.

Przeniosłem wzrok na papier, palce zaczęły biegać po klawiaturze. Popłynęły kolejne opisy - w ciągu kilku sekund ponownie wpadłem w rytm słów i mojej opowieści.

Nolan chciał, byśmy wieczorem wpadli na drinka, więc zadzwoniłem do Christine i zapowiedziałem, że wrócę późno. Była do tego przyzwyczajona i nie protestowała.

- Poczekał na ciebie - powiedziała. - Poczytam sobie książkę.

- Co to za książka?

- *Dżuma* Camusa. Słyszałam, jak lekarze rozmawiali po dzisiejszej operacji. Byli bardzo przygnębieni. Jeden narzekał, że przy całej naszej wiedzy i technice jesteśmy czasami równie bezradni jak ludzie w czternastym wieku, kiedy zaraza niszczyła miasta. Zastanawiał się, czy nie powinniśmy wrócić do medycyny ludowej... Przeszłam do domu i kiedy przypadkiem spojrzałam na biblioteczkę, zauważyłam tę książkę, jeszcze ze szkolnych lektur czy coś w tym stylu... Pamiętasz, jak się zaczyna? Lekarz znajduje zdechłego szczura na podeście domu, w którym mieszka. Niebawem wszyscy zaczynają się skarżyć na zdychające szczury, które wylazą ze wszystkich możliwych dziur i nor, aby umrzeć na słońcu. Opis tamtego miasta kojarzy mi się z Miami. A później zaczynają umierać ludzie...

— Dlaczego lekarze byli zdenerwowani?

- Kiedy otworzyli tego biznesmena, o którym mówiłam ci wczoraj rano, zobaczyli, że jest kiepsko. Żołądek był w stanie rozkładu. Starali się wyciąć raka, ale on był wszędzie. To jest takie paskudne, czarno-czerwone; nie sposób się pomylić. - Głos jej się zmienił.

- I co dalej? - przerwałam.

- Pacjent zmarł.

- Bardzo mi przykro.

- Nic mi nie jest - odparła. - Rozpłakałam się, kiedy zawiadomili jego rodzinę. Nie wiem dlaczego. Czasami to robi na mnie wielkie wrażenie i chcę być sama; no więc poszłam do jednego z magazynów i trochę sobie popłakałam. Teraz jest już dobrze.

Odkładałam słuchawkę z poczuciem winy, ale i swoistej ulgi, że nie muszę jej pocieszać. Pomyślałem, że niekiedy Christine znanadto to przeżywa. Aleprzecież

nie mogę krytykować jej za wrażliwość, która zapewne decyduje o tym, że jest dobrą pielęgniarką. Wrażliwość plus sprawność. Podniosłem oczy i dostrzegłem Nolana przy drzwiach wyjściowych; wymachiwał ręką udając, że podnosi kieliszek. Chwyciłem kurtkę i pospieszyłem w jego kierunku.

Wybraliśmy bar na bulwarze Biscayne - było to miejsce uczęszczane zarówno przez reporterów, jak i drukarzy. Obie grupy zajmowały miejsca po przeciwnych stronach, jakby zachowując warunki chwiejnego rozejmu. Drukarze należeli do związku, a dziennikarze nie. Ale w tym miejscu kończyły się spory. W ciemnym wnętrzu lokalu wszyscy zdawali się wtapiać w lokalną atmosferę.

Zamówiliśmy drinki i usadowiliśmy się na czerwonych winylowych siedzeniach. Po chwili przyłączył się do nas Porter.

- No i co o tym myślicie? - zapytał Nolan. - Dokąd to wszystko zmierza? Jakie inne historie możecie wypichcić?

- Może kogoś aresztują- wzruszył ramionami Porter.

- Dziś znowu udało mi się wepchnąć na pierwszą stronę tę scenkę uliczną i zdjęcia - mówił dalej Nolan. - Ale jutro temat zejdzie do części lokalnej, jeżeli czegoś nie znajdziemy. Potem jeszcze dalej, a w końcu zupełnie zniknie z gazety. Co wy na to?

- Może tak będzie najlepiej - powiedziałem po chwili zastanowienia. Spojrzałem na Portera, pijącego piwo. — Zdaję sobie sprawę, że to wyprowadza ludzi z równowagi, ale tak bywa przy większości zbrodni, szczególnie tych, które są popełniane tuż koło ich domów. Może i ta musi zniknąć z pola widzenia, dopóki nie dojdzie do aresztowań.

- Może i tak - powiedział powątpiewająco Nolan. - Aleja nie chciałbym z tego rezygnować. Spróbuj porozmawiać jutro z jakimiś lekarzami i przekonaj się, czy nie da się spreparować wstępnego profilu zabójcy.

- Tego nie wiem. Mam wrażenie, że gliniarze byli dziś wstrzemięźliwi w kwestii jego ewentualnego odchylenia psychicznego. Wiesz, ta rodzina musi być bardzo zamożna. Może chodzi o spartaczone porwanie.

- Ja tego nie kupuję- wtrącił się Porter. - Może nie mam racji, ale dla mnie to nie brzmi naturalnie. Gdyby o to chodziło, porywacze mogliby ją bez trudu porzucić gdzieś w Everglades i minęłyby długie tygodnie, zanim ktoś by odnalazł zwłoki. Może nawet nigdy by ich nie odkryto, a wtedy dziewczyna zostałaby uznana za kolejną małą uciekinierkę z domu. Zaginioną, ale nie zapomnianą. A porywacze pewnie w dalszym ciągu staraliby się wymusić okup od jej rodziny, szczególnie gdyby faktycznie małą zabili. Nie mieliby nic do stracenia.

- Masz rację - powiedział Nolan. - Wróćmy do sprawy odchylenia psychicznego. Zapowiem dalszy ciąg na następny dzień, nawet jeśli ta sprawa zniknie z pierwszych stron. Naciskaj Martinezę i Wilsona, aby cię informowali. Ja ich znam. Z pewnością chowają coś w zanadru.

Porter wybrał się po trzy następne piwa. Patrzyłem, jak porusza się w ciemności; słuchałem cichych rozmów ludzi pijących alkohol i brzęczenia mechanicznej kasy. Gdzieś w głębi baru rozległ się głośny śmiech.

- Jak ci się układa? - zapytał Nolan.
- W porządku - zapewniłem. - Masz pozdrowienia od Christine.
- Pozdrów ją też ode mnie. Pytałem o pogrzeb, twoją rodzinę i tak dalej. - Nolan pochylił się nad stołem wpatrując mi się w oczy, jakby chciał coś w nich wyczytać.
- Miło słyszeć, że się o to troszczysz - powiedziałem - ale w gruncie rzeczy nie ma o czym mówić.
- Nie ma sprawy, zostawmy to - zgodził się. - Chciałem się tylko upewnić. Kiedy wróciłeś, wydawałeś się rozkojarzony, a ja nie spodziewałem się, że tak szybko wrócisz do pracy.
- Napisałem dobry tekst, no nie?
- Owszem, to było dobre. Porządny temat może bardzo pomóc przy uwalnianiu się od wewnętrznych problemów i smutków - powiedział ze śmiechem. - Dobra historia pomaga na wiele rzeczy.
- Leczy wiele rozterek - dodałem podnosząc szklankę.
- Porter przyniósł piwo i usadowił się na swoim miejscu.
- No to za zmartwienia - powiedział.
- Za wszystkie troski świata, które trzymają nas w tym zawodzie - rozwinąłem toast.
- I za dobre artykuły - dorzucił Nolan.
- Potem już piliśmy na wesoło.

Późnym wieczorem, kiedy już byliśmy w łóżku, Christine powiedziała:

- Zapomniałam ci powiedzieć... dzwonił twój ojciec. Powiedział, że zatelefonuje jutro, może do redakcji. Powiedziałam, że pracujesz nad dużym tematem, ale żeby mimo to spróbował.

Leżeliśmy w ciemnościach, nadzy.

Otworzyłem okna i słuchałem brzęczenia nocnych owadów. Gdzieś daleko zawodziła syrena. Jej dźwięk zdawał się bardzo odległy, jakby nie związany z ciemną nocą, która nas okrywała. Christine odrzuciła koc; w mdłym świetle księżycy widziałem jej piersi i włosy na podbrzuszu. Pogłaskałem ją. Odwróciła się do mnie.

- Nigdy nie wiem, co powiedzieć, kiedy on telefonuje - przyznała się. - Jest całkiem miły, ale jakoś wprawia mnie w zakłopotanie.

Poczułem jej dłoń na ramieniu i oddech, kiedy leżała tak blisko.

- To pewnie kwestia jego prawniczego sposobu bycia - odparłem. - Nie raz przychodzi mi do głowy, że przyszedł na świat jak Atena: wyszedł z głowy swojego ojca jako dorosły człowiek, sypiąc orzeczeniami, przepisami, precdensami i wszystkim, co składa się na jego życie.

Roześmiała się.

- Zawsze był prawnikiem, postępował i mówił jak prawnik. Tak właśnie było u nas w domu. Istnieje Prawo, a poza tym prawo przez małe „p”. To on definiuje, co jest pierwszym, a co drugim.

Wyobraziłem sobie ojca - wysokiego, mocno zbudowanego, pracującego w niedzielę w swoim gabinecie; robił notatki w żółtym brulionie, wokół leżały pootwierane książki, przypominające zwłoki poległych na polu bitwy. Ten obraz nie ulegał zmianie od lat, jakbym wciąż patrzył na ojca oczami dziecka, potem młodzieńca, a wreszcie człowieka dorosłego.

- Dlaczego ty nie wybrałeś się na prawo? - zapytała Christine.
 - To było przeznaczone dla mojego brata. Naturalnie nigdy się o tym nie mówiło, ale on był starszy, więc rozumiało się bez słów. Bardzo dobrze mu szło, nawiasem mówiąc.
 - A jaką przyszłość przewidywał ojciec dla ciebie?
 - Żadną.
 - Nie rozumiem.
 - Istnieje wyłącznie prawo - tłumaczyłem. - Dalej nie ma już nic. Ja nie zostałem prawnikiem, a mój brat został. Reszta się nie liczyła, była całkowicie bez znaczenia. Nie chcę przy tym powiedzieć, że on nie odnosi się z wielkim szacunkiem do profesji dziennikarskiej. Ale to nie jest prawo.
 - To musi być dla ciebie przykre. - Jej dłoń masowała mięśnie mojego ramienia. Odwróciłem się do Christine.
 - Już się nad tym nie zastanawiam - skłamałem.
- Przyciągnęła mnie do siebie, lekko drapiąc palcami po plecach. Jęknąłem z zadowolenia, a ona powiedziała:
- Widzisz, jak dużo pielęgniarki wiedzą o ciele?

Christine wyszła wcześniej rano. Na lustrze w łazience napisała szminką, że miała ważny telefon. Ja za to nie spieszyłem się - zrobiłem sobie kawę, przygotowałem tosty z bekonem, przeczytałem gazetę. Poprzedniego dnia Red Sox zdrowo oberwali od Jankesów. Luis Tiant grał jako pitcher przez cały mecz, wyginając się, kręcąc i wierzgając, jak to on, aby w końcu rzucić odbijającemu nieoczekiwanie podkręconą, ostrą i szybką piłkę. Pomyślałem, że bardzo lubię oglądać pitcherów, patrzeć, jak gra toczy się w rytmie narzuconym przez nich.

W redakcji zastałem wkręcone w moją maszynę dwie wiadomości - że usiłował się ze mną skontaktować lekarz sądowy i że telefonował ojciec. Na moment odłożyłem obie kartki na bok i najpierw zadzwoniłem do psychiatry. Był to wybitny fachowiec, który przeniósł się tu z Nowego Jorku; większość czasu poświęcał na pracę w sądach kryminalnych. Służył mi jako ekspert przy pisaniu innych artykułów - miałem nadzieję, że chętnie pospekuluje również na temat tej zbrodni. Lekarz przyjmował akurat pacjenta, więc zostawiłem mu wiadomość. Potem zacząłem czytać „Post”, zanim zabrałem się do codziennej harówki - rozmów przez telefon i gromadzenia informacji. Zorientowałem się, że kierownictwo konkurencyjnej gazety podjęło już decyzję o przesunięciu „mojego” tematu do środka i że było tam mało nowych elementów. Dostali baty na samym początku i teraz chyba rzucili ręcznik, oddając nam tę rundę. Pomyślałem, że to jeszcze lepiej.

Czytałem „Post”, kiedy zadzwonił telefon na moim biurku.
Przypominam sobie, że nie odebrałem go natychmiast, jak to robię zazwyczaj. Pewnie sądziłem, że to mój ojciec. Spojrzałem na zegar i zapamiętałem, że jest dziesiąta rano; utkwilem oczy w mapie pogody na przeciwległej ścianie. Można było z niej wyczytać, że huragan zmienił kierunek - teraz zmierzał w stronę Ameryki Środkowej. Patrząc na zdjęcie palmy zgiętej przez wiatr, podniosłem słuchawkę i odezwałem się:
- Anderson, „Journal”.
- Witam - odezwał się ktoś z tamtej strony. - Chcę panu powiedzieć, że czytam pańskie artykuły na temat tej zbrodni. Bardzo mi się podobają.
- Dziękuję- odrzekłem. Mój rozmówca miał młody głos i nie spieszył się. Wyobraziłem sobie, że jest przed trzydziestką- mniej więcej w moim wieku.
- Uważam, że są bardzo precyzyjne i opisowe - mówił dalej.
- Jeśli tak, to bardzo mi miło - wtrąciłem. Trzeba kończyć tę rozmowę. - Proszę posłuchać, doceniam to, co pan mówi, ale akurat jestem trochę zajęty...
Przerwał mi w tym miejscu. Jego głos wciąż był spokojny, równy, odmierzony.
- Widzi pan, pańskie artykuły interesują mnie w sposób szczególny - po wiedział tonem przyjacielskim, wolnym od skrępowania. Jeśli ludzie dzwonią z gratulacjami, to zazwyczaj są zdenerwowani albo nieco zakłopotani. Ten wy dawał się uparty, ale całkiem swobodny.
- O co chodzi? Dlaczego to dla pana takie szczególne? - zapytałem.
Zawahał się na moment, ale odpowiedział:
- Ponieważ to ja jestem tym facetem, który ją zabił.

Rozdział czwarty

Nagle poczułem, że robi mi się gorąco, jakby upał panujący na zewnątrz przedarł się do środka przez ściany budynku. Prawą ręką chwyciłem papier i ołówek, żeby zacząć notować - był to sprawdzian z refleksu.

Na linii zapadła cisza.

To mi wystarczyło, by opanować zaskoczenie i napisać na kartce następujące zdanie: „Te artykuły interesują mnie szczególnie, ponieważ jestem facetem, który ją zabił”.

Popatrzyłem na te słowa mając świadomość, że w słuchawce ciągle panuje cisza. Przez chwilę nie byłem pewny, czy mój rozmówca nadal jest na linii - czy w ogóle słyszałem jego głos? Starałem się jak najszybciej wymyślić kolejne pytania; z perspektywy czasu wydaje się dziwne, że kiedy mój umysł koncentrował się na możliwych rozwiązaniach, elementarne dla mojej profesji kwalifikacje zdawały się gdzieś rozplywać. Uplęnęło kilka sekund, zanim przyszedł mi na myśl najprostsze, najbardziej oczywiste pytania. Zaraz potem powrócił sceptycyzm. Mój rozmówca czekał cierpliwie.

- Z kim mam przyjemność? - zapytałem w końcu.

Roześmiał się krótko, hałaśliwie:

- Chyba się pan nie spodziewa, że odpowiem na tego rodzaju pytanie.
- Nie, ale może mi pan dać do zrozumienia, z kim rozmawiam - odrzekłem.
- Zgoda, to wydaje się uczciwe - powiedział, po czym zamilkł na chwilę, jakby sobie układał następne zdanie. - Jestem zwyczajnym człowiekiem. Po chodzę z przeciętnej rodziny, z głębi kraju. Ale potrafię się wkręcić wszędzie, dosłownie wszędzie. Ze wszystkimi dobrze się czuję. Przystosowuję się do oko liczności niczym kameleon na zielonym liściu. Jestem waszym przeciętnym Amerykaninem.

- Przeciętni Amerykanie nie mordują nastolatków - wtrąciłem.

- Doprawdy? - padła odpowiedź.

Znowu *zapadła* cisza.

- Niech pan powie, dlaczego pan to zrobił? - zapytałem.

- To jest trudne pytanie. - Znowu zrobił przerwę, jakby chciał zebrać myśli. Był człowiekiem ostrożnym. Głos miał głęboki, wymowę wyraźną. Wyobraziłem sobie, że siedzi w pokoju i wpatruje się w puste ściany, zatrzaśnięte drzwi, okna pozamykane z powodu upału. Pracuje tam klimatyzator, starając się utrzymać chłód w pomieszczeniu. Mój rozmówca mówi bez pośpiechu, wyraża się precyzyjnie, jak człowiek wykształcony. Jego głos zdaje się nie reagować na stres i emocje, jakby cała ta rozmowa i jego myśli były rzeczą najzupełniej normalną, a nie odchyleniem od normy. Pierwsze wrażenie podpowiadało mi, że mam do czynienia z wyjątkowo złośliwym osobnikiem.

- Przewidziałem takie pytanie, zanim pan mi je zadał - ciągnął dalej. - Poświęciłem też nieco czasu zastanawiając się, jak mogę na nie odpowiedzieć. Mógłbym panu wmówić, że popełniłem morderstwo, aby zrobić sobie przyjemność, przeżyć emocje... i byłoby w tym trochę prawdy. Mógłbym także stwierdzić, że wybór tej dziewczyny i jej egzekucja były całkowicie przypadkowe, i znowu nie odbiegłbym od prawdy, ale to nadal nie byłoby wszystko, obraz nie stałby się kompletny. Mógłbym oświadczyć, że ona stała się obiektem zemsty, osobistej wendety, co powiększyłoby układankę o kolejne elementy. To również byłaby prawda, chociaż pewien kłopot mógłby panu zrobić fakt, że poznałem ją dopiero wczoraj wieczorem, że w ogóle nie znam jej rodziny i że nie mam nic przeciw tym ludziom. Przeciwnie, pański opis ich smutku zrobił na mnie prawdziwe wrażenie. Jestem z nimi całym sercem - dla wszystkich ofiar mam wiele współczucia. Może pan zatem uznać, że zabójstwo tej dziewczyny było symbolem... po twierdzam to. Oto po raz kolejny udało się nam ujawnić fakt odpowiadający prawdzie. Niech pan spojrzy na to w taki sposób: wszystko, co powiem, może być drogowskazem na drodze do prawdy. Ale niczego pan nie zrozumie, jeżeli nie przejdzie pan tej drogi w całości. A gdybym miał już teraz, na początku, opowiedzieć o wszystkim, co mi przyszło do głowy, zniweczyłbym całe to podniecenie, jakie towarzyszy odkrywaniu. Mógłby pan także zważyć w moją szczerość; w końcu prawie się nie znamy. Myślę, że celem mojego telefonu była chęć do wiedzenia się czegoś o panu, jak również wola udowodnienia panu, że ja istnieję, jestem tutaj i że to wszystko dopiero się zaczęło.

Notowałem jego wypowiedź. Robił wrażenie człowieka oderwanego od rzeczywistości, którą wprowadzał w czyn. Można było odnieść wrażenie, że jest to dyskusja o książce albo polityce, a nie o zabójstwie. To umocniło mój sceptycyzm.

- Z jakiego powodu miałbym panu uwierzyć? - powiedziałem. - Czy może pan udowodnić, że faktycznie to pan jest mordercą?

- Udowodnić?

- Właśnie. Nie rozumiem też, dlaczego dzwoni pan do mnie ani dlaczego ją pan zabił, jeżeli rzeczywiście pan to zrobił.

- Ach tak, dziennikarz musi być sceptyczny - odpowiedział kolejnym wybuchem śmiechu, w którym nie było cienia wesołości. - To również przewi działem.

- Dobra. Czekam na dowód - wtrąciłem. - Skąd mam wiedzieć, czy nie jest pan jakimś popapranym czubkiem? To się *zdaża* na każdym kroku. Ludzie przyznają się do przestępstw, jakich nie popełnia się każdego dnia. Takie skrzywione poczucie winy. Czyste szaleństwo.

- Nie jestem wariatem - przerwał mi. - Ustalmy to na samym wstępie. Zrozumiał pan?

W jego głosie po raz pierwszy usłyszałem prawdziwy gniew. Drażniłem go nadal:

- Powiedzmy, że jeszcze przez chwilę będę pana słuchał.

Znowu zapanowała cisza.

- *Zgoda* - powiedział w końcu. Jego ton zmienił się bardzo wyraźnie. Gniew się ulotnił, a jego miejsce zajęła rezygnacja. - Taką odpowiedź przewi działem również. Przyjmijmy na moment, że dostarczę panu dowód, iż jestem tym, kim jestem, że jestem tym, za kogo się podaję. Za chwilę do tego dojdzie my. Co zaś do mojego telefonu do pana oraz powodów, dla których przeprowa dziłem egzekucję... one niebawem staną się całkiem oczywiste. Niektóre przy czyny już panu podałem, chociaż w abstrakcyjnej formie. Musi pan po prostu zacząć składać to wszystko do kupy. Ostatecznie za to panu płacą w „Journal”: za składanie fragmentów do kupy.

- Skąd mam wiedzieć, że pan mówi prawdę? - zapytałem niecierpliwie. Nie zamierzałem tracić czasu na rozmowę z jakimś świrem, choćby najbardziej elokwentnym. Z drugiej strony, jeżeli jest tym, za kogo się podaje, będę miał potężny, wspaniały temat. A jeżeli nie? No cóż, trudno, już zdarzało mi się mar notrawić czas, nie będzie to żadna nowość.

- No dobrze - powiedział. - Przypuszczam, że ma pan dość bliskie kontakty z detektywami prowadzącymi śledztwo. Ten ślad jest bardzo prosty. Niech pan ich zapyta, co dziewczyna miała w prawej tylnej kieszeni. Zapamiętał pan?

- Prawa tylna kieszeń. Co tam było, jakaś notatka?

- Niech pan ich zapyta. Zadzwoń jeszcze raz, za pół godziny; wtedy będziemy sobie mogli porozmawiać szerzej. Niech pan czeka przy telefonie. Jeżeli odbierze ktoś inny, nie ma mnie.

- Prawa tylna kieszeń - powtórzyłem.

- Niech pan będzie przy telefonie. Za pół godziny.
- Zgoda.
- To dobrze, do czegoś jednak dochodzimy - zakończył.

Połączenie zostało przerwane; usłyszałem ciche stuknięcie, kiedy się rozłączył, ale przez chwilę trzymałem słuchawkę przy uchu, wsłuchując się w ciszę. Potem powolnym ruchem odłożyłem ją na widełki, myśląc o prawej tylnej kieszeni w spodniach dziewczyny. Doznałem przebłysku świadomości - w wyobraźni odtworzyłem obraz: słońce, zielone zarośla. Zobaczyłem ludzi zgromadzonych dookoła zwłok ukrytych w krzakach. Widziałem leżącą dziewczynę. Mój wzrok skoncentrował się, niczym obiektyw aparatu, na jej plecach i nogach. Przypomniałem sobie jej dzinsy, sprane na kolor jasnoniebieski. Starłem się zobaczyć oczami wyobraźni tylne kieszenie. Podniosłem wzrok i rozejrzałem się po sali. Dookoła pracowali inni reporterzy - zaczął do mnie docierać stukot maszyn do pisania, brzęk telefonów i szmer prowadzonych rozmów. Spojrzałem na Nolana, pracującego przy biurku szefa działu miejskiego wśród stosów papierów i świecących szarym blaskiem ekranów wideo. Przez chwilę zastanawiałem się, czy mu nie powiedzieć o tej rozmowie, ale szybko zrezygnowałem z tego pomysłu. Wiedziałem, że odpowiedź na najważniejsze pytanie mogę zdobyć telefonując do Martineza i Wilsona. Jeszcze raz podniosłem słuchawkę myśląc, jak silnie jestem uzależniony od telefonu; łączy mnie ze światem niczym pepowina. Wykręciłem z pamięci numer wydziału zabójstw i czekałem, aż zgłoszą się detektywi. Odebrał Martinez, ale wiedziałem, że Wilson także mnie słucha.

- Nie mam nic nowego - powiedział detektyw, zanim zdążyłem go o to zapytać. - Chciałbym móc ci przekazać jakąś informację, na przykład że złapałszy tego gościa i mamy podpisane przez niego zeznanie z przyznaniem się do winy. Ale szczęście nam nie dopisało. Myślę, że to nam zabierze jakiś czas. Może powinieneś pomyśleć o jakimś innym temacie.

Roześmiał się, a ja uznałem, że można się obejść bez wstępu.

- Coś przede mną ukryliście - powiedziałem.
- Co to ma znaczyć, do cholery? — zapytał Wilson podniesionym głosem.
- Co takiego zatailiśmy? - przemówił Martinez, już bez śladu rozbawienia.
- Prawa tylna kieszeń - powiedziałem.

Ucichli nagle. Wyobrażałem sobie, jak patrzą na siebie w tym momencie. Pierwszy odezwał się znowu Martinez. Wyczułem, że siłą woli stara się utrzymać kontrolę nad głosem, narzucić sobie sztuczny spokój, stanowiący część jego pancerza i rynsztunku:

- Co z tą prawą tylną kieszenią?
- To ty mi powiedz - odrzekłem, również podnosząc głos.
- Kto ci o tym doniósł? - To był Wilson, który miał jeszcze większe trudności z panowaniem nad sobą. Jego głos był bardzo napięty i nerwowy.
- Odpowiem na wasze pytania, ale wy najpierw odpowiedzcie na moje.

No, co jest z tą kieszenią?

- Jasna cholera - warknął Martinez.

- Kto ci powiedział? - powtórzył Wilson. - Słuchaj, do diabła, tu chodzi o morderstwo. Pieprzone zabójstwo pierwszego stopnia, a ty robisz nas w ko-
nia. Mów zaraz! Skąd to wiesz?

- Co było w tej kieszeni? - upierałem się przy swoim. Starałem się, by
mój głos brzmiał równo i zdecydowanie.

- A niech to szlag - to znowu Martinez. - Słuchaj, Anderson, to nie jest
taka sobie zabawa; my tu nie gramy w pliszki. Ty pogadasz z nami, my pogada
my z tobą. Zawsze tak było, wiesz o tym...

Po raz kolejny wtrącił się Wilson:

- Kto ci powiedział? Skąd to wiesz?

- Najpierw wy powiedzcie, co tam było. To mój warunek.

- Poczekaj momentik - powiedział Martinez. Telefon ogłuchł, podejrzewa-
łem, że zakrył dłonią mikrofon i rozmawia z Wilsonem. Po chwili głos powrócił.

- W porządku, wymienimy się wiadomościami. Ale to nie do publikacji,
rozumiesz? — oznajmił Martinez.

- Nie mogę się zadeklarować, dopóki nie wiem, o co chodzi.

- Kurwa, co się z tobą dzieje? - wkroczył Wilson. - Chcesz wywołać pa-
nikę? Co to jest? Chryste Panie!

Nie odpowiedziałem mu. Czuję jak z nerwów pot spływa mi spod pach
pod koszulę. Przycisnąłem ramiona do ciała - na linii znowu zapanowała cisza;
detektywi konsultowali się ze sobą. Kiedy wrócili do rozmowy, usłyszałem, jak
Wilson gniewnie posapuje na drugim planie.

- Dobra jest - zaczął Martinez. - Jak się orientujesz, przeszukanie miejsca,
w którym znaleziono zwłoki, i samych zwłok jest działaniem rutynowym. Przeszu-
kuje się ubranie i wszystkie otwory ciała. Zazwyczaj robi się to podczas autopsji,
tak, aby wszystkie dowody można było zachować na proces. Kiedy wczoraj dosta-
liśmy zwłoki tej dziewczyny, właśnie tak postąpiliśmy. Kiedy chirurg zaczął ją kro-
ić, przeszukaliśmy jej ubranie. W tylnej kieszeni znaleźliśmy coś, co, jak podejrze-
wamy, stanowi jakieś przesłanie, chociaż jego treść nie jest jasna.

- Jakie przesłanie? - teraz ja byłem podekscytowany, nerwowość wzra-
stała. Zaczynałem już myśleć o następnym telefonie mordercy.

- Nie było skomplikowane — odparł z wahaniem Martinez. - Nie jesteśmy
pewni, co oznacza, ale na pierwszy rzut oka nie wygląda to dobrze.

- Co to takiego? - ledwie potrafiłem ukryć podniecenie.

- Tekst napisany na kawałku białego papieru. - Martinez irytująco prze-
ciągał rozmowę. - Taki gatunek można dostać w każdym tanim sklepie. Był
kilkakrotnie złożony do rozmiarów niewielkiego kwadracika. Na środku dwa
słowa napisane ołówkiem, drukowanymi literami, a każdy znak został kilka
razy pogrubiony tym samym ołówkiem. W rezultacie jakakolwiek analiza po-
równawcza w przyszłości jest praktycznie bezużyteczna.

- Bój się Boga, Martinez, co tam było napisane?

Detektyw znowu się zawahał. Byłem gotów iść o zakład, że rozumuje jak
gliniarz - precyzyjnie, analizując szczegóły, prawdopodobnie odtwarzając sobie

w mózgu tę notatkę i moment, kiedy po raz pierwszy wymacali, że coś jest w tylnej kieszeni spodni zamordowanej dziewczyny, po czym delikatnie wyciągnęli karteczkę szczypcami i rozłożyli w ostrym świetle neonowych lamp palących się w kostnicy.

- Tekst brzmiał: NUMER PIERWSZY. To wszystko.
- To właśnie zostało napisane?
- Zgadza się. Tylko, na Boga, nie spiesz się z wnioskami, a zwłaszcza z tymi najbardziej oczywistymi.

- Jezus Maria - jęknąłem. - To ci historia.
- Słuchaj - ciągnął Martinez. Wyobrażałem sobie jego wysoką sylwetkę pochyloną nad biurkiem, ze słuchawką przy uchu. W wydziale zabójstw paliły się jasne światła, wyostrające kontury bezbarwnych biurek i szafek na akta, rzucające cień na twarze widoczne na fotografiach przypiętych na ścianach. Martinez, podobnie jak Wilson i wielu innych detektywów, był człowiekiem zadbanym. Zastanawiałem się, czy on również się poci.

- Zrozum - mówił - w przypadku takiego zabójstwa jak to podobna wia domość może oznaczać niemal wszystko, jeżeli to w ogóle jest jakaś wiadomość. Ta kartka jest nadal w laboratorium, gdzie przechodzi badania. Nie musi z tego wcale wynikać, że będzie numer drugi czy coś takiego. Chcę powie dzieć, że można ją tam było równie dobrze wsadzić, aby odwrócić naszą uwaga, jak i po to, by nas ostrzec. Kapujesz?

- Czy pokazaliście tę kartkę rodzinie? To znaczy...
- Bierzesz nas za kretynów? - wtrącił się Wilson. - Jasne, że tak. A oni oczywiście jej nie rozpoznali, nie mają też pojęcia, skąd mogła się tam wziąć. Jej koleżanki także tego nie wiedzą. Wydaje się zatem, że może pochodzić tył ko od jednej osoby, czyli od zabójcy. A my z całą pewnością nikomu o tym nie wspominaliśmy, więc skąd ty możesz o tym wiedzieć, do jasnej cholery?

Miałem ochotę skłamać, ale zdawałem sobie sprawę, że detektywi szybko odgadną, skąd się dowiedziałem. Byłem zresztą pewny, że kłamstwo musi doprowadzić do zerwania współpracy z Martinezem i Wilsonem. Błyskawicznie kalkulowałem w myślach, co się bardziej opłaca. Jeżeli ten temat stanie się tak wielką bombą, jak się spodziewałem, będę ich potrzebował.

- Miałem sygnał - powiedziałem.
- Jakiego rodzaju sygnał? - pytał Wilson.
- Rozmowa telefoniczna. Głos, którego nie rozpoznałem.
- Co on mówił? Tylko dokładnie.
- No cóż, nie robiłem notatek - skłamałem patrząc na arkusze papieru^ na których zapisałem fragmenty zdań.
- Co on powiedział? - naciskał niecierpliwie Wilson.
- Powiedział tak: „Jestem facetem, który ją zabił”. A potem kazał mi za pytać was o jej prawą tylną kieszeń. Jeszcze trochę pomarudził i wyłączył się. Nie miałem pojęcia, co o tym myśleć, więc zadzwoniłem do was.
- Czy on zatelefonuje jeszcze raz? - W głosie Wilsona znowu pojawił się gniew.

- Nie wiem - łągałem dalej. Pomyślałem, że to tylko drobne kłamstewko - nie wiem przecież, czy zadzwoni na pewno, nawet jeżeli przyrzekł, że to zrobi.

- Chryste - ciągnął Wilson. - Czy masz jakieś podejrzenia?

- Nie - uciałem błyskawicznie. - Nie mam najmniejszego pojęcia, kto to był ani skąd telefonował. Głos był cichy, swobodny. Być może zmienił sposób mówienia, abym nie był w stanie go rozpoznać. Przykro mi, że nie mogę pomóc wam bardziej.

- Co jeszcze? - włączył się Martinez; słyszałem, że Wilson mruczy pod nosem, miotając przekleństwa.

- Jak powiedziałem, gadał bez związku. Sam nie potrafię jeszcze tego po składać. I to wszystko.

- No to przyłóż się bardziej. Znajdź coś, cokolwiek; to może nam pomóc.

- Wiem o tym. Postaram się wszystko zrekonstruować i zadzwonię do was jeszcze raz.

- Jezu Chryste - westchnął Wilson. Odłożyłem słuchawkę i spojrzałem na zegar wiszący na ścianie. Do półgodzinnego terminu brakowało jeszcze kilku minut. Rzuciłem się pędem do Nolana, który czytał odbitki stron gazety. Spoj rzał na mnie. Przez chwilę wpatrywałem się w arkusz pełen wydrukowanych liter, jakbym nie potrafił ich odczytać.

- Nolan, dzwonił do mnie zabójca - powiedziałem. W moim głosie sły chać było wielkie, niekontrolowane podniecenie. Zauważyłem, że przyglądają mi się inni reporterzy. Uśmiechnąłem się wymachując rękami, jakby te gesty mogły przyspieszyć bieg myśli w mojej głowie i skrócić ich drogę do ust. - Ma zatelefonować jeszcze raz za parę minut. Muszę dostać magnetofon, który da się podłączyć do słuchawki. Muszę nagrać jego słowa w taki sposób, żeby się nie zorientował.

Widziałem po minie Nolana, jak szef przechodzi od fazy zaskoczenia do fazy ekscytacji. Potem uśmiechnął się.

- Jesteś pewien, że to morderca?

- Tak - odrzekłem. Obiecałem wyjaśnić mu wszystko później, teraz nie było czasu. Zgodził się i razem pobiegliśmy do biblioteki wyciągnąć ze schow ka potrzebny sprzęt. Szybko wróciliśmy do pokoju redakcyjnego; po drodze składałem urządzenie do kupy. Połączyłem wszystko jak należy i wcisnąłem przystawkę do telefonu, odpowiadając jednocześnie na pytania, które zadawał Nolan. Chciał się upewnić, czy mój rozmówca na pewno był zabójcą. Zrelacjo nowałem mu nasz poprzedni kontakt i pokazałem nieczytelne notatki, które udało mi się zrobić. Przestudiował je uważnie i uniósł brwi w zaskoczeniu. Chciał się dowiedzieć, o co chodzi z tą prawą tylną kieszenią. Oznajmiłem, że to morderca powiedział mi o niej, a następnie wspomniałem o trudnej rozmowie z detektywami. Nerwowo spoglądałem na zegar, czekając z niecierpliwo ścią, aż wskazówka zatrzyma się na kresce oznaczającej trzydzieści minut.

- Numer pierwszy - powiedział Nolan do siebie i pokręcił głową.

Wskazówka stanęła na trzydziestu minutach. Druga, sekundowa, minęła ją i posuwała się nieprzerwanie. Dziesięć, dwadzieścia sekund.

Odezwał się dzwonek telefonu.
 Spojrzałem na Nolana, a on skinął głową. Włączyłem urządzenie zapisujące i podniosłem słuchawkę.

- Anderson - powiedziałem cicho.
- Cześć - odezwał się morderca. - Podejrzewam, że bał się pan, iż nie zadzwonię.
- Nie byłem pewny - odparłem.

Roześmiał się.

- Już się nauczyłem, że pewność jest towarem deficytowym na tym świecie.

Nastąpiła chwila wahania.

- Rozmawiał pan z policją? - zapytał w końcu.
- Tak. Prawa tylna kieszeń, prawda?
- No i co?
- Niech pan mi powie, czego się od nich dowiedziałem.
- No tak, jest pan ostrożny - skomentował, po czym w słuchawce znowu rozległ się wybuch zimnego śmiechu. Pomyślałem, że to okropny odgłos. Po chwili ciągnął: - W porządku. Nie mam do pana żalu, że chce się pan upewnić. Przedmiotem, który policja znalazła w prawej tylnej kieszeni spodni tej młodej damy, był złożony arkusz białego papieru. Zwyczajny papier do robienia notatek. Na kartce znajdowały się dwa słowa: NUMER PIERWSZY. Zgadza się?
- Właśnie to mi powiedzieli - przyznałem.
- Przekonałem pana?
- Owszem.
- To dobrze. Możemy kontynuować.
- Czego pan chce? - zapytałem.

Zdawało się, że głos uwiązł mu w krtani. Dostyszałem jego głośny oddech. Pewnie znowu układa sobie odpowiedź. Spojrzałem na Nolana, który wpatrywał się w magnetofon. Zdałem sobie sprawę, że i tak nie słyszy tej rozmowy.

- Potrzebuję pana - odpowiedział morderca. - Pana i pańskiej gazety.
- Co to znaczy?
- Ludzie muszą to zrozumieć.
- Co zrozumieć?
- Dlaczego był numer jeden. I dlaczego będzie numer drugi, trzeci, czwarty, piąty, szósty. Dalej niech pan sam sobie liczy.

Chwyciłem kawałek papieru i napisałem: „On planuje dalsze morderstwa”. Podsunąłem kartkę Nolanowi, który natychmiast na nią spojrzął, wziął ołówek i dopisał: „Dlaczego?” Podkreślił to słowo trzy razy.

- Niech mi pan powie, dlaczego? - zapytałem.

Kolejna pauza na zastanowienie i morderca zaczął mówić cichym, równym głosem:

- Kiedy byłem dzieckiem, mieszkaliśmy w Ohio, na wsi. Przypominam sobie, że ziemia tamtejsza była pełna zieleni i brązów. Nadal pamiętam, jak wyglądały pola na wiosnę: całe akry brunatnej gleby, pokrojonej w skiby przez potężne ciągniki z pługami. Niekiedy po drodze ze szkoły do domu zatrzymywałem się

i patrzyłem na farmerów siedzących na swoich maszynach, jak poruszali się po nie kończących się liniach w górę i w dół pola, co jakiś czas odwracając się do tyłu, żeby zobaczyć, co się dzieje za plecami, jakby starali się odgadnąć przyszłość ze ścieżek, które właśnie zrobili.

To był okres gry zmysłów - siewy. Drzewa wypuszczały liście, zimowe barwy, szarość i czern, ginęły w budzącej się do życia naturze. Powietrze stawało się cieplejsze, a ja czekałem, aż siew dobiegnie końca. Ciągle mam w uszach dobiegające z daleka dudnienie maszyn pracujących za dnia na polu.

Mieszkaliśmy w małym domu przylegającym do wielkiej farmy. Autobus szkolny zostawiał mnie na drodze w odległości mniej więcej mili od domu, do którego wracałem na piechotę.

Zyliśmy we trójkę - moja matka, ojciec i ja. Ojciec był nauczycielem, pracował w tej szkole, do której chodziłem, ale uczył starsze dzieci. W domu były tylko dwie sypialnie. Pamiętam, że w nocy słyszałem szum wody nalewanej do wanny i zastanawiałem się, które z rodziców idzie się odświeżyć. Ojciec bardzo często mnie bił - wymierzał w ten sposób karę za przewiny rzeczywiste i urojone. Był niski, żylasty i muskularny. Nie za bardzo przypominał nauczyciela, wyglądał raczej na robotnika rolnego. Wieczorami siadywał przy lampie w saloniku i czytał. Prawie zawsze była to wielka literatura: Tołstoj, Dostojewski, Dickens, Melville. Niekiedy odczytywał jakiś fragment na głos.

Wtedy zatrzymywał się na moment, szukał mnie wzrokiem i kazał powtarzać zasłyszane słowa, sprawdzając moją pamięć. Jeżeli mnie karał, to zawsze w kuchni. Miał specjalny kij, taką staroświecką różgę do bicia uczniów, którą zabrał z innej szkoły w okręgu, w której kiedyś pracował. Matka trzymała się na uboczu, często stała przy piecu i powoli mieszała w garnku, patrzyła, ale nic nie mówiła. Ojciec kazał mi się spowiadać z grzechów: że za późno wracałem do domu, bawiłem się z kolegami, z którymi zabroniono mi się kontaktować, oszukiwałem i tak dalej. To, co zawsze robią mali chłopcy.

Zawsze zapowiadał z góry, ile razy mi przyłoży. Nauczyłem się oceniać własną wytrzymałość i na co sobie mogę pozwolić, by nie przejmować się, że zostaną złapany i ukarani. Zadawał ciosy miarowo, zawsze z taką samą siłą. Kazał mi głośno liczyć uderzenia. Był twardy. Wjego głosie nieustannie pobrzmiwał ton dezaprobaty. Kiedy mnie bił, wyglądałem przez kuchenne okno. Pamiętam, że patrzyłem na drzewo, przez gałęzie którego widać było niebo. Miałem wrażenie, że kara jest mniej dotkliwa, kiedy moja wyobraźnia potrafiła się wzniesć do nieba- błękitnego, szarego, czarnego, w zależności od tego, jaką barwę akurat przybrało.

Najsurowiej mnie karał tego lata, kiedy skończyłem trzynaście lat. Zwiększała się liczba uderzeń, jego głos robił się jeszcze twardszy, walił coraz mocniej. Tego lata urosłem i wzmocniłem się - to było dla niego za wiele. Mój głos stał się nagle grubszy niż jego. Któregoś dnia podniósł kij i spojrzał na mnie. Nasze oczy spotkały się. Powiedziałem mu: „Nigdy więcej”, a on przytaknął i odłożył różgę. Chyba po raz pierwszy przestraszył się mnie. Patrzyłem na matkę, a ona uśmiechnęła się i powiedziała cichym głosem: „Dobrze”.

Tej nocy położyłem się do łóżka i czekałem na szum wody nalewanej do wanny, ale się nie doczekałem. Usnąłem mocno, przespałem całą noc, dopiero tuż przed świtem obudził mnie koszmarny sen. Pamiętam go do dziś dnia: ojciec bił mnie, a z każdym ciosem robił się coraz większy, silniejszy i bardziej *zazarty*. Czulem ogromny, obezwładniający, odbierający oddech strach, jakby te uderzenia wyciskały mi z płuc całe powietrze. Miałem wrażenie, że się duszę. Matka obserwowała to łagodnym wzrokiem.

Po południu tego dnia za późno wróciłem do domu od kolegi i nie zdążyłem na kolację. Ojciec wrzeszczał, przeklinał i wyrzekał, ale już nie sięgnął po kij. Pamiętam, że miałem poczucie jakiejś straty, jakbym czekał na karę. To dziwne, ale czulem żal, że mnie nie złał. Później zaryzykowałbym jeszcze kilka razy, robiąc *rzeczy*, które w normalnych warunkach wywołałyby jego reakcję.

Ale nic takiego nie nastąpiło. Miałem wrażenie, jakbym nagle wyrósł z lat dziecinnych. Już nigdy potem nie mogłem dobrze spać. Nocna ciemność zmieniła się w koszmar; budziłem się zlany potem, pościel była wilgotna i zimna. Niekiedy leżałem bezsennie, z szeroko otwartymi oczami. Każdy, nawet najłżejszy dźwięk brzmiał w moich uszach jak przerażający krzyk. Ten niepokój nie ustąpił nawet po przeprowadzce do miasta. Nieraz słyszałem, jak nocąmoje ciało rośnie i starałem się wyciszyć ten głos. Wyciszyć wszelkie nocne zmary.

Później lubili ustawiać mnie na warcie na obwodzie obozu w najciemniejszą noc, ponieważ porucznik wiedział, że i tak nie mogę spać, a słuch mam tak czuły, że nie przegapię najłżejszego szmeru, więc pozostali będą mogli lepiej wypocząć. Byli pewni, że usłyszę każdy szelest, na przykład saperów przekradających się przez druty.

Leżałem w dziurze wygrzebanej w ziemi, z nogami na zewnątrz i nasłuchiwałem. Przeważnie wpatrywałem się w niebo. Pamiętam, że bardzo się dziwiłem, iż w tamtym kraju wygląda ono tak samo jak w Ohio, oddalonym o tysiące mil i wiele lat. Co chwila przewracałem się w swojej lisiej norze jak w domu, na łóżku, i wpatrywałem się w ciemność. Niektórzy ludzie mają wrażenie, że dżungla w nocy żyje, że bez przerwy się porusza. Mnie przynosiła odpoczynek. Nie bałem się. Inni czuli strach, ale mnie to się nawet podobało. Nieraz wyczekiwałem, dotykając muszki karabinu.

Był to dla mnie czas spokoju. Przypuszczam, że kryje się w tym elementarny paradoks: to, co innych przyprawiało o przerażenie, mnie pozwalało wypoczywać. Tak to widzę teraz. Pamiętam, że później, kiedy nastął prawdziwy horror, miałem wrażenie, że gram w jakiejś sztuce, uczestniczę w ćwiczeniu dramatycznym. Te okropności, które oglądałem na własne oczy, były nierealne. Ale jeszcze nie chcę o tym rozmawiać. Ważne, że właśnie wtedy postanowiłem, iż coś trzeba zrobić. Pyta pan, dlaczego? Powiem panu, w czym rzecz. To jest teatr. Sztuka na scenie. A także szansa dla wszystkich mieszkańców tego dobrze oświetlonego miasta, aby dowiedzieli się czegoś o koszmarze. O nocnych zmorach.

Chce pan wiedzieć, kim jestem? Powiem. Jestem najgorszą rzeczą na świecie.

Przerwał wreszcie. Oddychał ciężko, ledwie był w stanie zapanować nad głosem. Chciałem wymyślić jakąś kwestię, zadać pytanie, ale zrezygnowałem

i wsłuchałem się w szum urządzenia nagrywającego. Widziałem, jak powoli obracają się kołowrotki.

- Dlaczego pan zatelefonował? - zapytałem w końcu.
- Pan jest moim środkiem wyrazu — odparł głosem wyraźnym, pewnym, zdecydowanym. - Ja opowiadam, pan pisze. To zadanie lokalnej gazety.

Zrobił jeszcze jedną przerwę.

- Witam w nocnym koszmarze - dorzucił.

Rozdział piąty

Na linii zapadła cisza. Słyszałem jego oddech. Zanim zdążyłem się wtrącić, mówił dalej:

- Niech pan sobie wyobrazi, jak to było z pierwszą ofiarą; jak wielkie emocje przeżyła w ostatnich godzinach życia. Rozmawialiśmy ze sobą, ona i ja. W pewnym momencie nawet płakaliśmy wspólnie. Były takie chwile, że marzyłem, aby ta noc nigdy się nie skończyła.

Myślę, że z początku była wystraszona, ale bardzo dzielnie się trzymała. Pytała, dokąd ją zabieram. Zatkąło ją, kiedy powiedziałem, że idziemy tam, gdzie będziemy sami. Prawdopodobnie myślała, że ją zgwałcę, więc ją pocieszyłem, że nie mam zamiaru jej dotykać, że chcę tylko trochę z nią porozmawiać. To ją uspokoiło, bo ucichła. Chciała, żebym rozluźnił jej węzły na nadgarstkach, ale powiedziałem, że nie mogę; że to kwestia zaufania. Później jednak to zrobiłem. Chciała się dowiedzieć, czy została porwana; powiedziałem, że tak, ponieważ częściowo to była prawda, a poza tym przyszło mi do głowy, że zachowa spokój, jeżeli będzie mogła uchwycić się jakiegось myśli. Pamiętam, jak jechaliśmy nocą. Szyby były podniesione, ale nie *działała* klimatyzacja. Odczuwałem nocny upał przeciskający się przez okna, upał taki jak w dzień, tylko ciemniejszej barwy. Uliczne latarnie rzucały na drogę groteskowe cienie. Musiałem walczyć z pokusą, by skręcać i omijać je.

Zatrzymaliśmy się w odludnym miejscu niedaleko wody, więc ona wyczuła *zapach* morza i sprawiło jej to ulgę. Wtedy zapytała mnie, dlaczego to robię. Odpowiedziałem, że to zaledwie pierwsza odsłona przedstawienia zaplanowanego na długi czas. Miała trudności ze zrozumieniem mnie, pewnie dlatego, że mówiłem o tym w sposób abstrakcyjny, a ona miała problemy z uchwyceniem sensu, bo wpadła w panikę. Ale wciąż nalegała, zadawała pytania, chciała, żebym zdefiniował terminy, których używałem. Mój Boże, ona była taka piękna, kiedy leżała obok samochodu. Odwróciła twarz w kierunku, z którego dochodził głos, słuchała, napawała się zapachem oceanu.

Poczułem wtedy nieopisany spokój, za którym przyszły lzy. Zastanawiałem się, czy wszystkie ofiary okażą się takie opanowane, silne wewnętrznie. Rozpłakałem się, ona również. Myślę, że chciała mnie w jakiś sposób pocieszyć. Opowiadałem jej o wojnie, a ona wspomniała o swoim starszym bracie, który walczył za granicą mniej więcej w tym samym czasie co ja. Mówiłem

o swoim dorastaniu. Śmiałyśmy się wspólnie, bo ona stwierdziła, że nawet najlepsi rodzice zawsze denerwują człowieka. Musiałem się z tym zgodzić. Przez chwilę miałem nawet zamiar zrezygnować z mojego planu.

Ale skoro już zacząłem, nie potrafiłem się zatrzymać.

Jego głos znowu stał się spokojny, cichy, jakby odtwarzał sobie w pamięci wydarzenia tamtej nocy. Mówił dalej, a ja myślałem o wszystkich wchodzących w grę miejscach na terenie okręgu - ciemnych miejscach w pobliżu morza, które mógł wybrać. Były ich tysiące.

- Widzi pan, te same wrażenia, które powodowały, że miałem ochotę po wstrzymać się od zabijania, pozwoliły mi dojść do przekonania, że ona jest znakomicie wybraną ofiarą. Musiałem się otrząsnąć z tych myśli. Pamiętam, że poszedłem na brzeg i zanurzyłem dłoń w wodzie. Była ciepła jak wieczorna kąpiel. Słyszałem odgłos fal, rozbijających się powoli na piasku - morze było leciutko wzburzone. Światła miasta, gwiazdy, księżyc - wszystko to odbijało się w wodzie. Wróciłem i usiadłem koło dziewczyny. Przyglądałem się jej w ciemności. Przypuszczam, że ona też widziała mnie w tym cieniu; usiłowała się uwolnić z więzów.

Czekałem do chwili, gdy miał się już zacząć świt. W Wietnamie o tej porze wszyscy czuli się najbardziej przerażeni; byliśmy ludźmi operującymi za dnia. To fałszywe bezpieczeństwo, jak przypuszczam, ale nie mogliśmy czekać do rana. Australijczycy - tam walczyło trochę ich oddziałów, wiedział pan o tym - no więc Australijczycy zawsze robili apel w pełnym rynsztunku zaraz po wschodzie słońca. Wszystkich stawiali na nogi i z wysuniętą bronią przeszukiwali granice obozu. Byli w pełni gotowi. I nigdy nie dali się zaskoczyć.

Zawahał się, jakby przypominając sobie dalsze wydarzenia.

- Pojechaliśmy w ciemności na pole golfowe. To ją chyba trochę zaskoczyło, bo dopytywała, dlaczego tam jedziemy. Myślałem, że znowu zaczęła się obawiać, że ją zgwałcę, ale ją uspokoiłem. Kiedy weszliśmy w zarośla, tam, gdzie później znaleziono jej zwłoki, postawiłem ją i obróciłem na wschód. Powiedziałem, że chcę, aby obserwowała wschodzące słońce, że to będzie wyglądało jak świetlna eksplozja. Kiedy była gotowa, wycelowałem z czterdziestki piątki, tak aby kula poleciała do góry i dalej. Nie chciałem zniszczyć jej twarzy. Powiedziałem: „Patrz, wstaje słońce”, a kiedy wychyliła się do przodu, wystrzeliłem. Nic nie poczuła, mówiłem poważnie. No i na końcu już się nie bała.

Zrobił przerwę.

- Może by mi nawet wybaczyła, gdyby wiedziała, co ją czeka.

Jeszcze jedna przerwa.

- Kiedy czytałem pańskie artykuły, ojej rodzinie, o tym, jaka ona była, zdałem sobie sprawę, że miałem nadzwyczajne szczęście, dzięki któremu do konałem znakomitego wyboru.

- Jak pan... - przerwałem mu.

- Spokojnie - ciągnął. - Ona szła, a ja się zatrzymałem udając, że szukam drogi. Bardzo łatwo było ją wciągnąć do samochodu i związać.

Poczułem w głowie pustkę. Ucichły słowa mordercy, znikły gdzieś obrazy, które jawiły mi się w trakcie tej rozmowy. Pozostała tylko cisza w słuchawce. Po kilku sekundach odezwałem się:

- Wciąż pana nie rozumiem.
- Nikomu nie przyszłoby to łatwo - odrzekł i znowu się zawahał. - Miewałem takie momenty, a może więcej niż momenty, kiedy byłem za morzem. Rozsądek nagle ulegał zawieszeniu. Był to czas, kiedy brałem udział w bestialskich akcjach. Jeszcze nie umiałbym tego opisać.

Przez całe lata siedziało to we mnie, w mojej głowie, jak nowotwór. Ludzie podlegają zwyczajnym emocjom, takim jak wina, niepokój, żal i tak dalej. Żadna z nich nie była w stanie uwolnić mnie od tych obrazów. One dręczyły mnie tak jak senne koszmary w wieku dzieciennym, tylko że były prawdziwe i nie znikwały, kiedy się budziłem.

No i ta wiosna - czas budzenia się zmysłów. Oglądałem w telewizji, jak eksploduje cały świat. Widziałem tylko mężczyzn i kobiety wierzgających nogami, chwytających się metalowych płóc helikopterów, by odlecieć w bezpieczne miejsce. Patrzyłem, jak ginie tamten kraj. Myślałem o tych wszystkich strasznych rzeczach. Widziałem na ekranie twarze wykrzywione strachem.

Pomyślałem, że nikt nie wie. Nikt w gruncie rzeczy tego nie rozumie. To tylko jakiś program telewizyjny, nagłówek lub niewyraźna, szara fotografia w gazecie. Wtedy postanowiłem, że przyniosę ludziom swój własny horror; tym ludziom, którzy byli najbardziej służalczy i wystali mnie tam bez potrzeby. Właśnie o to mi chodzi.

Roześmiał się.

- Na dziś wystarczy. Skontaktuję się z panem po Numerze Drugim.
- Niech pan poczeka... - starałem się go zatrzymać, ale się rozłączył.

Odłożyłem słuchawkę i wyłączyłem magnetofon. Większość dziennikarzy w pokoju redakcyjnym patrzyła na mnie. Odsunąłem krzesło - w głowie nadal pulsowały mi słowa mordercy.

Nolan rzucił okiem na taśmę i wskazał na pokój konferencyjny na drugim końcu sali. Kiedy tam szliśmy, zapadła całkowita cisza. Przelotnie spojrzałem w okno - słońce w dalszym ciągu lało na miasto tropikalny upał, oślepiające światło odbijało się w białych ścianach budynków śródmieścia, rozpadało się na wiele drobnych eksplozji. Stopniowo wszystko wróciło do normy, podniósł się zwykły szum, praca odzyskała swój rytm. Rozdzwoniły się telefony, zaterkotały maszyny do pisania.

Starałem się utrzymać emocje na wodzy. Kiedy Nolan słuchał nagrania, chodziłem tam i z powrotem po niedużym pokoju, układając w pamięci tekst artykułu na następny dzień. Nolan opuścił podbródek na piersi, skupił się i uważnie słuchał słów zabójcy, starając się wbić sobie w pamięć jego głos. Od czasu do czasu robił jakieś notatki w notatniku, który położył przed sobą. Do mnie ledwie docierały wypowiedane słowa; nie mogły się przebić przez rosnące

podniecenie, które odczuwałem. Niecierpliwie czekałem, aż Nolan coś powie. Kiedy zapis się skończył, rozległo się kliknięcie, odgłos odkładanej słuchawki i buczenie, czyli sygnał przerwane połączenia.

- To niesamowita sprawa - powiedział Nolan, siadając w fotelu.

Wyciągnął się, podłożył ręce pod głowę i zaczął kołysać na meblu, oparty teraz tylko na tylnych nogach. Głośno i powoli wypuszczał powietrze z płuc - ten dźwięk wypełniał małe pomieszczenie. Zapalił papierosa i patrzył, jak dym unosi się do góry.

- Niełatwo tu o decyzję - powiedział.

- Decyzję? Jaką decyzję? - wybuchnąłem. - Jezu Chryste! Musimy to wydrukować. Przecież słyszałeś tego faceta, Jezu, co za historię opowiedział! Miasto zatrzęsie się w posadach, kiedy ludzie przeczytają, co on mówił.

- Właśnie w tym rzecz - oświadczył Nolan.

- Jak moglibyśmy to zatrzymać?

- Nie mówiłem, żeby to wstrzymać - w głosie szefa pojawił się odcień irytacji. - Postaraj się pohamować na moment swój entuzjazm.

- Ja... - chciałem mówić dalej, ale słowa uwięzły mi w gardle.

Przez chwilę trwaliśmy w milczeniu. Patrzyłem na dym z jego papierosa, lecący aż pod sufit. Wziąłem głęboki oddech, usiłując wyciszyć podniecenie.

- Uważam, że powinniśmy iść dalej i wydrukować tę opowieść - stwierdziłem.

- No i wydrukujemy - odrzekł Nolan. - Nie w tym problem. Najważniej sze, w jaki sposób to zrobimy.

- To po prostu dobra historia - zauważyłem.

- Owszem. Dobra historia. To wszystko odmieni — powiedział i znowu się zamyślił. Wreszcie pokiwał głową. - No, myślę, że możemy ruszać. Chciałbym, aby to było takie proste, jak ci się wydaje.

Zanim miałem czas odpowiedzieć, zadzwonił telefon; chciałem podnieść słuchawkę, ale Nolan był pierwszy. Słuchał przez chwilę.

- Twoi przyjaciele, Martinez i Wilson, przyszli cię odwiedzić. Zabrali też ze sobą tego tam, jak on się nazywa... szefa detektywów - powiedział do mnie, a po tem dalej do mikrofonu: - Zatrzymajcie ich tam. Powiedzcie, że mamy teraz zebra nie, które skończy się za dziesięć, piętnaście minut i dopiero wtedy będziemy mogli z nimi porozmawiać. Podajcie im kawę, zadbajcie, aby dobrze się poczuli. Zapewnijcie, że zejdziemy do nich, tylko muszą trochę poczekać. Bądźcie uprzejmi.

- Teraz wszystko ruszyło z kopyta - zwrócił się do mnie. - Idę z taśmą do wyższych szefów, którzy chcą ją przesłuchać. Ty siadaj do pisania artykułu na brudno. Wykorzystaj notatki z pierwszej rozmowy. Dam je do przepisania sekretarce, aby nie było przepychanek. Przewiduję, że będziemy je musieli wydać.

Kiedy skończyłem relację z pierwszej rozmowy, zauważyłem, że dwaj znajomi detektywi, w towarzystwie jeszcze jednego krępego mężczyzny, wchodzą do pokoju redakcyjnego. Martinez szedł jako trzeci - pomachał mi ręką. Weszli do gabinetu redaktora naczelnego. W kilka chwil później zastępca kierownika działu miejskiego wezwał mnie tam.

Naczelny i Nolan czekali na mnie przed drzwiami gabinetu. Detektywi siedzieli na ciężkiej, skórzanej kanapie w sekretariacie.

- Chodź - odezwał się Nolan, po czym razem z naczelnym weszliśmy do przyległego gabinetu. Szef zamknął za sobą drzwi. Był to niewysoki mężczyzna z gęstymi, siwymi włosami, zaczesanymi do tyłu. Okulary balansowały mu na czubku nosa, a kiedy był czymś podekscytowany, spoglądał na rozmówcę ponad szklami, jakby chciał mu dać do zrozumienia, że widzi go w zupełnie innej perspektywie. W światku dziennikarskim zdobył legendarną reputację człowieka, który jest nie słychanie twardy, jeśli chodzi o jakość materiałów i bardzo miękki w stosunku do personelu. Zazwyczaj zatrzymywał się i gratulował reporterom udanych tekstów. Były to krótkie, pełne zakłopotania chwile, które zespół ogromnie sobie cenił.

Teraz spojrzał na mnie z uśmiechem.

- Jeżeli wolno mi się tak wyrazić - powiedział - zdaje się, że złapaliśmy tygrysa za ogon.

Nolan i ja uśmiechnęliśmy się również.

- No dobrze - ciągnął naczelny. - Mam kilka szybkich pytań: czy kiedykolwiek przyrzekał pan mordercy, że będzie się pan starał chronić jego tożsamość, że nie będzie pan rozmawiał z policją i że treść waszych rozmów nie jest przeznaczona do publikacji czy też ma charakter konfidencyjny?

- Nie - odpowiedziałem.

Szef robił wrażenie, jakby mu ulżyło.

- Jest jeszcze jeden problem. Czy obiecywał mu pan, że opiszecie całą historię lub zacytujecie go w jakiś określony sposób?

— Nie. Ledwie udawało mi się wtrącić czasem słowo. Miałem wrażenie, że on sobie wykalkulował, że nie zrezygnujemy z wyłączności na tę rozmowę.

- No to trzeba mu przyznać punkt - uśmiechnął się naczelny.

- Czy miewasz trudności we współpracy z policją? - zapytał mnie Nolan.

- Owszem, ale to zależy od charakteru sprawy - odpowiedziałem patrząc na niego. Nolan przytaknął:

- Ja również.

Naczelny pokiwał głową.

- Potrzeba nam więcej czasu na podjęcie decyzji, ale jedno mam zamiar ustalić od razu: oddamy policji kopię taśmy pod warunkiem, że oni w żaden sposób nie udostępnią jej naszym konkurentom. Zamierzamy to opublikować - zdecydował i zwrócił się do mnie: - Ci gliniarze są nam potrzebni, prawda?

- To oni kierują tym spektaklem - powiedziałem. - Jeżeli ten morderca będzie działał nadal, mogą nas wyłączyć.

- No właśnie - dodał naczelny. - To samo sobie pomyślałem. *Zgadzam się.*

Klasnął w ręce niczym nauczyciel niższej klasy - był to przejaw podniecenia.

- No to potargujemy się. Nie odzywajcie się, zanim się nie porozumiemy.

Kiwnąłem głową obu detektywom, uściśnięciem dłoń ich szefowi. Zapadła chwila wymuszonej ciszy, po czym naczelny zapytał, o co właściwie gościom chodzi.

- Chcemy uzyskać zeznanie od pańskiego pracownika, tego tutaj - oświadczył szef detektywów. - Chcemy również obejrzeć jego wszystkie notatki. Liczymy

na waszą współpracę; jest to przecież dochodzenie w kwestii zabójstwa, więc nie widzę konieczności zgłaszania się do prokuratury stanowej z prośbą o nakaz. Redaktor naczelny rozłożył ręce i skinął głową.

- Ja również nie widzę takiej potrzeby. Ale notatek nie możemy oddać. Pozwólcie, że coś wam powiem, zanim wpadniecie w złość. Udało się nam zarejestrować na taśmie drugą rozmowę z zabójcą. Udostępnimy wam kopię tego nagrania dla potrzeb śledztwa, ale tylko po spełnieniu naszych warunków.

- Jakie to warunki?

- Chodzi o wyłączność - oświadczył naczelny. - Nie możecie udostępniać tego żadnym innym gazetom ani telewizji. Poza tym przyrzekacie, że jako pierwsi będziemy informowani o nowych elementach tej sprawy. Zabójca może przecież jeszcze zadzwonić.

Policjant zastanawiał się przez chwilę:

- Chyba możemy się na to zgodzić - powiedział z uśmiechem.

- No to w porządku - naczelny wstał z fotela. - Należymy przecież do tej samej społeczności.

- To prawda.

- Tak samo jak morderca - dodał Martinez.

Kiedy wracałem do swojego biurka, zatrzymał mnie Wilson. Położył mi dłoń na ramieniu - patrzyłem na tę rękę, póki jej nie cofnął.

- Posłuchaj - powiedział cicho - musimy się też dowiedzieć o tej pierwszej rozmowie. To jest ulica dwukierunkowa, kapujesz.

- Zadzwonię do was, kiedy spiszę wszystko, co zapamiętałem - zgodziłem się wbrew sobie. Dzielenie się informacjami, „moimi” informacjami, było dla mnie czymś nowym, wpędzającym w zakłopotanie. To zasadnicza hipokryzja kryjąca się w pracy dziennikarskiej: zbieramy informacje, ale się nimi nie dzielimy.

Wkrótce potem jedna z sekretarek przyniosła mi tekst rozmowy spisany z taśmy. Patrzyłem na maszynopis, usiłując przypomnieć sobie brzmienie głosu człowieka, który to mówił. Starałem się odtworzyć okoliczności towarzyszące tej rozmowie: jego pokój, telefon, zapewne także rewolwer leżący przed nim na stole.

Zbliżył się Nolan:

- Niech to urządzenie będzie na stałe połączone z twoim telefonem. No i załóż świeżą taśmę.

Przez moment zastanawiałem się, jak daleko mogę się posunąć, co umieścić w moim artykule. Spojrzałem na swoje notatki i transkrypcję rozmowy telefonicznej, wkręciłem papier w maszynę i zacząłem pisać:

Zabójca szesnastoletniej Amy Hooks zatelefonował do redakcji - Miami Journal i oświadczył, że zabójstwo dziewczyny mieszkającej w południowo-zachodniej części miasta jest zaledwie pierwszym z serii morderstw, jakie zamierza popełnić.

- Witam w nocnym koszmarze - powiedział nam morderca przez telefon.

Po napisaniu wstępu reszta popłynęła bez wysiłku. Oparłem się w głównej mierze na wypowiedziach zabójcy, przedstawiając jego sposób rozumowania. Pomiąłem większą część długiej opowieści dotyczącej przeszłości, nawiązując do niej tylko pobieżnie. Z żalem zrezygnowałem z jego opisu ostatnich chwil życia dziewczyny. Miałem przed oczami obraz jej rodziców, stojących w salonie w otoczeniu zdjęć swojego zmarłego dziecka. Zastanawiałem się, jak zareagują na ten tekst. Zamknąłem na chwilę oczy myśląc o bólu, jakiego bym im przyczynił. Po chwili to wrażenie odpłynęło w nicość - wróciłem do obróbki zdań wypowiedzianych przez mordercę i jego przemyśleń.

Nolan uważnie przeczytał mój tekst. Kiedy przewijał opowieść na ekranie, jego komputer wydawał ciche, elektroniczne odgłosy.

- Jezus - powiedział wreszcie.

- Co takiego?

- Zwróć uwagę, jak on mówi. Na te opisy, budowę zdań, sposób wyrażania myśli. Żadnych urywanych zdań. Żadnych wahań, pojękiwań. Czy spotkałeś kiedyś człowieka, który się tak wyraża?

- Z tego wynika, że to mądry gość - wyprowadziłem wniosek. - Ale co to oznacza?

- Nie mam pojęcia - przyznał Nolan. - Ale bądź ostrożny, Malcolm. Obiecujesz?

- Jasne - odpowiedziałem zastanawiając się, czego ta ostrożność ma dotyczyć.

Nolan odwrócił się do komputera.

— Ciekawe, jak to wszystko się skończy - mruknął.

Rozdział szósty

Następnego dnia nasza gazeta ukazała się z wielkim tytułem u góry pierwszej strony: ZABÓJCA OBIECUJE KOSZMAR, ZAPOWIADA DALsze MORDERSTWA.

Mój domowy telefon rozdzwonił się o wpół do szóstej rano, zaraz po tym, jak główne wydanie dziennika z moim artykułem zaczynającym się pod samą winiętą na pierwszej stronie spłynęło z maszyny rotacyjnej do ciężarówek kolportażu. Pierwszy był reporter z biura agencji Associated Press w Miami. Christine usiłowała mu wytłumaczyć, że jeszcze śpię, ale ja zwlokłem się z łóżka i jeszcze na wpół zamroczony zacząłem odpowiadać na jego pytania. Przez całą noc prześladował mnie uparty sen: gonilem po mieście mojego stryja. Kontury i cienie były jakieś dziwne, popyginane, jakbym je obserwował w krzywym zwierciadle.

Kiedy stałem przy telefonie, Christine usiadła z kubkiem kawy i zaczęła czytać leżącą przed nią gazetę. Blask wczesnego poranka rozjaśniał pokój. Co

chwila spoglądała na mnie, potrząsając głową. Odpowiadałem na pytania najlepiej, jak potrafiłem; proszono mnie o kopię nagrania. Skończyłem z Associated Press, ale nie upłynęły chyba nawet dwie minuty, zanim rozległ się następny dzwonek. Tym razem był to reporter z „Miami Post”, pracujący nad informacją w tej sprawie. Miałem wrażenie, że irytował go fakt, iż zabójca skontaktował się ze mną, a nie z nim. Spławiłem go jak najszybciej. Po następnej minucie czy dwóch zgłosiła się agencja United Press International z tymi samymi pytaniami i oczekiwaniami, co poprzednicy. Wszystkim powtarzałem, że mój artykuł został już wydrukowany w gazecie i mogą z niego ściągać, ile im się podoba. Chcieli też, żebym udzielał im wywiadów. UPI prosiła nawet o zdjęcia. Odmówiłem. W pewnej chwili zdjąłem słuchawkę z widełek. Przez moment słychać było sztuczny, elektroniczny pisk, po czym zrobiło się cicho. Christine podniosła głowę znad gazety i powiedziała:

- Słuchaj, to dopiero początek.

Położyłem dłonie na jej ramionach i przez chwilę uciskałem mięśnie; potem przesunąłem ręce niżej, pod bieliznę i delikatnie ująłem piersi. Czulem, jak twardnieją jej sutki. Christine wstrząsnęła się, a ja się wycofałem.

- Wybacz - powiedziała - ale jak o tym czytam, to aż mnie rzuca. Nie mam pojęcia, jak ty możesz to przyjmować tak spokojnie. Ja bym miała ochotę wrzeszczeć.

Po chwili zastanowienia dodała:

- Czy poprosiłeś tego faceta, żeby sam z siebie odpuścił?

- Nie. - To pytanie zaskoczyło mnie, - Nie przyszło mi to do głowy. Jego głos był zbyt spokojny, zrównoważony. Wydawał się za dobrze przygotowany, za bardzo zaangażowany w to, co robi i mówi. Nie sprawiał wrażenia człowieka gotowego się poddać.

- W pewnych sytuacjach ludzie tak robią. To znaczy ulegają reporterom. Poddają się dziennikarzom, bo się boją, że policja zrobi im krzywdę. Albo chcą mieć widzów, jak w Attica.

- Ale to niewiele im dało, prawda?

- Rzeczywiście, ale ty wiesz, o co mi chodzi - odparła Christine.

- Chciałbym, aby mnie to się przytrafiło. Zastanawiam się, jak by zareagował na taką propozycję.

- A czego się spodziewasz?

- Myślę, że by się roześmiał.

Christine zastanawiała się chwilę, po czym wstała i podeszła do okna. Światło obramowało jej twarz, podkreślając kości policzkowe i dodając blasku oczom. Chciałem powiedzieć coś, co by wyrwało ją z ponurego nastroju. Nie powinna czuć się przygnębiona. Ta sprawa staje się najważniejszym tematem w moim życiu. Byłem podekscytowany. Myślę, że w głębi ducha nie chciałem, aby morderca zostać schwytany ani żeby się poddał -jeszcze nie teraz. Jej myśli najwidoczniej biegły tym samym torem, ponieważ zapytała:

- Czy sądzisz, że on to zrobi? Zaryzykuje dalsze zabójstwa?

- A dlaczego by nie? - odpowiedziałem pytaniem.

- Chcesz, żeby tak postąpił? - odwróciła się do mnie.
- Wzruszyłem ramionami.
- Jeśli tak zrobi, będziesz mógł pisać ciekawsze artykuły, prawda?
- Owszem - odparłem. Trudno temu zaprzeczyć.
- Może zdobędziesz nagrodę?
- Prawdopodobnie.
- Może nawet jakąś bardzo ważną, co? Na przykład Pulitzera. Myślałeś o tym?
- Och, przestań - powiedziałem. - Nie rozpędzaj się tak.
- Faktem jest, że miała rację. Roześmiała się niewesoło. Chyba wyczuła, że skłamałem.
- Czy to cię ani trochę nie trapi?
- Ponownie wzruszyłem ramionami, ale Christine nadal zadawała pytania z szybkością karabinu maszynowego.
- Czy nie przyszło ci na myśl, że ten szmaciarz może szukać publiczności, chceć zaistnieć w gazetach i telewizji? Że bez tego czułby się kimś przeciętnym, zapomnianym? Że uwaga, jaką mu się poświęca, zachęci go do robienia coraz gorszych rzeczy?
- Owszem - wtrąciłem - myślałem o tym. Ale co mam zrobić, zignorować go? Zresztą kto wie, może zabijałby nadal niezależnie od tego, co napiszę ja lub ktokolwiek inny.
- I to cię nie martwi? - nalegała.
- Jeszcze nie.

Zatrzymałem samochód na parkingu redakcyjnym. Niebo było jasnoniebieskie i bezkresne. Zauważył mnie Andrew Porter i szybko podszedł.

- A więc oni uroczyscie obchodzą także fakt, że przychodzi się do pracy — powiedział śmiejąc się.

- Co to ma znaczyć?
- Wkrótce sam się przekonasz.

Przed głównym wejściem do redakcji stało z pół tuzina ekip telewizyjnych.

- No to na razie - rzucił Porter. - Pamiętaj, masz się uśmiechać.

Po tych słowach rozplynął się w tłumie, który mnie otoczył. Musiałem się przepychać do drzwi. Silne reflektory telewizyjne spowodowały, że upał stał się w dwójnasób dotkliwy. Wycelowali we mnie mikrofony, zaczęły mnie zalewać kolejne fale pytań. Ledwie zdążyłem odpowiedzieć na jedno, gdy już pojawiło się drugie.

- Jaki on miał głos?
- Powiedział, kiedy znowu zacznie zabijać?
- Jak pan myśli, dlaczego zadzwonił do pana?
- Uważa pan, że to szaleniec?
- Czy jeszcze zatelefonuje, pana zdaniem?

— Dlaczego on to robi?

Podniosłem rękę.

- Przykro mi - powiedziałem - ale wszystko, o czym mi wiadomo, zawarłem w artykule w dzisiejszym wydaniu „Journal”. Nie mam nic do dodania. Nie mam pojęcia, co się będzie działo dalej.

Przeprosiłem ich i ruszyłem w stronę budynku redakcji. Przy wejściu czekali inni nasi dziennikarze; śmiali się i żartowali, tak samo jak Porter. Uśmiechałem się i ja.

- Rozumiecie, to taki mój sposób na podwyżkę - powiedziałem.

Powszechna uwaga sprawiła, że poczułem się dobrze. Zdałem sobie sprawę, że cieszyły mnie te pytania i fakt, że kamery skupiły się na mnie.

Po drodze na miejsce minąłem naczelnego redaktora.

- Świetny artykuł. Trzymaj tak dalej - powiedział klepiąc mnie po plecach.

Nolan uśmiechał się z daleka.

- Dobra robota. Teraz pewnie dadzą ci kontrakt w telewizji - zawołał, a wszyscy się roześmiali.

Usiadłem przy biurku i zacząłem przeglądać pierwsze wydanie „Post”. U nich też telefon zabójcy był najważniejszą pozycją; zauważyłem nazwisko dziennikarza, który dzwonił do mnie tego ranka. Obok cytatów z wypowiedzi mordercy, przepisanych z mojego artykułu, znalazło się kilka fragmentów tego, co mu powiedziałem: „Dwudziestosiedmioletni Anderson, dziennikarz pracujący od trzech lat w «Journal», stwierdził, że był zaskoczony spokojem zabójcy i faktem, że tak zdecydowanie określił on swój cel. «Wydawał się bardzo pewny siebie i zdecydowany» - powiedział nam dziś reporter «Journal»”. Czytałem ten artykuł kilka razy.

Zadzwoił telefon.

Miałem wrażenie, że nagle świat stanął w miejscu. Odłożyłem gazetę czując, że serce bije mi coraz szybciej. Włączyłem magnetofon i podniosłem słuchawkę.

- Anderson, „Journal”.

Ale wystarczył moment, żeby całe podniecenie opadło. Dzwonili z centrali telefonicznej.

- Pan Anderson? - zapytała operatorka. Wyłączyłem nagrywanie. - Co mam robić z taką masą telefonów?

- Jakich telefonów?

- Mam dla pana wiadomości od reporterów z kilkunastu innych gazet - odparła. - Poza tym do centrali dzwonią rozmaici ludzie i pytają o pana. Myślę, że chcą porozmawiać o dzisiejszym artykule.

Miała denerwujący, jakby blaszany głos.

Przez następną godzinę odpowiadałem na pytania i spławiałem irytujących rozmówców. Dochodziło południe, kiedy dzwonienie zaczęło ustawać. Za każdym razem wciskałem guzik magnetofonu, ale zaraz musiałem go wyłączyć. Robiłem jednak notatki. Miałem zamiar napisać nieduży tekst o telefonujących do mnie ludziach i ich obawach.

Nolan zażądał dużego artykułu o reakcjach czytelników. Wysłał do miasta kilku innych reporterów, aby zbierali wypowiedzi ludzi z ulicy. Innych posadził przy telefonach i kazał im prosić o komentarz wybitnych obywateli Miami. Ja

miałem to wszystko skompilować. Powiedział mi, że decyzja w tej sprawie zapadła na najwyższym szczeblu. Artykuły miały być podpisane moim nazwiskiem, wydrukowanym w osobnym wierszu. Nolan twierdził, że jest to pomyślane na użytek zabójcy - chodziło o wyrobienie w nim przekonania, że tylko ja zajmuję się tym tematem. Nolan obawiał się, że morderca może zadzwonić do innych gazet i agencji, a nawet, co byłoby jeszcze gorsze, do stacji telewizyjnych.

- Musimy utrzymać tego gościa przy sobie - powiedział.

Ten dzień upływał błyskawicznie.

Na popołudnie miałem wyznaczone spotkanie z psychiatrą. Przez chwilę nie byłem pewny, czy powinienem wychodzić z redakcji. Przyszło mi do głowy, że zabójca może zadzwonić i przestraszyć się, kiedy kto inny odbierze telefon. W chwilę później zrozumiałem, że temu i tak w żaden sposób nie zdołam zapobiec.

Starłem się porozumieć z Martinezem i Wilsonem, ale wyjechali w teren.

Spojrzałem na telefon stojący na moim biurku. Taki normalny, zwyczajny, czarny telefon. Kiedyś pomalowałem długopisem niektóre cyfry na tarczy. Aparat był z jednej strony pęknięty - ta szczyrba stanowiła wspomnienie po denerwującej rozmowie z pewnym politykiem, podczas której walnąłem telefonem o ziemię. Teraz wydawał mi się żywą istotą, czekającą równie cierpliwie jak ja. Wpatrywałem się w aparat intensywnie, jakbym chciał go zakląć, aby nie dzwonił pod moją nieobecność.

Kiedy wszedłem do gabinetu, psychiatra jadł kanapkę.

- Nie ma pan nic przeciwko temu, prawda? - zapytał, wskazując na wałówkę. - Mam przerwę na lunch.

Powiedziałem, żeby sobie nie przeszkadzał i rozejrzałem się po pomieszczeniu. Gabinet mieścił się w śródmieściu, pełnym drapaczy chmur i szkła, w którym odbija się słońce. Zauważyłem, że zza swojego biurka lekarz miał widok na zatokę aż po Miami Beach i rozciągający się dalej ocean.

Gabinet był nieduży; na ścianie wisiły dyplomy, a w rogu wykonany tuszem portret Freuda. Na drugiej ścianie znajdowały się półki z książkami. Kopię obrazu Picassa z okresu jego pierwszych doświadczeń z kubizmem, zatytułowanego „Muzykanci”, umieszczono nad skórzaną kanapą. Usiadłem na wprost doktora, który zauważył, że się rozglądam po jego gabinecie i zapytał:

- Czy to pana denerwuje?

Roześmiałem się, nie odpowiadając. On mówił dalej:

- Ludzie mają stanowczo dziwne wyobrażenia o tym, jak powinien wyglądać gabinet psychiatry. Naturalnie, wszyscy wiedzą, że musi tam być kana pa, ale co do reszty...

Jego głos powoli odpływał.

- Miałem przecucie, że pan się pojawi - stwierdził. - Chce pan zapytać o człowieka, który do pana dzwonił, prawda?

- Zgadza się - przyznałem.

- Trudna sprawa - mówił. - Bardzo trudna.

Nie przerywał jedzenia. Był to niski mężczyzna w okularach w drucianej oprawce, ubrany w granatowy garnitur. Podejrzewałem, że musi mu być w nim za ciepło, kiedy wychodzi na dwór. Siwe, nadal gęste włosy miał zaczesane do tyłu; odsłaniały twarz, co nadawało mu wygląd dziecinny, otwarty i bezpośredni. Spotykaliśmy się już dawniej, zazwyczaj w sądzie, gdzie doktor w kilku sprawach występował jako ekspert.

- Czy przesłuchanie taśmy mogłoby pomóc? - zapytałem.
- A jak pan sądzi? - odpowiedział z uśmiechem.

Wydobyłem magnetofon i kasetę. Lekarz wyciągnął z kieszeni pióro i położył przed sobą kartkę papieru. Kiedy dał mi znak, włączyłem odtwarzacz.

- Już się nauczyłem, że pewność jest towarem deficytowym na tym świecie... - rozległ się głos mordercy. Był cichy, ale w tym pomieszczeniu brzmiał pewnie i donośnie. Pomyślałem, że to w moich słowach wyczuwa się wahanie.

Przez kilka minut słuchałem tylko głosu zabójcy, mieszanego się z dźwiękiem skrzypiącego na papierze pióra doktora. Robił notatki przez cały czas odtwarzania taśmy, rzadko podnosząc oczy znad biurka. Tylko raz uniósł wysoko brwi, najwidoczniej zaskoczony czymś, co powiedział morderca. Patrzyłem przez okno - potężny tankowiec sunął po przejrzystych, błękitnych wodach zatoki. Barwy wiszącej na ścianie reprodukcji obrazu Picassa były bardzo zbliżone do koloru morza. Statek zmierzał do portu Miami; małe zanurzenie wskazywało, że jest pusty. Z tyłu dochodził głos zabójcy, pełen zimnej pasji. Kiedy taśma się skończyła, spojrzałem na psychiatrę. Wypuścił z płuc powietrze, jakby wcześniej wstrzymywał oddech. To przypomniało mi dawne podróże rodzinnym samochodem w towarzystwie ojca i brata. Ojciec powiedział mi pewnego razu, że jeżeli człowiek jest w stanie zatrzymać oddech na czas przejazdu przez tunel, jego życzenie zostanie spełnione. Kto je spełni - tego nigdy nie wyjaśnił; podejrzewałem, że chodzi o jakiegoś ducha mieszkającego w tunelu czy coś w tym stylu. Mimo to przez całe lata, wjeżdżając do każdego tunelu wciągałem do płuc jak najwięcej powietrza i starałem się jak najdłużej je utrzymać. Szczególnie trudne było to w rejonie Nowego Jorku — tunele Lincoln i Holland były za długie jak na wydajność moich małych płuc. Zawsze przychodził moment porażki - musiałem gwałtownie wypuścić powietrze.

- No to mamy problem - powiedział niepewnie psychiatra.
- Jak to?

- Powiem panu coś nieoficjalnie - ciągnął, a ja skinąłem głową na znak, że się zgadzam zachować to dla siebie. - Wiadomo mi, że policja telefonowała już do dwóch moich kolegów prosząc, aby przesłuchali taśmę. Wiedząc, że ma pan dzisiaj mnie odwiedzić, skontaktowałem się z nimi wczoraj wieczorem. Wie pan, mam nawyk niezgadania się z moimi uczonymi kolegami.

W tym miejscu lekarz się roześmiał.

- Ale nie w tym przypadku - dodał.

- Jaka jest pańska opinia? — zapytałem. - To znaczy, co pan może powie dzieć o tym człowieku? Nie mam zamiaru przesadnie wszystkiego upraszczać, ale wewnętrzny instynkt podpowiada mi, że on bierze to zupełnie poważnie. I że jest niebezpieczny.

- No cóż, w obu tych sprawach ma pan rację - odrzekł lekarz, zaglądając do notatek. - Obawiam się, że nie jestem w stanie oznaczyć go jednoznacznie etykietką, którą mógłby pan przedstawić swoim czytelnikom. Nie mam wystarczającego materiału, aby posunąć się tak daleko, chociaż to nagranie jest ważnym elementem. Często szermujemy takimi terminami, jak psychotyczny, psychopata, socjopata. Te dwa ostatnie oznaczają prawie to samo. Mówimy o dewiacjach seksualnych, aberracjach w zachowaniu, paranoi, schizofrenii. Są to wszystko tania, obiegowe określenia, dobrze znane panu i innym laikom. Morderca wydaje się mieć kilka wyraźnych cech, poddających się różnorodnej interpretacji psychiatrycznej. Nie widzę tu zbyt wiele paranoi w powszechnym rozumieniu tego terminu, co zresztą nie znaczy, że ona tu nie występuje. Prawdę powiedziawszy, część jego relacji dotyczącej ofiary pozwala się w taki właśnie sposób zakwalifikować. Z całą pewnością jest to człowiek przeżywający ciężkie zaburzenia, zbliżone do psychopatii...

W tym miejscu lekarz znowu się zawahał i spojrzał na mnie w napięciu:

- Spróbujmy się uporać z branżowym żargonem, zgoda?

Przytaknąłem.

- Zasadniczo psychiatria nie stara się określać względnego zagrożenia wynikającego z rozmaitych dolegliwości. Ja jednak jestem zdania, że ten zabójca jest wysoce niebezpieczny. Uważam też, że znowu kogoś zabije. - Doktor spojrzał w swoje notatki. - Ludzie muszą zrozumieć... - przeczytał. - No cóż, z tego wynika, że on odczuwa potrzebę uznania; dla niego ważną rzeczą jest usprawiedliwienie tego, co uważa za zachowanie nie mieszczące się w normie.

Zabójca szeroko rozwodzi się nad pełnym napięciem i stresem okresem dorastania na farmie w Ohio. Jest rzeczą niezwykłą, że podtrzymuje kontakt z tym okresem, kiedy był źle traktowany. Zazwyczaj takie wspomnienia są blokowane przez mózg. On utrzymuje, że był karany w sposób irracjonalny. Podejrzewam, że traktowano go z większą brutalnością niż to przyznaje i że karano go w sposób bardziej arbitralny niż daje nam do zrozumienia. Potem dochodzi do kryzysu: rzuca ojcu wyzwanie jako temu, który dotychczas sprawował władzę, a napięcie dodatkowo powiększa fakt, że odnosi powodzenie. W tym momencie jego świat wywrócił się do góry nogami; wszystkie jego wyobrażenia dotyczące winy i kary, tego, co słuszne i co złe, uległy odwróceniu o sto osiemdziesiąt stopni. Niech pan zwróci uwagę, że ojciec kazał mu liczyć na głos uderzenia; jak widzimy, teraz to się powtarza - morderca numeruje swoje ofiary. Ta dziewczyna to Numer Pierwszy.

Intryguje mnie także postać matki. To jakaś nieludzka figura; cały czas tylko patrzy, obserwuje. Wątpię, czy tak się miała sprawa w rzeczywistości; myślę, że ona sama była raczej zaangażowana w jakieś zachowania o cechach aberracji, ale nie sposób powiedzieć ściśle, co to było.

Potem następuje długi okres niepokoju, bezsennych nocy. Z punktu widzenia psychiatrii ten czas koresponduje z fazą seksualnego rozbudzenia. W tym momencie jednak przeżywa wielki stres - zastanawiam się, czy on naprawdę słyszał odgłos nalewania wody do kąpielni; czy nie były to przypadkiem inne nocne dźwięki, dochodzące z pokoju rodziców? Ale, podkreślam, to tylko domysły.

A teraz następuje bardzo znaczący fragment. Zapisałem to sobie: „...Starałem się wyciszyć wszelkie nocne zmyry. Później lubili ustawiać mnie na warcie na granicy obozu...”. Widzi pan, on przechodzi od fazy dzieciństwa bezpośrednio do wojny w Wietnamie. Rysuje się więc możliwość, że chodzi o zmęczenie walką. W latach pięćdziesiątych, po wojnie koreańskiej, uczestniczyłem w prowadzeniu pewnych badań. Odkryliśmy, że symptomy psychotyczne pojawiają się na gruncie pewnych stresów i zmęczenia. Trzeba powiedzieć, że na ogół takie zjawiska były krótkotrwałe i szybko ustępowały, kiedy u osoby badanej ustępował stan stresu. Jednak moi koledzy, którzy pracowali z weteranami z Wietnamu, informują o zbliżonym, tyle że bardziej nasilonym syndromie. W tym przypadku objawy nie ustępują tak łatwo. Istnieje wiele teorii na ten temat, nawiązujących do samej natury wojny, walki z partyzantami, dzięki brutalności, braku określenia wroga, braku frontu, bezkształtności tego wszystkiego, szczególnie w powiązaniu z wojennymi przeciwnościami. Chodzi o to, że żołnierze w polu wykonywali rutynowe zadania, grożące strasznymi konsekwencjami; bali się, że mogą nastąpić na minę i stracić nogi albo genitalia, że się zagubią w obcym, wrogim otoczeniu, że nagle znajdą się w samym środku strzelaniny, nie widząc przeciwnika i nie mogąc z nim walczyć, otoczeni przez śmierć. A w chwilę później wejdą na szczyt wzgórza, wyląduje tam helikopter i wszyscy będą pili zimną coca-colę albo schlitzę, prawie tak jakby wrócili do domu. To wprowadza koszmarną dezorientację. W rezultacie ci ludzie nie wiedzieli, gdzie się znajdują. I oto w środku tego wszystkiego nasz człowiek odnajduje spokój. „... Ale mnie to przynosiło odpoczynek...” - mówi. To nadzwyczajne.

- Jednak - ciągnął doktor - i to jest najdziwniejsze, następuje pewne wydarzenie. On tam wspomina krótko o „prawdziwym horrorze”. Traktuje to jako swoistą zabawę, próbę przedstawienia tego, co my określamy mianem reakcji dyssocjatywnej — to tak, jakby przyglądał się sobie samemu z zewnątrz. Potem stwierdza, że jeszcze nie będzie o tym mówić.

Mam wrażenie, że właśnie tu ukryty jest klucz. Gdybym był hazardzistą, postawiłbym pieniądze na tezę, że ten ciąg zabójstw, jakie on najwidoczniej zamysła, jest na swój sposób, w jego wyobrażeniu - przyznaję, że wszystko mu się w głowie mocno płące - powieleniem tamtych wydarzeń. To oznacza, że on odtwarza osobiste przeżycia. Podobnie jak w przypadku tych ataków snajperskich, o których co chwila czytamy: są to przejawy nieświadomego powielania sytuacji z wojny. W umyśle wszystko się miesza, pokój we własnym kraju przeradza się w wojnę. Żołnierz reaguje na tę zmianę.

Podaję, że gdyby udało się panu dowiedzieć, co to był za „horror”, wykonalibyśmy poważny krok w kierunku zrozumienia sposobu myślenia zabójcy. Ale tu słowo ostrzeżenia. Jego umysł nieustannie się zmienia, dopasowuje. On ceni sobie symbole. To niekoniecznie musi być wymiana ekwiwalentna.

Lekarz nagle okręcił się na fotelu i wstał. Podeszedł do okna i spojrzął na zatokę. Zastanawiał się nad czymś, odgarniając w zadumie włosy z czoła. Nie odrywając wzroku od morza ciągnął dalej:

- Pamiętam, jak sam byłem w wojsku, przydzielony do szpitala psychiatrycznego w rejonie Vacaville w Kalifornii. Leczyliśmy tysiące przypadków związanych z wyczerpaniem warunkami wojennymi, spadkiem po wojnie koreańskiej. Mój Boże, aż trudno uwierzyć, że to było ćwierć wieku temu. Wiele sytuacji doskonale pamiętam; oni robili wrażenie części wykorzystywanych na linii montażowej, łączonych ze sobą szybko i sprawnie, ale mających jakiś nieodróżnialny, wewnętrzny defekt, na skutek którego nie byli w stanie funkcjonować jak należy.

Na jednym z oddziałów musieliśmy palić światło przez całą noc, bo pacjenci bali się ciemności; byli to silni mężczyźni, którzy poznali naprawdę straszne warunki i przeżyli - i oto tacy ludzie nie są w stanie zapanować nad strachem pojawiającym się, kiedy gaśnie światło. Szczególnie dokładnie pamiętam jeden przypadek; nawiasem mówiąc, nie jestem przekonany, czy ma on związek z sytuacją, z którą tu mamy do czynienia. Niech pan sam to osądzi.

Zdarzyło się to niedługo po chińskiej inwazji, kiedy masa Chińczyków przekroczyła rzekę Jalu, odcinając całe nasze dywizje, zanim scentralizowano dowództwo i przeprowadzono przegrupowanie. Pan na pewno tego nie pamięta, a w ogóle tylko nieliczni Amerykanie zdają sobie sprawę, jak niespodziewany i przerażający był to atak. Obserwowany podczas wojny wietnamskiej rasizm pojawił się właśnie w tym czasie; strach był pochodną propagandy mówiącej o żółtym niebezpieczeństwie i niewrażliwym, wprost zwierzęcym Wschodzie. W znacznym stopniu były to resentymy drugiej wojny światowej: przejawy szowinizmu i nastawienia antyorientalnego, obawa, że zostaniemy zalani przez azjatyckie hordy. No, wystarczy powiedzieć, że były to ciężkie czasy.

Tak czy inaczej, dezorientacja i będące jej następstwem przeniesienie emocji, które dostrzegam w zachowaniu mordercy, kojarzą mi się z jednym z ówczesnych przypadków. Chodziło o młodego człowieka, blondyna o wyrazistych kościach policzkowych, o twarzy, jakbyśmy powiedzieli wówczas, znamionującej dobre pochodzenie. Rzeczywiście, wywodził się z tak zwanej dobrej rodziny; jego matka należała do nowojorskiej elity towarzyskiej, ojciec był, jak to wtedy określano, jednym z kapitanów przemyski. Chłopak wiedział z doświadczenia, co to są prywatne szkoły, szoferzy, lekcje gry na fortepianie oraz opera. Mając siedemnaście lat zaczął studiować w Hawardzie, gdzie uzyskał dyplom z historii, kończąc po drodze wydział nauk politycznych. Przeznaczono go, przynajmniej na początku, do służby zagranicznej. Potem może dalsze studia na prawie, może kariera polityczna. Po prostu złoty chłopiec o ogromnych możliwościach - zgadza się? Opowiedział mi szczegółowo o rozmowie z ojcem na temat własnej przyszłości. Obydwaj byli zdania, że doświadczenie militarne jest elementem korzystnym, a nawet nieodzownym. Miał to być kolejny krok na drodze kariery.

Wkrótce po uzyskaniu dyplomu młody człowiek otrzymał powołanie do wojska. Po dyskusji w rodzinnym gronie zgłosił się ochotniczo do służby w Korei. Wyobrażano sobie, że trochę sobie powalczy, może zasłuży na jeden czy dwa medale. Jego ojciec służył w wojsku w okresie międzywojennym, czyli w czasie pokoju. Nikt nie zdawał sobie sprawy, na jakie niebezpieczeństwa

naraża się młodzieniec. Nie sposób wręcz sobie wyobrazić, jak niewiarygodnie naiwny był taki styl myślenia. Ten motyw raz po raz pojawiał się w naszych rozmowach. Sprawy ułożyły się w ten sposób, że kiedy chińska fala przelała się na drugi brzeg rzeki Jalu, nasz młody człowiek dowodził kompanią strzelców w pobliżu frontu.

Zostali odcięci, okrążeni przez przeważające siły przeciwnika i wyrżnięci. Nasz oficer znajdował się w plutonie, który został dosłownie starty z powierzchni ziemi ogniem z broni automatycznej. Kiedy strzelanina ustała, on był jedynym, który przeżył. Zauważył, że Chińczycy krzątają się po pobojuwisku i systematycznie sprawdzają ciała.

W jednej chwili zrozumiał, że musi udawać zabitego, bo inaczej zostanie zastrzelony albo wzięty do niewoli. Umazał palce krwią zabitego żołnierza i pobrudził nią swoją bluzę. Opowiadał mi, że działał automatycznie, bardzo szybko, nie mając świadomości, co właściwie robi. W końcu, kiedy jego „rany” wyglądały autentycznie, przykrył się zwłokami dwóch żołnierzy. Ostatnia czynność polegała na tym, że rozsmarował sobie na głowie garść krwi i mózgu jednego z martwych towarzyszy.

Potem zamknął oczy i czekał; czuł ciężar leżących na nim zwłok i bał się, że kiedy spadnie temperatura, jego oddech zmieni się w widoczną parę.

W tym czasie nastąpił zasadniczy przełom w jego systemie percepcji; był zdany tylko na zmysły słuchu i powonienia. Czuł się jak ślepiec, a każdy dźwięk zmieniał się w przerażający, nieznany bodziec. Opowiadał mi, że słyszał głosy zbliżających się ludzi i szelest stóp. W pewnym momencie dotarły do niego angielskie słowa i gardłowe odpowiedzi po chińsku. Następnie rozległy się strzały, coraz bardziej przybliżały się do niego. Czuł, jak ciągnący od ziemi chłód wkłada się do jego organizmu niczym śmierć; leżał ukryty pod ciałami swoich żołnierzy, ludzi, którymi dowodził, z którymi rozmawiał jeszcze kilka godzin temu. Cały zeszywniał ze strachu, jak mówił, spodziewał się, że lada chwila odleci w ciemność znacznie głębszą niż ta, jaką widział pod swoimi zaciśniętymi powiekami. W końcu usłyszał w pobliżu czyjeś kroki i poczuł rosnący ciężar przygniatających go ciał, jakby ktoś rzucał je na stos. Później kroki ucichły, ale on leżał sztywno, bez ruchu przez długie godziny, czekając na kolejny dźwięk. Opowiadał, że trzeba było większej niż jego odwagi, by otworzyć oczy i rozejrzeć się dookoła. Był sam wśród masy trupów.

Przez dwa dni pozostawał za linią frontu, odcięty od swoich. Krążył po okolicy, chowając się przeważnie w zaroślach i wśród drzew. Nocą możliwie najdokładniej okrywał się gałęziami, aby się zasłonić przed śniegiem. Nic nie jadł - nie znalazł żadnego pożywienia. Trzeciego dnia spotkał grupę żołnierzy, którzy także zostali odcięci, ale zdołali nawiązać kontakt przez radio. W kilka godzin później był już bezpieczny, wśród swoich. Złożył meldunek swoim przełożonym, szczegółowo opisując, w jaki sposób stracił swoich ludzi. Sądzę, że prawie wszystko potrafił odtworzyć z pamięci. Zbadał go lekarz, który stwierdził, że nasz bohater znajduje się w dobrym stanie mimo straszliwych przeżyć. Odesłano go do Stanów. Armia wynagrodziła go, przyznając Medal za Wzorową Służbę.

Pierwszej nocy po powrocie do domu przebudził się krzycząc, że nie może oddychać; miał wrażenie, że jakiś ciężar uciska mu płuca. Nie potrafił powstrzymać silnych dreszczy, nawet jeśli w pokoju było gorąco, a on leżał przykryty kilkoma kocami. Wpadał w przerażenie na myśl o zamknięciu oczu - obawiał się, że nie zdoła ich otworzyć. Któregoś dnia siedział przy stole z rodzicami i jakimiś gośćmi, jedząc obiad. Zamknął powieki na chwilę, a kiedy je otworzył, nic nie widział. Oślepl. Wkrótce potem przysłano go do mnie, do Vacaville.

W oficjalnej diagnozie była mowa o reakcji histerycznej. W tym przypadku chodziło o proste przekształcenie: ślepotą równa się śmierć. On sam sprowadził to na siebie, obwiniając się o to, że przeżył, podczas gdy wszyscy przyjaciele zginęli.

Rozmawialiśmy, pracowaliśmy wspólnie. On nie ukrywał faktów, ale nawet kiedy zrozumiał i zaakceptował psychiatryczne wyjaśnienie źródeł swojej ślepoty, wzrok mu nie powrócił. Zacząłem się wtedy zastanawiać, jaką jeszcze cięższą karę wyznaczył sobie ten człowiek.

Kiedy zwolniono go do domu, pojechał do Nowego Jorku, do swojego mieszkania, ucałował matkę, przywitał się z ojcem, powiedział, że chce się przebrać i poszedł do swojego pokoju. Odłożył laskę, wyjął rewolwer, należący do niego od dawna, i zastrzelił się. Wymierzył w głowę, w to samo miejsce, które kiedyś posmarował krwią swoich towarzyszy.

Lekarz popatrzył na mnie. Wyglądałem przez okno - w wodach zatoki odbijało się słońce, wyżej leciało stado mew, kołujących nad taflą morza.

- Z tego wynika - ciągnął psychiatra - że nie należy nie doceniać siły tego rodzaju kombinacji: z wierzchu trauma wywołana przez wspomnienia z walki, a pod spodem jakaś bardziej zasadnicza choroba psychiczna.

- A co z prognozą? - zapytałem.

— Prognoza jest bardzo zła. Fatalna dla ofiar, zła dla zabójcy. No i jeszcze jedna rzecz...

- Co takiego?

- Oni nie zdołają go złapać.

- Jak to?

- Morderca tego rodzaju jest najtrudniejszy do ujęcia. Policjanci z zasady mają największy szacunek dla zabójców psychotycznych. Niech pan sobie przy pomni Kubę Rozpruwacza. Nigdy go nie schwytano. Widzi pan, tacy ludzie nie poddają się zwyczajnym sposobom wykrywania z tego powodu, że ich postępowanie jest z gruntu irracjonalne. Powody działania kryją się w ich umysłach, nie wynikają z chciwości, wściekłości czy też innych, zwyczajnych emocji, z jakimi policjanci mają na ogół do czynienia w przypadku morderstw.

Wpatrywałem się w doktora. Odwrócił się, spoglądając na zatokę za oknem.

- Jeżeli zabójca nie popełni błędu z gatunku tych, jakie zdarzają się przeciętnym zbrodniarzom, ujęcie go będzie niemal niemożliwe. Istnieje szansa, że ktoś go zauważy albo jakiś sąsiad zwróci uwagę na jego zachowanie, a może uda się zidentyfikować broń, której używał. To mogłoby doprowadzić do aresztowania, ale nie należy na to liczyć.

Widzi pan, jednym z zasadniczych paradoksów, związanych z tego typu mordercą i sytuacją, jaką on stwarza, jest to, że z satysfakcją sprawia mu prowokowanie policji i otoczenia, wręcz zachęcanie, aby go złapać - to jest właśnie powód, dla którego telefonował do pana - a jednocześnie odczuwa podświadomie chęć, aby ktoś go powstrzymał. Z tej sprzeczności zwycięsko wychodzi jednak jego świadomość. On jest w stanie pomyśleć o wszystkim, byle nie dać się ująć. Niech mi pan powie, w jaki sposób policja może sobie z czymś takim dać radę?

- Nie wiem - odrzekłem. - Czy pan sądzi, że on jeszcze zadzwoni?

- Może tak, może nie.

W tym momencie na biurku rozległ się brzęczyk. Psychiatra pochylił się, nacisnął przycisk i spojrzał na mnie.

- Przyszedł pacjent - powiedział.

Zabrałem magnetofon, a on odprowadził mnie do drzwi.

- Wie pan, bardzo chciałbym się mylić - zapewniał. - No i niech pan nie zakłada, że wszystko, co tu powiedziałem, to Słowo Boże. Mamy do czynienia z osobnikiem o bardzo silnych zakłóceniach. Jego stać praktycznie na wszystko. To pewnie zabrzmiałby okropnie, ale możliwe jest także samobójstwo. Tego rodzaju człowiek ma niezwykle wiele nienawiści do samego siebie. Powiedział przecież: „Jestem najgorszą rzeczą na świecie”. Musimy po prostu poczekać.

- Dziękuję panu za pomoc.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparł. Kiedy zamykał drzwi, rzuciłem po raz ostatni okiem na błękitną zatokę za oknem.

Późnym popołudniem tego dnia zacząłem kompletować tekst poświęcony reakcjom społeczeństwa. Reporterzy rzucali na moje biurko luźne kartki, zazwyczaj z napisanymi na maszynie cytatami z wypowiedzi różnych oficjeli oraz ludzi z ulicy. Wiele było głosów sceptycznych, a nawet prowokacyjnych. Wyglądało na to, że ludność życzy sobie, aby morderca podjął wyzwanie albo żeby się zamknął. Te wypowiedzi były na swój sposób makabrycznie odważne. Wymieszałem w artykule poglądy psychiatry z reakcjami innych.

„Ja się tego świra nie boję”... - oświadczył pewien nastolatek przyłapany w pobliżu boiska.

„Mam wrażenie, że ten gość chce zwrócić na siebie uwagę. Wątpię, czy zrobi to, co zapowiedział”... - powiedział zatrzymany na ulicy biznesmen.

„Ufam, że policja szybko złapie tego faceta”... - oto słowa pewnej gospodyni domowej z przedmieścia.

„Wszyscy policjanci zostali powiadomieni i będą zwracać uwagę na nietypowe zachowanie. Odwołano wszystkie urlopy. W rejonach o wysokim ryzyku pojawią się dodatkowe patrole”... - to cytat z wypowiedzi szefa miejscowej policji.

Usiłowałem sobie wyobrazić ludzi, którzy to mówili, widoczny w ich twarzach gniew lub strach. Miałem wrażenie, że zostałem wciśnięty pomiędzy słowa zabójcy i opinie lokalnej społeczności. Szybko stukałem w klawisze, z rzadka

przerywając, by wyszukać jakiś cytat w stosie notatek. Podniosłem głowę dopiero wtedy, gdy usłyszałem krzyki dobiegające z tylnej części pokoju redakcyjnego. Odwróciłem się i zauważyłem młodego mężczyznę, na oko niewiele po dwudziestce, usiłującego się wyzwolić z uścisku redakcyjnego strażnika.

Wszyscy obecni zwrócili uwagę na to zamieszanie. Okrzyki intruza nagle stały się czytelne, wyraźne, niczym obraz, na którym koncentruje się wzrok. Młody człowiek krzychał:

- Chcę mówić z tym gościem, który to napisał. No już, puśćcie mnie, do cholery!

Wartownik trzymał go za rękę, starając się zatrzymać. Zdałem sobie sprawę, że chce porozmawiać ze mną. Kątem oka dostrzegłem, że Andrew Porter wyłonił się z laboratorium, aby zobaczyć, co się dzieje. Pokazałem mu na migi, żeby zrobił zdjęcie. Zrozumiał i po chwili wrócił z aparatem. Dopasował położenie obiektywu i możliwie najdyskretniej zaczął fotografować intruza. Przez ten czas młody człowiek nieco się uspokoił i zaczął się wyklócać ze strażnikiem, który wciąż nie chciał go puścić. Podeszedłem do nich, a kiedy się odwrócili, powiedziałem możliwie najdelikatniej:

- Przypuszczam, że to ze mną chce pan rozmawiać.

Mężczyzna miał oczy w czerwonych obwódkach i jasne, nieporządne, źle utrzymane włosy, zasłaniające uszy. Patrzył na mnie przez chwilę, po czym nagle osunął się, jakby pękła w nim jakaś struna. Opuścił ręce i przestał się wrywać wartownikowi. Ten ostatni, muskulamy Kubańczyk z gęstym wąsem, popatrzył na mnie. Kiwnąłem głową, a on puścił nieznajomego, ale trzymał się blisko i cały czas napinał muskuły.

- Pan nazywa się Anderson? - zapytał młodzieniec.

Przytaknąłem.

- Jestem jej bratem - oświadczył.

- Tak sobie pomyślałem - odrzekłem.

- Dlaczego?

Wzruszyłem ramionami.

- Usiądźmy.

Młody człowiek pochylił głowę i ruszył w stronę wolnego biurka. Osunął się ciężko na krzesło, jak człowiek bardzo zmęczony.

- Ja tego nie rozumiem - powiedział. - Czytałem to raz po raz i nadal nie rozumiem. Co ona takiego zrobiła? Dlaczego ma płacić za coś, co wydarzyło się w zupełnie innym miejscu? Dlaczego ją za to obciążać?

- Musiał ją pan bardzo kochać - wtrąciłem. Popatrzył na mnie.

- Ona była bardzo... - zaczął, ale nie dokończył. Widziałem, jak się koncentruje, szuka odpowiednich słów. - Sam nie wiem. Ona była... Miała w sobie coś szczególnego. Wszyscy ją kochaliśmy. Była ulubienicą całej rodziny.

Oczy napełniły mu się łzami.

- Jak mogę panu pomóc? - zapytałem.

- Nie wiem, dlaczego tu przyszedłem - przyznał. - Chyba przez moment wydawało mi się, że on i pan jesteście tacy sami. A pan był ogniwem łączącym;

tamten dzwonił do pana. Prawdopodobnie odniosłem wrażenie, że powinienem tutaj przyjść i rozmawiać z panem tak, jakby to był on. Przerwał na chwilę.

- Nie ma w tym zbyt wiele sensu, co? Teraz to rozumiem... - ciągnął rozglądając się po pełnej dziennikarzy sali. - Czy on jeszcze zatelefonuje?

- Myślę, że tak, ale trudno przewidzieć - odrzekłem.

- Chciałbym móc spędzić pięć minut z tym facetem sam na sam. Nic mnie nie obchodzi, jak go wyszkolili w wojsku czy gdzie indziej. Nie obchodzi mnie, że zmienili go w takiego czy innego mordercę. Daję słowo, załatwiłbym go! Żebym tylko miał okazję. Niech pan posłucha - popatrz na mnie. W jego głowie wyczuwało się rosnące napięcie i podniecenie. - Zapiszę panu swój adres. Niech pan przekaże go zabójcy, zgoda? Jeżeli on rzeczywiście chce rozpocząć serię morderstw, to może by zaczął ode mnie; dlaczego by nie? Wtedy się przekonamy, czyje będzie na wierzchu.

Młody człowiek wziął ołówek i kawałek papieru z mojego biurka, po czym szybko coś na nim napisał.

- Niech mu pan to przekaże - powiedział wręczając mi zapisany arkusik. Przeczytałem, co tam napisał. Podał adres domu rodzinnego w południowej części miasta.

- Dobrze, przekażę - skłamałem.

Młody człowiek rozsiadł się na krześle; nie był w stanie się uspokoić.

- Wystarczy pięć minut - powiedział przyglądając mi się. - Niech pan mi powie, dlaczego pan rozmawiał z tym facetem. Niech pan powie, dlaczego.

- On jest szalony - odparłem kręcąc głową. - Szaleni ludzie robią szalone rzeczy. Co mam panu powiedzieć?

Wzruszyłem ramionami w sposób wręcz demonstracyjny. To było kolejne kłamstwo.

- Nic mnie nie obchodzi, że on jest chory - powiedział młodzieniec. - Chcę, żeby zginął, tak jak zginęła moja siostra.

- Trudno mieć o to żal do pana.

Długo tarł rękami oczy.

- To nie jest w porządku. Jak Pan Bóg mógł to zrobić? Ona nigdy w życiu nikomu nie zrobiła krzywdy. Kiedy miała dziesięć lat, wzięła nawet udział w marszu pokoju. Czy potrafi pan w to uwierzyć? Szła z dorosłymi, podbiegając co chwila, by nie pozostać w tyle, i śpiewała dziecięcym głosem: „Pokój na tychmiast! Nigdy więcej wojny!” Do domu wróciła zapłakana, bo policja za chowała się paskudnie. Może pan w to uwierzyć? Paskudnie - użyła tego słowa. Miała rację — oni dokładnie tacy byli. Nigdy niczego się nie bała. Idę o zakład, że nie bała się nawet w ostatnich chwilach życia.

- Chyba ma pan rację.

Rozejrzył się dookoła.

- Przeszkadzam panu w pisaniu - powiedział. - Podejrzewam, że będzie kolejny tekst?

- Tak, na temat reakcji różnych ludzi. Ukaże się jutro.

- Rozumiem - chłopak podniósł się. - Kiedy ten skurwiel do pana zatelefonuje, niech mu pan powie, że Jerry Hooks chce go dostać. Proszę mu rzucić w moim imieniu wyzwanie: niech pan mu powie, że czekam na niego.

Machnął w powietrzu zaciśniętą pięścią.

- Zabiję go gołymi rękami.

- Powiem mu to - obiecałem myśląc w duchu, że może to zrobię, a może nie.

Chłopak spojrzął na wartownika.

- Przepraszam - powiedział; wartownik skinął głową z kamiennym wyrazem twarzy. Następnie chłopak zwrócił się do mnie: - Przepraszam za to, że sprawiłem kłopot. Ta sprawa chyba spowodowała, że wpadłem w szaf.

Wyciągnął rękę, wymieniliśmy uścisk dłoni na pożegnanie.

- Nie mam do pana żalu - powiedziałem i wyszedł w towarzystwie strażnika.

Podszedł do mnie Nolan.

- Ostry chłopak - zauważył. Zgodziłem się z nim.

- Opisz to, słowo w słowo. Niech to będzie wstęp do tekstu o reakcjach ludzi - powiedział patrząc na mnie.

- W porządku - zgodziłem się.

- To wspaniały materiał - ciągnął Nolan. - Boże, ten dzieciak naprawdę miał zdrowe odchylenie od normy. Biedaczysko.

Znowu spojrzął na mnie.

- Masz opisać wszystko: jego wyraz twarzy i to, w jaki sposób zapisywał swój adres. Opisz wszystko. To wręcz fenomenalne.

Wróciłem na swoje miejsce. Zanim zabrałem się do pisania, odtworzyłem sobie kilka razy ostatnie słowa młodego człowieka. Dźwięczały mi w pamięci jak oskarżenie.

Później potrząsnąłem głową, jakbym chciał odpędzić od siebie ten obraz, i zacząłem rekonstruować niedawną rozmowę. Ostatnie słowa pomiąłem.

Kiedy wróciłem do domu, Christine czekała na mnie. Wieczorne niebo miało kolor jadowity, purpurowofioletowy. Resztki dziennego światła rozjaśniały potężne burzowe chmury, zbierające się nad Everglades na zachód od miasta.

- Widziałam cię w telewizji - powiedziała. - W wiadomościach ogólnokrajowych, a także w programach Cronkite'a, Brinkleya i Chancellora. Twój ojciec także to oglądał. Telefonował parę minut temu.

Zarzuciła mi ręce na szyję.

- Nie jestem tylko pewna, czy mam być dumna, czy się bać.

Poszedłem do kuchni otworzyć butelkę piwa. Christine naląła sobie kieliszek wina, po czym usiadliśmy, by porozmawiać. Lubiła przeczesywać palcami włosy, odgarniając je do góry i w tył, jakby chciała odsłonić uszy. Piwo było zimne; czułem, jak rozchodzi się po moim ciele i przyjemnie chłodzi. Rozluźniłem krawat i usiadłem wygodnie, unosząc szklanekę.

- Twoje zdrowie - powiedziałem, a ona stuknęła się ze mną. - Jak ci minął dzień?

- Jak zwykle. Mieliśmy jednego dzieciaka. Właściwie to nie był dzieciak, tylko chłopak w tym trudnym wieku, kiedy głos nie jest ani niski, ani wysoki. Pamiętasz, jak to jest? Chłopak zaczyna się kochać w dziewczynach i na samym środku czoła wyskakuje mu pryszcz - mówiła z uśmiechem. Jak także się roześmiałem.

- No i co?

- To było *zarazem* wesołe i smutne. Nieraz myślę, że za dużo przejmuję się wszystkimi pacjentami, którzy trafiają na oddział. Rozumiesz, administrator pytał, czy zgodziłabym się przejść na oddział nieuleczalnie chorych i zająć się tego rodzaju przypadkami. Ci ludzie mają już tylko nadzieję, a czasami nawet i tego im brakuje. Nie wiem, co robić. Na moim oddziale pacjenci mają przynajmniej szansę. Małą lub najwyższą średnią, ale jednak.

- A ten chłopak?

- Miał potężną narośl na kostce. Jeśli się tego nie otworzy, nigdy nie wiadomo, co siedzi w środku. To znaczy rentgen ujawnia, że coś tam jest, pozwala ocenić, jakie to jest wielkie i tak dalej, ale tak naprawdę trzeba otworzyć to miejsce, aby się zorientować, co tam tkwi. A to się robi na sali operacyjnej, przy zapalonych światłach. Jest w tej operacji coś wyjątkowo obrzydliwego.

No więc przywieźli chłopaka. Nie wiadomo, co robić z dzieciakami w tym wieku, które mają w sobie poczucie nieśmiertelności. To jest straszne, słowo daję. Można im mówić najgorsze rzeczy, tłumaczyć, że ich życie liczy się na dni, godziny i minuty, a one i tak myślą, że są wieczne. Mają niewiarygodne zaufanie do siebie, wierę w swoje ciało. Nie są na tyle dorosłe, by zdawać sobie sprawę ze zdrady, jakiej ciało potrafi się dopuścić.

Ten dzieciak spędził w szpitalu noc, szalejąc po całym oddziale. Dyżurująca w nocy pielęgniarka opowiadała mi, że nie położył się spać i gadał przez całą noc, nawet po przyjęciu środków uspokajających. Siedziała z nim kilka godzin. Mówiła, że chciał rozmawiać o baseballu, o Jankesach i zespole Red Sox. Szkoda, że ciebie tam nie było, mógłbyś mu dużo opowiedzieć.

Rano był całkowicie przygotowany; kiedy sanitariusz przewoził go na wózek do pokoju redakcyjnego, chłopak spojrzął na lekarza i powiedział: „Wierzę panu, ale niech pan nie odchodzi”. Potem się roześmiał, a my za nim. Stałam tuż przy nim i sprawdzałam, czy chłopiec sennie denerwuje, ale on był spokojniejszy ode mnie. Kiedy pentothal zaczął działać, zgasł jak świeca. Z guza wzięto wycinek dla potrzeb biopsji, a ja czekałam i modliłam się, żeby wynik był negatywny. 'Ta praca wpędza mnie w religijny fanatyzm; w duchu nieustannie błagam: „Boże, spójrz, to taki dobry chłopiec. Pozwól mu odetchnąć”. Tym razem to się sprawdziło. Nowotwór okazał się łagodny. Patolog, który wrócił z tą wiadomością na salę operacyjną, uśmiechał się od ucha do ucha. Lekarze śmiesznie wyglądali z uśmiechem za maskami, które zasłaniały im twarze.

Była jednak i zła wiadomość - aby usunąć cały guz, trzeba było złamać pacjentowi nogę. Chirurg przez całą godzinę starał się wyciąć narośl, zanim chwycił przyrząd do łamania kości. Kłął przy tym straszliwie - ma syna w tym samym wieku. Chłopcu trudno było to zrozumieć. Kiedy się obudził, chyba był rozczarowany. Mówił tylko o drużynie American Legion i że straci cały sezon. Był zmieszany, bo

nie potrafił zrozumieć, dlaczego wszyscy są tacy szczęśliwi. A myśmy się cieszyli, że guz okazał się niegroźny i nie trzeba było mu tej nogi usuwać. On zrozumiał tylko tyle, że ma złamaną nogę, chociaż nie stało się to na skutek walki na boisku. Wysuszyła swój kieliszek do ostatniej kropli, po czym napełniła go ponownie, patrząc na mnie.

- Pamiętaj, jaki sam byłeś w tym wieku? Nie mogę sobie tego wyobrazić.

Długo nad tym myślałem. Widziałem tylko szczupłego chłopaka na zakurzonej asfaltowej drodze, wylaniającego się z cienia i znowu weń wchodzącego. Było późne letnie popołudnie. Nie byłem w stanie wyobrazić sobie dokładnie twarzy mordercy, ale widziałem jego niewielki pokoić; widziałem dyscyplinę; słyszałem sapanie ojca, pracowicie okładającego kijem pokrwawione plecy syna.

- Grałeś w baseball? - zapytała Christine.

— Jako shortstop - odrzekłem. - Mój brat był catcherem. Przypomniało mi się rozpalone letnie słońce. Roześmiałem się na głos.

- Kiedyś rozgrywalimy trudny mecz; jeden z zawodników drużyny przeciwnej bardzo mocno rzucił piłkę na prawo, pomiędzy mnie a trzecią bazę. Oni mieli gracza na trzeciej bazie, bardzo dobrego biegacza. Chłopak z trzeciej bazy przerwał się na stanowisko odbijającego. Widzisz, zasada była taka, że dwaj gracze na polu zewnętrznym biegną do każdej piłki. Wtedy oddałem ten skok — chyba nawet nie taki daleki, ale w tym wieku wszystko wydaje się większe i szybsze, no i złapałem piłkę. Pewnie wpadła mi do rękawicy przez przypadek. Tak czy inaczej, chłopcy w tym wieku mają niemal doskonały instynkt. To się traci dopiero później, w rezultacie treningu. Podniosłem się i odrzuciłem piłkę swoim. Nie mogłem wykonać lepszego rzutu. Piłka leciała na wysokości pasa i miała wielką siłę. Wyprzedziłem biegacza o mniej więcej trzy metry. Ale mój brat jej nie złapał. Nie rozmawiałem z nim przez tydzień.

Uśmiechnąłem się, ale Christine zmarszczyła brwi.

- To mi wygląda na okrucieństwo - powiedziała.

- Dojrzewanie to okrutny wiek.

Przyszedł mi na myśl zabójca i stwierdziłem, że jednak dojrzewanie nie jest aż tak okrutne. Zadzwoił telefon - podniosłem się i podszedłem, by go odebrać.

- To pewnie twój ojciec - odezwała się Christine. Poszła do kuchni, aby zrobić mi kanapkę.

- Oglądałem cię w wiadomościach telewizyjnych - oświadczył ojciec i roześmiał się. - Robiłeś wrażenie rozdrażnionego, jakbyś był nie na swoim miejscu.

- Chyba tak, z początku.

- W tym musi coś być. Czy morderca zadzwonił ponownie?

- Na razie nie, ale spodziewam się, że da znać - odparłem.

- To musi być ekscytujące. Ciekawe, czy jutro rano będzie coś na ten temat w „Timesie”?

- Telefonował do mnie ich dziennikarz.

- No i jak ci się podoba ta nagła popularność? - zapytał.

Kilka możliwych odpowiedzi przeleciało mi przez głowę. Najpierw chciałem powiedzieć, że nie robi to na mnie wrażenia, że jestem tym samym

obiektywnym reporterem, niezależnie od tematu i uwagi, jaką mnie darzą. Albo że to tylko jeszcze jeden temat, który moim zdaniem nie jest niczym nadzwyczajnym. Ale takie kłamstwo byłoby zbyt przejrzyste. Odrzekłem więc, że jest to podniecające i sprawia mi radość, że znalazłem się w centrum zainteresowania.

- To trochę podobne do tego, co ty przeżywasz - powiedziałem - kiedy uczestniczysz w bardzo głośniejszej sprawie. Nagle znajdujesz się na samym środku sali sądowej, a wszyscy uważnie wsłuchują się w twoje słowa. Mam wrażenie, że to coś w tym rodzaju: po raz pierwszy naprawdę widzę, że moja praca przyniosła jakiś rezultat. Zabójca kilka razy powtórzył, że ma zamiar stworzyć teatr. Przypuszczam, że odgrywam w tym dość istotną rolę.

- No i jak, podoba ci się to? - zapytał ojciec.

- Szczerze mówiąc, tak - przyznałem. On zastanawiał się przez chwilę.

- To mi trochę przypomina czasy, kiedy byłem młodszy i pracowałem w tej wielkiej firmie z Wall Street. Pamiętasz? Clay, Michaels, Black. Ta kancelaria rudy nowo działała *pro publico bono*; zwykle zajmowali się sprawami związanymi z walką klasową i tak dalej. Było to we wczesnych latach pięćdziesiątych, kiedy czołówki wszystkich gazet okupował stary Joe McCarthy. Poproszono nas o reprezentowanie pewnego młodego człowieka, oskarżonego o morderstwo. Mnie wyznaczono na jego obrońcę. Był to bezrobotny doker, twardziel, członek partii komunistycznej. Pamiętam, że opowiadał mi o starszym bracie, który zginął w Hiszpanii, gdzie walczył w Brygadzie Lincoln. Dokera oskarżono o to, że zabił innego gościa w bójkę jednym ciosem w szczękę. Szkopuł w tym, że ten drugi był bratem nowojorskiego gliniarza i na prokuraturę wywierano nacisk, aby wyrok był wysoki. Wykluczono wszelkie układy. Stałem do walki; gazety, szczególnie prasa bulwarowa, rozdmuchiwały całą sprawę. Postanowiliśmy dowodzić, że do zabójstwa doszło w warunkach samoobrony. Pamiętam, co czułem, stojąc w sali rozpraw. Byłem wówczas niewiele starszy niż ty teraz. Akt oskarżenia, sam proces, obrona - wszystko to wydawało się drugorzędne w porównaniu z powszechną uwagą, jaką mnie obdarzono. To było prawdziwie podniecające, elektryzujące. Podobne uczucie towarzyszy mężczyźnie przy pięknej kobiecie. - Ojciec roześmiał się.

- I co się stało z tym dokerem?

- Zwyczajnie, raz się wygrywa, raz przegrywa. Ława przysięgłych nie przyjęła oskarżenia o morderstwo z premedytacją, uznała, że było to zabójstwo nieumyślne.

- No i?

- To była smutna sprawa - głos ojca nieznacznie się zmienił. - Sędzia ugiął się pod wszystkimi naciskami i posłał chłopaka do więzienia. Mniej więcej rok później zginął podczas bójkę na podwórzu w Sing Singu.

Na chwilę zapanowała cisza.

- Powiem ci jedno: jeżeli ten gość zostanie złapany, to nie zazdroścę ani prokuratorowi, ani jego obrońcy. Przede wszystkim jednak - ojciec znowu zrobił pauzę - nie wydaje mi się, żeby go schwytali.

- A to dlaczego?

- Bo on robi wrażenie kompletnego szaleńca, ale jest bardzo sprytny. To kiepska kombinacja. Powinieneś bardzo na siebie uważać.

Jeszcze jedna chwila ciszy.

- A popularność nie ma znaczenia. Żałowałem tego później, i ty też będziesz żałował - dodał.

- Możliwe - odrzekłem, ale nie byłem przekonany. Wyobraziłem sobie ojca pracującego w domu, w gabinecie. Robił sobie martini; na biurku piętrzyły się książki prawnicze i arkusze papieru z notatkami i refleksjami. Ojciec był człowiekiem bardzo oddanym zawołaniom prawa. Do statutów i przepisów podchodził jak do materii ożywej, zachowywał się jak chirurg mający do czynienia z żywą tkanką. Ja znałem ten świat jedynie pośrednio; widywałem ojca przy pracy, przeglądałem jego książki. Kiedyś starałem się przeczytać streszczenie sprawy, jakie napisał. Było krótkie, a ja pomyślałem, że skoro to on napisał, musiało tam zostać coś z jego osobowości, więc jak to przeczytam, łatwiej uda mi się przebić przez rezerwę, jaką okazywał. Całymi dniami walczyłem z kolejnymi stronami, cytatai, przypisami, szukając śladów ojca. Wiele lat później doszedłem do przekonania, że doszukałem się ich tam, tylko wówczas nie zdawałem sobie z tego sprawy. To z jego powodu zostałem dziennikarzem. Prześliznąłem się przez szkolne lata dzięki łatwości pisania - mogłem nawet spać na lekcjach. W końcu ojciec zapytał, czego się nauczyłem. Odpowiedziałem, że niewiele. On stwierdził, że skoro umiem pisać, powinienem wykonywać taki zawód, w którym jest to niezbędne. W tydzień później po drodze do domu wstąpił do miejscowej biblioteki i przestudiował egzemplarz „Rocznika wydawniczo-publicystycznego”, zawierającego kompletny spis tytułów prasowych i ludzi kierujących tym sektorem w całym kraju.

- Jeszcze jedno - mówił teraz. - Nie jestem pewien, czy wierzyć w całą tę opowieść o Wietnamie.

- Jak to?

- Mam wrażenie, że to po prostu zbyt wygodne. Ludzie zwalają wszystko na tę parszywą wojnę. Kłopoty gospodarcze, recesja, inflacja... wszystko przez wojnę w Wietnamie. Afera Watergate, ten cholerny prezydent - mówią, że to również przez Wietnam. A teraz ten gość, któremu się wydaje, że może kręcić się po okolicy i zabijać ludzi, a potem zrzucić to na wojnę wietnamską. Twój stryj przeżył ciężkie chwile podczas wojny, bardzo ciężkie. A mimo to nie zaczął mordować ludzi, kiedy wrócił do domu.

- Nie licząc samego siebie - odpowiedziałem machinalnie, zanim zdolałem się pohamować.

- Może i masz rację - odrzekł ojciec z wahaniem.

Potem zacząłem wypytywać go o matkę, brata i siostrę. Przez jakiś czas rozmawialiśmy o rodzinie. Wreszcie ojciec rozłączył się, udzieliwszy mi na koniec następującej rady:

- Nie uzależniaj się nadmiernie od tego faceta i uważaj na każdy krok.

Zrozumiałem tylko drugą część tego przesłania.

Kiedy tej nocy poszliśmy do łóżka, Christine przepraszała, że nie jest zbyt chętna. Mówiła, że przestraszyła ją bliskość mordercy, że ją wytrąciło z rytmu.

Położyła mi dłonie na piersiach i zaczęła głaskać powoli, z wielkim znanstwem. W końcu jednym ruchem pociągnęła mnie - na siebie i w siebie. Tej nocy wyłącznie ona była stroną aktywną. Później usnęła, a ja leżałem z otwartymi oczami. Odtwarzałem w myślach rozmowy z psychiatrą, z bratem ofiary i z moim ojcem. Wstałem i wyrząłem przez okno. Za drzewami widać było pustą ulicę. W oddali wyła syrena -jej dźwięk zagłuszał brzęczenie nocnych owadów. Lampy uliczne zdawały się przyćmione przy jasnym świetle księżyca, zalewającym bladym srebrem cały świat. Myślałem o tym mieście, oświetlanym przez księżyc; zastanawiałem się, czy morderca także nie może spać.

Zauważyłem, że ulicą idzie powoli jakiś człowiek. Obserwowałem ciemny zarys jego sylwetki. Odniosłem wrażenie, że szuka konkretnego adresu - zatrzymał się przed wejściem do mojego domu. Spojrzał w górę, ale nasze oczy nie spotkały się. Cofnąłem się powoli, nie spuszczać go z oka. Obserwowałem go, dopóki nie zniknął za rogiem, roztopiając się w żółtym świetle latarni. Pomyślałem o telefonie stojącym na moim biurku w redakcji — zastanawiałem się, czy zabójca jeszcze zadzwoni pod ten numer.

Po chwili zdałem sobie sprawę, że chcę, aby zatelefonował. Przed oczami miałem wiele moich artykułów na pierwszych stronach, rozjarzone reflektory telewizyjne i mikrofony, które mi podsuwano pod nos. Roześmiałem się głośno, myśląc o takiej zmianie sytuacji.

Dzwoń, do cholery, pomyślałem.
Rób, co masz zrobić, ale zadzwoń.

On jednak nie zatelefonował.

Przez trzy dni telefon milczał. Napisałem dwa kolejne artykuły —jeden z nich dotyczył rozbudowanego śledztwa policyjnego i zawierał sylwetki prowadzących dochodzenie detektywów Martineza i Wilsona. Drugi tekst znowu przedstawiał reakcje ludzi z ulicy. Trzeciego dnia podszedł do mnie Nolan.

- Chryste, obawiam się, że morderca poczuł, że robi się gorąco i dał nogę — powiedział patrząc na podłączony do telefonu magnetofon. - Ale jeszcze poczekajmy.

Kiedy telefon zadzwonił, skoczyłem na równe nogi. Odczekałem chwilę - sygnał rozległ się raz i drugi - po czym podniosłem słuchawkę.

- Anderson, „Journal” - przedstawiłem się. Nikt się nie odzywał.

W napięciu sprawdziłem magnetofon, chcąc się upewnić, czy wszystko działa jak należy. Odetchnąłem głęboko i jeszcze raz podałem swoje nazwisko. Usłyszałem czyjś oddech po drugiej stronie. Mój ołówek zawisł nad kartką papieru.

- Kto tam jest? - zapytałem.

Nagle rozległ się wysoki, wesoły chichot.

- Christine!

- Zgadłeś - odrzekła.

- Co ty wyprawiasz, do diabła! — zachnąłem się, wyłączając magnetofon. -
 Co chciałaś w ten sposób uzyskać?

- Och, nie bądź taki śmiertelnie poważny, dobrze?

- Do cholery, Christine, to poważna sprawa! - Byłem naprawdę wściekły.
 Uderzałem pięścią w biurko, akcentując swoje słowa.

- Wiem, wiem - sumitowała się Christine. - Przepraszam. Chodzi tylko
 o to, że ty... no, że tak bardzo się temu poświęcasz. Ja chciałam tylko... jakby to
 powiedzieć... chciałam, żebyś nie brał tego aż tak poważnie.

— Ależ to poważna sprawa! Sama mi to powtarzasz od wielu dni, do
 diabła!

- Pewnie, ale na tym świat się nie kończy, prawda? - upierała się.

— Niewiele do tego brakuje.

- Nie mów tak. - Jej głos złagodniał. - Malcolm, to naprawdę jeszcze nie
 koniec świata. To tylko kolejny artykuł. Sam tak powiedziałeś.

- No to musiałem się mylić.

- Hipokryta - odpowiedziała bez gniewu. Zabrzmiało to raczej jak stwierdzenie faktu.

- To prawda. Masz rację - odrzekłem czując, jak rozluźniają mi się mięśnie na szyi i plecach.

- Przepraszam - powtórzyła. — Nie powinnam była tego robić. Ale to na pięcie nie ustępuje nawet na chwilę.

Teraz w każdym słowie Christine słychać było smutek.

- Nie ma sprawy - mruknąłem.

Odłożyła słuchawkę, a ja dalej czekałem. Zauważyłem, że aż się spociłem z nerwów. Telefon odzywał się kilkakrotnie. Za każdym razem wyciągałem rękę czując się niczym tonący, chwytający rzuconą mu linę. Ledwie potrafiłem ukryć rozczarowanie w moim głosie. Wieczorem, już w domu, Christine ze zdziwieniem patrzyła, jak reaguję na dzwonek telefonu: w jednej chwili całe moje ciało napinało się, a niedługo później ciskałem słuchawką w skrajnej frustracji.

- Cieszę się, że nikt nie zginął - powiedziała.

Nastawiła stereo - wybrała muzykę country. Pociągnęła mnie za rękę; musiałem się podnieść i dreptać z nią dookoła.

- Do, si, do - mówiła. - Krok na prawo, krok na lewo. Ukłoń się partnerce. Obróć się w prawo, a teraz w lewo.

Stałem na środku pokoju. - Christine chwyciła mnie za rękę i zakręciła.

- Och, daj spokój - poprosiła przeciągle. - Postaraj się rozluźnić, choćby tylko odrobinę.

Zatrzymała się i objęła mnie ramieniem. Zaczęła śpiewać „Stój przy swoim mężczyźnie”, chociaż te słowa nie pasowały do muzyki. Nie zdołałem się powstrzymać od śmiechu. Jej twarz również rozjaśnił szeroki uśmiech.

- Patrzcie, ludzie! - zawołała. - Oto ósmy cud świata! Właśnie tu, w naszym saloniku! Ten wspaniały dziennikarz o kamiennej twarzy - tylko fakty się liczą, proszę pani, wyłącznie fakty - naprawdę się uśmiechnął! Ten fakt zostanie zapisany w historii medycyny!

Roześmialiśmy się oboje.

Tej nocy, kiedy Christine spała przy mnie, nie mogłem przestać myśleć o mordercy. Staralem się przesłać mu telepatyczny rozkaz: „Zadzwoń, do cholery, choćby po to, by oznajmić, że to koniec”. Poglądziłem Christine po plecach - mruknęła coś cichutko przez sen i przekręciła się na drugi bok. Pomyślałem, że oboje jesteśmy wzgardzonymi kochankami.

Następnego dnia późnym popołudniem, kiedy niebo traciło swój kolor, a upał zaczynał ustępować, rozległ się dzwonek telefonu. Była to czwarta z kolei rozmowa; dwie poprzednie to pomysł jakichś czubków, trzecia - pewnego polityka. Czuję się wyczerpany i zły.

- Andersen - rzuciłem do słuchawki, włączając jednocześnie magnetofon, ale trzymając palec na klawiszu, aby w razie czego natychmiast go wyłączyć.

- Wystawiłem twoją wiarę na próbę, prawda? - powiedział daleki głos. Wiało od niego chłodem.

- Nie sądziłem, że zadzwonisz - odrzekłem.

- Mówiłem ci, że to dopiero początek.

Zapadła krótka cisza.

- Oglądałem cię w telewizji - odezwał się po chwili. - To było dobre, bardzo dobre. Uznałem, że teraz chodzi już tylko o ciebie i mnie.

- Co masz na myśli?

- Wytłumaczę ci później. Najpierw trzeba działać. Tak jak w wojsku: najpierw strzelasz, potem zadajesz pytania.

- Nie rozumiem - powiedziałem.

- Zrozumiesz później. Oto adres w Beach: Nautilus Avenue numer dwa tysiące dwieście dziewięćdziesiąt pięć.

- Co tam jest?

- W gruncie rzeczy sam nie musisz nic robić - ciągnął, jakby nie usłyszał pytania. - Podejrzewam, że za dzień czy dwa sąsiedzi nabiorą podejrzeń, pójdą tam i zaczną kołatać do drzwi. Wtedy pewnie poczują ten zapach. To dosyć wyjątkowy odór: jest w nim jakaś słodycz, a jednocześnie aż przenika człowieka i wywraca wnętrzności. Jeżeli go raz poczujesz, nigdy tego nie zapomnisz. Dziwne jest także to, że kiedy już tę woń poczujesz, doskonale wiesz, skąd się wzięła, nie musisz nawet patrzeć; nawet jeśli nie wiesz, to i tak wiesz.

Kolejny moment zawahania.

- Wkrótce znowu sobie porozmawiamy - powiedział na koniec. - Na razie.

Usłyszałem ciche stuknięcie - rozmowa była zakończona.

Rozdział siódmy

Odnalezienie zwłok starszego małżeństwa oznaczało zwrot w tej sprawie. Ich V_y śmierć wpłynęła także na mój sposób pojmowania wydarzeń tego lata. Znaczna część podniecenia i przyjemności wynikającej ze skupienia na sobie

tak wielkiej uwagi - stałem się bohaterem wywiadów telewizyjnych, widziałem własne teksty w konkurencyjnej gazecie i w serwisach agencji - zdawała się rozpląwać w zacienionej, cichej uliczce w starej części Miami Beach. Poprzednio uważałem zabójcę tylko za człowieka chorego. Teraz jego okrucieństwo stało się oczywiste.

Śmierć starszego małżeństwa wywarła też silny wpływ na lokalną społeczność. Zacząłem dostrzegać pierwsze oznaki paniki. Przypuszczam, że zachowałem się tak samo jak wszyscy mieszkańcy Miami; sądziłem, że morderca ograniczy się do zabijania kilkunastoletnich dziewcząt, że u źródeł jego pasji leży jakiś nieszczęsny, niewytłumaczalny popęd seksualny. Śmierć starszego małżeństwa wywołała szok w miejscowym społeczeństwie - przypominała trzęsienie ziemi, od którego kołyszą się fundamenty, a człowiekowi robi się niedobrze. Wydawało się, że wszystkim przychodzi do głowy jedna i ta sama myśl: „Mój Boże, następnym razem może być kolej na mnie”.

Kiedy na moim biurku rozdzwonił się telefon, w pokoju redakcyjnym zapadła niespodziewana cisza. Czuję, jak redaktorzy i reporterzy odwracają się w moim kierunku z napiętą uwagą, szukając reakcji w mojej twarzy. Doświadczalem coraz silniejszej izolacji, jakbym to ja sam był mordercą.

Po zakończeniu rozmowy szybko wstałem i poszedłem do stanowiska Nolana. Podniósł wzrok i zauważył moją minę.

- Znowu? - zapytał.

- W Beach - poinformowałem go. - Przypuszczam, że znów kogoś zabił.

Podał mi adres: Nautilus Avenue dwa tysiące dwieście dziewięćdziesiąt pięć.

Nolan zawahał się.

- Bierz Portera i jedźcie. Ja zadzwonię do wydziału zabójstw - powiedział.

W chwilę później rozmawiał już z Martinezem i Wilsonem. Usłyszałem, że proponuje im, aby spotkali się ze mną na rogu Dwudziestej Drugiej i Nautilus. Nie powiedział im, dlaczego mają to zrobić, ale podejrzewam, że nikt nie miał co do tego specjalnych wątpliwości. Odwrócił się do mnie i machnął ręką:

— Jedź już — powiedział.

Porter i ja jechaliśmy groblą o nazwie Yenetic Causeway, przecinając zatokę, aby skrócić sobie drogę do Beach. Spoglądałem przez okno samochodu na wodę; lekki wiatr powodował, że na niedużych falach pojawiała się biała grzywa. Na środku grobli wędkarze topili haczyki w płytkiej wodzie. Widziałem starą czarną kobietę wychylającą się nad wodą i obracającą korbkę kołowrotka; koniec jej wędki wyginał się i podskakiwał. Najwidoczniej ukryta pod powierzchnią ryba szarpała haczyk. Kobieta chichotała tak głośno, że słysząc ją było w naszym samochodzie.

Czekaliśmy kilka minut na przybycie detektywów. Porter przez ten czas przygotował sprzęt; zawiesił sobie na szyi dwa aparaty, z których jeden był wyposażony w lampę błyskową do robienia zdjęć w pomieszczeniach, a drugi miał film przeznaczony do zdjęć na otwartej przestrzeni. Zadał mi kilka pytań, usiłując dociec, co wiem na temat miejsca, do którego zdążamy. Chciał sobie wyobrazić, co tam zastaniemy, co będzie musiał fotografować.

- Uwielbiam tę chwilę, zanim coś się zacznie dziać - powiedział. - Ten moment, zanim sędzia gwizdkiem da znać, że czas rozpocząć grę. Tak jak wtedy, kiedy zrobiłem zdjęcie tego potężnego huraganu na Karaibach. Nie było tam telefonów, żadnej łączności. Miałem do dyspozycji wysłużonego land rovera i tylko jeździłem z jednej miejscowości do drugiej. Burza zrównała wszystko z ziemią. Przełamane na pół drzewa, zburzone domy, pozrywane dachy. Kiedy pokonywałem ostatni zakręt przed wjazdem do kolejnego miasta, odczuwałem obawę, co tam zobaczę, ile zwłok na ulicach. Trupy puchły na słońcu. Tak samo czuję się teraz... jakbym miał wejść w ten ostatni zakręt.

Nie odpowiedziałem mu, tylko spojrzałem na kartkę, którą trzymałem w dłoni. Zapisałem na niej dwa nazwiska: pan Ira Stein, pani Ruth Stein. Znalazłem je w miejskiej książce telefonicznej, którą pobieżnie przejrzałem. To była typowa dla Beach, cicha, spokojna uliczka. Domy, w większości pochodzące z lat trzydziestych, pokryte były białym stiukiem i odsunięte o kilka metrów od jezdni — schludne budynki w hiszpańskim stylu, z łukami przy wejściu i drzewami owocowymi dookoła. Przed drzwiami niektórych posiadłości stały zaparkowane samochody, ale dominujące wrażenie wiązało się z ciszą charakterystyczną dla tej okolicy. Wiatr poruszał liśćmi pobliskiej palmy.

- Oto i oni - zauważył Porter.

Detektywi przyjechali nie oznakowanym samochodem. Ustawili koguta na desce rozdzielczej, ale nie włączyli syreny. Technicy z ekipy badającej miejsce zbrodni pozostali w swoim wozie.

- No więc o co chodzi? - zapytał Martinez.

- Morderca znowu zadzwonił. Podał mi adres; to tam - powiedziałem, pokazując ręką.

Wilson spojrzał we wskazanym kierunku.

- No dobrze. Zobaczmy to.

Odwrócił się do Portera:

- Pan też może wejść, ale mam wiedzieć, co pan fotografuje. Nie chcę jutro wziąć do ręki gazety i przekonać się, że na pierwszej stronie figuruje jakiś dowód.

- Nie będę się opierał - kiwnął głową Porter.

Wsiedliśmy do samochodów i powoli podjechaliśmy do następnej przecznicy. Dom, o który nam chodziło, był ostatnim budynkiem po lewej stronie. Porter zaparkował przed frontem.

- Chodźmy, chcę to zobaczyć - powiedziałem; poszliśmy przez trawnik do drzwi frontowych, mijając po drodze jakieś krzewy.

Morderca miał rację - ten zapach był wyczuwalny. Zatrzymałem się, czekając na detektywów.

Wilson stał przez chwilę, po czym zwrócił się do Martineza:

- Wezwij lekarza - powiedział i pomachał na techników. Drzwi były lekko uchylone; człowiek z ekipy technicznej wyjął szczyrzyk i otworzył je szerzej.

- Niczego nie dotykajcie — ostrzegł Wilson. - Najlepiej trzymajcie ręce w kieszeniach. Jeżeli poczujecie, że robi się wam niedobrze, macie szybko wybiec na dwór.

Detektyw wyciągnął chustkę do nosa.

- Macie to ze sobą? - zapytał. - Nie? No to weźcie te papierowe serwetki. Przyłóżcie je do nosa. To może wam pomóc. Jesteście gotowi?

Spojrzał na Portera.

- Znakomity obiekt, prawda? - zapytał nie oczekując odpowiedzi.

W środku panował porażający fetor; miałem wrażenie, że okrywa moją twarz niczym maska. Miałem już wcześniej okazję zapoznać się z wonią nieżywych ludzi, ale ten smród wydał mi się znacznie gorszy. Wszystkie okna były pozamykane, powietrze ciężkie i stęchłe. Morderca mówił prawdę - to słodki zapach. Weszliśmy do saloniku.

Nie byłem przygotowany na taki widok. Nie wyobrażałem go sobie nawet w najgorszych snach.

Krew była dosłownie wszędzie - na ścianach, na podłodze, na dywanach, kanapie i pozostałych meblach. Na jednej ze ścian wisiało wielkie lustro, a na nim wymalowane krwią numery - dwa i trzy. Na pierwszy rzut oka wyglądało to na cyfry narysowane ręką dziecka.

Dwoje starszych ludzi leżało obok siebie na podłodze. Byli nadzy. Ich głowy spoczywały w kałuży zaschniętej krwi. W rogu dostrzegłem zwyczajną gąbkę identycznej barwy - trudno ją było zauważyć. Zwłoki były sztywne i obrzmiałe.

- Jezu - powiedział stojący za mną Martinez. Widziałem, jak Porter podniósł aparat, ale zaraz go opuścił. Szukał odpowiedniej kompozycji - kiedy ją znalazł, ponownie przyłożył wizjer do oka. W pokoju rozblysło jasne światło flesza, a następnie rozległ się szum silniczka przewijającego kliszę. Wilson spojrział na Portera z rozdrażnieniem.

- Koniec ze zdjęciami - powiedział. - Boże drogi, popatrzcie na to.

Zwrócił się do mnie:

- Popatrzcie sobie, ile chcecie, a potem wynoście się i dajcie popracować technikom. To średnia rozrywka, co?

Nie odpowiedziałem. Skoncentrowałem myśli na szczegółach tej śmierci. Zarejestrowałem pozycję, smugi krwi. Ręce zabitych były związane, tak jak wcześniej dłonie nastolatki. Zauważyłem malowidło na ścianie — postać ptaka uchwyconego w locie; była to mewa unosząca się tuż nad falami. Zwróciłem uwagę na stare meble, cacka i pamiątki gromadzone przez całe życie. Wreszcie odwróciłem się, kiwnąłem na Portera i powiedziałem:

- Zgoda.

Kiedy znalazłem się na zewnątrz, zacząłem chciwie połykać świeże, czyste powietrze. Pachniało pobliskim oceanem, a ja potrząsałem głową, chcąc się pozbyć trupiego smrodu.

Porter zabrał się do roboty, fotografując biegających to tu, to tam policjantów. Kilka starszych osób wyszło z domów na ulicę i patrzyło, co się dzieje. W oddali słychać było syreny - prawdopodobnie zbliżała się policja z Miami Beach, karetki pogotowia i lekarz sądowy. Może również policyjne wysokie szarże. Podeszedłem do skrzynki pocztowej nieżyjącego małżeństwa. W środku

znajdował się list wysłany z Nowego Jorku. Nazwiska adresatów były identyczne jak te, które wyszukałem w książce telefonicznej.

- To oni - zameldowałem Nolanowi przez radiotelefon w samochodzie. Przez moment na linii trwały jakieś zakłócenia, a potem usłyszałem jego głos:

- I co dalej?

- Są martwi od dawna. Przynajmniej od kilku dni, a może dłużej. Smród jest niewiarygodny. Zwłoki nagie, dookoła pełno krwi. Niedobrze się od tego robi.

- Jezu - jęknął Nolan. Pomyślałem, iż to bardzo dziwne, że wszyscy reagują w identyczny sposób. -Porozmawiaj z sąsiadami, postaraj się dowiedzieć, kim oni byli... rozumiesz, o co mi chodzi. Jesteśmy na granicy harmonogramu, więc odezwij się do mnie jak najszybciej.

Radio ucichło; obejrzałem się i dostrzegłem nadjeżdżającego lekarza sądowego. Zauważył mnie też i pomachał na powitanie.

- Musimy skończyć ze spotkaniami w takich miejscach - powiedział z uśmiechem i wszedł do domu. Wziąłem notatnik i zacząłem wypytywać sąsiadów; widziałem, jak zmienia się im wyraz twarzy, przechodząc od zaskoczenia do przerażenia, kiedy dowiadawali się, co się stało za zamkniętymi drzwiami sąsiedniego domu. Zostałem na miejscu, dopóki nie wynieśli ciała. Ukryto je w czarnych workach zamykanych na suwak, tak jak to zrobiono ze zwłokami nastolatki. W pobliżu zdążyli się już zgromadzić przedstawiciele stacji telewizyjnych, agencji prasowych i innych mediów, wolni strzelcy, fotograficy i Bóg wie kto jeszcze. Większość z nich usiłowała się ode mnie dowiedzieć, czy mordca zadzwonił ponownie. Mówiłem, że tak, że podałem mi adres. Czułem ciepło bijące od telewizyjnych reflektorów, kiedy obracano je na grupę czekających dziennikarzy, chcąc mnie wyłuskać spośród nich. Nie wspomniałem nikomu, że byłem w środku; ograniczałem się do informacji, że w domu znajdują się dwa trupy i pełno krwi.

Obserwowałem starą kobietę, stojącą z boku. Jej wzrok podążał za wykonującymi swoją pracę policjantami, od czasu do czasu kierując się na zgromadzonych nieopodal dziennikarzy. Miała na sobie białopodómkę, obszerną, spływającą w dół obfitymi fałdami. Wiatr powiewał okryciem, pozwalając ujrzeć ostre kany starczego ciała. Usta kobiety poruszały się w modlitwie - przypuszczałem, że odmawia kadosz. Kosmyki siwych włosów powiewały nad jej czołem. Kiedy sanitariusze zabrali zwłoki, odwróciła się i powoli poszła w dół ulicy, kołysząc się z wysiłkiem. Stawiała krótkie, niepewne kroki. Pomyślałem o umieszczonych w workach zwłokach; były tak wzdęte, że trudno było ocenić, czy mieszkańcy domu byli ludźmi słabymi. Przypuszczałem jednak, że właśnie tak było - nie mogło być żadnego porównania z silnym, rozwścieczonym zabójcą. Przypomniałem sobie te dwa nagie ciała, leżące obok siebie. Zastanawiałem się, ile razy tych dwoje ludzi szukało pocieszenia i przyjemności w swojej nagości.

Kiedy lekarz wyszedł z domu, nie było śladu po jego dobrym nastroju.

- Poczekajcie na wyniki sekcji - warknął w odpowiedzi na sypiące się pyłtania. Popatrzył na mnie, pokręcił głową i bez słowa wszedł do samochodu.

Dziennikarze szybko otoczyli Martineza i Wilsona. Miałem przed oczami obraz mew na plaży, wrzeszczących z podniecenia. Martinez odpowiedział im krótko, opisując wygląd wnętrza. Nie wdawał się w szczegóły i wymachiwał ręką, jakby chciał odpędzić dźwięczące w powietrzu, natarczywe pytania. Wsiadł do samochodu- Wilson zajął już miejsce za kierownicą- po czym odjechali. Patrzyłem, jak ich wóz się oddala, a potem odszukałem Portera i także się stamtąd zabraliśmy. Fotograf mruczał i kłął przez całą drogę. Kiedy wjechaliśmy na groble, zacząłem obserwować fale; noc zbliżała się szybkimi krokami, w wodach zatoki zaczynały się odbijać miejskie światła.

Dwaj detektywi czekali przy wejściu do redakcji.

- Chcemy przesłuchać taśmę - powiedział Wilson. -1 to natychmiast.

Kiwnąłem głową, a oni weszli za mną do środka. Dostzegł nas Nolan i rzucił się na spotkanie, zatrzymując całą trójkę na środku pokoju redakcyjnego. Reporterzy przerwali pracę i podnieśli głowy.

- Szukacie kasety? - zapytał; Wilson przytaknął.

- Każę zrobić kopię - zapowiedział Nolan, wyciągając kasetę z magneto fonu. - Jesteśmy skłonni do współpracy.

Przekazał taśmę chłopcu zajmującemu się wykonywaniem kopii, odwrócił się tyłem i zaczął wydawać polecenia. Detektywi usiedli przy nie zajętych biurkach. Pomyślałem, jakie to dziwne, że ich obecność strasznie denerwuje wszystkich pozostałych. Byliśmy przyzwyczajeni do kontaktów z policjantami, bo przecież przestępstwa stanowiły najważniejszy z punktu widzenia gazety wątek tematyczny, ale obecność tych ludzi na naszym terytorium traktowana była jak ingerencja czy wręcz inwazja. Wyglądało to, jakbyśmy mieli ochotę ukryć proces tworzenia gazety przed ich oczami, zachować go w tajemnicy. Patrzyłem, jak Wilson poprawia sobie broń. Było to magnum trzysta pięćdziesiąt siedem z krótką lufą, a jego wypolerowana, brązowa kolba sterczała wysoko na biodrze policjanta; wyglądało brzydko i złowrogo.

Nolan usiadł naprzeciw detektywów.

- Z pewnością nie myślicie o podsłuchu, prawda? - powiedział.

Wilson spojrział na niego ze zdziwieniem.

- A po co? Przecież otrzymujemy taśmy.

— Sam nie wiem - odparł Nolan. — Może po to, aby wysledzić, skąd telefonuje zabójca?

Detektywi bardzo się ucieszyli. Martinez uśmiechnął się szeroko, Wilson wybuchnął krótkim, głośnym rechotem.

- Za dużo telewizji pan ogląda - powiedział. - Wyśledzić rozmowę, dobre sobie!

- Nie rozumiem - zdziwił się Nolan.

- No cóż - zaczął Wilson głosem równym i mentorskim, jakby pouczał małe dzieci. Nolan wyraźnie się najeżył. - Jak wam się zdaje, ile linii telefonicznych dochodzi do tego budynku? Z pewnością kilka tysięcy. Pomyślcie o tych wszystkich telefonach w działach kolportażu, ogłoszeń, a także tutaj, w tej sali. Musielibyśmy najpierw wyszukać ten jeden, konkretny przewód, który

prowadzi do tego aparatu, na tym oto biurku. Musielibyśmy odnaleźć linię, do której podłącza się zabójca. Mówił dalej, gestykulując.

- Ale nawet gdybyśmy zdołali założyć odpowiedni typ podsłuchu na tę linię, musielibyśmy posłać do central w całym mieście naszych ludzi, aby kontrolowali najróżniejsze połączenia, sprawdzając metodą prób i błędów, która rozmowa znajduje się na właściwej linii. Byłoby to niewykonalne. Nawet jeśli założymy, że morderca pozostanie na linii przez, powiedzmy, sześć do ośmiu godzin, a my będziemy mieli odpowiedniego człowieka na służbie, to i tak potrzeba by było wiele czasu, aby wyselekcjonować numer i ustalić, gdzie on się znajduje. Co więcej, nic nie wskazuje, że ten człowiek telefonuje z prywatnego aparatu. Teoretycznie więc, gdyby wszystko poszło idealnie, moglibyśmy wyśledzić budkę telefoniczną, z której ten sukinkot skorzystał. Ale co by nam z tego przyszło? Nawet teraz, w erze komputerów i całej tej wymyślnej elektroniki, wynalezionej w czasie wojny, mielibyśmy większą szansę, gdybyśmy na chybił trafił przerywali rozmowy prowadzone w całym mieście, aby się przekonać, czy gdzieś nie natkniemy się na mordercę. Nie musicie się więc obawiać, że ktoś będzie podsłuchiwał wasze telefony. Chyba że zabójca.

Kopista powrócił z przegraną kasetą. Wilson wsadził ją do kieszeni. Kiedy detektywi zbierali się do wyjścia, zadałem im pytanie:

- Dlaczego oni byli nadzy?

Martinez wzruszył ramionami i odwrócił się, a Wilson odpowiedział:

- Wydaje mi się, że on po prostu jest sadystą. Nie jest zбочony seksualnie, ale chciał ich upokorzyć. To jedynie domysły, rzecz jasna.

Artykuł powstawał powoli. Nolan kręcił się przez jakiś czas przy moim stanowisku kontrolując, jak postępuje praca, a wreszcie wrócił do siebie, na miejsce kierownika działu miejskiego. Pociłem się nad wstępem, raz po raz wystukując na maszynie te same słowa w różnych kombinacjach: starsze małżeństwo, pełno krwi, morderca zachowuje się jak kat, rozmowa przez telefon. Słyszałem w uszach głos zabójcy, podającego mi adres, przed oczami miałem obraz leżących na podłodze zwłok dwojga starszych ludzi.

Zacząłem myśleć o ofiarach. Państwo Stein. On prowadził dawniej sklep odzieżowy na Long Island, ona zawsze była gospodynią domową. Mieli dwoje dzieci — syn był lekarzem w Nowym Jorku. Ponad dziesięć lat temu przeszli na emeryturę i przenieśli się do Miami Beach, by uciec przed lodowatym tchnieniem zimowych wiatrów wiejących w północno-wschodniej części Stanów Zjednoczonych. Byli tacy przeciętni, tacy przerażająco typowi.

Andrew Porter wyszedł ze studia fotograficznego i zbliżył się do mojego biurka. Miał twarz napiętą, zmarszczoną, a w oczach widać było gniew. Stał chwilę za moimi plecami, przyglądając się słowom powstającym na papierze wkręconym w maszynę.

- Masz, to ci pomoże opisać scenę zbrodni - powiedział i rzucił na biurko garść odbitek. Zbliżył się Nolan, a po chwili dookoła mnie stał już gęsty tłum publicystów i redaktorów. Spojrzałem na zdjęcia; przedstawiały wnętrze domu.

Były czarno-białe, przez co wywoływały tym większe wrażenie. Gdyby były kolorowe, wydawałyby się wręcz nieprawdziwe, surrealistyczne, natomiast bezlitosne, szare cienie na tych odbitkach przyprawiały widza o strach.

Kiedy puściłem zdjęcia w obieg, kilka osób zareagowało okrzykiem przeżenienia, rozległy się zduszone przekleństwa i gwizdy oznaczające uznanie. Jedno ujęcie przedstawiało zwłoki dwóch ofiar, następne smugi krwi na ścianach, jeszcze inne rany w tylnej części czaszek zamordowanych. Była też fotografia, zrobiona z ukosa, aby ograniczyć siłę flesza, która przedstawiała numery wypisane krwią na wielkim lustrze. Nolan podniósł ją do góry.

- Weźmiemy to - powiedział do Portera. - Mam nadzieję, że wywołujesz jeszcze inne zdjęcia, które będziemy mogli wykorzystać w środku numeru.

Fotograf przytaknął.

- To dobrze - oświadczył Nolan - bo zaczyna być krucho z czasem.

Mnie też pogonił do roboty.

Wróciłem do maszyny i wkręciłem czysty papier. Ludzie kłębiący się koło mojego biurka szybko się rozproszyli. Przez moment miałem wrażenie, że jestem zupełnie bezwolny, a słowa w całkowitym nieładzie przebiegają mi przez głowę. Potem same ustawiły się w odpowiednim szyku. Palce zaczęły szybko biegać po klawiaturze, na kartce pojawiały się kolejne słowa. Przestałem myśleć o ostatnich momentach życia starszego małżeństwa, koncentrując się na formułowaniu zdań. Miałem wrażenie, że opisuję to, co widziałem, co wyczułem własnym nosem i usłyszałem; to wszystko stawało się mniej realne, kiedy zamykałem swoje wrażenia w ciasnocie gazetowego artykułu, przeznaczonego do wywołania strachu u kilkuset tysięcy czytelników czekających gdzieś w mroku nocy pełnej koszmarów.

Wróciłem do pisania. To daje poczucie bezpieczeństwa.

Wieczorem, przed powrotem do domu, wpadłem do baru z Nolanem, Porterem i kilkoma ludźmi z firmy. Zajęliśmy kilka stolików w rogu, z daleka od szafy grającej muzykę country. Przy kontuarze siedziało kilku dziennikarzy i pracowników kolportażu. Zauważyłem, że rzucają nam zaciekawione spojrzenia, a potem znowu odwracają się do swoich puszek z piwem, wpatrują w ciemność i słuchają muzyki. Barmanka przyniosła nam drinki do stolika; kiedy jeden z dziennikarzy wygłosił komentarz na temat jej nóg, zbyła go krótkim uśmiechem i uniesieniem brwi. Rozległ się powszechny śmiech; pochyliłem się do przodu i przyłożyłem butelkę do czoła czując, jak chłód przenika przez skórę. Alkohol szybko przepływał mi przez gardło - po pierwszym łyku piwa czułem się dziwnie swobodny i podniecony.

- Czy nie sądzicie, że my tego gościa zachęcamy? - zapytał Nolan. - Że im większą reklamę mu robimy, tym bardziej go prowokujemy do zabijania?

Odpowiedziało mu kilka głosów naraz. Zamknąłem oczy i słuchałem tej rozmowy, kiwając się na krześle.

- Naturalnie, że nie — odpowiedział ktoś. — My jedynie informujemy o tej sprawie tak, jak należy.

- Nie jestem pewien - wtrącił inny głos. - Czy my jedynie informujemy, czy też uczestniczymy w tym wszystkim?

- Mogę powiedzieć jedno, sądząc po dzisiejszym dniu. -To Porter. -Uważam, że ten facet się coraz bardziej podpala.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - dopytywał się ktoś. - Że powinniśmy zignorować całą tę sprawę, aby nie stwarzać zachęty? Do diabła, nic mnie nie obejdzie, jeśli on zamorduje nawet tysiąc osób. My musimy reagować jako gazeta. Nie jesteśmy przecież policją, na miłość boską.

- Ale współpracujemy z policją-przypomniał Nolan. -Naprzykładw przy padku porwania. Nie piszemy w gazecie o faktach, dopóki nie nastąpi przełom, a dana osoba nie zostanie uwolniona albo zabita. W każdym razie współdziałamy z policją, aby mieć pewność, że nie zaogniamy sytuacji. Założmy, że przestanie my pisać o tej sprawie - oczywiście nie rezygnujemy z jej rozpracowywania, na dal rozmawiamy z ludźmi, tylko przestajemy drukować informacje na ten temat. A potem, kiedy ten gość zostanie złapany, opiszemy wszystko od początku. Co niewłaściwego byłoby w takim rozwiązaniu?

Odezwało się, kilka osób naraz.

- Przejęłyby temat pisma konkurencyjne, agencje, telewizja, wszyscy inni. Pozostalibyśmy sami.

- Nie jestem tego pewien - powiedział Nolan.

- Zabójca zadzwoniłby do kogoś innego i zostalibyśmy wyłączeni - rzekł ktoś. Zapadła cisza; znowu słyszałem dźwięki muzyki i brzęk szklanek przy barze. Przyszło mi do głowy, że to, co powiem, każdemu wyda się sensowne.

- To tylko próżna gadka - powiedziałem.

- Co takiego? - Nolan odwrócił się w moim kierunku.

- Mowa trawa, austriackie gadanie, nazywaj to sobie, jak lubisz. Określe nie ma przecież znaczenia. W ostatecznym rachunku zawsze wyjdzie na jedno... niezależnie od tego, ilu ludzi on zamorduje, jak straszliwe są jego zbrodnie i jak bardzo my jesteśmy powiązani z jego występami, gazeta zawsze będzie śledzić tę historię. Nie możemy postąpić inaczej. Nie jesteśmy po to, by reagować jak poczuwająca się do odpowiedzialności instytucja, jakiś urząd albo policja. Różne rzeczy się zdarzają, a my o tym piszemy. Zawsze znajdziemy następny temat, jeszcze lepszy i robiący większe wrażenie, który sprawi, że ludzie na ulicy zaczną mówić głośnie i bardziej się przejmować. Możemy na to czekać miesiąc albo i rok, ale w końcu taka rzecz się wydarzy. A wówczas skoncentrujemy się na takiej sprawie, zapominając, że obecna w ogóle miała miejsce. Rok temu „Washington Post” złamał kręgosłup prezydentowi USA, ale dziś wszyscy pytają: „A co oni zrobili ostatnio?” To właśnie jest istota tego biznesu: co zrobiliście ostatnio? To dla nas szczęście, że tacy szaleńcy jak nasz morderca pojawiają się co chwila, aby nam pomagać w pracy.

Zakończyłem przemowę i wlałem sobie do szklanki resztę piwa. Przyglądałem się, jak napój pieni się przez chwilę, a potem osiada, zostawiając tylko białą obwódkę u góry szklanki. Po chwili odezwali się inni, przeważnie zgadzając się ze mną. Nolan przyglądał mi się przez szkło swojego kufła.

- Jesteś aż takim cynikiem? - zapytał, kiedy później szliśmy już tylko we dwóch.

- No właśnie, jestem?

- Na to wygląda. Jesteś również kłamczuchem.

- A to czemu? - odpowiedziałem ze śmiechem. Nolan zachował powagę.

- Przyglądałem ci się dziś wieczorem. Widziałem, jak patrzyłeś na strony gazety. Wiedziałem, o czym myślisz. Szukałeś drabiny, sposobu odbicia się. Kiedy gliniarz pojawia się na miejscu zbrodni, to śmieje się, żartuje, robi sarkastyczne uwagi, wszystko po to, aby zaznaczyć, że między nim a tym miejscem istnieje wyraźna bariera moralna, jakby chciał powiedzieć: „Ja nie należę do tego świata”. Nam jest łatwiej, bo wykorzystujemy w tym celu słowa. Kiedy pracowałem w dzienniku „Los Angeles Times”, był tam taki starszy gość. Znasz ten typ: w spodniach dziury wypalone papierosem, pomięta koszula. Facet przez rabiął artykuły tak, aby nadawały się do druku. Mawiał, że nie musi widzieć wypadku, morderstwa czy utonięcia, aby to opisać, ponieważ jego umysł sam wytwarza odpowiedni nastrój i obrazy. Rozmawiał z kilkoma osobami przez telefon, po czym szedł do maszyny do pisania, a po jakimś czasie przynosił bardzo ostrożnie napisany, dokładny tekst. Codziennie przez pięć dni w tygodniu przyjeżdżał do redakcji ze swojego małego mieszkania w śródmieściu i wracał tam po pracy. Trwało to całe lata. No i pisał najlepsze, najwyższe materiały, jakie drukowano w tej gazecie. Myślę, że my wszyscy chcieliśmy być tacy jak on. Tacy wyjątkowi, różni od pozostałych.

Nolan ucichł i zamyślił się. Księżyc wcześniej pojawił się na niebie, jego blade światło zdawało się mieszać z promieniami rzucanymi przez lampy na parking; świat przybierał barwę purpurowo-błękitną.

- Masz rację, nigdy nie zrezygnujemy z dobrego tematu, nie ukryjemy go, nawet jeśli zabójca miałby zadzwonić do ciebie jutro i oznajmić, że popularność jest jedyną rzeczą, która zmusza go do takiego postępowania. Mam wrażenie, że tu właśnie tkwi zasadniczy dylemat i największa śmieszność, typowa dla wszelkiej egzystencji. Paragraf dwadzieścia dwa. Zastanawiam się tylko, do czego dojdzie my, jeżeli zaczniemy usprawiedliwiać własne współuczestnictwo wzruszeniem ramion i stwierdzeniem, że taki jest biznes informacyjny. Kiedy w końcu przestanie my protestować. Myślę, że jesteśmy współnikami w zbrodni. Przecież on właśnie nas posłał na miejsce morderstwa, a nie policję, straż pożarną czy kogoś takiego... A przy tym, niezależnie od tego, co się stanie, to ciągle jest wielki temat.

Milczeliśmy parę minut. Obserwowałem linię światła, rozcinających nocny zmrok.

- Do zobaczenia jutro. On pewnie znowu zadzwoni - odezwał się Nolan i odszedł do swojego samochodu. Ja czekałem, wczuwając się w ciemność i na stawiając twarz, by owiał ją choćby lekki wiaterek. Ale w powietrzu nie było najmniejszego ruchu; czułem jedynie bijące z chodnika ciepło, zmagazynowane podczas długiego upalnego dnia, a teraz ogarniające mnie niczym fala.

Kiedy przyszedłem do domu, Christine siedziała przed telewizorem w jadalni.

- Pospiesz się, akurat zaczęły się wiadomości - powiedziała.

Usiadłem w fotelu i patrzyłem, jak prowadzący program zapowiada ten temat. Christine była w samej bieliźnie; jej biały fartuch pielęgniarski leżał rzucony byle jak obok. Patrzyłem na jej nogi, słuchając monotonnego głosu dziennikarza.

- Teraz będziesz ty - powiedziała Christine z podnieceniem.

Przeniosłem wzrok na ekran. Zobaczyłem samego siebie otoczonego przez mikrofony, skapanego w światłach reflektorów. Wiatr wiał mi prosto w twarz, podniosłem rękę i przytrzymałem włosy. Potem mówiłem o ostatnim telefonie mordercy, aż na ekranie ukazało się ujęcie zwłok wynoszonych z domu w czarnych workach. Potem obraz zmienił się ponownie — na ekranie pojawił się Martinez przedzierający się przez tłum dziennikarzy do radiowozu policyjnego. Reportaż kończył się sceną typu stand-up; reporter stał twarzą do kamery i przypominał szczegóły ostatnich zbrodni. Zakończył tajemniczo: „Nikt nie wie, kiedy to się skończy”.

Chrząknąłem, podniosłem się i wyłączyłem telewizor. Christine podniosła ramiona nad głowę i przeciągnęła się. Przyglądałem się jej ciału wnikliwie, bawczo; zatrzymywałem wzrok na nogach, brzuchu, ramionach.

- Boże, ależ dziś gorąco - powiedziała. - Uważam, że prezentowałeś się bardzo dobrze. Czy to rzeczywiście było takie okropne?

- W telewizji w gruncie rzeczy nikt nie powiedział, co zastaliśmy w środku - dorzuciłem.

- Oni zostali zastrzeleni, tak jak tamta dziewczyna, prawda?

- I tak, i nie. Mieli ręce związane za plecami, jak tamta dziewczyna, zginęli od strzałów w tył głowy, tak jak ona. Ale na tym kończy się podobieństwo między tymi dwoma przestępstwami.

- Dlaczego?

- Myślę, że chodzi o krew.

Christine podniosła rękę do ust.

- A co tam się zdarzyło?

- Dom wyglądał koszmarnie. On wszystko posmarował krwią swoich ofiar. To przypominało rzeźnię. No i ci dwoje byli nadzy. Wygląda na to, że on zwariował od tych zabójstw. Jestem zaskoczony, że nikt z sąsiadów niczego nie słyszał.

- Jak to? - zapytała Christine i raptownie pobladła.

- Wszyscy chcieliby to wiedzieć.

- Ale ty powinieneś się domyślić. Rozmawiałeś z nim. Co o tym sądzisz?

- On mówi, ja słucham. To wszystko. Nie informuje mnie o wszystkich niuansach. Skąd miałbym to wiedzieć? Przecież nie jestem ekspertem - odpaliłem ostro.

- Może ci powie - zauważyła.

- Mam nadzieję, że tak; mam taką nadzieję - te słowa wyrwały mi się z ust, zanim zdałem sobie sprawę, co mówię.

- No i?

- O co ci chodzi?
- Co zrobisz, jeśli on ci powie? Będziesz starał się go powstrzymać?
- To nie jest moja robota - odparłem.
- Powiedziałeś rzecz obrzydliwą.

Złapałem ją za ramię i potrząsałem; krzyknęła cicho.

- Co chciałaś przez to powiedzieć?

Wyrwała się, chwyciła poduszkę z kanapy i położyła ją sobie na kolanach, jakby chciała przynajmniej częściowo zakryć swoją nagość.

- To, że ten facet krąży po okolicy i morduje ludzi. Zabija ich, na miłość boską, rozumiesz to? A ty jesteś jedyną osobą, którą on uważa za godny kontakt w tej sytuacji. Ale twoje wyobrażenie o dumie z przynależności do mojej scowej społeczności, o pomocy sąsiedzkiej sprowadza się do robienia notatek i pisania sprawozdań, które prawdopodobnie służą tylko jednemu celowi: prowokują tego szaleńca do następnych mordów. Co się z tobą porobiło, do ciężkiej cholery?

- Nic takiego! - Teraz już prawie krzyczałem. - To nie moja rzecz. Nie jestem gliną, nie jestem lekarzem. Nie mogę spowodować, żeby wszyscy znowu się dobrze poczuli. Robię jedno: przekazuję ludziom to, co słyszę i widzę.

- Jak cholerny robot.

- Nie, do diabła, jestem ludziom nie mniej potrzebny niż ty. Oni potrzebują informacji i wiedzy. Jak się mają bronić bez tego?

- A ty jesteś zbawicielem tych czujnych strażników? - wtrąciła.

- Gadasz bez sensu - odrzekłem. Christine wzięła do ręki stojący na stole kieliszek wina - do tej pory nie zauważyłem, że piła alkohol - i pociągnęła spory łyk, a potem złożyła głowę na oparciu otomany. Widziałem jej długą szyję, napięte mięśnie i zarys krtani. Nagle poczułem, że ogarnia mnie seksualne podniecenie. Usiadłem przy niej.

- Przykro mi - powiedziałem. - Nie mam pojęcia, co jeszcze mógłbym ci powiedzieć.

Popatrzyła na mnie i położyła mi rękę na ramieniu.

- Nie rozumiem jednego: dlaczego uważasz, że przyjęcie pozycji... obserwatora czyni cię odpornym - powiedziała.

Zamyśliłem się. Na to pytanie nie było dobrej odpowiedzi.

- Myślę, że każdy, kto uprawia ten zawód, przekonuje się, że wymaga on swojego rodzaju przebiegłości. Nikt nie lubi myśleć o innych. Uciekamy przed tym. W czasie wojny zginęła pewna liczba korespondentów. Niektórzy po prostu wyruszyli pewnego dnia i potem już nikt ich nie widział. Syn sławnego aktora, Sean Flynn, był w Kambodży jako fotograf. Usłyszał, że coś się dzieje o parę kroków dalej, wskoczył na motor i pojechał tam. Towarzyszył mu inny facet. Nigdy więcej ich nie widziano. W „Jouraal” pracuje pewien stary dziennikarz, który obsługiwał interwencję w Dominikanie; pamiętasz, posłali tam wówczas marines. Paskudnie go tam postrzelili. W redakcji zorganizowano uroczyste powitanie, ale potem, jak mi się wydaje, woleli go wysłać na zieloną trawkę. W tej profesji nie przepada się za obecnością poranionych wojowników,

stanowiących ostrzeżenie dla innych, kiedy przychodzi czas kolejnych niebezpiecznych zadań. Wszystkim nam się wydaje, że proces gromadzenia i kolportowania wiadomości zapewnia nam jakąś ochronę. Ma tak być dlatego, że naszym obowiązkiem jest dbałość o obiektywizm, że nie jesteśmy osobiście zainteresowani tym, co przyniesie publikacja. Z tego powodu kule mają omijać nas i szukać celu w postaci faktycznych uczestników wydarzeń.

- Ty mówisz o wojnie, a ja o tym szaleńcu - sprostowała Christine.

- Ależ on właśnie do tego zmierza - zaoponowałem. - Chce nam wszystkim wpoić przekonanie, że jesteśmy na wojnie.

Przez chwilę trwała cisza.

- Jeżeli tak, to chyba mu się udało - powiedziała w końcu. — Jestem wystraszona. Boję się o ciebie i o siebie samą. Odnoszę wrażenie, jakbyśmy byli teraz bardziej zagrożeni.

- Dlaczego?

- Ze względu na ciebie. Skąd wiesz, że mu wystarczą same rozmowy telefoniczne z tobą? Odnoszę wrażenie, że on chce cię w to wszystko wciągnąć. Skąd możesz mieć pewność, że nie zakończy tej afery przychodząc po ciebie? A co będzie, jeżeli napiszesz coś, co mu nie przypadnie do gustu? Co wówczas zrobi, twoim zdaniem?

- Nie mogę myśleć w ten sposób. Nie dałbym rady pisać, gdybym tak rozumował.

- Twój zaprzyjaźniony psychiatra pewnie nazwałby to odrzuceniem - skomentowała.

- Taka jest natura tego interesu.

- Niezły interes - odparła ze śmiechem Christine. - Nalej mi jeszcze wina.

Ale zamiast podać mi swój kieliszek, objęła mnie ramionami i położyła głowę na piersi. Chciałem popatrzeć na twarz Christine, ale mogłem dostrzec tylko światło odbijające się w jej włosach, podkreślające ich barwę. Czulem na skórze jej oddech. Po chwili odsunęła się, podała mi pusty kieliszek i zrzuciła poduszkę na podłogę.

Tym razem miłosne zbliżenie było jakieś nieporadne, nieskoordynowane, jakby nasze ciała nie umiały działać w sposób zsynchronizowany. Później Christine leżała bez ruchu, wyglądając przez okno sypialni. Siedziałem na łóżku obok niej i patrzyłem na nią. Nie mówiąc ani słowa, przewróciła się i zgasiła lampę. Usiadłem w fotelu przy oknie, pozwalając, by otoczyły mnie coraz głębsze, nocne cienie. Myślałem o panu i pani Stein, przypomniałem sobie też chwile wahania nad maszyną do pisania. Usiłowałem sobie wyobrazić, jak ci dwoje wyglądali, kiedy jeszcze byli żywi i pokonywali piechotą niedaleką drogę od swojego domu do plaży. Na pewno często przystawali, z tak typowym dla starszych osób niezdecydowaniem i odwracali twarze do słońca. Ale umysł uporczywie karmił mnie obrazem tych dwojga ludzi, leżących na podłodze własnego domu. Zastanawiałem się, które z nich zostało zastrzelone najpierw i jakie

myśli nawiedzały tę drugą osobę w ostatnich chwilach jej życia. Czy spokojnie przyjęli hałas, wstrząs i ciemność towarzyszącą eksplozji tuż za głową? A może do ostatniej chwili czepiali się życia, nawet kiedy partner leżał już obok z rozwaloną czaszką? Postanowiłem zapytać o to mordercę, kiedy znów do mnie zatelefonuje. Potem znowu stanęły mi przed oczami zwłoki państwa Stein. Tym razem jednak ręce trzymali przed sobą, wyciągali je do siebie, jakby chcieli się objąć. Jak to kochankowie.

Rozdział ósmy

Czołówkowy dwuwierszowy tytuł zajmował szerokość sześciu szpalt na pierwszej stronie. Był złożony czterdziestoósmiopunktową czcionką o kroju roman bold i brzmiał następująco: NUMEROWY ZABÓJCA UDERZA PONOWNIE; ZAMORDOWANE STARSZE MAŁŻEŃSTWO Z BEACH. Poniżej figurowało moje nazwisko wypisane tłustym drukiem i czteroszpaltowe zdjęcie lustra z dwoma numerami wypisanymi krwią. Poniżej umieszczono następne zdjęcie, przedstawiające ludzi z ekipy wynoszących worki ze zwłokami do ambulansu, który miał je zawieźć do kostnicy.

Materiał uzupełniający także zaczynał się na pierwszej stronie; był to mój artykuł, zawierający wypowiedzi sąsiadów. Odzwierciedlały taki sam szok i niedowierzanie, jakie towarzyszyły śmierci nastolatki. Jednak słowa były teraz inne; mówili przeważnie ludzie starsi, bardziej wrażliwi, co zawsze przychodzi z wiekiem. Wydawało mi się, że oni boją się mocniej. Znajdowali się bliżej śmierci, silniej odczuwali jej obecność. Można było odnieść wrażenie, że zachowanie życia było znacznie ważniejsze dla tych, którym pozostało już niewiele czasu.

Oba teksty kończyły się wewnątrz numeru, gdzie wraz z kolejnymi zdjęciami zajmowały całą stronę.

Christine założyła swój biały strój.

- Dzisiaj nie ma żadnych operacji, dzięki Bogu - powiedziała. - Nie są dę, abym była w stanie znieść po przeczytaniu tego wszystkiego.

Piła kawę, czytając gazetę.

Otworzyłem pismo na części sportowej i zacząłem studiować wyniki. Red Sox zdawali się zyskiwać na sile i w Baltimore wygrali jeden zero decyzją Jima Palmera. On oddał tylko trzy strzały, tyle że jeden z nich był długim przrzutem do Lynna, gracza środkowego pola zespołu z Bostonu. Lynn był tegorocznym debiutantem, ale brylował w lidze pod każdym względem. Obserwowałem jego grę w czasie wiosennych treningów, zanim jeszcze ludzie zorientowali się, kto to jest. Swobodnie biegł do piłki w środku pola, w ostatnim momencie wyciągał ręce, by złapać ją w powietrzu, niczym nietypowy magik. Wydawało się, że zawsze porusza się z taką samą prędkością, niezależnie od sytuacji na boisku. Nieodmiennie zjawiał się na ułamek sekundy przed upadkiem piłki, wyznaczając rytm gry.

- Och, to jest po prostu straszne - powiedziała Christine znad gazety.

Tego dnia po raz pierwszy zwróciłem uwagę, że w całym mieście daje się odczuć przejmującą obecność mordercy. To się unosiło w powietrzu, było jak nagły podmuch wiatru, zwiastującego nadejście popołudniowej burzy, porywczego, bezładnego, pojawiającego się to z jednej, to z drugiej strony. Tego dnia nie siedziałem w redakcji zbyt długo; Nolan wziął mnie zaraz na stronę i polecił iść w teren, by się przekonać, co myślą i czują ludzie. W tym momencie obaj popatrzyliśmy na telefon stojący na moim biurku, zastanawiając się, czy zabójca znowu zadzwoni, ale Nolan uznał, że nie możemy na niego czekać. Zaczął poprawiać krawat, zawiązany luźno na szyi. Robił to, ilekroć był zdenerwowany; kiedy nadejdzie nieprzekraczalna godzina oddania numeru do druku, jego krawat będzie przypominał zaciśniętą pętlę. Zaproponował, aby zdjąć słuchawkę z widełek; wtedy morderca, jeżeli zadzwoni, odniesie wrażenie, że numer jest zajęty i nie domyśli się, że postanowiono go zignorować. Zgodziłem się, ale kiedy brałem do ręki słuchawkę, towarzyszyło mi poczucie winy. Przez kilka sekund aparat wydawał przerywany, piskliwy dźwięk, po czym ucichł. Kiedy pojawił się Porter, wyszliśmy na ulicę.

Ten dzień był pełen rozmaitych wrażeń; twarze i sylwetki ludzi zlewały się ze sobą, roztopiały w upale słonecznego dnia.

Wsiadliśmy do autobusu linii Metro; kierowca, czarny mężczyzna z kędziorami siwych włosów nad uszami, odwrócił się do mnie ze słowami:

- Dlaczego miałbym się bać tego faceta? Nie mam powodu, a jednak się go boję. Przyglądam się ludziom, wsiadającym do mojego autobusu i zastanawiam się, czy to nie są kolejne ofiary. A może trafi na mnie? Myślę o ludziach jadących autobusem, o tych wszystkich nieznanym, którzy wrzucają bilon do skrzynki. Obserwuję młodych i zastanawiam się: może to właśnie ten?

Kierowca miał potężne, silnie umięśnione ramiona; z łatwością manewrował ciężkim autobusem na zatłoczonych ulicach śródmieścia. Prowadził swój pojazd jak w transie. Skręcał operując tylko prawą ręką; drugą opierał na brzegu kierownicy, z łokciem wysuniętym przez okno.

- Ci ludzie - ciągnął. - Wszyscy pasażerowie robią wrażenie bardziej po denerwowanych. Kiedy się jeździ miejskim autobusem na określonej trasie, wystarczy jeden dzień, by zobaczyć ich wszystkich. Teraz niechętnie siadają obok innych pasażerów. Zwróciłem na to uwagę. Wolą się trzymać z daleka.

Przeszliśmy spacerkiem przez dzielnicę zwaną Mała Hawana, obserwując twarze staruszków z włosami zaczesanymi do tyłu. Kieszenie ich kubańskich koszul, zwanych *guayabara*, pełne były długich cygar. Patrzyli na nas wzrokiem pełnym latynoamerykańskiej podejrzliwości zmieszanej z zaciekawieniem. Niektórzy dumali nad małą szklaneczką gęstej, czarnej kawy. Trzymali naczynie tuż pod nosem, jakby wchłaniali *zapach* napoju; unosząca się z naczyń gorąca para wtapiała się w upał pełnego dnia. Wszystko to nie przeszkadzało im obserwować mnie i Portera.

Szliśmy Ósmą ulicą, główną arterią kubańskiej dzielnicy; czytaliśmy hiszpańskie napisy, rozmawialiśmy ze starymi ludźmi przesiadującymi w małych restauracjach, grającymi w cieniu w domino.

- Śmierć przychodzi wcześniej czy później -po wiedział jakiś starzec w nie pewnej angielszczyźnie. - Czym tu się martwić? Uniósł rąbek koszuli, pokazując czerwoną szramę poniżej linii żeber. - Playa Giron - oznajmił. - La Brigada. Splunął na chodnik, zostawiając ciemną plamę na białym betonie. - Chciałbym, aby ten gość pojechał do Hawany i zaczął tam działać po swojemu. - Pozostali roześmieli się. Starzec spojrział w niebo, widoczne ponad okolicznymi dachami. - My nie odczuwamy strachu przed tym człowiekiem - dodał. - Ale dzieci i kobiety boją się go. Pytają, czy on przyjdzie tutaj. Czy zrobi to samo, co z tymi starymi ludźmi z Beach. Odpowiadam im: „A skąd my możemy wiedzieć, co taki człowiek zrobi?” Wiele osób boi się, ale też uważa, że on będzie się trzymał własnego kręgu, niezależnie od tego, o co mu chodzi. Ja tam nie wiem, ale myślę, że wkrótce go zabiją albo że jego żal będzie zbyt wielki i że zabije się sam.

Starzec wzruszył ramionami i wpatrzył się w blat stolika, na którym leżały kamienie domina. Wziął jeden z nich ze stosu i umieścił na brzegu stołu. Pstryknął palcem i kamień przewrócił się. Starzec na powrót umieścił go na właściwym miejscu i gra potoczyła się dalej.

Po południu pojechaliśmy do centrum handlowego, położonego o kilka mil od miejsca zamieszkania pierwszej ofiary. Zdażyłem już prawie zapomnieć o tych ludziach. Przez chwilę zastanawiałem się, jak się teraz czują, czy zorientowali się, że stali się elementem czegoś znacznie większego niż śmierć ich dziecka. Zaraz jednak przywołałem się do porządku: czy dla tych ludzi może istnieć coś gorszego od śmierci córki?

Weszliśmy do sklepu z bronią, noszącego nazwę „The Great Equalizer”, czyli Wielki Wyrównywacz. Kilka osób czekało tam na obsługę, a kiedy zapytaliśmy o kierownika, pokazali gestem, żeby szukać go z tyłu, na zapleczu. Znalazłem szefa placówki - siedział przy stole zawalonym szmatami do czyszczenia broni. W powietrzu unosił się ostry zapach płynu konserwującego. Na blacie leżał rozłożony na części automatyczny pistolet małego kalibru. Kiedy przedstawiłem się i wyjaśniłem powód wizyty, uśmiechnął się szeroko.

- To jest przedmieście - powiedział. - Ilekroć dzieje się coś niewytłuma czalnego, tutejsi ludzie wpadają w popłoch, idą do sklepu i kupują broń. Jeśli mam uczciwie odpowiedzieć na pańskie pytanie, to muszę stwierdzić, że kiedy dziś rano rozeszły się wiadomości o wczorajszym morderstwie, ruch był dość znaczny. Przewiduję, że przed wieczorem jeszcze bardziej się zwiększy. A jutro interes pójdzie jeszcze lepiej. Jeżeli ten gość znowu kogoś zabije, no to... - kierownik przerwał i uśmiechnął się. - Zdaję sobie sprawę, że to okropnie za brzmi, ale powiem, że zrobię złoty interes.

Kierownik, szczupły mężczyzna z rozszerzającymi się u dołu bokobrodami i włosami gładko zaczesanymi do tyłu, z pewnością był kubańskim emigrantem z lat pięćdziesiątych.

- Prawie wszyscy narzekają na regułę trzech dni; wie pan, o czym mówię - kupuje się broń w poniedziałek, ale trzeba czekać do środy, aby ją odebrać. Wielu klientów mówi: „A co będzie, jeśli ten facet przyjdzie dziś w no cy?” Odpowiadam: „Nie, on w ten sposób nie działa. Nic wam nie grozi”. Mam

wrażenie, że to uspokaja większość ludzi, dodaje im pewności siebie, chociaż nie jestem w stanie zrozumieć, dlaczego ktokolwiek miałby uznać, że ja wiem lepiej niż inni.

Zamilkł i popatrzył na ludzi stojących w kolejce. Klienci sprawdzali sposób działania broni - świadczył o tym nieustający szcęk metalowych, uderzających o siebie części. Kierownik wziął ze stołu automatyczny pistolet i zaczął metodycznie wycierać szmatką jego boki.

- Powiem panu, że widziałem mnóstwo dziwnych rzeczy, kiedy odbywałem służbę wojskową. Spotkałem wielu facetów, którzy byli dosłownie na krańcu wędzi. Rozumie pan, o krok od szpitala dla czubków. Pamiętam jednego takie go gościa, to było podczas wstępnego szkolenia w Forcie Dix w Jersey. Jasna cholera, jak tam było zimno. Przez cały czas myślałem, że już nigdy się nie rozgrzeją. No dobra, na samym początku sierżant od musztry wrzeszczy na nas: „Krzyccie! Krzyccie! Chcę słyszeć, jak wołacie głośno i wyraźnie!” Wśród nas był jeden chłopak, miał pewnie siedemnaście albo osiemnaście lat, przy puszczeniu, że nigdy wcześniej nie ruszał się z domu. Przez pierwszy tydzień sierżant wziął się właśnie na niego. No więc ten chłopak zaczął krzyczeć głośno jak nie wiem co. Wreszcie wykrzykiwał już każde zdanie, włącznie z „Tak jest! Tak jest!”, coraz głośniejsze i głośniejsze. Zaczął też wrzeszczeć w koszarach. Kapuje pan? W ogóle nie sposób z nim było pogadać; każde słowo wykrzykiwał najgłośniejsze jak potrafił, mało mu płuca nie wyskoczyły. Wreszcie, po kilku dniach, sierżant skapował, co się porobiło. Ale wtedy ten dzieciak maszerował już patrząc prosto przed siebie, chociaż nic nie widział, i wrzeszczał ze wszystkich sił. Zabrali go gdzieś i nigdy go już nie zobaczyłem. Przypomniałem sobie o nim któregoś dnia, wie pan, po pierwszym morderstwie. Przyszło mi do głowy, że jeżeli wysyła się takich gości w takie miejsca jak Wietnam... mój młodszy brat pojechał tam i mówił, że to było straszne... to naprawdę nie wiadomo, co się może wydarzyć, zgadza się?

Znowu przerwał, przysłuchując się odgłosom repetowanych pistoletów.

- Jak widać, wszyscy chcą mieć ochronę. Ja oferuję tylko jedną z możliwości. Jestem pewny, że gdyby pan poszedł do schroniska dla zwierząt, powiedzie liby tam panu, że sprzedali wszystkie duże, wredne psy, jakie mieli. Albo niech pan zadzwoni do firmy Wackenhunts; założę się, że tam jest tak samo. A broń palna nie jest taka zła. No i powiem panu jeszcze, że ten facet ma niegorszą maszynę. Prawdopodobnie jest to standardowy rewolwer wojskowy kalibru czterdzieści pięć, automatyczny. Wie pan, w jakim celu ta broń została wynaleziona? Trzeba się cofnąć do początków dwudziestego wieku, kiedy to wysłaliśmy piechotę morską na Filipiny - marines mieli tam zdławić narodowe powstanie. No, ale żołnierze przyzwyczaili się nosić karabiny z bagnietami. Kiedy jakiś dzikus wyskakiwał z krzaków, łatwo było go załatwić. Żołnierz dźgał ostrzem i strzelał. Natomiast wszyscy oficerowie nosili trzydziestkiósemki - takie stare colty, jakich używali kowboje. Chyba z połowa z nich poległa, ponieważ co chwila tubylec z mieczem wyskakiwał z krzaków, zanim zdążyli go powstrzymać. Prawda, pakowali mu ze trzy kule w pierś, ale to było za mało, by powstrzymać impet. No

i ten tubylec przed śmiercią zdążył pokroić oficera na plasterki. Właśnie dlatego musieli wymyślić naprawdę szybki rewolwer, który potrafiłby na dobre zatrzymać napastnika, zanim dopadnie tego, którego szuka. Był to automatyczny colt kalibru czterdzieści pięć. Tej broni używa się w wojsku do dziś. Od tamtej pory nie wymyślili niczego lepszego. Również magnum trzy pięćdziesiąt siedem albo czterdziestkaczwórka spełniają taką samą rolę... dlatego używają ich gliniarze... ale z tym automatycznym rewolwerem to jest całkiem inna rzecz. Gliny w życiu nie wyśledzą tego gnata ani amunicji. W obrocie muszą być tysiące sztuk takiej broni. Pewnie połowa weteranów drugiej wojny światowej w tym mieście ma coś takiego w którejś z szuflad.

Handlarz bronią przyglądał się uważnie słowom, które zapisywałem w notatniku.

- Postrzelił pan w życiu kogoś? - zapytał; wykonałem gest, jakbym strzelał sobie w głowę. Uśmiechnął się. - No to będzie pan miał szansę.

Tylnymi drzwiami wprowadził nas do przyległego pomieszczenia. Znajdowała się tam tarcza strzelecka w postaci worka z piaskiem, a ściany były dźwiękoszczelne. Otworzył kluczem skrzynię.

- Proszę - powiedział, wręczając mi ochronne nauszники. - Oto przedmiot tego wielkiego zainteresowania.

Podniósł do góry rewolwer automatyczny. Światło jarzeniówek odbijało się przez chwilę od stalowej powierzchni, ale kiedy kierownik odwrócił broń, przybrała normalny wygląd - zrobiła się czarna i brzydka. Wręczył mi ją, oparł dłoń na moich barkach i ustawił frontem do celu. Celem był zamalowany na czarno zarys istoty ludzkiej - do podobnych sylwetek strzelają policjanci na ćwiczeniach. Kiedy go ująłem, rewolwer wydał mi się wyjątkowo ciężki. Przez chwilę nie byłem pewny, czy zdołam go podnieść. Gospodarz pokazał mi, jak trzeba stanąć; taką broń należy trzymać obiema rękami. Spróbowałem raz, mierząc do celu wzdłuż krótkiej lufy. Odniosłem wrażenie, że moje pole widzenia nagle się zawężyło, zmieniło w tunel łączący dwa bieguny; pierwszym był cel, drugim ja sam. Handlarz z uśmiechem podał mi magazynek. Wsunąłem go na miejsce czując, że broń robi się jeszcze cięższa. Usłyszałem szcęk metalu - to znak, że zapadka zaskoczyła.

- W porządku - usłyszałem głos kierownika na wysokości mojego łokcia. - Odlatujemy. Tylko jedno delikatne naciśnięcie, rozumie pan?

Zastygłem w bezruchu, a potem wystrzeliłem.

W pomieszczeniu rozległ się głośny huk; poczułem zapach kordytu. Bolała mnie ręka - poczułem się tak, jakby ktoś uderzył w nią młotkiem. W palcach czułem mrowienie. Opuściłem broń na bok i zdjąłem z głowy ochroniacze.

- Niezły strzał jak na pierwszy raz - ocenił kierownik. Wyjął mi broń z ręki, wysunął magazynek, po czym odłożył pistolet na miejsce i wskazał ręką na tarczę.

- Jak to wygląda? - zapytał.

Mój pocisk odstrzelił czubek głowy widocznej na tarczy. Przez chwilę patrzyłem na swoje dzieło, a następnie wróciłem do sklepu, poprzedzany przez gospodarza.

- Rozumie pan, co chciałem powiedzieć? - zapytał. - To jest poważna broń, a nie jakiś tam damski pistolecik w typie automatycznej dwudziestkapiątki czy też taniego Saturday Night Special. Czterdziestkapiątka ma jedną zaletę: zabija ludzi szybko i skutecznie.

Odprowadził nas do wyjścia. Przy kasie zatrzymał się, aby porozmawiać z mężczyzną ubranym jak biznesmen.

- Oto jest pański cadillac wśród rewolwerów - powiedział. - Colt python, trzy pięćdziesiąt siedem magnum, z długą lufą. Ma najwyższy poziom dokładności, uderza z siłą znacznie większą niż bokser wagi ciężkiej. Policjanci, którzy nas odwiedzają, kupują przeważnie tę broń w wersji z krótszą lufą. Można do niej używać magazynków magnum albo zwyczajnej amunicji kalibru trzydzieści osiem do celów treningowych. Rozumiem, że szuka pan broni dla siebie, sir?

- Nie - biznesmen pokręcił głową. - Prawdę mówiąc, rozglądałem się za czymś dla żony.

Spojrzał na kierownika, który obrzucił zimnym wzrokiem sprzedawcę stojącego za ladą.

- A zatem chodzi panu o broń, którą będzie mogła się posługiwać kobieta, zapewne niezbyt potężna?

- No właśnie, ona jest raczej drobna. Boi się, więc chcę jej dać coś, co po zwoli jej poczuć się pewniej. — Klient zwrócił się do mnie i kilku innych osób czekających w kolejce. - Chyba niepokoi ją gość, który dokonuje tych zabójstw.

- Trudno się dziwić - wtrąciła się stojąca obok kobieta.

- Wszyscy się go boimy - dodał mężczyzna w sportowej koszulce.

- Tu chodzi nie tylko o tego mordercę - odezwała się znów kobieta. - Problem w tym, że bezprawie tak bardzo się rozplenilo, a policja najwyraźniej nie jest w stanie nic na to poradzić. Przyjeżdżają i tylko zbierają zeznania. Tak było również po włamaniu do mojego domu.

Zauważyła, że robię notatki.

- Pan jest reporterem?

- Zgadza się.

- No to może mnie pan zacytować, ale nie życzę sobie, aby w gazecie pojawiło się moje nazwisko.

Biznesmen ponownie włączył się do rozmowy:

- Martwi mnie to, że ci wszyscy chuligani, którzy ciągną na południe w poszukiwaniu słońca i słodkiego życia, przeczytają informacje w gazecie i dojdą do wniosku, że mogą tu sobie łatwo postrzelać. No bo dlaczego nie mieliby na kogoś napaść, a potem zwalić wszystko na tamtego mordercę? A policja nie będzie wiedziała, co o tym myśleć.

Pozostali poparli go chórem. Facet w sportowej koszulce podniósł trzydziestkę ósemkę z zadartym nosem.

- No cóż, to może pomóc ich odstraszyć - stwierdził. - Mam zamiar trzymać się tej linii. Pamiętajcie o konstytucji, ona daje prawo do posiadania i noszenia broni. Do cholery, nie mam zamiaru pozwolić, żeby jakiś świr wymoradował mi rodzinę bez walki.

Rozległy się głosy uznania. Rozmowę przerwał kierownik sklepu, zwracając się do biznesmena:

- A może powinienem panu pokazać jakąś lżejszą broń automatyczną?
- Dobrze, zgoda. Ale wezmę również tego pythona. No i zapas odpowiedniej amunicji. Proszę powiedzieć, gdzie mógłbym trochę poćwiczyć? Nie strzełam z pistoletu, odkąd wyszedłem z wojska - odparł zapytany.

- Rozumiem, sir. Mamy tu tarczę, więc może pan potrenować na miejsku - informował kierownik. - A jeżeli chciałby pan spróbować na dużej strzelnicy, również mogę to zorganizować. A to coś dla pańskiej żony.

Z zamykanej, oszklonej gabloty wyciągnął niklowaną dziewiątkę.

- To jest trochę cięższe niż zazwyczaj polecane kobietom pistolety - oznajmił tonem sugerującym, że jest gotów do udzielenia klientowi wszelkiej pomocy. - No, ale też mamy raczej niezwykle czasy. A może chciałby pan porównać te dwie rzeczy?

Wyjął również małą automatyczną broń kalibru dwadzieścia pięć, czarną i wypolerowaną na wysoki połysk.

- Dobrze — zgodził się biznesmen i spojrzał na kobietę stojącą obok. - Może pani zechce mi pomóc? Moja żona jest troszkę niższa niż pani.

- Bardzo chętnie. - Kobieta podeszła do kontuaru i chwyciła oba pistolety.

Mam wrażenie, że reakcje ludzi w sklepie z bronią były do przewidzenia. Tak samo jak scena w okolicach parku Momingside, w pobliżu huśtawek, na których bawiły się dzieci. Ich głosy wznosiły się do nieba, niesione przez wiatr przynikający przez liście wysokich figowców rosnących nad zatoką. Była tam grupa kobiet, siedzących na ławkach koło piaskownicy. Rozglądały się bacznie dookoła.

- Dzieci muszą się bawić - powiedziała jedna z nich, patrząc na gromadkę maluchów skupionych przy huśtawkach. - One nie odbierają zagrożenia tak jak my. Nie można ich pozamykać w domach; to by jedynie wywołało jeszcze gorsze koszmary. Nie sposób tego wytłumaczyć, a już szczególnie dzieciom. Te morderstwa są niewytłumaczalne. Toteż każdego letniego dnia przychodzi my tutaj i pilnujemy ich w czasie zabawy, jakby nic się nie stało. Ale coś się przecież dzieje, ja to wyraźnie czuję.

Pozostałe kobiety zgadzały się z nią. Podeszła do nas jeszcze jedna; niecierpliwie skubała rękaw bluzki, jakby jak najszybciej chciała wyrzucić z siebie myśli krążące w jej głowie.

- Ale co zrobić, kiedy ma się starsze dzieci? Jedenasto-, dwunastoletnie? W jaki sposób zatrzymać je w domu? Jak je ochronić? - poprawiła kosmyk siwiejących włosów na skroni i wpatrzyła się w dal, gdzie drzewa o grubych brązowych pniach rzuciły głębokie cienie. - Tak bardzo mnie to *przeraża*. Mówię synom, że nigdzie nie mogą chodzić sami. Każę im wracać przez zmrok. Wymagam, aby -jeżeli mają jakieś wątpliwości - zatrzymali się i zatelefono wali do domu albo do sąsiadów; jeżeli sytuacja wydaje się podejrzana, mają zawiadomić policję, poprosić o pomoc, o to, by ktoś coś zrobił. Ale przecież

wiadomo, że żadne rady i polecenia nie są w stanie zagwarantować bezpieczeństwa dzieciakom w tym wieku. One po prostu nie znają strachu. Mój Boże, ta biedna dziewczyna szła sama po zmroku, a potem wsiadła do samochodu tego człowieka. Jak mamy nauczyć dzieci, aby zaczęły się bać?

- To jest jak choroba - dodała pierwsza kobieta. - Jakby wszystkie przejały zła, utajone w ciągu ostatniego dziesięciolecia, nagle wyszły na światło dzienne. I to akurat w Miami. Mogłoby się wydawać, że coś takiego może się wydarzyć w Waszyngtonie, Chicago, Nowym Jorku czy może w San Francisco, ale Miami robi wrażenie tak niewinnego miejsca

Podniosła oczy na słońce stojące nieruchomo na niebie.

- Co temu człowiekowi każe robić takie rzeczy? - powiedziała. - Jak wiele zbrodni on jeszcze popełni?

- A dlaczego niby miałby przestać? - zapytał Porter, odrywając się od swojego aparatu.

- Słucham pana? - odezwała się jedna z kobiet.

- Jemu zależy na tym, abyśmy wszyscy wpadli w przerażenie - tłumaczył kręcąc głową. - Chce, żebyśmy wszyscy mieli w nocy złe sny. Dlatego to robi. Wy, ja i wszyscy w tym mieście reagujemy jak normalni ludzie, okazując strach i zgrozę, no... po prostu jesteśmy śmiertelnie przerażeni, prawda? I właśnie to mu gwarantuje powodzenie.

Przerwał i spojrzał na mnie.

- A my, stary, jeszcze mu w tym pomagamy.

Kiedy wracaliśmy do redakcji, zainteresowałem się, dlaczego Porter nagle zmienił postawę.

- Wydawało mi się, że to dla ciebie normalna praca. Co się stało? - zapytałem.

- Robię się cyniczny- odrzekł. - I to nawet bardziej, niż mógłbym się spodziewać.

- To samo zarzucił mi Nolan. Właśnie cynizm - wtrąciłem.

- I ma rację. Wszyscy tacy jesteśmy. Tylko że ja nie muszę się z tego cieszyć.

- W końcu zwariujesz.

Szarpnął kierownicą, zjechał na prawy pas, przyspieszył, by wyprzedzić inny pojazd, po czym wrócił na lewy pas. Jechaliśmy bulwarem Biscayne, mijając biurowce i ukryte wśród drzew ekskluzywne domy mieszkalne. Jest to dzielnica kontrastów: biurowce pełne zadbanych ludzi w kreacjach od wybitnych projektantów sąsiadują z motelami oferującymi wodne łóżka i filmy pornograficzne w zamkniętej sieci telewizyjnej. Na rogu stała czarna prostytutka; na głowie miała perukę, której rozpuszczone włosy spływały jej na ramiona czarną kaskadą. Nosiła różowy stanik, ciasno opięty na biuście, i czerwone szorty nie zakrywające pośladków. Kiedy czekaliśmy na zielone światło, zauważyła, że się jej przyglądam, uśmiechnęła się błyskając śnieżnobiałymi zębami i kiwnęła na mnie palcem. Kiedy pokręciłem przecząco głową,

odgła wargi. Porter nacisnął pedał gazu i samochód ostro szarpnął do przodu, mijając skrzyżowanie.

- Pewnie masz rację - powiedział. - Niekiedy ledwie daję sobie radę z ty mi sprawami.

Zawahał się i spojrzął na mnie kątem oka.

- Czy wiesz, czym się zajmowałem, kiedy zadzwoniłeś do laboratorium, że mamy jechać do Beach? Wywoływałem zdjęcia z poprzedniego zlecenia. Robiłem rozkładówkę dla działu zwanego „Życie” - coś, co oni nazywają modą na upalne dni. Pojechałem do parku z dziennikarzem piszącym o modzie, trzema modelkami i dwójgim ludzi z PR. Dziewczyny miały na sobie kostiumy kąpie lowe i takie lekkie, przezroczyste narzutki; pozowały w sposób prowokacyjny, ale jednocześnie nie obrażający wrażliwości czytelników naszej „gazety dla całej rodziny”. -Ostatnią kwestię Porter wypowiedział z wyraźnym sarkazmem. -Później chciało mi się śmiać z tego, że robimy takie ceregiele z grupą ślicznych dziewczyn, staramy się, aby nie wyglądały za bardzo seksownie, a w kilka chwil później znajduję się na miejscu najbardziej odrażającego morderstwa, jakie oglądałem w życiu. Wiadomo, to temat na pierwszą stronę. Czułem się jak hipokryta. Miałem wrażenie, że robię coś parszywego, fotografując tych starych, martwych ludzi na podłodze. Zachowywałem się jak szaleniec, kiedy nastawiałem aparat, by spenetrować ich zwłoki, okraść z całej tej godności, jaką przecież musieli mieć. Nieraz przychodzi mi do głowy, że jestem pasożytem. Wszyscy jesteśmy.

- Posłuchaj - przerwałem mu spokojnie. - Jeżeli chcesz się wykręcić z tego tematu, daj znać Nolanowi. On pogada z szefem działu fotograficznego.

- Nie, nie - jego głos niespodziewanie stracił ponury ton. - Widzisz, to jest prawdziwe szaleństwo. Wcale bym nie chciał z tego wychodzić. Nie zniósłbym sytuacji, w której nie mógłbym się dowiedzieć, nie byłbym na miejscu.

Roześmiał się.

- Wszyscy dostajemy świra. Przy tego rodzaju temacie nie sposób przed tym uciec. Nikt nie ucieknie. Przypomnij sobie tego faceta, który kupował broń. On pewnie zacznie z niej strzelać pewnego wieczora, kiedy po pijanemu pokłóci się z żoną. Tyle że oboje będą teraz dobrze uzbrojeni. Mój Boże! Czy sądzisz, że morderca zdaje sobie z tego sprawę?

- Tak myślę.

- No właśnie. Ja też jestem o tym przekonany - zgodził się Porter. - Wiadysz? Nikt nie ma prawdziwie czystego sumienia.

Swobodnie wprowadził wóz na redakcyjny parking.

Patrzyłem, jak zabiera swój sprzęt i zatrząskuje bagażnik. Potem przeniósłem wzrok dalej, za narożnik naszego budynku, na wody zatoki. Pomyślałem, że bardzo przyjemnie byłoby teraz znaleźć się na łódce i płynąć wzdłuż wybrzeża Beach kanałem zwanym Government Cut, w którym igrają potężne morświny, połyskując szarymi grzbietami. Lubią wyskakiwać w powietrze tuż za rufą łodzi dla wyczynowych wędkarzy, wielkich jednostek typu Chris Craft czy Bertram, wypuszczających się na prawdziwie wielkie ryby. Morświny obracają się w wodzie i raptownie wyskakują w górę, przebijając kilwater łodzi,

wyginają się zgrabnie i lądują w morzu z głośnym pluskiem, po czym robią zwrot i pędzą za oddalającą się krypą, by znowu wyjść w górę. Te wody są zawsze pełne życia, od dna aż do błękitnego nieba.

Ostatni raz pływałem tam późną wiosną; był to dokładnie ten weekend, kiedy padł Sajgon, leżący tysiące mil na wschód od Miami. Był ze mną Nolan i jeszcze kilka osób. Rano wpłynęliśmy w ławicę wielkich delfinów - stało się to w kilka minut po przekroczeniu niebieskiej linii demarkacyjnej, która biegnie przez morze i *zaznacza* granicę Prądu Zatokowego. Siedzieliśmy na specjalnych fotelach dla wędkarzy walczących z wielką rybą, rozmawialiśmy o baseballu i wojnie, a także - nie zważając na wczesną porę - popijaliśmy piwo. Słońce wisiało nad głowami, przesycone solą powietrze zdawało się kleić do skóry, mieszając się z potem i chłodem bijącym od oziębionej puszki z piwem.

Linki wędek przechodziły przez dwa wysięgniki i pobrzękiwały, kiedy nie były naprężone; ten dźwięk zagłuszał nieustający szum dwóch dieslowskich silników, pracujących na niewielkich obrotach. Podpłynął do nas morświn i pożarł przynętę. Linki napięły się, a one rozpoczęły swój taniec na falach. Są to piękne stworzenia, o szerokich łbach i wydłużonym korpusie; kiedy przemykały się tuż pod powierzchnią nagle wyskakiwały do góry w potężnych rozpryskach wody, mieniały się w słońcu odcieniami srebra, błękitu i zieleni. Wyciągnęliśmy na pokład kilka sztuk, zanim wypłynęliśmy z tej ławicy. Były to dość duże okazy, ważące po jakieś osiem, dziesięć kilo. Poklepaliliśmy jeden drugiego po plecach, napiliśmy się jeszcze piwa i podjęliśmy rozmowę w miejscu, w którym została przerwana. Na naszą przynętę połakomił się również wielki błękitny marlin, ale to było później.

Nolan zakończył omawianie sposobu informowania o upadku Sajgonu. Była to pełna emocji rozmowa na temat pewnej fotografii i przypomnienie przejmujących obrazów z kilku ostatnich dni. Na pierwszej stronie mieliśmy zamieścić zdjęcie ludzi wieszających się na płozach śmigłowca podrywającego się z dachu amerykańskiej ambasady. Jedna z widocznych postaci trzymała się tylko jedną ręką i wierzyła nogami w powietrze, usiłując chwycić metalowy drążek drugą ręką. Było oczywiste, że ten człowiek musi spaść, ale wybór momentu, w którym się puści, należał do niego samego. Można było wyczuć, że paniczny strach paraliżuje jego wijące się w powietrze ciało. To zdjęcie oburzyło ludzi. Czytelnicy dzwonili do redakcji przez cały dzień; jedni się skarżyli, drudzy protestowali, jeszcze inni chcieli się po prostu wygadać.

Słuchałem głosu Nolana, zagłuszanego przez szum silników i obserwowałem unoszącą się na wodzie jaskrawą przynętę, za którą ciągnęła się niewielka smuga. Kiedy podskakiwała i kręciła się na falach, w jej srebrzystej powierzchni odbijało się słońce. Ten widok wywierał na mnie hipnotyczny wpływ. Patrzyłem więc czując, jak piwo buzuje mi pod czaszką. W pierwszej chwili nie zauważyłem, co to za kształt posuwa się za przynętą; po prostu ten cień był ciemniejszy i poruszał się na większej głębokości. Potem dostrzegłem wysuwający się na powierzchnię długi miecz, a stojący na mostku szyper zaczął krzyczeć:

- Jezu Chryste, to marlin, wielki marlin! Prawa wędka, prawy wysięgnik, ruszać się!

Żyłka wyrwała się z uchwytu, ciągle było słycać podniesione głosy. Zwolniłem blokadę na kołowrotku.

- Właśnie tak, pozwól jej odejść! Pozwól jej odejść! - wołał szyper. - Daj jej to złapać!

Zatrzymałem rozwijającą się szpulkę i przytknąłem palec do żyłki. Wyczułem, kiedy ryba po raz kolejny zaatakowała pyskiem przynętę; w następnej sekundzie w wodzie nagle się zakotłowało, a ona wyskoczyła niespodziewanie wysoko w powietrze, błyskając jasnym brzuchem.

- Kawał ryby! - zawołał szyper, a ja gwałtownie szarpnąłem linkę, osadzając mocniej haczyk. Marlin ciągle skakał, wiercił się, przewracał na boki. W jego ruchliwym ciele odbijały się promienie słońca.

A potem równie błyskawicznie zanurkował, poszedł w dół.

Szyper krzyknął do majtka:

- Gdzie wbił się ten haczyk?

Zapytany odpowiedział:

- Nie zauważyłem, pewnie siedzi w brzuchu.

- O, cholera - skomentował szyper głosem, w którym było słycać już nie podniecenie, tylko gniew.

- Oj, nie - zaprotestowałem. - Mam nadzieję, że nie.

Czułem, że ryba siedzi na drugim końcu linki, usiłując zrównoważyć moc łodzi masą własnego ciała. Dzielilo ją ode mnie wiele metrów cienkiej żyłki. Marlin szarpał się, rzucając łbem na boki - wyczuwałem to po drganiach wędziska. Minęło pięć minut, potem jeszcze pięć. W pewnej chwili dostrzegłem, że żyłka robi się luźna.

- Wychodzi na górę - oznajmił marynarz. - O wiele za wcześnie. Niech to diabli.

- Co to miało znaczyć, że haczyk siedzi w brzuchu? - zapytał Nolan. Majtek natychmiast pospieszył z wyjaśnieniem:

- To znaczy, że rybie udało się połknąć całą przynętę, a kiedy została zacięta, haczyk wbił się jej w brzuch, a nie w mięśnie pyska. Z tego wynika, że nawet gdyby udało się jej urwać, wykrwawi się na śmierć, cierpiąc straszliwy ból. Natomiast to, że idzie do góry, wskazuje że jest jeszcze bardzo silna i chce walczyć. Jasna cholera.

Bez przerwy popuszczałem i nawijałem żyłkę; minęło kilka sekund i zauważyłem w wodzie niebieski kształt. Marlin miał pewnie ze dwa metry długości i ważył ponad pięćdziesiąt kilo.

- Cholera - warknął marynarz. Wychylił się za burtę i patrzył na widocznego w wodzie marlina. Odszedł na stronę i wrócił trzymając w rękach oścień. Spojrzał w górę, na szypra, który zawołał:

- Niech się wszyscy cofną! On jest jeszcze bardzo żywotny!

Podciągnąłem rybę nieco bliżej; łódź zaczęła ostro skręcać w miejscu - szyper szukał odpowiedniej pozycji dla marynarza z harpunem. Ten ostatni był chudym mężczyzną o brązowej skórze, z jasnymi włosami do ramion i umięśnionymi ramionami.

- Kiedy marlin podejdzie do burty, niech pan szybko wstanie z fotelika - powiedział.

W chwilę później ja się odezwałem:

- O, tam jest prowadnica.

Kilka centymetrów pod czubkiem wędziska widać było drucianą końcówkę. Majtek uchwycił mocniej drzewce harpuna, ostry hak błysnął w słońcu. Sięgnął po druciane przedłużenie linki i powiedział:

- Tu nic nie ma. - Jednocześnie energicznie machnął w powietrzu harpunem, celując w rybę. Fontanna wody wystrzeliła w górę, rozległ się też głuchy trzask - to marlin walił ogonem w burtę łodzi. Potężna fala wdarła się na pokład, dokładnie oblewając marynarza, który zaczął głośno przeklinać. Błyskawicznie zeskoczyłem z wędkarskiego siedziska i wlepiłem oczy w zielonobłękitne fale Prądu Zatokowego. Widziałem zarysy krwawiącego marlina, odpływającego w zimną, ciemną głębinę. Majtek trzymał w dłoni złamaną prowadnicę.

- Zejdzie na dół i zdechnie tam - powiedział. — Marny koniec jak na taką piękną rybę. Pożywią się nim rekiny i inne drapieżniki.

Odwrócił się do szypra na mostku.

- Ruszył dosłownie w ostatniej chwili. Trafiłem harpunem w prowadnicę - powiedział. Szyper skinął głową.

- Przykro mi - rzekł do mnie marynarz; wzruszyłem ramionami bez słowa.

Miałem wrażenie, że sytuacja jest nie fair - nie tyle zresztą stosunku do mnie, ile wobec ryby. Z haczykiem wbitym w pysk marlin najpierw by ciągnął, potem kręcił się, skakał i rzucał łbem na wszystkie strony, ale przynajmniej miałby szansę. Wystarczyłoby skrócenie linki, poślizg kołowrotka, nieznaczny luz, a byłby się uwolnił, ukrył w chłodnej, bezpiecznej głębinie. Zastanawiałem się, czy ryba zdaje sobie sprawę, że zdycha, czy też po prostu instynktownie szuka dobrze sobie znanej ciemności. Oczami duszy widziałem marlina w głębinie - jego długi pysk był wymierzony w dno, a mały rybi mózdzek zamulała zbliżająca się śmierć.

Morderca nie zadzwonił ani tego, ani następnego dnia, ale Christine straciła swój dawny optymizm. Przekonywała mnie, że on jeszcze zadzwoni, że tylko igra z nami, że lubi patrzeć, jak zmniejsza się wielkość poświęconych mu tytułów w gazecie, ale że niebawem dorzuci nowy wątek, aby cała sprawa wróciła na pierwszą stronę. Opowiadała mi, że pacjenci na jej oddziale rozmawiają o zbrodniarzu bez przerwy; czują się bezpieczni, ponieważ są pewni, że on nie zdoła się przedrzeć przez białe ściany i czyste korytarze szpitala. Lekarze na chirurgii także rozprawiali o zabójcy. Młodszy opisywali rany postrzałowe, z jakimi mieli do czynienia podczas służby wojskowej w Wietnamie albo w czasie służby zastępczej, odbywanej w szpitalach miejskich gett na północy Stanów.

Powiedziała mi również, że odkryła nowy rodzaj strachu; nie nagłą, obywatelską panikę, jaką przeżywamy widząc pędzący na nas samochód, tylko uporczywą obawę, która powoduje, że każda codzienna czynność, jak choćby umycie rąk, wydaje się czymś naprawdę istotnym. Nawet oddychanie wydawało

się jej działaniem znaczącym - ten wysiłek polegający na świadomym wciągnięciu powietrza do płuc i wypuszczaniu go. Wyglądało to tak, jakby Christine oznaczała punkty czasowe w oczekiwaniu na tę chwilę, kiedy dramat ponownie ruszy do przodu, a kurtyna podniesie się, by zaprezentować nową scenę.

Moje zajęcia całkowicie straciły rutynowy charakter. Kiedy rozległ się dzwonek telefonu - sztywniałem; kiedy telefon nie dzwonił - siedziałem w napięciu. Niekiedy zdejmowałem słuchawkę z widełek i wychodziłem na spacer po mieście, z notatnikiem w kieszeni. Jeżeli towarzyszył mi Porter, nagrywaliśmy rozmówki z przechodniami; podniesione głosy biegły pod niebiosa.

To miasto przypominało bestię budzącą się z letargu; jego otepiałe zmysły powoli odzyskiwały czujność, zaczynały sprawnie reagować.

Rozmawialiśmy o mojej rodzinie; o ojcu, jego książkach i prawniczych zainteresowaniach.

- Nie istnieje już prawo, skoro mógł się pojawić taki morderca. Nikt nie jest w stanie sformułować normy uwzględniającej tego rodzaju sytuację — po wiedziałem.

Christine przyznała mi rację. Patrzyłem, jak wyciąga ramiona i napręża palce. Odrzucając głowę do tyłu powiedziała:

- Ciekawe, czy w takiej sytuacji ludzie zbliżają się do siebie, czy też raczej izolują?

Podniosłem się z krzesła i podszedłem do niej. Usiadłem obok, a Christine położyła mi głowę na kolanach. Milczała przez jakiś czas. Zacząłem ją głaskać po plecach.

I wtedy zadzwonił telefon.

- Nie odbieraj - powiedziała. - To jest nasz dom.

Dzwonek rozległ się ponownie - miałem wrażenie, że brzmi coraz bardziej przenikliwie.

- Nie odbieraj, proszę - powtórzyła Christine.

Ja jednak podniosłem się z kanapy i ruszyłem do aparatu. Wahałem się przez sekundę czując, jak słuchawka drży pod palcami. Potem podniosłem ją do ucha.

- Halo?

Nikt się nie odezwał.

- Kto tam jest? - zapytałem, choć już zgadłem.

- Znowu nadeszła ta pora - oznajmił zabójca.

Zdałem sobie sprawę, że wszystko pozostało po starym.

Rozdział dziewiąty

Czytałem pański artykuł, ten o reakcjach ludzi - powiedział morderca. - Szczególnie spodobała mi się scena ze sklepu z bronią. Zastanawiam się, ilu spośród tamtych klientów zdoła się postrzelić podczas nauki posługiwania się

pistoletem. Obserwowałem już coś takiego, kiedy byłem za granicą. Niekiedy strach był tak wielki, że przewyższał naturalną niechęć do zadawania sobie bólu z własnej woli. To się zdarzało w obozie bazy, pełnym kurzu, gorącym, niemiłym miejscu, gdzie przebywaliśmy, czekając na kolejną wyprawę do džungli, która była miejscem nieporównanie gorszym. W takich obozach czas płynął bardzo powoli; człowiek odnosił wrażenie, że każda czynność pochłania dwa razy więcej czasu. Było tak upiornie gorąco. Pot łał się ze mnie strumieniami. Z drugiej strony, w tych obozach panował pewien rodzaj spokojnego porządku; to znaczy rozlegały się tam normalne hałasy - huk przylatujących i odlatujących śmigłowców, podniesione głosy narzekających żołnierzy. Niekiedy słychać było dźwięk ostrzejszy, bardziej charakterystyczny i bardziej znajomy - pojedynczy wystrzał z karabinu M-16. Po nim rozlegały się wołania o sanitariusza, czasem zmieszane z jękiem bólu. W takich razach zawsze okazywało się, że jakiś żołnierz ma w lewej stopie dziurę po kuli albo odstrzelony palec. Taki człowiek siedział na pryczy, mając pod ręką jakieś szmaty, a wokoło unosił się zapach płynu do czyszczenia broni. Jego pierwsze słowa brzmiały: „Akurat czyściłem to cholerstwo, kiedy wystrzeliło”. Następnie pojawiała się medyczna ekipa ewakuacyjna i zabierała delikwenta. Oczywiście każdy wie działo, co się wydarzyło naprawdę. I nikt się tym za bardzo nie przejmował; w każdym razie ja się o to nie troszczyłem. Zamykałem oczy, wsłuchiwałem się w dochodzące z bazy odgłosy i zasypiałem. Sam nigdy się aż tak nie bałem.

Słuchając go, dałem do zrozumienia Christine, aby przyniosła mi papier i pióro. Energicznie gestykulowałem, wykonując w powietrzu ruch naśladujący pisanie. Skinęła głową na znak, że rozumie; jej twarz stężała. Po chwili po dała mi plik białych kartek i długopis. Na górze pierwszej strony napisałem:

MORDERCA

podkreśliłem to słowo trzy razy i podsunąłem jej papier. Gwałtownym ruchem zasłoniła usta dłonią; był to naturalny odruch. Zauważyłem, że jej oczy napełniają się łzami. Usiadła po drugiej stronie stołu i patrzyła na mnie przez cały czas trwania tej rozmowy; sama mi o tym później powiedziała, bo w tym czasie moja uwaga skoncentrowała się na telefonie i czystych arkuszach papieru, które leżały przede mną. On mówił, a ja zacząłem zapisywać to, co usłyszałem.

- Jak już wspominałem, przeczytałem pański tekst z zainteresowaniem. Ci ludzie, ze swoimi myślami i obawami... Pomyśleć, że tyle intelektualnej energii pochłania zwyczajny strach przed czymś nieznanym, niewyobrażalnym. Przypuszczam, że ci wszyscy psychoanalitycy amatorzy i domorośli znawcy zbrodni uważają, że to mi daje poczucie potęgi. No cóż - roześmiał się - mają rację. Mam tę świadomość i uwielbiam ją.

W jego głosie zabrzmiała nuta gniewu.

- Oni wszyscy budzą we mnie odrazę. Te zadowolone z siebie typki z boga tych przedmieść, ludzie kupujący broń, jakby mieli pojęcie, co z nią potem robić; przechodnie, z którymi pan rozmawiał, ze swoimi sztampowymi wyobrażeniami

o strachu, z trwogą, że ich szmatławe, bezpieczne życie jest zagrożone. Chciałbym mieć możliwość dopadnięcia ich wszystkich, dosłownie wszystkich... - zawahał się. - No cóż, trzeba zrobić, ile się da, prawda? W każdym razie chcę, aby ci wszyscy bezpiecznie żyjący ludzie odczuli to w samym środku, poznali najgorszy rodzaj strachu - kiedy człowiek orientuje się, że nie może nic na to poradzić. To jest strach doskonały. Chcę, aby myśleli o mnie jak o raku toczącym wnętrzności społeczeństwa, wżerającym się w ich życia. Odetchnął głęboko.

- Nienawidzę ich wszystkich. Nie potrafię znaleźć słów, by to wyrazić.

Słyszałem jego równy, głośny oddech - tak oddycha biegacz w połowie dystansu.

- Pan jest publicystą. Niech pan im to przekaże.

- A co będzie, jeżeli przestaniemy drukować takie informacje? - zapytał. - Jeżeli w redakcji zabronią mi pisać na ten temat, jeżeli będę musiał przestać publikować pańskie wypowiedzi?

Zapadła chwila ciszy.

- No, jestem pewny, że stacje telewizyjne z rozkoszą wyemitują mój głos - rozesmiał się. - Chociaż wolę coś bardziej treściwego. Lepiej widzieć czyjeś myśli i wypowiedzi wydrukowane na papierze, czarno na białym. Codzienna gazeta po prostu leży przez cały dzień i gapi się na człowieka. To wygląda całkiem inaczej niż w przypadku programu telewizyjnego, który chwilę trwa, a potem nagle go już nie ma. Dlatego wołałbym współpracę z panem. Ale nie jest to aż takie ważne.

- W dodatku - ciągnął - mam wątpliwości, czy pańska gazeta lub jakakolwiek inna zrezygnowałaby dobrowolnie z takiej historii, ze stania się współniczką tego rodzaju przedsięwzięcia. Niezależnie od tego, jak bardzo zostałyby wykorzystana.

Za oknem zapadła ciemność. Mój telefon wisiał na ścianie i miał długi przewód. Nie odkładając słuchawki, podszedłem do kuchennego zlewu; oddaliłem się na moment od stołu i moich notatek - chciałem zebrać myśli. Przez okno widziałem blady księżyc prześwitujący przez gałęzie drzew, srebrzący je mdłą poświatą.

Morderca mówił dalej.

- Kiedy czytałem pańskie ostatnie artykuły, naszła mnie dziwaczna myśl. Wróciłem pamięcią do lat dziecińczych... to stało się wtedy, gdy czytałem o tych kobietach i ich dzieciach bawiących się na huśtawkach. Kiedy byłem mały, matka zabierała mnie na plac zabaw. Mieszkaliśmy wtedy w małym miasteczku; przypominał mi się, że dzieci ustawiały się w ogonku do huśtawek, a kiedy przyszła ich kolej, wyrzucały ze wszystkich sił nóżki do przodu i do tyłu, najszybciej jak umiały. Ja byłem wśród nich, tak samo starałem się jak najszybciej rozbujać. Doskonale pamiętam, jak siedziałem na huśtawce, która wychylała się coraz silniej, poruszała po coraz większej paraboli, kiedy nadawałem jej rozpęd. Widzę swoje dłonie z bielejącymi palcami, zaciśnięte na łańcuchach. Kiedy osiągałem apogeum wychylenia, odrzucałem głowę w tył i przez moment patrzyłem na niebo, jakbym leciał w powietrzu. Potem, kiedy zaczynałem opadać, zamykałem

oczy i czekałem, aż uderzę o ziemię. Miałem wrażenie, że znajduję się w stanie nieważkości. To uczucie powtarza się czasami, kiedy mam w rękę czterdziestkę-piątkę, kiedy celuję w czyjaś potylicę. Po raz pierwszy przeżyłem to w Wietnamie, a teraz to się powtarza. To jest dokładnie takie samo uczucie jak w dzieciństwie - cudowny zawrót głowy człowieka oderwanego od ziemi. Czy pan kiedyś doświadczał czegoś podobnego?

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, więc powiedziałem to, co mi akurat wpadło do głowy:

- Może czasem, jak byłem z kobietą...

Roześmiał się gwałtownie, hałaśliwie:

- A czemu by nie? No właśnie, z kobietą. Uczucie wolności, swobodnego lotu. Nieźle, zupełnie nieźle. Czy pan wie, Anderson... -jego głos zmienił się znowu; znikł gdzieś żartobliwy ton, pojawiła się za to nuta głębokiej, agresywnej wściekłości - że ja po raz pierwszy miałem kobietę, kiedy byłem w wojsku? Miałem dziewiętnaście lat i byłem żołnierzem, wyszkolonym żołnierzem. Dopiero wówczas doświadczyłem kobiety. W młodości, kiedy mieszkaliśmy na farmie, z niejaką fascynacją obserwowałem parzące się zwierzęta. Zazdrościłem im, że robią to bez cienia wstydu, kierując się czystym instynktem. Kiedy byłem mały, w sąsiednim domu mieszkała pewna dziewczynka. Często bawiliśmy się razem w pobliskim lesie - wie pan, jak to dzieci, zanim dowiedzą się, że to, co robią, jest złe. Zresztą właściwie nie był to nawet las, tylko kępa drzew i krzaków, rosnących bezładnie obok domu.

Nie było tam za wiele miejsca; poszycie było bardzo rozrośnięte i tak splecione, że przypominało tor przeszkód. Dla dzieciaków była to znakomita kryjówka. Mogliśmy się tam wśliznąć, schować za krzakami i drzewami, zniknąć z oczu rodziców, znaleźć trochę prywatności.

Przypominam sobie, że ta dziewczynka była dzieckiem adoptowanym. Malowała sobie kreski pod oczami, uważając to za makijaż; myślałem sobie, że ją kocham i że któregoś dnia razem uciekniemy. Ja miałem wtedy sześć lat, ona siedem; bawiliśmy się razem w tej kępie drzew. Najpierw wybieraliśmy normalne, dziecięce zabawy - w chowanie i tak dalej. Potem ona przynosiła swoje lalki. Miała dwie kukielki domowej roboty, ze szmatek, i tuliła je do siebie. Mówiła, że to nasze dzieci, a w tych zaroślach jest nasz dom. To rzeczywiście był nasz baśniowy dom. Latem kładliśmy się pod drzewem, niewidoczni z zewnątrz i mówiliśmy o wspólnej ucieczce, kiedy będziemy trochę starsi.

Byliśmy całkiem nadzy. Pamiętam każdy centymetr jej ciała, skórę opaloną na brąz na nogach i ramionach, ale delikatną i różową w miejscach, gdzie sukienka nie dopuszczała słońca. Leżeliśmy obok siebie, czasem obejmowaliśmy się; pamiętam, jakie uczucia wzbudzała we mnie ta bliskość - było mi ciepło i dobrze w cieniu rzucanym przez krzewy i drzewa. Nie mogłem się napatrzeć na nią, na te wszystkie sekretne miejsca jej ciała. Wyciągałem rękę i głaskałem ją delikatnie, nie miałem śmiałości, by mocniej pociągnąć, przydusić czy w jakikolwiek sposób zrazić. To było jak dotknięcie światła; przypominam sobie, jak drżałem, po prostu się trząsałem z podniecenia, kiedy patrzyłem na jej zamknięte oczy...

Przerwał swoją opowieść.

- I co było dalej? - przynagliłem go.

- Nakryła nas moja matka. Pamiętam to, jakbym oglądał te wydarzenia na stopklatkach. Usłyszałem jakiś podejrzany dźwięk i raptownie usiadłem, chwytając ubranie. Matka zaczęła wrzeszczeć -jej głos brzmiał jak seria z karabinu. Dziewczynka rozplakała się, a ja dałem nura w ciemiste krzaki. Kiedy wieczorem wróciłem do domu, matka kazała mi się rozebrać i pokazała ojcu, jak się podrapałem, próbując przed nią uciec.

- No i?

- No i dostałem lanie. - Głos stał się obojętny, zdawkowy. - Ją też zlali. Nasze rodziny wspólnie wycięły te krzaki i część drzew. „Będzie z tego dobry opał” - mówił mój ojciec, podnosząc wysoko siekierę i opuszczając ostrze na pień brzozy. Zresztą oni... rodzina tej dziewczynki... wkrótce się wyprowadzili. Nigdy się nie dowiedziałem, dlaczego. Może znaleźli inną pracę albo lepsze mieszkanie. Kto to wie?

- Nigdy się pan tego nie dowiedział?

- Nigdy - odparł. - Ja ją kochałem.

W słuchawce znowu zrobiło się cicho. Zacząłem zastanawiać się nad raptownymi zmianami nastroju, jakie demonstruje morderca, przechodząc od żartobliwego, przyjacielskiego tonu do nuty najczarniejszej groźby i nieubłaganej nienawiści. Jednak kiedy mówił o swojej rodzinie, o dojrzewaniu, jego głos zdawał się pobrzmiwać nutą delikatnej nostalgii. Odnosiłem wrażenie, że wspomnienia łagodzącego złość.

- Wie pan, niedługo później, po wyjeździe tych sąsiadów i ich dziewczynki, moja matka o mało się nie udusiła. Tego dnia było okropnie gorąco, tak jak teraz; wie pan, taki czas, kiedy wydaje się, że upał zniszczy wszystko, a słońce uderza w ziemię jak potężna bomba. Ojca nie było w domu, pewnie poszedł do szkoły. Zazwyczaj zabierał ze sobą lunch i wracał do domu dopiero popołudniu, nawet w czasie letniej sesji, kiedy odbywały się głównie dodatkowe lekcje dla dzieci, których cenzurki były zagrożone.

Byliśmy więc w domu sami, matka i ja. Nie mogliśmy oddychać z gorąca. Okna były szeroko otwarte, ale powietrze stało nieruchomo. Była to pora obiadu, więc matka wstała z kanapy, na której leżała. Nosila taki staroświecki szlafrok, zapinany z przodu na guziki. Na piersiach miał kwiatowy wzór.

Przedtem leżała na kanapie i narzekała na upał. Miała pod ręką szklanekę z wodą i chusteczkę, którą maczała w tej wodzie i przykładła sobie do oczu. Z odległej o kilka kilometrów stacji dobiegał gwizd pociągów. Dochodziło południe. Ten dźwięk wisiał w powietrzu, rozbrzmiewał echem. Matka rozpięła suknię na piersiach. Miała czerwoną skórę, pewnie z powodu wysypki. Ściągnęła okrycie z ramion, tak że zasłaniało tylko czubki piersi. Patrzyłem na jej biust, podnoszący się i opadający w rytmie ciężkiego oddechu. W rowku między piersiami pojawiały się kropelki potu, spływające na brzuch. Kiedy usłyszała gwizd oznaczający południe, opuściła nogi na podłogę i usiadła na chwilę; chwiała się, jakby miała zawroty głowy. Wzięła chusteczkę, zmoczyła ją

w szklance z wodą, a następnie wycisnęła chłodną wilgoć na ciało. Woda zmieszała się z jej potem, spływając na łono.

Potem podniosła się, popatrzyła na mnie dziwnym wzrokiem i zaczęła narzekać: „Mój Boże, chciałabym mieszkać tam, gdzie jest trochę wiatru. Na przykład nad jeziorem albo w górach. Przysięgam, że już nigdy nie będę się skarżyć na chłód!” Potrząsała głową, jakby chciała w ten sposób wywołać choćby odrobinę przewiewu. Ja siedziałem w fotelu i obserwowałem ją. Pytała, czy jestem grzecznym chłopczykiem i w ogóle; mówiła jak do małego dziecka, chociaż dobrze wiedziała, że jestem już za duży na taką gadkę. Wreszcie powoli poszła do kuchni mówiąc, że przygotowuje coś do jedzenia. Poszedłem za nią.

W kuchni było równie gorąco jak gdzie indziej. Matka usiadła ciężko przy stole. „Chodź tutaj - powiedziała - i potrzymaj matce czoło”. Zamknęła oczy i odchyliła głowę do tyłu; ja głaskałem ją po głowie. Zaczęła mrużyć, a na jej twarzy pojawił się uśmiech. Widziałem, jak jej ciało się rozluźnia. Po chwili otworzyła oczy i spojrzała na mnie. „Jeśli będziesz grzecznym chłopczykiem, to będziesz mój na zawsze” - powiedziała. Na zawsze... to nic nie znaczy.

Potem wstała i podeszła do małej lodówki. W środku była resztką wołowiny z kolacji z poprzedniego dnia. Odkroiła dwa plasterki - jeden dla siebie, drugi dla mnie i podała je na talerzu, na zimno. Odkroiła sobie duży kawałek, szybko wsunęła go do ust i zaczęła gwałtownie przeżuwać.

Nagle przestała jeść. Pamiętam, jak zmieniał się wyraz jej twarzy; pojawiło się na niej zdziwienie, zaskoczenie. Z gardła wydobył się wysoki dźwięk, w połowie krzyk, w połowie charczenie, po czym jej twarz zrobiła się zupełnie biała; jeszcze nigdy jej takiej nie widziałem. Zaczęła gwałtownie łapać powietrze, oddech stał się gwizdzący, urywany. Zrozumiałem, że utkwił jej w gardle kawałek mięsa. Złożyła ramiona, jak ptak składa skrzydła, i usiłowała wykrztusić to, co ją dusiło, uderzając się w plecy. Jednocześnie dawała mi znaki, żebym jej pomógł. Potem usiłowała wsadzić sobie palce do gardła. Ja siedziałem jak przybity do krzesła i tylko patrzyłem.

Wreszcie skoczyła na równe nogi i zaczęła uderzać plecami o ścianę — była przerażona, wciąż się dusiła. Dopiero kiedy upadła na podłogę, zbliżyłem się do niej. Uderzyłem ją pięścią w sam środek pleców i odczekałem chwilę. Jej oddech zrobił się jeszcze krótszy, więc uderzyłem jeszcze raz, potem znowu, aż do chwili, kiedy zorientowałem się, że matka łapczywie łapie powietrze, a kawałek mięsa wyskoczył z tchawicy. Miałem zamknięte oczy. Ona zwinęła się na podłodze; rozpięty szlafrok opadł do pasa.

Ukląknęłem przy niej patrząc jej w twarz, a przy tym starając się nie widzieć nagiego ciała. Oddychała ciężko, powoli. W kilka chwil później otwarła oczy i pogładziła mnie po policzku. „Dziękuję ci” - powiedziała. Pewnie myślała, że pomogły tu moje uderzenia, chociaż ja tak nie sędzę. Zresztą, kto wie? Objęła mnie i przytuliła do siebie, jakby zamykając w swoim ciele. Odniosłem wrażenie, że teraz to ja się duszę i nie mogę złapać oddechu. Czuję, że jej ciało jest spocone, na ustach miałem smak tego potu. To tak jakbym znalazł się w pomieszczeniu, gdzie światła zostały zgaszone, zanim człowiek przywykł do

ciemności. Zamknąłem powieki i słuchałem bicia jej serca. Czasami, kiedy artyleria strzelała w nocy do wybranych celów, a pociski przelatywały ze świstem nad naszymi głowami i wybuchały o kilometr dalej, ziemia potężnie falowała i trzęsła się. Tamten dźwięk skojarzył mi się z pracą serca mojej matki.

Zauważyłem, że ja również się spociłem, a słuchawka nieprzyjemnie klei mi się do ucha.

- Skąd pan telefonuje? - zapytałem.

Zamilkł na moment, a potem roześmiał się.

- Z normalnego telefonu - odparł. - Czy wie pan, ile jest budek telefonicznych w tym mieście? Setki, a może tysiące. Są dziesiątki spokojnych miejsc, z których można dzwonić. Oczywiście niewykluczone, że pana okłamuję. Może być tak, że siedzę w swoim pokoju albo leżę na własnym łóżku i gapię się na dobrze znane znaki na suficie, a jednocześnie z panem rozmawiam. Słyszysz pan, jak tu cicho? Nie ma sposobu, by się dowiedzieć, skąd dzwonię.

— A dlaczego telefonuje pan do mnie do domu?

- Musiałem to zrobić - odrzekł. - Chciałem dać panu do zrozumienia, że wiem, gdzie pan mieszka. I że myślę o panu. I że te impulsy nachodzą mnie w najdziwniejszych momentach.

- Jakie impulsy?

- Dwa z nich odnoszą się do pana: impuls, aby zabijać oraz impuls, by mówić.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Miałem wrażenie, że słowa nie przepływają po linii telefonicznej, ale trafiają mi wprost do ucha, jakby rozmówca stał obok mnie i szeptał.

- W wieku dziewiętnastu lat - mówił dalej morderca - miałem swoją pierwszą kobietę i po raz pierwszy zabiłem człowieka. Ta kobieta była prostytutką; nie, chyba lepiej nazwać ją kurwą. A ten zabity nie był właściwie mężczyzną, tylko raczej chłopcem, prawdopodobnie nie starszym ode mnie. Ona pracowała na ulicy w rejonie barów, moteli i pomograficznych kin koło Fortu Bragg - nie mam pojęcia, jak się nazywa to miasteczko w Północnej Karolinie. Odbywałem tam podstawowe szkolenie i dopiero kiedy trening już, już miał się skończyć, puścili nas do miasta i pozwolili skorzystać z miejscowych rozkoszy. Jak wszystko w armii, także i to odbywało się w sposób zorganizowany; zgonili nas, napalonych jak małolaty, do autobusów. Zresztą naprawdę byliśmy pod nieconymi małolatami.

Ta przepustka miała wyjątkowo symboliczny charakter. Wątpię, czy dowodzący nami kretyni w ogóle zwrócili na to uwagę, ale my, aby otrzymać tę przepustkę, musieliśmy wcześniej zdać sprawdzian ze strzelania z M-16. Człowiek najpierw musiał nauczyć się strzelać w sposób tradycyjny, zanim sobie wystrzelił w tym drugim rozumieniu.

Wyczuwałem, że mężczyzna po drugiej stronie linii uśmiechnął się w tym momencie.

- Przypominam sobie twarze ludzi, którzy mieli kłopoty z bronią; opuścić karabin, kolba przy policzku, oczy utkwione w cel. Wszyscy modlą się, by nie

chybić. Dla mnie to nie był problem. Kiedy byłem młodszy i mieszkaliśmy na farmie, ojciec nauczył mnie strzelać. Miał starego jednostrzałowego remingtona kaliber dwadzieścia dwa. W sobotę wychodziliśmy z domu, wybieraliśmy cel i spędzaliśmy godzinę albo dwie na strzelaniu. Potem w wojsku, kiedy kulilem się na strzelnicy czekając na komendę oficera dyżurnego, wyobrażałem sobie, że znowu jestem na wsi, widzę cel przymocowany do starej deski, zawieszony daleko na polu. Mam szare oczy. Wie pan, ludzie mówią, że ludzie o szarych oczach są najlepszymi strzelcami. Myślę, że to dotyczy Daniela Boone'a. I sierżanta Alvina Yorka.

Pospiesznie zapisałem na kartce: szare oczy. Pomyślałem, że to może pomóc policji.

- To było dziwne. To wspomnienie towarzyszyło mi na treningowej strzelnicy, a także wiele miesięcy później, w Wietnamie, kiedy mierzyłem do pierwszej ofiary. Ten człowiek biegł jakieś trzydzieści metrów ode mnie, skrajem pola ryżowego; jego czarna koszula odcinała się od zieleni drzew. Pewnie był młody i kiepsko wyszkolony; porządny żołnierz nie wystawiłby się w taki sposób. Myślałem o naszej farmie i popołudniach spędzanych z ojcem, który szorstkim głosem pouczał mnie: „Do cholery, naciskaj, nie ciągnij!” Nacisnąłem więc język spustowy, oddałem pojedynczy strzał, a kiedy podniosłem wzrok, zobaczyłem, że czarna figurka potyka się i przewraca na ziemię. Pozostali żołnierze z patrolu zaczęli wrzeszczeć, pohukiwać i hałasować na wszelkie sposoby. Nie miałem trudności ze zdaniem egzaminu na strzelnicy. Zanim opuściłem obóz, dali mi medal strzelca wyborowego. No więc w piątek wieczorem, akurat kiedy zaczynał zapadać zmierzch, wszyscy przebraliśmy się w wyprane i wyprasowane mundury; kapelusze, zgodnie z zawadiacką modą, naciągnęliśmy mocno na oczy. Władowali nas do oliwkowozielonych autobusów i wysłali do miasta.

Był tam bar zwany „Przyjazne Miejsce”. W oknie zachęcająco migała reklama Miller High Life, w środku stała szafa grająca, a w głębi bilard; przez środek stołu bilardowego ciągnęła się długa szrama - ktoś rozerwał sukno. Leżała tam tylko jedna biła i nigdzie nie widziałem kijów niezbędnych w tej grze. W maszynie można było znaleźć płyty z muzyką country i trochę nagrań rockowych. Willie Nelson i Rolling Stones. Kiedy tam wchodziłem, grali „Sympathy for the Devil”. Zacząłem mrugać, bo w środku było ciemno i potrzebowałem kilku minut, by przystosować wzrok. Barman był potężnym facetem, z tych, co to trzymają papierosy w podwiniętym rękawie koszuli. Nosił brodę i nie mówił za dużo - słychać było tylko szum automatycznej kasy. Przy barze siedziały dziewczyny; kiedy wkroczyliśmy do środka, podniosły się ze stołków, wyszły nam naprzeciw i poprowadziły na miejsca przy barze albo do kilku bok-sów na tyłach lokalu. Było nas pięciu. Zaczęliśmy pić, śmiać się i żartować. Przypominam sobie, że ta dziewczyna była blondynką; zdziwiła mnie pomarszczona skóra na jej szyi. Miała zużyte piersi, jakby miętosiło je zbyt wiele męskich dłoni. Wyglądała staro.

Kolejna pauza.

- No i co dalej?

Zabójca roześmiał się.

- A jak pan myśli? - W jego głosie znowu usłyszałem gniew.
- Nie mam pojęcia.
- Niech pan uruchomi wyobraźnię.

Znowu zaległa cisza.

- Dlaczego pan mi to wszystko mówi? - zapytałem.
- Chcę, żeby pan wiedział.
- Ale dlaczego?
- Zależy mi, aby wszyscy wiedzieli, z kim mają do czynienia.
- Nie obawia się pan, że powie coś, dzięki czemu policja trafi do pana?
- Nie.
- Nie?
- Co jest prawdą, a co fikcją? - zapytał. - Skąd można wiedzieć?
- Ale przypuśćmy, że pana złapią...
- Nie złapią.
- A to dlaczego?
- Bo nie są dostatecznie bystrzy.
- A może pan ich nie docenia?
- Bardzo wątpię. Ale jeżeli tak, to moja strata, prawda?
- To pana nie martwi?
- Nie.
- Czemu nie?
- Ponieważ już jestem martwy- odpowiedział.

Zapisywałem dosłownie jego wypowiedź na leżącym przede mną papierze. Zauważyłem, że Christine mnie obserwuje. Podsunąłem jej kartkę, na której robiłem notatki. Przeczytała i oczy się jej rozszerzyły.

- Jak to rozumieć? - zapytałem.
- Czuję się jak duch, istota pozbawiona treści. Moje wnętrze jest zimne, jakby poczerniałe od ognia. Nie ma we mnie życia. Pozostała tylko nienawiść. To jest jak śmierć.
- Nie rozumiem - wtrąciłem.
- Nie oczekuję tego od pana - odparł. - W każdym razie jeszcze nie teraz.

Może później uda się panu to zrozumieć.

- Słuchaj pan, do cholery! Pan się ze mną bawi, wciąga we wspominki z przeszłości, opowiada o wydarzeniach z czasów wojny. O co tu chodzi? Co pan chce udowodnić? Dlaczego pan to robi?
- Pamiętam taką chwilę w dżungli. - Jego głos nagle stwardniał. - Byłem na patrolu, kilka kilometrów od obozu, gdzie przebywał nasz pluton; przedzie raliśmy się w kilku przez gęste zarośla. Szedłem na szpicy. Lubiłem to, w prze ciwieństwie do innych. Wiadomo, ten pierwszy jest najbardziej narażony na ogień snajperów i ma największą szansę nadepnąć na minę. Wszyscy bali się min bardziej niż jakiegokolwiek wroga. Człowiek nie mógł zaufać ziemi, którą czuł pod stopami. Nigdy nie było pewności, czy następny krok nie będzie właśnie tym ostatnim. Wietkong miał takie miny, które eksplodowały przy najmniejszym

dotknięciu i urywały stopę. To jeszcze nie było najgorsze, ale te miny wybuchwały z cichym stuknięciem, po którym następował głośny huk. Widzi pan, taka mina miała dwa ładunki wybuchowe; pierwszy pod wpływem nacisku wystrzeliwał na wysokość pasa główny ładunek, który dopiero wtedy się rozrywał. Załatwiał kolana, uda, jądra, kutasa, brzuch. Wszystkie miejsca najważniejsze dla mężczyzny. Czasem taki wybuch przecinał faceta na pół - nieszczęśnik umierał, zanim zdążyliśmy do niego dotrzeć. Innym razem rozlegało się tylko ciche stuknięcie, ale eksplozja robiła z człowieka hamburgera; ranny siadał na ziemi i z niedowierzaniem przyglądał się swojemu kroczu i krwi wypływającej z miejsca, gdzie przed chwilą znajdowały się genitalia.

Ja jednak lubiłem iść na czele, prowadzić innych, sprawdzać, co jest przed nami. Miałem przekonanie, że nic mi nie grozi — było tak od dnia, w którym przekroczyłem drut połączony z zapalnikiem nie patrząc nawet pod nogi; akurat podniosłem głowę do góry i obserwowałem szare niebo ponad koronami drzew. Idący za mną żołnierz nie miał tyle szczęścia - usłyszałem najpierw stuknięcie, potem głośny wybuch; nie musiałem się odwracać, by zrozumieć, co się stało.

Był to młody człowiek, przebywający w polu od tygodnia czy dwóch. W każdym razie na tyle krótko, że jego polowy mundur nie zdążył się jeszcze zszargać. Krzyknął cicho i usiadł na ziemi, czy też może przewróciła go eksplozja. Wyglądało to tak, jakby wylał sobie na łono spaghetti z sosem pomidorowym. Podbiegł do niego sanitariusz, a łącznościowiec zaczął wołać przez radio, że musimy się wycofać i że potrzebujemy z dziewięć metrów penetratora dżungli. Chłopak spojrzął na mnie i powiedział, że jest ranny. Przytaknąłem. Potem dodał, że umiera, a ja jeszcze raz skinąłem głową. Potem zaczął krzyczeć; sanitariusz wstrzyknął mu morfinę. Pamiętam, że sierżant bez przerwy przeklinał. Huk eksplozji przestraszył ptaki; poderwały się z drzew i odleciały w głąb lasu. Usiadłem na ziemi i czekałem. To trwało z dziesięć minut, a może nawet mniej. Wyraźnie widziałem, jak z tego chłopaka wycieka życie. Im bardziej starał się sanitariusz, tym gorszy był stan rannego, jakby obaj szli w przeciwnych kierunkach. W kilka chwil później ten chłopak już nie żył - i akurat wtedy rozległ się huk śmigła nadlatującego helikoptera. Odgłosy, jakie wydają w locie ptaki z dżungli i śmigłowce, nie różnią się tak bardzo. Sanitariusz wrzeszczał, ugniatając klatkę piersiową poszkodowanego; chciał pobudzić jego serce. To był normalny dzień, jeden z trzystu sześćdziesięciu pięciu.

Zabójca przerwał, ale po chwili podjął wątek.

- A teraz opowiem panu o tym starszym małżeństwie. Podejrzewam, że chce pan tego wysłuchać.
- Owszem - potwierdziłem.
- W porządku. To było dziwne!— zaczął.
- Ale dlaczego oni? Co panu zrobili?
- Pan nadal nie rozumie - westchnął z irytacją. - Rzecz w tym, że żadna z ofiar w niczym mi nie zawiniła. Ci ludzie są niewinni. To właśnie chciał pan usłyszeć? Ja wiem, że oni nic nie zawiniли! O to właśnie chodzi.
- A skąd tyle krwi? Była wszędzie.

- Aby zwiększyć strach.
Zanotowałem to.

- Jeżeli ci ludzie mieli posłużyć za symbol, to czemu pan nie powie, czego to ma być symbol? Nie chwytam pańskiego przesłania.

- Zrozumie pan - zapewnił. - Ta kilkunastoletnia dziewczyna. Starsze małżeństwo. Powinien się pan zastanowić, kim są ofiary. Mówiłem już panu- to jest powtórka, powielenie. W Wietnamie była taki moment... *zdarzył* się pewien incydent. Teraz po prostu ponownie odgrywam tamtą sytuację. Czy przy pominięciu pan sobie wiosną siedemdziesiątego pierwszego roku, kiedy w Waszyngtonie odbywały się demonstracje Weathermenów?*

Biegali po ulicach, rozrzucali śmieci, wykrzykiwali obelgi, starając się zakłócić normalne życie. Uważali, że ludzie są za bardzo pogodzeni z wojną, że nie pojmują, co się tam wyprawia. Jak można identyfikować się z niszczeniem społeczeństwa w Wietnamie, jeśli samemu nie doświadczyło się na własnej skórze, co takie niszczenie oznacza? Te demonstracje przebiegały pod hasłem „sprowadzenia wojny do domu” i miały doprowadzić do rozbudowy świadomości metodą symbolicznego powielania. Zdażyłem już wrócić z Wietnamu i maszerowałem z nimi po ulicach, przyglądałem się i słuchałem. Zrozumiałem, że to niczego nie zmienia. Ludzie widzieli w tym tylko utrapienie, a nie symbol. No cóż, Weathermenom brakowało mojego zdecydowania. Ludzie nie mogą ignorować tego, co ja robię.

- Ale wojna się już skończyła - wtrąciłem. — Koniec. Kaput. Ten koszmar mamy za sobą. Wszyscy się z tym zgadzają.

- Dla mnie to się nigdy nie skończy. - Mówił teraz powoli, z głębokim namysłem. - Co noc przeżywam ją we śnie, myślę o niej, budząc się rano. Nie raz, kiedy patrzę na słońce, wydaje mi się, że jestem tam, a nie tutaj. Dla mnie to będzie trwało wiecznie.

Jeszcze jedna chwila ciszy.

- A co z tymi starszankami? - zapytałem.

- Chodzi panu o Mama—sań i Papa-san? - zapytał śmiejąc się.

- Niech pan posłucha - powiedziałem patrząc na Christine, która przysłu chiwała się naszej rozmowie. - Panu potrzebna jest pomoc. Są specjalne programy i instytucje dla ludzi poszkodowanych przez wojnę; tam mogą panu pomóc... Nie był to dobry argument, a reakcję mogłem przewidzieć.

- Gówno! Gówno! Gówno! To wszystko gówno! Czy pan widział choćby jedną z tych instytucji, brał udział w jakimś programie? Bardzo wątpię. Ma pan pojęcie, jak wygląda od środka taki szpital dla weteranów? Powiem panu. Wszystkie ściany są pomalowane na zimny, bladezielony kolor. Czasami miałem wrażenie, że na tych ścianach widzę rysy w miejscach, gdzie w mur wryły

* Weathermen (czyli Przepowiadacze Pogody) - podziemna, wojownicza grupa oderwana od organizacji Studenci na rzecz Demokratycznego Społeczeństwa. Jej członkowie opowiadali się za rewolucją i organizowali w USA częste demonstracje, zwłaszcza na początku lat siedemdziesiątych. Nazwa wzięła się z tekstu piosenki Boba Dylana „Subterrean Homesick Blues”: Nie potrzeba przepowiadacza pogody, by wiedzieć, skąd wieje wiatr (przyp. tłum.).

się wrzaski tych wszystkich ludzi, którzy przechodzili korytarzem. Są tam rzędy łóżek i szafek, pełno niedopałków, popiołu z papierosów i odpadków, a także ludzi, tak łatwo wyrzuconych na śmietnik. Byłem tam i wiem. Nigdy nie zgodzę się wrócić. Pan myśli, że zwariowałem. Wiem, że właśnie tak pan myśli. Czytałem ten artykuł, w którym powoływał się pan na psychiatrę. Oni wszystko są w stanie zrozumieć. Mówią o chorobie czy zaburzeniach. Wyciągają ją po człowieka. Te wszystkie puste słowa, typowe dla tej bezwartościowej profesji. Cóż, może i jestem chory, ale i tak znacznie zdrowszy niż oni wszyscy. Zabójca głośno wciągnął powietrze.

- Zanim skończę, mnóstwo ludzi będzie marzyć, abym im nie zagroził. To nie ja jestem szalony. Niech to jasna cholera! Cały świat zwariował! Ludzie zachowują się tak, jakby nic się nie wydarzyło. Wszystko, co widzą, to koniec własnego nosa. No, a ja to zrobiłem! Wydaje mi się, że jestem jedynym zdrowym na umyśle człowiekiem na świecie - mówił cichnym stopniowo głosem. - Jedynym, który rozumie, że każdemu działaniu towarzyszy reakcja przeciwna. To społeczeństwo zrobiło ze mnie mordercę i oto wracam, by robić to, czego mnie nauczono; to właśnie ta reakcja.

Przerwał po raz kolejny, by zaczerpnąć powietrza.

- A jak jest z panem? - zapytał.

- Co pan ma na myśli?

- Czy pan tam też pojechał? Chyba jesteśmy mniej więcej w tym samym wieku. Jeśli tak, to musi pan sobie stawiać analogiczne pytania. Był pan tam?

- Nie, nie byłem - odparłem.

- Dlaczego?

Przychodziły mi do głowy różne warianty odpowiedzi; przypominałem sobie rozmowy z ojcem i z kolegami ze studiów. Ja także nosiłem długie włosy, dzinsy i transparenty pokojowe, brałem udział w demonstracjach i śpiewałem pieśni. Wydawało się, że wszystko to działo się bardzo dawno temu. Pomyślałem, że opowiem mu o odroczeniach przysługujących studentom, o amoralnym charakterze wojny, o tym, że ludzie, którzy byli jej przeciwni, zwieźli do Kanady. Przecież właśnie tego chce słuchać. Ale powiedziałem coś zupełnie innego:

- Nie pojechałem tam, bo się bałem.

- Czego?

- Nie wiem dokładnie - przyznałem. - Zabijania innych. Tego, że sam zostanę zabity.

- To była nasza wojna - powiedział spokojnym głosem.

- Wiem o tym - odparłem, myśląc o portrecie mojego dziadka, odzianego w oliwkowy mundur, z wąskim kołnierzem przylegającym do szyi. Na fotografii wyglądał cicho i spokojnie. Należał do Amerykańskich Sił Ekspedycyjnych. W wieku zaledwie dwudziestu dwóch lat został porucznikiem w Siedemdziesiątym Siódmym Batalionie Wolności. Był świadkiem działań w Chateau-Thierry i w lesie Argonne. Patrzyłem na niego oczami małego chłopca. Niewiele mówił o wojnie, a kiedy z niej wrócił, poszedł na studia prawnicze, aby z czasem zostać sędzią oceniającym upadki innych. Kiedy miałem osiem lat, zawołał mnie do

swojego gabinetu. Była wczesna jesień. Dziadek powiedział, że taka pogoda przypomina mu pochmurne dni w Argonne. Przed świtem niebo lekko jaśniało; wyglądało to tak, jakby zbierała się burza. Wtedy zaczynały grzmieć działa; pożeganie z nocą zwiastowały potężne wybuchy. Brzask różowił niebo, widać było błyski pocisków, lecących ponad pasem ziemi niczyjej w kierunku niemieckich pozycji. Cała ziemia się trzęsła i podskakiwała w rytmie artyleryjskiej kanonady. Potężne działa podnosiły temperaturę otoczenia i wytwarzały własny wiatr, jakby były potężniejsze od samej natury. Dziadek siedział za biurkiem i patrzył na mnie; potem wręczył mi podarunek. Był to jego stary stalowy hełm, tak ciężki, że ledwie mogłem go unieść. Włożył mi go na głowę, zrobił krok w tył i zasalutował.

- Mówiliśmy wtedy, że jest to wojna, która położy kres innym wojnom - powiedział.

Hełm przyprószył mi czymś włosy, zdjąłem go więc i potrząsałem głową.

- To francuski kurz - powiedział dziadek. — Przeleżał tam ponad czterdzieści lat.

W domu, w którym się wychowywałem, było również inne zdjęcie, stojące na półce obok portretu dziadka. Niezbyt wyraźne i nieostre, przedstawiało grupę mężczyzn klęczących na asfaltowej nawierzchni lotniczego pasa startowego. Za nimi widać było dziób średniego bombowca - był to Mitchell B-25. Mężczyźni przyjęli swobodne pozy. Pod każdą postacią widniało wypisane na białym nazwisko. Trzeci od lewej, tuż pod widocznym na kadłubie samolotu rysunkiem skąpo odzianej kobiety z piorunami w dłoniach, stał mój ojciec. Miał na sobie grubą lotniczą kożuszkę i czapkę zsunietą na tył głowy. Jedną ręką obejmował człowieka ubranego w taki sam mundur i skórzaną kurtkę. Na pasie ojca wisiała broń - identyczna czterdziestkapiątka jak ta, której używa morderca.

- Pierwsza wojna światowa, druga wojna światowa, nawet Korea - to wszystko było proste i wyraźne - powiedział mój rozmówca. - Ale kiedy my dostaliśmy naszą wojnę, już nic nie było proste.

- Skąd mieliśmy to wiedzieć? - wtrąciłem.

- Słusznie. Jakim cudem mogliśmy to przewidzieć? Ja pojechałem. Na wojnę poszedł wcześniej mój ojciec, a jeszcze wcześniej jego ojciec. Mam wrażenie, że to było po prostu przyjęte. Mój Boże! Jak bardzo oni się mylili.

- Pana ojciec i dziadek? - zapytałem zaskoczony.

- Tak - odrzekł. - Nie chodzi o to, że tworzyliśmy wojskową rodzinę. Po prostu ludzie tak postępowali. No i przyszła moja kolej.

Znowu wyobraziłem sobie własnego ojca. Przemawiał chodząc po pokoju i starając się nie tracić panowania nad sobą. „Do Kanady? Jesteś tego pewien? Do diabła, ja wiem, że ta wojna jest zła, ale czy zdajesz sobie sprawę, co zamierzasz odrzucić?” - pytał.

- W mojej rodzinie było tak samo - powiedziałem zabójcy.

- A mimo to pan nie pojechał?

- Nie pojechałem.

- Brał pan udział w demonstracjach?

- Tak. Wszyscy to robili. To było łatwe.

- Chyba tak - przyznał.

Na chwilę zaległo milczenie; on był tym, który je przerwał.

- Wie pan, jestem przekonany, że mamy więcej wspólnego ze sobą niż można by sądzić.

Jego obojętny głos przywrócił mnie do rzeczywistości. Znowu zobaczyłem tych starych ludzi.

- Niech mi pan opowie o morderstwach - poprosiłem.

- To było łatwe - posłużył się słowami, których przed chwilą sam użyłem.

Roześmiał się. - Oni lubili sobie wychodzić wieczorem na spacer, tak dla zdrowia. Obserwowałem ich przez kilka dni; zawsze szli taką samą trasą, z tą samą prędkością. Zatrzymywali się w określonych miejscach, by złapać oddech. Szli tuż obok siebie. Bardzo mi się spodobali. Większość ludzi nie okazuje sobie nawzajem tyle uczucia co oni.

- Nie rozumiem... - chciałem przerwać, ale mi nie pozwolił.

- Tego wieczoru poszedłem za nimi do ich domu. Zauważyli mnie dopiero wtedy, kiedy dopadłem ich w samym wejściu. Na ulicy nie było nikogo, a oni byli zbyt zaskoczeni i przerażeni, aby wołać o pomoc. Powiedziałem coś, by ich jeszcze bardziej wystraszyć, coś w rodzaju: „Jedno słowo i jesteście martwi”, zacisnąłem dłoń na ustach kobiety i wepchnąłem ich do saloniku, *zatrza skując* za sobą drzwi. To było zupełnie łatwe. Nagle wszystko się uspokoiło, ucichło - tak, jakby zamknięcie drzwi odcięło nas od świata zewnętrznego; zostaliśmy tylko ja i oni.

Przez chwilę machałem im przed nosem rewolwerem. Staruszek był sztywny ze strachu. Zasłonił żonę i powiedział: „Młody człowieku, niech pan zabiera, co pan chce, ale niech pan nas przestanie straszyć!” Nadął się i dodał: „Widowałem już większych twardzieli”. Uśmiechnąłem się do niego i zaprowadziłem oboje na kanapę w salonie. Stał tam również fotel; usiadłem w nim i trzymając ich na muszce zapytałem: „Doprawdy? A gdzie?” Staruszek zadrżał. „W Auschwitz” - odpowiedział podnosząc ramię; odwinął rękaw koszuli, aby pokazać wytatuowany numer.

Mówiąc oględnie, poczułem się zakłopotany. Nie mogłem uwierzyć własnemu szczęściu. „Niech mi pan o tym opowie” — zażądałem. Staruszek ujął w dłoń rękę żony, która do tej pory nie odezwała się ani słowem, tylko patrzyła przed siebie szklanym wzrokiem, i zapytał: „Co mam panu mówić? Nie widział pan zdjęć i filmów?” Odpowiedziałem twierdząco. „Weszliśmy tam wszyscy, a wyszli tylko niektórzy. Nieliczni. Co tu mówić? Kto by chciał takie rzeczy wspominać? Ale pan nie jest w stanie mnie przestraszyć, młody człowieku, nawet tym wielkim gnatem”. Wtedy poczułem, że go kocham. Każdy by się wzruszył. Po chwili mówił dalej: „A więc ma pan zamiar nas okraść, co? Myśli pan, że jesteśmy bogaci? Pan tu nie mieszka”. Zaprzeczyłem. „Nie chodzi o rabunek” - oświadczyłem. „No to o co? O morderstwo? Gwałt? Jesteśmy na to za starzy. Cóż więc pozostaje?”

Nie odpowiedziałem mu. Ten starzec był dumnym człowiekiem; siedział wyprostowany, patrząc mi prosto w oczy. Jedną ręką objął żonę, jakby ją chciał

osłonić, jak ptak okrywa skrzydłem pisklęta. Trzymał ją za rękę. Zauważyłem, że przygląda się mojej broni. „Czy to przypadkiem nie czterdziestkapiątka?” - zapytał, a ja skinąłem głową. „No, teraz to nabiera sensu” - stwierdził.

Odwrócił się do żony i tak ściszył głos, że ledwie go słyszałem. „Ruth” - powiedział - wiesz, że kochałem cię przez te wszystkie lata. Teraz zbliża się koniec. Ten człowiek to zabójca, o którym pisałam gazetach, to on zamordował tę ładną dziewczynę. Nas także chce zabić”. Kiedy to mówił, ona nagle zeszywniała, a jej oczy rozszerzyły się z przerażenia. Przypominała trochę zwierzaka, wie pan, na przykład psa albo królika. Mąż jednak przywołał ją szybko do porządku, mówiąc: „Jesteśmy starzy. Czym się mamy przejmować? Czego powinniśmy się bać?” Staruszek miał wspaniały głos - cichy, dodający otuchy, niemal hipnotyczny. Widziałem, jaki efekt wywierała jego przemowa na żonę. Uspokoiła się, przysunęła do niego. Potem zamknęła oczy i skinęła głową, a on odwrócił się do mnie i powiedział: „No więc niech pan robi, co pan chce”.

Poprosiłem, aby mi opowiedział o ich życiu. Ale on się zachnął: „O czym tu gadać? Urodziliśmy się, poznaliśmy i pokochaliśmy. Przetrzymaliśmy wojnę, długo żyliśmy. A teraz umrzemy”. Potrząsnąłem głową na znak, że nie o to mi chodzi. „Proszę - powiedziałem - chcę się dowiedzieć”. Jego żona otworzyła oczy i lekko uderzyła go pięścią w żebra. „Opowiedz mu - zażądała. - Ja też chcę tego posłuchać”. Staruszek uśmiechnął się do niej lekko i zaczął opowiadać historię ich życia. Nie wiem, jak długo tam siedzieliśmy - godzinę, dwie, trzy. Kiedy słucha się takich opowieści, czas mija szybko.

Czy wie pan, że kiedy skończyła się druga wojna światowa, ludzie uratowani z obozów śmierci trafili do nowych obozów koncentracyjnych, organizowanych przez Brytyjczyków i Amerykanów? Nazywali to obozami relokacyjnymi. I że Stany Zjednoczone - tak jest, my, pan, ja, nasi ojcowie - ustaliły kontyngent i nie zgodziły się na wjazd wielu dipisów na swoje terytorium? On mówił mi o tym wszystkim. Opowiadał, jak przyjechał tutaj; był jednym z niewielu, którzy otrzymali pozwolenie. Stało się tak dlatego, że już wcześniej dostał się tu jego kuzyn. Nie widzieli się z nim od wczesnej młodości. Kuzyn zapewnił mu utrzymanie. Opowiadał, że kiedy przyplął do Nowego Jorku, był okropnie zimny dzień; na nabrzeżach widać było sople lodu. Ale on zdjął płaszcz i wdychał amerykańskie powietrze. Mówił, że miało specyficzny smak; dostał od tego zawrotu głowy.

Myślę, że oni mieli dobre życie. Nic nadzwyczajnego: synowie ustawili się lepiej niż ojciec, co sprawiało mu wielkie zadowolenie. Widział, jak rosną wnuki; jeżeli nawet nie doszły jeszcze do fazy dojrzałości, to na pewno osiągnęły wiek młodzieńczy. Opowiadał, że ciężko pracował i cieszył się każdą minutą tej harówki. Wyrób i sprzedaż odzieży - szacowne zajęcie. Nazywał to ubieraniem ludzi. Zapewniał, że były to dobre ubrania: wytrzymałe, wysokiej jakości. Kiedy ktoś kupował u niego garnitur, wiedział, że będzie go nosił latami. W tym momencie odwrócił się do żony i powiedział: „Tak samo jak my. My też długo wytrzymałyśmy”. Ona z uśmiechem położyła mu głowę na ramieniu i zamknęła oczy. Wie pan, było wyraźnie widać, że oni ciągle się kochają, i to równie mocno jak przez tyle dziesiątek wspólnych lat. „Jak się poznaliście?” -

zapytałem. Odpowiedziała kobieta: „W staroświecki sposób, dzięki swatom”. Opowiedziała o okresie zalotów, narzeczeństwie i ślubie. W czasie wojny siedzieli w różnych obozach, ale później się odnaleźli. Trwało to pół roku, ale w końcu ona go odszukała. Mówiła, że przez cały czas była pewna, iż on żyje, że oboje są pełni życia. Opowiadała to z uśmiechem; co chwila tuliła się do męża, gładziła go. W jakimś momencie spojrzała na mnie i stwierdziła: „Musi pan być bardzo smutnym młodzieńcem, skoro pan robi takie okropne rzeczy”. I wie pan co? Przyznałem jej rację, a nawet poczułem, że łzy mi napływają do oczu. „To bardzo bolesne” - powiedziałem, a oni pokiwali głowami, jakby dobrze wiedzieli, o co chodzi. Chcieli, żebym opowiedział o matce i ojcu. Zgodziłem się. Opowiedziałem tylko trochę, wie pan, aby ich zainteresować. Mówiłem o wsi, mieście i różnicach między tymi miejscami.

Czy to nie jest znaczące? Z każdą sekundą i minutą oni byli bliżej śmierci za moją sprawą, a jednocześnie stawaliśmy się sobie coraz bliżsi w sensie ludzkim - przeszliśmy przez etap poznania i znajomości do fazy przyjaźni. Tak samo jak z tamtą dziewczyną. Mam wrażenie, że jestem w stanie poznać ludzi, poznać naprawdę, jedynie w momencie ich śmierci. Wtedy opadają wszystkie te maski i pozy. To jest moment szczerości i oczyszczenia. Chwila idealna.

Potem sobie we trójkę popłakaliśmy. W końcu otarłem łzy i podziękowałem za to, że zechcieli się ze mną podzielić swoimi wspomnieniami. Widziałem, jak strach odbija się w twarzy starej kobiety. Z jej siwych, zaczesanych do tyłu włosów wymknął się niesforny kosmyk. Poruszyła głowę, chcąc go odrzucić znad oczu. „Czy pan nadal ma zamiar...” - zaczęła mówić, ale ją uciszyłem. „Nic się nie zmieniło, ale proszę się nie bać” - powiedziałem. Widziałem, jak zadrzała i przysunęła się bliżej do męża, który popatrzył na mnie i zapytał: „Chce pan nas związać, czy jak?” Wtedy wyciągnąłem z kieszeni sznur.

- Jak to się stało, że rozebrali się do naga? - przerwałem mu.

- Normalnie. Po prostu powiedziałem im, że to będzie wyglądało, jakby kładli się spać i kazałem się rozebrać. Ona musiała pomóc mężowi przy zdejmowaniu koszuli. Odwróciła się do mnie z grymasem na twarzy i wyjaśniła: „Artretyzm”. On opuścił na podłogę spodnie, potem bieliznę i stanął nagi.

Nie usiłował się nawet zasłaniać. Muszę przyznać, że poruszał się z gracją. Pomógł żonie zdjąć bluzkę i spódnice. Stała tam w halce i przez chwilę wahała się, co robić, ale po chwili ściągnęła ją przez głowę. Później pończochy i bieliznę — wszystko to leżało na ziemi. Wtedy ona pochyliła się, podniosła ubranie i porządnie ułożyła rzeczy na kanapie. Trudno się pozbyć wieloletnich nawyków. Staruszek przyglądał się jej z dyskretnym uśmiechem. Nigdy wcześniej nie widziałem nagich ludzi w tym wieku. Przyjrzałem się im. Skurczony penis staruszka wisiał wśród siwych włosów. Ona też była siwa, miała obwisłe piersi z ciemnobrązowymi brodawkami. Oboje mieli wklęsłą klatkę piersiową. Mężczyzna odetchnął głęboko i powiedział: „Czy może się pan pospieszyć?”. Kazałem im przejść na środek pokoju i klęknąć obok siebie.

Szybko związałem im ręce; nie jestem pewien, czy to było niezbędne, ale obawiałem się, że któryś z nich wpadnie w panikę na sekundę przed strzałem.

Byli opanowani, chociaż ramiona staruszki zaczęły drżeć, jakby doznała porażenia. „Ja pójdę pierwszy, ale niech pan nas odeśle razem” - powiedział jej mąż. Miałem wrażenie, że to sen; ci ludzie ze mną współpracowali, mówili zupełnie spokojnie. Czułem się niemal jak narzędzie ich samobójstwa. „No dobrze - rzuciłem. - Powiedzcie sobie, co tam chcecie”. Uśmiechnęli się i pocałowali delikatnie w usta. „Zabrakło nam słów” - oznajmił staruszek.

Widziałem, że zamykają oczy. Chwyciłem poduszkę leżącą na fotelu. Miałem wrażenie, że opuściłem własne ciało i z zewnątrz przyglądam się egzekucji, którą przeprowadzam. Przyłożyłem poduszkę do głowy starego człowieka i rzuciłem okiem na czterdziestkępiątkę. Patrzyłem, jak mój palec naciska spust. Najmniejsza zmiana jego położenia, przesunięcie o mikron - to trwało sekundy, minuty. Później rozległ się huk, poczułem dobrze znany wstrząs, który przebiegł mi przez rękę od zaciśniętej dłoni aż do barku. Palce mi zdrętwiały i zeszytywniały. Stary mężczyzna przewrócił się na twarz. Usłyszałem, jak kobieta zgrzyta zębami. Sądzę, że odmawiała modlitwę; jej wargi poruszały się. Stałem za jej plecami natychmiast, jeszcze zanim jej mąż przestał się wić na podłodze. Tym razem wszystko zdawało się toczyć dużo szybciej, przypominało film puszczony na zbyt wysokich obrotach. Poduszka wylądowała na jej szyi; wycełowałem broń, rozległ się huk i ona też przewróciła się na twarz.

Wydaje mi się, że później dostałem amoku: zacząłem się bawić krwią. W kuchni znalazłem gąbkę, umoczyłem ją w kałuży rozlewającej się po podłodze i zacząłem wypisywać numery. Nie wiem, jak długo tam siedziałem. Może pięć minut, a może godzinę. Tańczyłem dookoła zwłok; wreszcie ciemności ogarnęły pokój i nic nie było widać. Potem wyszedłem z tego domu, zostawiając otwarte drzwi. Wsiadłem do samochodu; na ubraniu widziałem lśniące, krwawe plamy. Nikt mnie nie zauważył. Z żadnego domu mnie nie obserwowano, nikogo nie było na ulicy, nie przejeżdżał żaden samochód. Trzymałem w ręku swoją czterdziestkępiątkę. Kiedy stamtąd uciekałem, była głucha noc.

Zabójca zawahał się.

- Ci ludzie byli najzupełniej niewinni - dodał.

Poczułem się kompletnie wyczerpany. Nie przerywałem przedłużającej się ciszy. Patrzyłem na swoje notatki i pospiesznie zapisywałem cytaty. Własne pismo wydało mi się jakieś obce, nieznanome.

- Czuję się tak - ciągnął zabójca - jak spragniony człowiek po wypiciu pierwszego, potężnego łyku zimnej wody. Niedługo znowu zatelefonuję. Może do domu, a może do redakcji. To zależy.

Po tych słowach odłożył słuchawkę.

Rozdział dziesiąty

Właśnie wtedy Christine zaczęła tańczyć. Powiedziała, że w ten sposób uwalnia energię, którą wytwarza w niej strach. Rankiem znajdowałem ją w bawialni. Zwinęta wokół poduszki, spała

na podłodze. Ze stereo płynął łagodny jazz, najbardziej lubiła Milesa Davisa i Keitha Jarretta. Jednak czasami nastawiała klasyczne kwartety smyczkowe, tak cicho, że ledwie można było wyczuć rytm. Zrzucała płaszcz kąpielowy na podłogę i tańczyła nago, wyginając ciało w takt muzyki. Myśle., że czuła, jak muzyka miesza się z dźwiękami nocy: graniem cykad i odległymi odgłosami ulicznego ruchu. Tańczyła tak długo, aż z wyczerpania padała na podłogę, a wtedy zwijała się w kłębek i spała mocno aż do rana.

Rano nie można było poznać po jej oczach, co robiła w nocy, głos miała rażny i czysty. Również nic nie zmieniła w kwestii swoich dyżurów w szpitalu. Trzy razy w tygodniu pracowała na sali operacyjnej. Pewnymi ruchami wybierała odpowiednie instrumenty i podawała je chirurgowi; robiła to z taką wprawą, z jaką krupier w Las Vegas rozdaje karty do blackjacka. Dwa dni spędzała na salach chorych. Chodziła od łóżka do łóżka w olśniewająco białym fartuchu i sprawdzała postępy choroby, wszystkich odmian raka: raka krwi, raka najrozmaitszych organów, raka w odwrocie i raka, który atakował zniecka. Często mówiła o tym, co działo się na oddziale, o stadium choroby, w jakim znajdowali się pacjenci, o rokowaniach dla tego chorego, perspektywach tamtego... Natomiast o mordercy mówiła mało, tylko tyle, że skoro zna nasz numer telefonu, wie zapewne również, gdzie mieszkamy. Gdy policjanci przyszli podłączyć mi magnetofon do aparatu telefonicznego, na jej twarzy pojawił się taki sam wyraz troski, jaki zapewne miała wtedy, gdy podchodziła w szpitalu do łóżka pacjenta i w porannym świetle zauważała nowe objawy choroby.

Natomiast ja zacząłem przyglądać się ludziom na ulicy.

Dzieliłem ich na dwie kategorie: potencjalnych ofiar i potencjalnych morderców. Przyglądałem się przechodniom i zastanawiałem się: kim ty jesteś? O czym myślisz? Czy będziesz następną ofiarą? A może to właśnie ty jesteś nim? Często na chybił trafił zatrzymywałem kogoś, wyjmowałem notes z kieszeni i przeprowadzałem wywiad. Przeważnie nie chcieli mi podać swojego nazwiska, jakby się bali, że morderca wyłowi ich z tłumu i ukarze za to, że mówią o swoim strachu. Odwracali głowę, gdy Porter był ze mną, a wtedy on ze złością opuszczał aparat. Komentarze i cytaty, jakie zbierałem, brzmiały prawie jednakowo, były to właściwie wariacje na ten sam temat lęku, złości i niewiary. Jednak wraz z upływem czasu ludzie coraz bardziej krytykowali policję za to, że jeszcze nie złapała mordercy. W ich głosach słyszałem teraz ostrożność i odkryłem, że ludzie nie chcą mi patrzeć w oczy, lecz szybko odwracają wzrok.

W nocy jeździłem po mieście, próbując ustalić, co się zmieniło, a co zostało takie samo. Na przedmieściach i w dzielnicach mieszkaniowych wyczuwało się lęk: wydawało się, że po zmroku domy zbierają się w sobie. Mimo upału na ulicach bawiło się niewiele dzieci, rzadko słyszałem śmiech. Zamykano z hukiem okiennice i drzwi, ludzie woleli zostawać w domu.

Oczywiście zdarzały się wyjątki. Pijacy i bezdomni, od których aż się roilo w gorszych dzielnicach Miami, jak zwykle żyli na ulicy. Pilnowali tych niewiele rzeczy, jakie posiadali, i skrzętnie zbierali centy na kolejnego drinka. Rozmawiałem z kilkoma z nich. Albo nie wiedzieli o niczym, albo nie obchodziło

ich to. Pewien starszek, lepiący się od brudu, ale z sumiastym wąsem, popatrzył na mnie i powiedział:

- Po co miałby zabijać kogoś z nas? Co by w ten sposób udowodnił? Przecież my i tak umieramy.

Otoczyli nas inni włóczędzy i widząc, że zapisuję słowa starszka, zaczęli mu gratulować. Tego wieczoru napisałem o bezdomnych i o tym, że nie odczuwają strachu. Porter zrobił dobre zdjęcia, Nolanowi artykuł się spodobał.

- Wspaniale, po prostu wspaniale - powiedział. - Pisz więcej takich tekstów.

Następnego dnia u McDonalda natknęliśmy się na parę nastolatków. Jedli hamburgery i popijali je koktajlami mlecznymi. Porter roześmiał się.

- Co za obrazek! - wykrzyknął. - Aż trudno uwierzyć.

Namówiłem te dzieciaki, żeby ze mną porozmawiały. Opowiedzieli mi, że w poprzednią sobotę poszli na imprezę, której atrakcją miała być gra „Numerowy morderca”. Pili i tańczyli, a potem zaczęli grać: jeden z uczestników imprezy został wyznaczony na mordercę, dostał listę gości i numery, jakie im przyznano. Wszyscy się bawili, a on, gdy tylko nadarzyła się okazja, by zostać z kimś sam na sam, „zabijał” go. Na znak, że dana osoba nie żyje, czerwonym długopisem malował jej na czole kreskę. Moi rozmówcy, w miarę jak opowieść się rozwijała, byli coraz bardziej podnieceni, podawali liczne szczegóły, na przykład, że dwoje zostało mianowanych policjantami i mieli wykryć mordercę. Powiedzieli, że było to bardzo zabawne, bo morderca zdołał „zabić” kilkanaście osób, zanim go wykryto. Oczywiście wszyscy uczyli to śmiechem i kolejnymi szklaneczkami alkoholu.

- Mam nadzieję, że to nie jest przepowiednia i nie zginie aż tyle osób - odezwała się dziewczyna.

Spisałem całą tę historię. Rozmawiałem również z dzieciakiem, który grał rolę mordercy.

- To było łatwe - oznajmił. - Nikt mnie nie podejrzewał, bo to właśnie ja najgłośniej wołałem, że morderca musi być złapany. Świetnie się bawiłem.

Spytałem go, czy się bał, ale odparł, że nie. Potem zadzwonił do mnie jego ojciec i błagał, bym nie podawał w druku nazwiska. Przedyskutowaliśmy to z Noianem i zgodziliśmy się użyć tylko inicjałów chłopca. Ten artykuł również podobał się Nolanowi.

Artykułu o ostatnim telefonie mordercy nie mogłem zamieścić w gazecie od razu następnego dnia, bo gdy przerwał połączenie, dochodziła już pierwsza w nocy. O tej porze główny nakład był już na prasach, pierwsze powiązane paczki gazet przesuwały się po taśmie na platformy załadownicze, znajdujące się w podziemiach gmachu. Zanim zdążyłbym zadzwonić do Nolana do domu, obudził go i opowiedzieć, co się stało, maszyny rozpędziły się do największej szybkości, przy której drukowały egzemplarz na sekundę.

Gdy prasy były w ruchu, czuło się to w całym budynku. Podłoga w redakcji drżała, a do uszu dochodził odległy łoskot. Czasami, gdy zostawałem w pracy dłużej, by nocą napisać jakiś artykuł, szedłem popatrzeć na rozruch pras.

W wielkim, podobnym do jaskini pomieszczeniu tłoczyli się drukarze w niebieskich koszulach i tradycyjnych papierowych czapczkach, chroniących włosy przed rozpryskującą się farbą. Chociaż teraz, z powodu nowoczesnych, szybkich maszyn i składu komputerowego było ich tu o wiele mniej niż dawniej, nadal wykonywali swoją pracę z dumą i zamiłowaniem. Na wszystkich ścianach wisiały zegary, przenikliwy dźwięk dzwonka obwieszczał początek druku. Stawałem pod ścianą i przyglądałem się, jak wkładają wielkie bele papieru do maszyn, włączają prasy i odstepują na bok. Wtedy rozpoczynało się wielkie furczenie, podłoga drżała, maszyny rozpędzały się, aż wreszcie zaczynały pracować z pełną szybkością, bele papieru rozwijały się jak ogromne rzeki. Tylko kilka razy zdarzyło się, że jakaś wiadomość z ostatniej chwili okazywała się dość ważna, by trzeba było zatrzymać prasy, i zawsze była to wyjątkowa chwila. Rozlegały się trzy krótkie dzwonki, a po nich jeden długi; drukarze, spoglądając po sobie, zastanawiali się sekundę czy dwie, a potem podchodzili do maszyn, wyłączali je i w hali powoli wszystko cichło, trwało w zawieszeniu, jakby pracę zatrzymała ręka jakiegoś olbrzyma. Taka sytuacja przypominała chwilę na sali operacyjnej, kiedy zatrzymuje się serce pacjenta - następuje sekunda koszmaru, a potem znów rusza, silniejsze i z większą energią.

- Rozbudujemy tę historię - powiedział Nolan. Szybko otrząsnął się ze snu. - Zamieścimy ją w jutrzejszym wydaniu, więc masz czas, żeby nad nią popracować. Zgoda?

Gdy przytaknąłem, mówił dalej:

- Najważniejsze, żeby nie dowiedziały się o tym agencje ani „Post”, ani telewizja. - Zawahał się. - Musimy zawiadomić policję. Tak się z nimi umawialiśmy. Upewnij się jednak, że pamiętają, co obiecali. Żadnych przecieków. To nasza informacja. - Znów przez chwilę się zastanawiał. - Zrobiłeś obszerne notatki? - spytał.

Powiedziałem mu, że zabazgrałem wiele stron.

- To dobrze - ucieszył się. - Nie dawaj ich policji. Możesz odpowiadać na pytania, złożyć oświadczenie, cokolwiek zechcą. Ale notatki zatrzymaj dla siebie. A co ten facet powiedział?

- Że czuje wielki przymus, by rozmawiać.

- Nie do wiary. Wygląda na to, że będziemy mieli coraz więcej materiału. Mówił jeszcze coś?

- Tak, mnóstwo o swoim życiu. Nie wiem, czemu właśnie mnie sobie wybrał na słuchacza. Opowiedział też, jak zabił to stare małżeństwo.

- Ze szczegółami?

- Bardzo dokładnie.

- Mój Boże - westchnął Nolan. - Co za historia.

Christine uparła się, że pójdzie ze mną na komendę. Powiedziała, że nie wytrzyma sama w domu, bo ma takie wrażenie, jakby morderca krążył gdzieś w pobliżu. Jednak przekonałem ją, że na komendzie będzie się nudziła, i że

powinna się przespać, bo rano musi iść do pracy. Poczekiałem, aż przygotuje się do snu. Patrzyłem, jak zdejmuje ubranie i rozrzuca je po podłodze. Myślałem Ojej nagim ciele i przez chwilę do umysłu wśliznął mi się obraz tamtego starego małżeństwa, ale szybko wyrzuciłem go z głowy. Odsunąłem prześcieradło, pod którym sypialiśmy, i położyłem ręce na piersiach Christine. Zamknęła oczy i przewróciła się na bok, twarzą do mnie. Poglaskałem ją po karku, a potem sięgnąłem do stolika nocnego i zgasilem lampkę.

- Chciałabym, żebyś też się położył - szepnęła - i żebyś mnie objął. Chyba nie będę mogła zasnąć.

- Nie bądź niemądra — rzuciłem w ciemności. - Założę łańcuch na drzwiach. Zobaczmy się rano.

W słabym świetle dochodzącym przez okno od ulicznych lamp widziałem zarys jej ciała. Ciekawe, dlaczego nie byłem bardziej podniecony. Pozwoliłem tej myśli umknąć. Zamykając delikatnie drzwi za sobą, przeszedłem z sypialni do bawialni. Obrzuciłem pokój spojrzeniem, szukając swoich notatek.

Martinez czekał na mnie w holu komendy. Ubrany był w garnitur, ale koszulę miał rozpiętą pod szyją, tak że widać było włosy na piersi, i nie nosił krawata. Na mój widok uśmiechnął się.

- Stewardesa — wyjaśnił.

- Co takiego? - nie zrozumiałem.

- Blondynka. Z linii krajowych. Jakies dwadzieścia trzy lata. Uczyla mnie, jak unosić się w powietrzu. - Znów się uśmiechnął.

- Przepraszam — powiedziałem.

- Najpierw praca, potem przyjemność. - Wzruszył ramionami. - Ale nie powinienem był dawać jej numeru Wilsonowi. Założyłbym się, że z radością wylazł z łóżka, chociaż to środek nocy.

W windzie jechali z nami dwaj mundurowi. Przez chwilę przyglądali mi się, a potem wdali się w pogawędkę. Rozmawiali o wezwaniu do bójki. Jeden z nich skarżył się, że naciągnął sobie mięsień. Drugi nie okazał mu najmniejszego współczucia. Gdy drzwi otworzyły się na trzecim piętrze, Martinez ruszył przez wydział zabójstw. W pierwszej chwili oślepiły mnie światła i musiałem kilka razy mrugnąć. Wydział mieścił się w wielkim pokoju, podzielonym na dziesiątki boksów ściankami nie sięgającymi sufitu. W każdym boksie znajdowały się dwa stojące do siebie plecami biurka, krzesła i telefony. Biurka były stare, z szarego metalu, poprzipalane papierosami.

Detektywi, ubrani w nie pasujące do obskurnego otoczenia garnitury, obserwowali Martineza i mnie, gdy szliśmy środkowym przejściem. W jednym z boksów siedział czarny mężczyzna z rękami skutymi na plecach. Rozparty na krzesle słuchał detektywa. Na twarzy miał drwiący uśmiech, od czasu do czasu potrząsał głową. Odwróciłem się i popatrzyłem po ścianach, pomalowanych na urzędowy zielony kolor, odbijający światła lamp. Obwieszane były zdjęciami podejrzanych, listami gończymi, kartkami z rozkładem policyjnych

dyżurów. Był tam też wielki plakat, na którym widniały ręcznie wypisane słowa: „Detektywi z zespołu zajmującego się Numerowym Mordercą są zobowiązani do uczestniczenia w codziennych odprawach z sierżantem Wilsonem lub oficerem dyżurnym”. Siedziałem dalej za Martinezem; tylko raz zatrzymałem się przy którymś z biurk. Cały blat zarzucony był błyszczącymi zdjęciami. Uświadomiłem sobie, że przedstawiają miejsce zbrodni. Ukazywały ciało całe pokryte krwią, skrecone w bagażniku samochodu. Widząc, że patrzę na zdjęcia, Martinez zatrzymał się. Podeszedł do biurka i wyciągnął z szuflady jeszcze jedno.

- Widziałeś kiedyś, co strzał z bliska, ze strzelby dwanaście milimetrów, potrafi zrobić z człowiekiem? - spytał. - Niezbyt piękne, co? To porachunki między gangami. Zastrzelonemu poświęcono zaledwie kilka linijek w dziale miejskim „Journal”. Nie ma końca zbrodniom, gdy wariaci chodzą na wolności.

Popatrzyłem na zdjęcie. Twarz ofiary, cała umazana krwią, zastygła w soku. Usta były otwarte, oczy wywrócone białkami do góry. Dostał kulę w pierś. Widziałem poszarpane wnętrzności. Przez chwilę czułem oszołomienie.

- Aresztowaliście kogoś? - spytałem.

- To kwestia czasu. Mamy w celi faceta, powoli dojrzewa do zeznań. Pro wadził samochód podczas ucieczki i chyba zbytnio mu nie zależy na tym, by zapłacić za mordercę.

Szliśmy dalej. Otaczał nas gwar głosów, telefony dzwoniły bez przerwy. Jednocześnie prowadzono kilkanaście rozmów. Pracowano tu w nieustannym hałasie, zupełnie jak dziennikarze w pokoju redakcyjnym. Policjanci wchodzili do pokoju i wychodzili z niego, niektórzy nieśli jakieś papiery, inni sprawdzali broń. Z ulicy słyszałem syreny, dźwiękowego tła dopełniało buczenie klimatyzatora.

Przeszliśmy obok jakiegoś pokoju. Drzwi były zamknięte, ale przez okno w ścianie zobaczyłem innego czarnego mężczyznę. Palił papierosa. Razem z nim w pokoju siedziało dwóch detektywów, jeden z nich robił notatki. W kącie, przy maszynie do stenografowania, pracował protokolant. Jego palce wprost fruwały po klawiaturze.

- Zabił żonę - wyjaśnił Martinez. - Wyśmiewała go. Gdy weszli do domu, postanowił pokazać jej, kto tu jest szefem. Bił ją tak, że została z niej tylko miazga.

Wreszcie dotarliśmy do gabinetu Wilsona, który czekał na nas przed drzwiami.

- Dziękuję za telefon - powiedział. - Był pan już tu kiedyś?

- Nie.

- Niezbyt elegancko, prawda?

Zgodziłem się z nim.

- Chciałbym, żeby pan powtórzył nam wszystko, co powiedział morderca - przystąpił do rzeczy Wilson - a potem, gdy zeznanie zostanie przepisane, damy je panu do przejrzania. Czasami człowiek przypomina sobie jeszcze więcej szczegółów. Zrobił pan notatki?

Zawahałem się.

- Tak. Ale są mi potrzebne do artykułu.

- A kopie?

- Dam panu. - Wzruszyłem ramionami. - Zresztą tak jest taśma. - Wspomniałem słowa Christine. Przecież mam obywatelskie obowiązki. I nie obiecałem mordercy, że nie będę współpracował z policją. - Ale proszę pamiętać o naszej umowie - przypominałem Wilsonowi. - Żadnych przecieków. Nie chcę rozmawiać z nikim z mediów, zanim artykuł nie ukaże się w mojej gazecie.

- Zgoda - powiedział Wilson. Był zły. - Każdy chce z tego wyciągnąć jak najwięcej korzyści dla siebie.

- A czego się pan spodziewał?

- Nieważne. - Odwrócił się, wprowadził nas do gabinetu i usiadł. Na ścianie zobaczyłem tablicę z zapisanymi nazwiskami. Wilson poszedł za moim wzrokiem. - Widzi pan, ilu ludzi pracuje teraz nad tą sprawą, i to w pełnym wymiarze godzin? Trzydziestu detektywów. Ponad jedna trzecia obsady komendy. - Wstał i podszedł do tablicy. - Proszę tego nie publikować - ostrzegł. - Jeżeli wiadomość przedostanie się na zewnątrz, skopiuję mi tyłek. - Martinez wstał i zamknął drzwi. — Sam nie rozumiem, dlaczego panu pomagam - kontynuował Wilson. Nerwowo przejechał palcami po krótko ostrzyżonej głowie.

Na tablicy wypisane były w czterech kolumnach nazwiska detektywów przydzielonych do poszczególnych zespołów: „Wojsko - Wietnam”, „Szpitale psychiatryczne”, „Dewiacje seksualne” i „Miasto”. Na drugiej połowie tablicy, pod nagłówkami „Balistyka”, „Odreczne pismo” i „Głos”, widniało jeszcze więcej nazwisk. Na ścianie nad tablicą przyklejono zdjęcia fragmentów kul wyjętych z ciała. Porównywalne elementy były obrysowane czerwonym ołówkiem.

- Widzi pan - powiedział Wilson. - Sprawdzamy absolutnie wszystko. Ze społy przydzielone do poszczególnych zadań pracują przez całą dobę. Na przykład badamy wszystkie przypadki chorób umysłowych w szpitalach Ohio, Chicago i Florydy. Wydaje nam się, że morderca wyjechał do Chicago, ale to tylko domniemanie. Sprawdzamy również listy poborowych, szkoły i co tylko komu przyjdzie do głowy.

- Ustaliliście już coś?

- Niewiele. - Wilson wrócił do biurka. - Wiemy, z jakiej broni strzelano. Sprawdzamy wszystkich sprzedawców amunicji, i takie rzeczy. Zestawiamy listy nazwisk, pomysłów. Ale nic nie osiągniemy, póki nie zdobędziemy choć jednego pewnego śladu. A na razie nie mamy nic. Żadnego nazwiska, żadnych informacji.

Spojrzałem w swoje notatki.

- Twierdzi, że ma szare oczy.

Wilson ożywił się. Martinez wyjął z kieszeni notes.

- Tak panu powiedział? - spytał Wilson.

Jeszcze raz zajrzałem do notatek.

- Powiedział, że wyszedł z wojska w siedemdziesiątym pierwszym roku i że był w wojskowym szpitalu.

- Tak panu powiedział? - Wilson w podnieceniu powtórzył swoje pytanie. - Doskonale.

- To może pomóc - odezwał się Martinez. Uśmiechał się tak samo jak wtedy, gdy mówił o stewardesie.

Podałem mu moje notatki.

- Przejrzyj to, a potem omówimy wiersz po wierszu. Zobaczymy, ile pa miętam. Facet mówił szybko.

Wilson położył mi rękę na ramieniu.

- Proszę się nie obawiać - rzekł. - Ma pan moje słowo, że nie będzie żadnych przecieków do innych gazet.

Przypomniałem sobie głos mordercy, jego wspomnienia, jego arogancję. Rozumiałem, że przechylałam szalę wagi, która dotychczas stała w równowadze między nim a policją, na stronę policji.

Powinienem być uradowany, a czułem obrzydzenie, chociaż nie byłem tak całkiem pewny, dlaczego.

Następnego dnia, jak zwykle, mój artykuł przyciągał największą uwagę czytelników.

Gdy opuszczałem komendę, był ranek. Martinez odprowadził mnie do wyjścia.

- Jeżeli ten łajdak będzie dalej z tobą rozmawiał, to może mamy jakąś szansę — powiedział, ściskając mi rękę na pożegnanie.

Podniosłem głowę i spojrzałem na budynek. Okna patrzyły na mnie z góry pustymi oczami, takimi samymi, jakie miał zamordowany ze zdjęcia. Martinez jeszcze mi pomachał, gdy szedłem do samochodu. Miałem w głowie dziwną lekkość, ale przypisywałem to nie przespanej nocy. Poranne słońce zaczynało już mocno przygrzewać, czułem pierwsze uderzenie upału.

Gdy wreszcie usiadłem przy własnym biurku, z ulgą zamknąłem oczy. Miałem takie odczucie, jakbym ułożył się w łóżku obok ciała, do którego bliskości jestem przyzwyczajony: zaokrąglenia, nacisk na moje ciało, wszystko to było bezpieczne, znane. Przejechałem palcami po klawiaturze maszyny do pisania, ale nie przyciskałem klawiszy; jedynie je muskałem.

Podszedł do mnie Nolan.

- Jak było na komendzie? - spytał.

- Twierdzą, że okazałem się bardzo pomocny.

- A jak się czujesz?

- Chyba dobrze — odparłem. - Ale wydaje mi się, że robię coś, czego nie powinienem.

- Dlaczego? - nalegał Nolan. - Przez cały czas wymieniamy się informacjami z policją. A poza tym, w czym różnimy się od innych obywateli miasta? Gdybyśmy, ty albo ja, byli świadkami zbrodni, czyż nie mielibyśmy obowiązek pomóc w doprowadzeniu zbrodniarza przed sąd? W takiej sprawie musimy postępować zgodnie z prawem.

- No, nie wiem. Po prostu czuję się dziwnie.

Nolan roześmiał się.

- Jesteś taki jak wszyscy dziennikarze. Nie znoszą dzielić się informacją mi, chyba że za pośrednictwem artykułu. - Sięgnął po moje notatki. - Wydaje się, że mówił dość długo. - Skinąłem głową. - Okay - kontynuował Nolan. -

Spisz to, a potem idź do domu i prześpij się. Jeżeli coś się wydarzy, zadzwonię do ciebie wieczorem.

Pisanie nie sprawiło mi trudności. Głównie posługiwałem się cytatami z tego, co mówił morderca. Zacząłem od najbardziej sensacyjnych fragmentów wypowiedzi, cytowałem jego słowa o wewnętrznym przymusie i opis morderstwa popełnionego na starym małżeństwie. Pisałem, że morderca wypowiadał się ze spokojem, a czasami okazywał entuzjazm, ale nie wspominałem o zmianach nastroju, o nagłej złości, wyciąłem także większość z tego, co mówił o własnym życiu, dałem jedynie krótkie streszczenie. Przyszło mi do głowy, że w jakiś sposób chronię jego wspomnienia, nie cytując jego własnych słów, tak jakby powinny pozostać jego prywatną własnością.

Nolan zaczytywał strony, które wyjmowałem z maszyny. Artykuł okazał się długi, ale wiedziałem, że jest dobry. Patrzyłem, jak czerwony ołówek przesuwają się po zdaniach, adiustuje fragment tu, fragment tam, dodaje od czasu do czasu jakieś słowo, a inne skreśla.

- Okay - powiedział wreszcie. - To powinno otworzyć oczy niektórym ludziom. Skontaktuj się ze mną, gdy trochę odpoczniesz.

Ale po paru godzinach nie mieliśmy sobie wiele do powiedzenia. Artykuł został zamkietowany i złożony. Wielki tytuł znów zajął sześć kolumn pierwszej strony, zaraz pod nazwą gazety, i brzmiał: CZUJĘ PRZYMUS, MÓWI NUMEROWY MORDERCA.

Popatrzyłem na swoje nazwisko pod nagłówkiem, a potem przeczytałem pierwsze akapity:

Mężczyzna nazwany przez policję Numerowym Mordercą znów zadzwonił do dziennikarza „Journal”, by podać okropne szczegóły morderstwa, jakie popełnił na starym małżeństwie z Miami Beach.

Ira i Ruth Steinowie -powiedział morderca głosem wypranym z wszelkich emocji - byli absolutnie niewinni. Potem raz jeszcze zadeklarował, że zamierza kontynuować serię morderstw, dla odtworzenia, jak powiedział, pewnej zbrodni, która wydarzyła się podczas wojny w Wietnamie.

Policja nieprzerwanie pracuje nad zidentyfikowaniem sprawcy.

Przebiegłem wzrokiem po reszcie tekstu. Wydawało mi się, że słowa zlepiają się w jedną wielką szarą masę. Cieszyło mnie, że mój artykuł zajmuje tak poczesne miejsce. To sprawa między nim a mną, pomyślałem. Właśnie tak powiedział. Razem zbudujemy całą historię, powoli, lecz pewnie. Przyszło mi do głowy, że zaczynam go potrzebować w takim samym stopniu, w jakim on potrzebuje mnie.

Kilka dni po telefonie mordercy i artykule znów poszedłem do psychiatry. Miałem nadzieję, że może udzieli mi jakiejś rady. Moja wizyta chyba sprawiła

mu przyjemność, na powitanie gorąco uściśnął rękę. Potem wskazał mi miejsce naprzeciwko siebie przy biurku, przez chwilę, kołysząc się na krześle, zajmował się zapalaniem fajki. Było późne popołudnie, promienie nisko stojącego słońca wpadały przez okno do pokoju.

- Przeczytałem wszystkie pana artykuły z wielkim zainteresowaniem - powiedział psychiatra, gdy już uporał się z fajką. - Były doskonałe.

Skinąłem głową w podziękowaniu.

- A więc - kontynuował - co pana tu znów sprowadza? Och, wiem, nie musi pan odpowiadać. Potrzebuje pan wnikliwej opinii na temat mordercy, prawda?

- Chciałem spytać, jakie wrażenie pan odniósł po ostatnim telefonie - odparłem. - Może coś pana uderzyło? Może poradzi mi pan, o co mam go pytać, jak spowodować, żeby dostarczył więcej informacji o sobie?

- No cóż... - Lekarz zbierał myśli pykając fajkę. - Nie wydaje mi się, by istniało jakieś proste pytanie, które spowodowałoby, że morderca straci panowanie nad sobą i się odsłoni. Takie przełomy to czysta fikcja. Nie zdarza się, by z morza kłamstw nagle wyłoniła się prawda. - Pokiwał głową. - Chciałbym, żeby tak było. Ale to jest możliwe tylko w Hollywood. Może wszyscy powinniśmy się tam przenieść - zaśmiał się. - Nie, tak się nigdy nie dzieje. - Mocno się zaciągnął. - Nawet gdy zbrodniarz przekazuje jakieś rewelacje, chcąc dostąpić katharsis, na ogół towarzyszą temu zaprzeczenia, kręctwa, bo jego umysł pragnie skompensować to, co wyznał. Wyciąganie prawdy od człowieka umyślnie chorego to bardzo powolny proces. Proszę mnie źle nie zrozumieć. Czasami zdarzają się zwycięstwa i chwile, kiedy uzyskuje się wielki postęp, ale nie odbywa się to tak szybko, jakby się chciało. - Znów przerwał na chwilę, zbierając myśli. - W każdym razie po przeczytaniu artykułów, a zwłaszcza tego, w którym przekazał pan jego opis drugiego morderstwa, wydaje mi się, że uzyskuje pan więcej informacji o tym człowieku niż potrafiłby pan wykorzystać.

- I tak go nie rozumiem - odparłem. - On dryfuje między wspomnieniami o jakimś wydarzeniu z wojny, opowieściami o swojej rodzinie, o dorastaniu. Wszystko to jest okropnie pogmatwane.

- Wolałby pan kogoś absolutnie spokojnego, myślącego racjonalnie i chętnego do pomocy? Tacy ludzie rzadko popełniają serię bezsensownych morderstw. A jeżeli już, to na pewno nie zasiadają przy telefonie, żeby podać wskazówki na swój temat prasie, policji i szerokiej publiczności.

- Ma pan rację - odpowiedziałem ze śmiechem. Doktor też się uśmiechnął. - Doskonale pan to wywiódł.

Lekarz chwilę się zastanawiał, kołysząc się na krześle, potem nagle wyhamował i spojrzał mi w oczy.

- Nie sądzę, by od naszej pierwszej rozmowy sytuacja znacznie się zmieniła. Morderca w swoim mniemaniu jest nietykalny, chociaż jednocześnie stara się wam pomóc w rozszyfrowaniu siebie. Jakaś jego część pragnie, byście go ujęli; inna część uwielbia grę z całym światem. W rozmowach z panem miesza oba te nurty swojego życia, bo już są zmieszane w jego umyśle. Przyczyny, dla których uwielbia zabijać teraz, mają swoje korzenie gdzieś w dzieciństwie. Zbyt

pobłażliwa matka, wymagający i stosujący ostre kary ojciec, poczucie osamotnienia i wyobcowania. Dorasta i nic nie hamuje złości, którą w sobie pielęgnuje. Potem idzie do wojska - albo mówi, że się zaciągnął - i uczy się zabijać. Mówi sobie: jestem dobrym strzelcem albo, dokładniej, zabójcą. Jednak trochę mnie to dziwi. Przecież jest inteligentnym człowiekiem. Czy rzeczywiście był w Wietnamie? A może wykorzystuje narodowe poczucie winy do zakamuflowania odczuć, których już wtedy doznawał, i kursu, jaki już wtedy obrał w życiu? Przerwałem mu.

- Wyraża się bardzo ściśle. Wydaje mi się też, że zna wojnę z własnego doświadczenia...

- Powiedziałbym nawet, że zbyt ściśle - wtrącił lekarz.

- Nie zgodziłbym się z tym.

- To tylko taka moja teoria. Może tak być. Jest tyle samo dowodów na to, że mam rację, jak i na to, że jej nie mam. Mogę jedynie zgadywać. Psychiatria nie zajmuje się przepowiedniami.

- Ale przeszłość determinuje przyszłość - rzuciłem.

- Tu mnie pan ma - roześmiał się lekarz. Chwilę się zastanawiał. - Przyjmijmy, że mówi prawdę, że w Wietnamie coś się wydarzyło. Ale ostrzegam, niech pan podchodzi do tego ostrożnie, bo to, co jest prawdą dla człowieka niezrównowadzonego psychicznie, niekoniecznie musi być prawdą dla dziennikarza. Podejrzewam, że to wydarzenie w Wietnamie wzbudziło wspomnienia o jakimś doświadczeniu z dzieciństwa. - Pomachał ręką. - Wiem, wiem, dziennikarze nie chcą słuchać o utajonych wspomnieniach, o życiu płodowym i o przeżyciach z czasów dojrzewania, co z kolei stanowi kamień węgielny mojego zawodu. Ale niech pan postara się czegoś o tym dowiedzieć, na pewno się to panu przyda.

Znów zamilkł i patrząc w okno, zaczął się kołysać na krześle.

- Przypuszczam, że dla niego to wszystko jest grą — podjął po jakimś czasie. - Wydaje mi się, że choćby podał nie wiem ile informacji o sobie, i tak nie potraficie go złapać.

- Co za pesymizm - zauważyłem.

- Już taki zawód - roześmiał się.

Spytałem go o reakcję, jakie zaobserwowałem u ludzi na mieście: niepokój, strach, nawet agresja.

- Myślę, że przeważa strach - powiedział. - Będziemy świadkami narastania historycznych zachowań. Jeden z moich kolegów opowiadał mi, że ma pacjenta, który nie mówi o niczym innym, jak tylko o mordercy. Potrafi tak mówić godzinami. Ale sądzę, że to raczej wyjątek niż reguła. Proszę jednak pamiętać, że ludzie mają skłonność do ignorowania tego, czego się boją. Czytał pan Poego?

Skinałem głową.

- Maską Czerwonej Śmierci. Bardzo stosowne. Tańczą, a śmierć wchodzi na salę balową. - Wstał i podszedł do okna. - Miami to miasto, które ma nie mał wszystko - mówił dalej. - Słońce, wodę, jachty, tenis, wolną przestrzeń, plaże. To społeczność, która kwitnie dzięki ucieczce od rzeczywistości. Nie

mamy tu zim. Kiedy zdarzył się ostatni wielki huragan? W trzydziestym siódmym albo coś koło tego. Już nawet nikt nie pamięta. Tutaj jest po prostu trudniej odczuwać żal po śmierci tych starych ludzi, uwierzyć, że pod tym gorącym słońcem, w miłym, ciepłym powietrzu, żyje coś prawdziwie nikczemnego, co nam zagraża. Och, niech mnie pan nie zrozumie źle. Strach widać wszędzie. Wyjmuje pan notes i ludziom od razu się przypomina, że się boją. Ale czy naprawdę rozumiemy, co nam zagraża? Wydaje mi się, że nie.

Odwrócił się od okna i spojrzał na mnie.

- Chyba się starzeję. Za dużo gadam. Ale spędzam tyle czasu słuchając innych, że gdy *zdarza* mi się okazja, słowa po prostu ze mnie tryskają. Proszę mi wybaczyć. A sprawa naprawdę bardzo mnie interesuje. Jeżeli będzie pan jeszcze potrzebował jakiejś porady, jestem do dyspozycji.

Przez prawie dwa tygodnie morderca się nie odzywał.

Czas włókł się w żółtym tempie, niemal namacalnie odczuwałem każdą sekundę. Byłem absolutnie pewny, że on wkrótce znów popełni zbrodnię, więc każda chwila bez wiadomości ciągnęła się jak guma. Miami ledwo dyszało w upale sierpnia, gorąco dyktowało miastu rytm życia, powolny i irytujący. Podczas sprzeczki o jakąś stłuczkę został zastrzelony człowiek. Zabójca stał przy uszkodzonym samochodzie i szlochając czekał na policję, podczas gdy ofiara dusiła się własną krwią. Mieliśmy serię kradzieży w całodobowych sklepikach, w dwóch przypadkach policja zastrzeliła nastoletniego złodzieja. Potem przydarzył się skandal w zarządzie miejskim: pewien księgowy wykrył znaczny ubytek pieniędzy z podręcznej kasy, biuro prokuratora przesłuchało burmistrza i dwóch urzędników. Nie pracowałem nad żadną z tych spraw. Nolan kazał mi nie wychodzić z redakcji.

Tworzyłem natomiast długie artykuły na temat śledztwa dotyczącego mordercy. Opisywałem, jak jeden z zespołów sprawdza rejestry wojskowe w Fort Bragg w Pomocnej Karolinie i w waszyngtońskim Pentagonie. Miałem również inne tematy. Którejś nocy jeździłem z policyjnym patrolem po dzielnicy, w której wydarzyło się pierwsze morderstwo. Rozmawiałem z obydwojema oficerami o ich pracy. Powiedzieli mi, że w dzielnicy nastąpiły subtelne zmiany. Teraz wieczorem na ulicach widywało się mało ludzi, a zwłaszcza mniej nastoletków. Patrole przebiegały o wiele spokojniej. Ze złością mówili o mordercy, zupełnie jakby pragnęli dorwać go na chwilę bez świadków i zastrzelić. Obaj byli młodzi i służyli w Wietnamie. Jeden z nich powiedział: „Było tam okropnie, ale teraz jesteśmy już w domu i wszystko się skończyło”. Powtarzał bez końca: „Skończyło się, skończyło”. Jego partner wymruczał, że *zgadza* się z nim i skręcił w ciemną ulicę, przy której domy wydawały się szczelnie zamknięte.

W ciągu tych dwóch tygodni codziennie rozmawiałem z Wilsonem i Martinezem, czasami nawet dwa razy dziennie, próbując wyciągnąć z nich jakiś temat do artykułu. Obaj mówili niewiele, chociaż informowali mnie o niektórych wątkach poszukiwań, o badaniach balistycznych, o tym, jak sprawdzają

sklepy z amunicją, by ustalić, kto w ostatnich miesiącach sprzedawał naboje kalibru czterdzieści pięć. W sprawie wojskowych rejestrów wypowiedali się bardziej oględnie. Podejrzywałem, że doszli do jakichś wniosków, może nawet wytypowali parę nazwisk, ale nie chcą mi o tym powiedzieć. Poszedłem podzielić się moimi myślami z Nolanem, a on przycisnął swoje źródło, porucznika w wydziale zabójstw, który wyjawiał jedynie, że nastąpił pewien postęp, ale nie wie nic konkretnego. Pozostałem ze swoimi podejrzeniami.

Nolan uznał, że nie możemy zbyt polegać na policji i kazał mi sporządzić psychologiczny portret mordercy. Miałem się posłużyć notatkami z telefonicznych rozmów z nim. Pod koniec drugiego tygodnia, gdy już kończyłem tę pracę, wezwał mnie do siebie wydawca i spytał, czy nie wydaje mi się, że morderca wyjechał z miasta. Wstał zza biurka, podszedł do okna, z którego widać było pokój redakcyjny, i obserwował pracę w tej wielkiej sali.

- Martwi mnie - powiedział - że zamieszczając codziennie artykuły o mordercy i o braku postępu w działaniach policji, nasza gazeta może podsycać atmosferę strachu. Może dajmy temu na razie spokój, dopóki nie dowiemy się, że facet tu gdzieś jest.

Mówił to wszystko w okno, musiałem się wysilać, żeby go usłyszeć. Był eleganckim mężczyzną, ubierał się w znakomicie uszyte garnitury, jednak zawsze miał podwinięte rękawy, a jego ręce często były poplamione świeżą farbą drukarską.

Nolan też tu był. Skinął głową, bo zgadzał się z szefem.

- Jednak - dodał - mam wątpliwości. Może tak być, że publikując artykuły powstrzymujemy mordercę przed dokonaniem następnej zbrodni. Kto wie, czy jeśli nie będzie dalszych tekstów, morderca nie zareaguje gwałtowniej niż wtedy, gdy artykuły o nim będą się ukazywały systematycznie? Za każdym razem, gdy pisało się o nim mniej, podejmował działanie, a przynajmniej tak mi się wydaje.

Wydawca przyznał, że stawia to gazetę w trudnej sytuacji, ale nie możemy pozwolić, by decydował za nas wariat.

- Doskonale - zgodził się Nolan. - Zobaczymy, co będzie dalej.

Jeśli chodzi o mnie, nie sądziłem, żeby morderca wyjechał z miasta. Czułem, że tu jest, prawie w zasięgu ręki.

Portret psychologiczny pozostawiłem w postaci notatek, nie zamierzałem go publikować. Jak powiedział Nolan, miał nam tylko pomóc zrozumieć tego człowieka. Napisałem:

*Jedynak.
Bity.
Upokarzany.
Wykorzystywany?*

Poszedłem do księgarni i kupiłem atlas i encyklopedię. Obejrzałem mapę stanu Ohio. Stan, kwadratowy i solidny, patrzył na mnie ze stronic grubego

tomu pewnym siebie spojrzeniem mieszkańców środkowego Zachodu. Moje oczy biegły po drogach przecinających stan, zatrzymywały się, na małych kropkach przedstawiających małe miejscowości. Widziałem zygzakowaty zarys rzeki Ohio i próbowałem wyobrazić sobie płaskie pola odchodzące od jej brzegów w głąb kraju, zboża wznoszące się ku niebu pod sierpniowym słońcem.

Porter, przechodząc obok mojego biurka, zatrzymał się i spojrzał mi przez ramię na mapę.

- Byłeś tam kiedyś? - spytał. Potrząsnąłem przecząco głową. - Zimno w zimie, upał w lecie - wspominał. - To konserwatywny stan. Akurat znalazłem się na uniwersytecie stanowym Kent, gdy Gwardia strzelała do studentów. Był piękny dzień, słoneczny, jasny. Pamiętam, że całe wydarzenie wyglądało raczej jak ćwiczenia: tłum wchodził na wzgórze, wykrzykiwał slogany, jak to zwykle bywa. Potem nastąpił ten okropny moment, gdy rozległa się salwa. W pierwszej chwili nie wiedziałem, co się stało, ale zastygłem w miejscu. Było to tak, jakby świadomość, że strzelano do tłumu, usiłowała się przebić przez bariery niedowierzającego umysłu. Tak człowiek się czuje w pierwszej chwili po obudzeniu. Słyszałem krzyki, a raczej jęk - przypominałem sobie wtedy Arabkę z filmu Bitwa o Algier - i nawet bez patrzenia wiedziałem, co się stało. Oczywiście pobiegłem. Wszyscy biegli. Minałem leżące ciało. Ciągle jeszcze pamiętam krew na czarnym asfalcie. Wiesz, na kampusie stoi taka abstrakcyjna *rzeźba*, same ostre kąty i proste linie. Wykonano ją z jakiejś stali, która wygląda jak brąz. W jednym z kątów jest teraz otwór po kuli, taki, do jakiego człowiek zawsze wkłada palec, żeby przekonać się, że to prawda. Otwór jest idealnie okrągły.

Pochyliłem się nad biurkiem i zapisałem:

*Miasto.
Służba wojskowa.
Wojna.
Wydarzenie.*

Jakie wydarzenie wywarło taki wpływ na mordercę? W redakcji naszej gazety w college'u mieliśmy oprawione w ramki słynne zdjęcie My Lai. Był to powiększony plakat, wielka masa żółci i zieleni, a pośrodku beładnie rozrzucone ciała, umazane na czerwono własną krwią. Przypominałem sobie również inne zdjęcia: naga dziewczynka uciekająca w stronę kamery przed wybuchami napalmu i jej usta, szeroko otwarte z przerażenia, albo Wietnamczyk, patrzący pustym, nie rozumiejącym spojrzeniem, gdy od siły strzału oddanego przez naszego żandarma jego głowa *zaczyna* oddzielać się od ciała. Czy takie właśnie wydarzenie zapamiętał morderca? A może to on sam był sprawcą?

Napisałem:

*Wiek: dwadzieścia pięć do trzydziestu.
Pobył w szpitalu dla weteranów. Szare
oczy.*

Zastanawiałem się, czy powiedział mi prawdę i co w jego opowiadaniu jest zgodne z faktami, a co jest fikcją. Takie właśnie było jego ostatnie słowo.

Telefon zadzwonił, gdy wychodziłem spod prysznicza. Usłyszałem, jak Christine coś odpowiada. Szybko chwyciłem ręcznik i zacząłem się wycierać. Rozległo się pukanie do drzwi łazienki, tak ciche, że szum pary prawie je zagłuszył. Gdy weszła Christine, miała szeroko otwarte oczy.

- To on - powiedziała. - Jestem pewna. Kiedy podniosłam słuchawkę, chwilę się wahał, a potem poprosił cię do telefonu wymieniając twoje imię. Czeka.

Zarzuciłem szlafrok na ramiona i szybko wytarłem włosy, ale plecy miałem jeszcze mokre.

- To musi być twoja dziewczyna - powiedział. - Ma miły głos.

- Gdzie byłeś? Nie odzywałeś się od prawie dwóch tygodni.

- Tu i tam - odparł. - W tej dzielnicy, w innej dzielnicy, wszędzie. - Cze-
kałem, że powie coś jeszcze, ale milczał. Jednak po krótkiej przerwie znów się odezwał. - Powiedz policji, żeby nadal sprawdzała listy wojskowe, na pewno do czegoś dojdą. Wiedzajuz, że mam szare oczy. Co jeszcze powinni wiedzieć? Och, że jestem strzelcem wyborowym. Dostałem medal. Powiedz im, żeby to sprawdzili, taka informacja do pewnego stopnia zacieśni im pole działania. Pił na praca jest wynagradzana. Powiedz im to.

Znów zamilkł.

- Ale i tak nic im to nie da - dodał.

Chwila milczenia.

- Powiedz im, że nigdy mnie nie złapią. Nawet jeżeli bardzo im pomogę. Milczenie.

- Musi ci być spieszno do pracy - oznajmił. - A więc podam ci temat: numer czwarty.

- Gdzie?

- W kierunku zachodnim, za Krome Avenue, tam, gdzie ulica przebiega w pobliżu Everglades. Takie bagna to wspaniały teren. Spokojny, pusty. Tam *rzeczywiście* można się skupić, nic nie rozprasza, słychać tylko odgłosy wydawane przez zwierzęta i od czasu do czasu silniki samolotu nad głową. Jedź trzy mile wzdłuż Krome i miń autostradę. Po lewej zobaczysz zaniedbaną drogę. Pojedziesz nią sto metrów. Wtedy zatrzymaj się i zaroślami przejdź następne sto metrów. Tam będzie polanka. Lepiej się pospiesz, bo czeka cię niespodzianka.

I przerwał połączenie.

Była dopiero ósma rano. Za sobą usłyszałem szuranie krzesłem. To Christine siadała przy kuchennym stole.

- Znów zabił- powiedziałem. Nie odezwała się. - Miałaś rację, to on dzwonił.

Popatrzyłem na telefon. Zgodnie z tym, co mówił morderca, muszę się pospieszyć.

Wilson podszedł do telefonu prawie od razu. Wyobraziłem go sobie na drugim końcu linii. Jego twarz już zaczynała wykrzywiać się z gniewu, pokrywała się rumieńcem aż po korzonki krótko obciętych szpakowatych włosów.

- Znów? - spytał podnosząc słuchawkę. Wiedział, kto dzwoni i dlaczego.
- Za Krotne Avenue, w pobliżu Glades - powiedziałem. - Mówi, że czeka nas niespodzianka. A także numer cztery.
- Jak to niespodzianka?
- Skąd, do diabła, mam wiedzieć? Bawi się ze mną, tak samo jak z wami.
- To wielki obszar... - zaczął Wilson, ale mu przerwałem.
- Niech pan sam posłucha.

Cofnąłem taśmę w magnetofonie zainstalowanym przez policję, a potem przyłożyłem słuchawkę do głośnika. Słowa mordercy wypełniały pokój. Spojrzałem na Christine. Siedziała potrząsając głową.

Nagranie skończyło się tak szybko, jakby minęła zaledwie sekunda. Zatrzymałem taśmę i z powrotem przyłożyłem słuchawkę do ucha.

- Słyszał pan? - spytałem.
 - Co za sukinsyn — powiedział tylko.
- Czekałem.

- Cholemy sukinsyn. Ale go złapię. Złapię sam, osobiście. -Potem mówił już normalnym tonem: - Dziękuję za telefon. Spotkamy się na miejscu.

Podszedłem do Christine, stanąłem za nią i położyłem jej ręce na ramionach, by dodać otuchy. Zaciśnęła palce na moich rękach, ale nic nie powiedziała. Po prostu nadal kiwała głową. Jednak ja już myślałem tylko o rozmowie z mordercą. Próbowałem wyobrazić sobie, co na nas czeka na bagnach. Poszedłem do sypialni i zacząłem się ubierać.

Dopiero po kilku minutach uświadomiłem sobie, że zapomniałem zadzwonić do Nolana. Myśl ta uderzyła mnie z nagłością gromu. Poczułem, jak ogarnia mnie panika, taka jaką czuje uczeń, gdy nauczyciel go wywoła, a on nie wie, jakie było pytanie, bo bujał myślami w obłokach.

Tak więc, wciągając koszulę, wybrałem numer gazety. Gdy czekałem, aż Nolan podejdzie, oczami duszy widziałem naczelnego, który jeszcze przez chwilę się waha, podczas gdy jego wzrok omiata wielką halę i czekające maszyny, a potem naciska przycisk, a maszyny ruszają, napełniając pomieszczenie hukiem.

Rozdział jedenasty

Niespodzianka, którą zgotował nam morderca, była niewyobrażalnie okrutna. W całym mieście podniósł się gniew, ale jednocześnie strach narastał coraz bardziej. Po raz pierwszy ludzie zaczęli zbierać się w grupy samoobrony, organizacje obywatelskie wysyłały na ulice patrole. Gazety, takie jak „Time” albo „Newsweek”, poświęcały mordercy, jego zbrodniom i telefonom coraz więcej miejsca. Moje zdjęcie zostało opublikowane we wszystkich

czasopiśmie i magazynach, bez przerwy mnie cytowano. Dziennikarze z telewizji przeprowadzali ze mną wywiady. „New York Times” i „Washington Post” wysłały do mnie swoich najlepszych reporterów, a potem zamieściły długie artykuły. „Chicago Tribune” wydelegowała do miasta felietonistkę. Zamieszkała w jednym z hoteli nad zatoką, a ja oprowadzałem ją po wszystkich miejscach, w których znaleziono ciała. „Tribune” wydrukowała jej tekst na pierwszej stronie. Kilka dni później dostałem kopie. Zacząłem wycinać artykuły, własne i cudze, z całej krajowej prasy. Trzymałem je na biurku, a stos pęczniał z każdym dniem.

Jechałem na Everglades z dużą prędkością. Poranny ruch odbywał się w drugą stronę, do śródmieścia, więc bez trudu rozpędziłem samochód ponad dozwoloną normę, okno miałem otwarte, gorące powietrze wpadało do wnętrza. Słońce lśniło na asfalcie. Jedną ręką trzymałem kierownicę, drugą sięgnąłem do skrytki po ciemne okulary. We wstecznym lusterku zobaczyłem, że dogania mnie jakiś samochód i zaraz wyprzedza. To był Porter, również przekraczający obowiązującą prędkość. Jego wielki sedan jeździł od brzegu do brzegu szosy, wciskał się w każdą lukę między samochodami. Przejeżdżając obok mnie, Porter pokivał ręką, więc przyspieszyłem jeszcze bardziej.

Obaj jechaliśmy dobrze ponad setką. Szybko znaleźliśmy się u wylotu Krome Avenue. Skręciliśmy w dwupasmową drogę, gdzie wyminął nas biało-zielony radiowóz. Właśnie w tym momencie usłyszałem pierwszy jęk syren. Za nami podążała cała falanga służbowych wozów. Gdy znów skręcałem, nad bagnami uniosło się stadko białych czapli. Ich pióra lśniły w słońcu. Szybko przeleciały pod błękitnym niebem i zniknęły w oddali. Za nami nadjechał ambulans, jego światła migotały na czerwono i żółto, syrena napędzała powietrze niespokojnym jazgotem. Zwolniliśmy, żeby go przepuścić, potem znów przyspieszyliśmy. Wiedziałem, że do miejsca zbrodni mamy już niedaleko, i rzeczywiście, po kilku sekundach zauważyłem kilkanaście samochodów, zaparkowanych bezładnie na poboczu. Ambulans przedostał się tak daleko, jak się dało, potem ostro wyhamował, spod jego kół strzeliły kamyki. *Zaloga* w żółtych kombinizonach wyskoczyła na zewnątrz i szybko rozstawiła nosze. Jeden z mężczyzn niósł czarną lekarską torbę, z szyi zwisał mu stetoskop. Policjant w mundurze poprowadził ich na bagno. Zaparkowałem, Porter wołał, żebyśmy się pospieszyli, i zaraz pobiegł przez krzaki i chwasty ścieżką, która już została wydeptana przez policjantów. Ruszyłem za nim, ale zdążyłem jeszcze zobaczyć nadjeżdżające furgonetki telewizyjne i samochód z „Post”.

Ziemia pod nogami była wilgotna i miękka, biegnąc ślizgaliśmy się, mieliśmy wrażenie, że krzaki chwytają nas za ubranie. Po obu stronach ścieżki rozciągały się rozległe bagna. Biegliśmy po jedynym suchym skrawku terenu. Z przodu zobaczyłem niewielką wysepkę, porośniętą trawą i zaroślami. Właśnie tam gromadzili się policjanci. I właśnie stamtąd dobiegł mnie pierwszy krzyk.

Był to wysoki dźwięk, wyrażający rozpacz i samotność. Nie rozpoznałem go, ale Porter chyba tak, bo odwrócił się i dziwnie na mnie spojrział. Wdrapaliśmy się na mały pagórek. Zobaczyli nas policjanci i zaczęli machać, żebyśmy

się nie zbliżali. Porter już robił zdjęcia teleobiektywem, jego aparat skrzypiał i klekotał.

- Tam - wskazał.

Powiodłem wzrokiem za obiektywem i zobaczyłem ciało, częściowo zasłonięte krzakami. Stał nad nim samotny policjant, zupełnie jak na warcie. Ale jego oczy wpatrzone były w załogę ambulansu i w paru innych policjantów, znajdujących się w niewielkiej odległości od niego. Pośrodku tego tłumku zauważyłem toporny szałas. I wtedy ponownie usłyszałem krzyk, czy może jęk, przeszywający poranne powietrze.

- O Boże - powiedział Porter, opuszczając na chwilę aparat. - To dziecko.

Policjanci cofnęli się o kilka kroków. Trzej mężczyźni z ambulansu biegiem wracali ścieżką. Policjant torował im drogę wśród tłumu dziennikarzy i kamerzystów. Sanitariusz, który biegł przodem, niósł dziecko, zawinięte w szorstki niebieski koc, wyraźnie odznaczający się na tle jego żółtego kombinezonu. Uśmiechał się i przemawiał do maleństwa, osłaniając je przed reflektorami kamerzystów.

- W jakim jest wieku? - spytałem, gdy mnie mijał.

- Może rok, może półtora - odparł.

- Ranny?

- To dziewczynka i nic jej się nie stało, ma tylko kilka otarć.

Pobiegł dalej, rozpychając dziennikarzy i przemawiając łagodnie do dziecka.

- Jezu - usłyszałem głos Portera. - Możesz w to uwierzyć?

Policjanci przez dwie godziny nie pozwolili nam podejść do miejsca czwartego morderstwa. Słońce stało już wysoko na niebie, upał zastąpił poranną świeżość. Jak zwykle dziennikarze stawiali mi mnóstwo pytań, a ja im mówiłem, że morderca zadzwonił do mnie i podał miejsce zbrodni. Po jakiejś godzinie z telewizyjnej furgonetki przedostała się wiadomość, że dziewczynka została zabrana na oddziale pediatrycznym dużego śródmiejskiego szpitala i że czuje się dobrze. Opowiedziałem dziennikarzom, że morderca zapowiadał „niespodziankę”, i że chyba chodziło właśnie o dziecko. Potem wreszcie dali mi spokój, więc usiadłem na wilgotnej ziemi i przyglądałem się, jak technicy kryminalistyczni przeczesują teren, a lekarz bada zwłoki. Porter ciągle się skarżył, że nie ma czego fotografować. Gdy zabierano ciało, skoczył na równe nogi. Pomyślałem wtedy, że to już czwarty czarny worek na zwłoki, jaki widzę tego lata i zastanawiałem się, czy pochodzi z tej samej partii, z której wzięto worki do przeniesienia poprzednich zwłok.

Wreszcie nadeszli Wilson z Martinezem i udzielili prasie kilku informacji. Powiedzieli, że najprawdopodobniej morderca, dziecko i ofiara - biała kobieta przed trzydziestką — spędzili tu jakiś czas, chyba co najmniej jeden dzień. Znalezione resztki po kilku posiłkach. Nie podali nam nazwiska kobiety. Martinez, zapytany o przyczynę śmierci i sposób popełnienia zbrodni, powiedział, że tak samo jak w poprzednich przypadkach, ofiara miała ręce związane z tyłu na karku. Wilson dodał, że węzły na linie krępującej ręce ofiary oraz te, które zostały zastosowane przy budowie szałasu, wyglądają identycznie. Morderca zbudował

wał go najwyraźniej po to, by osłonić dziecko przed słońcem. Wilson zakończył stwierdzeniem, że na razie nie będzie więcej informacji. Na chwilę przechrwyliśmy jego wzrok, ale szybko odwrócił głowę.

Następnie poprowadzono dziennikarzy i kamerzystów, ustawionych w kolejkę, na miejsce zbrodni. Zapowiedziano nam, byśmy niczego nie dotykali. Oglądaliśmy to w prawie całkowitym milczeniu. Tam, gdzie przedtem leżały zwłoki kobiety, trawa była poplamiona krwią. Technicy wkładali wszystko, co znaleźli w pobliżu, do plastikowych torebek i opatrywali je etykietkami. Widziałem pudełko po hamburgerach, kilka butelek, pieluszki i parę zgniecionych paczek po papierosach. Zatrzymałem się przy szałasie. Ściany były zbudowane z gałęzi i desek, a dach pokrywała trawa i palmowe liście. Wszystko to było powiązane linami. Miałem wrażenie, że trochę mocniejszy wiatr rozerwałby szałas na strzępy.

Na pytania dziennikarzy odpowiadali dwaj policjanci z radiowozu, który regularnie patrolował okolicę. To oni właśnie zorientowali się, że coś się tu wydarzyło. Kazano im zabezpieczyć teren aż do przyjazdu detektywów, ale jeden z nich usłyszał płacz. Pobiegli przez krzaki do szałasu i znaleźli ciało kobiety i dziecko. Na ich twarzach widać było jednocześnie zadowolenie i złość. Cieszyli się, że dziecko zostało uratowane, ale odczuwali wściekłość z powodu całej tej sytuacji.

- Co to musi być za człowiek — zastanawiał się na głos jeden z nich, młody blondyn z gęstymi węsami - żeby zostawić takie malutkie dziecko koło ciała matki, którą zamordował?

Oczywiście wszyscy zadawaliśmy sobie to samo pytanie.

Po tym, jak w gazecie ukazał się mój ostatni artykuł, zadzwonił do mnie ojciec. Teraz zawsze odbierałem telefony z obawą i wahaniem. Nie wiedziałem, dlaczego morderca się ze mną nie kontaktuje i czekałem na jakiś znak życia od niego. Jednak po jakimś czasie moje uzależnienie od dzwonka telefonu trochę osłabło. Gdy słyszałem sygnał, ciągle jeszcze wzbierało we mnie podniecenie, bo myślałem, że to może on, a gdy się okazywało, że to ktoś inny, ulga mieszała się we mnie z rozczarowaniem. Do tej pory nie zdawałem sobie sprawy, jak często w ciągu dnia telefon się odzywa ani jak bardzo ingeruje w moje życie.

- Widziałem twoje zdjęcie - powiedział ojciec. - Wygląda na to, że stajesz się sławny. - Nic nie odpowiedziałem, więc ciągnął: — Co za okropny sposób na zdobywanie sławy. Myślisz, że policja poczyniła już jakieś postępy?

Powiedziałem mu, że nie wiem. Wydawało się, że morderca bawi się z policją podając pewne szczegóły swojego wyglądu. Zresztą i tak nikt nie miał pewności, czy mówi prawdę.

Porozmawialiśmy jeszcze o praktyce adwokackiej mojego brata, o siostrze, która studiowała w college'u, o matce. Matka podjęła pracę społeczną w miejscowym szpitalu, powiedział. Na oddziale psychiatrycznym. To ciekawe zajęcie,

mówił dalej. Potem oznajmił mi, że matka niepokoi się o mnie, zwłaszcza martwi ją bliskość, jaka wytworzyła się między mordercą a mną.

- Jaka znów bliskość? - zachnąłem się. - Po prostu wiszę na końcu liny, którą trzyma. On pociąga, ja reaguję. On dzwoni, ja piszę. Ale dzieli nas nie zmierzona odległość.

- To nie tak - sprzeciwił się ojciec i nagle uświadomiłem sobie, że boi się o mnie, tak samo jak matka. - Mylisz się. Każdy telefon, każda rozmowa zbliżają cię do niego. Myślę, że ten dystans coraz bardziej się zmniejsza.

- Nie boję się.

- A powinieneś.

Pomyślałem wtedy, że w mojej rodzinie dystans zawsze istniał i był czymś ważnym.

Jego umysł musiał podążać tym samym torem, bo po chwili milczenia kontynuował:

- W dzieciństwie i jako dorastający chłopak zawsze byłeś milczący. Twój brat i siostra od razu mierzyli się z problemami. Ty się wahałeś. Wydaje mi się, że właśnie dlatego zostałeś dziennikarzem. Spędzałeś tyle czasu obserwując otoczenie.

- Wszystko będzie dobrze - powiedziałem, ale mój głos zabrzmiał jak echo w kanionie.

Cała ta historia zdominowała wszystkie moje myśli.

Przez dłuższy czas policji nie udało się zidentyfikować kobiety i dziecka. Wszystkich dziennikarzy z Miami ta tajemnica irytowała, bo nie potrafili przypisać kobiecie żadnej przeszłości, żadnego sensu istnienia. Mijał dzień za dniem, spekulacje na jej temat stawały się coraz bardziej wymyślne. Zastanawialiśmy się, skąd pochodziła, czy coś ją łączyło z mordercą, jaką rolę odegrała w całym tym dramacie. Niektórzy utrzymywali, że był jej kochankiem; inni, że znała jego tożsamość, może była jego siostrą. Analizowaliśmy te ewentualności jedna po drugiej, aż śmierć tej kobiety nabrała większego znaczenia niż jej życie.

Opisywałem każdą cząstkę tej historii, wszystko, co udawało mi się wygrzebać. Spotkanie z wydawcą i Nolanem poszło w zapomnienie. Historia mordercy zaczęła żyć własnym życiem. Nagłówki podkreślały jego maniaczką osobowość, inne informowały o pracy policji. Wołały: WIELKIE POLOWANIE NA CZŁOWIEKA, albo POLICJANCI PRACUJĄ NA OKRĄGŁO, PRZEZ CAŁĄ DOBĘ. W całej tej sprawie obecne były wszystkie elementy zbrodni popełnianych w wielkich miastach. Czasami nazywaliśmy go Numerowy Morderca, a czasami Telefoniczny Morderca. Wszystko jedno, jak się o nim mówiło, i tak każdy wiedział, o kogo chodzi.

Do miejscowego kina sprowadzono dwa filmy: *M jak morderca* i *Doczekać zmroku*. Sala zawsze była wypełniona. Dwa wieczory spędziłem rozmawiając z ludźmi, którzy czekali przez kinem na następny seans.

- Trudno w to uwierzyć - powiedziała mi pewna młoda blondynka. W udawanym strachu kurczowo trzymała swojego chłopaka za ramię. - To takie w stylu Hollywood, a przecież dzieje się naprawdę.

Ten cytat umieściłem w ramce jednego z moich artykułów.

Ludzie chętnie się wypowiadali. Którejś nocy jeździłem po południowej dzielnicy, czystej, schludnej, z domkami o wybielonych ścianach, zamieszkanymi przez ludzi o średnich dochodach. Tym razem nie towarzyszyłem patrolowi policji, lecz patrolowi organizacji sąsiedzkiej. Utworzyli stowarzyszenie, do którego obowiązków należało między innymi patrolowanie ulic. Już pierwszej nocy złapali włamywacza, pochwalił się kierowca. Drugi członek patrolu, wysoki, tęgą mężczyzna z grubymi ramionami i kędzierzawymi bokobrodami, które zachodziły mu na twarz, odwrócił się do mnie i szepnął:

- Policja mówi, że nie mamy prawa nosić broni, ale... - i wyciągnął spod koszuli kolta kaliber trzydzieści dwa o krótkiej lufie i perłowej rękojeści, który nosił zatknięty za pasek. Roześmiał się i ten śmiech wypełnił wnętrze samochodu, a potem wydostał się przez okna i rozptynął się po ciemnej okolicy.

O tym też napisałem artykuł.

Chodziłem na spotkania grup obywatelskich i słuchałem, jak jeden mówca po drugim pyta, co robi policja, żeby znaleźć mordercę. Spotkania odbywały się przeważnie w szklanych salach gimnastycznych; gdy podnosiłem głowę do góry, widziałem zawieszone pod sufitem proporczyki zdobyte przez szkolne drużyny sportowe. Słowa wypowiedane przez mówców zawsze były takie same, nie różniły się niczym od tego, co się słyszało na ulicy, ani od tego, co mówili członkowie obywatelskiego patrolu, z którymi jeździłem tamtej nocy. W całym mieście wszyscy dawali wyraz tym samym obawom i żądaniom. Podczas jednego ze spotkań wstała z krzesła pewna kobieta i popatrzyła na zebrany tłum. Widziałem po jej twarzy, że walczy z myślami. W końcu spytała: „Czy możemy coś zrobić?“, a ja pomyślałem, że nic. Nic nie można zrobić. Zapisalem jej słowa w notesie, ale w artykule nie dałem wyrazu swojemu pesymizmowi.

Miejscowi politycy również mieli wiele do powiedzenia. Zwoływali nieustannie konferencje prasowe, robili wszystko, by pokazać, jak bardzo są zaangażowani: jeździli z patrolami policyjnymi, na zebrania w ratuszu przychodzili uzbrojeni.

Mnie też przydzielono pewną rolę do odegrania.

Podczas innego spotkania obywatelskiego również zabrała głos kobieta: niska, zaledwie pięć stóp, ale głos miała przenikliwy, nikt by się takiego po niej nie spodziewał. Jej twarz była ściągnięta od troski, bruzdy na czole wyglądały tak, jakby je wyrysowano piórem. Gdy zadałem jej pytanie, popatrzyła na mnie z otwartymi ustami. Wydawało się, że przywołuje coś z pamięci. W końcu powiedziała:

- Pan z nim rozmawiał. - Gdy potwierdziłem, kontynuowała: - To pan jest tym, do którego on dzwoni. - Znów skinąłem głową. Jej głos przedarł się przez gwar na widowni. Natychmiast zebrał się koło nas tłumek, poczułem ciepło na pierających na mnie ciał. Porter stał niedaleko, słyszałem szum jego kamery. -

Dlaczego nie każe mu pan przestać? - krzyknęła kobieta. - Dlaczego nie zmusi go pan, żeby przestał? - Jej głos przeszedł w pisk, ale nikomu to nie przeszkadzało, zdobyła sobie sympatię słuchaczy.

- Próbowałem.

- Niech pan znów spróbuje! - krzyknęła. - Niech pan ciągle próbuje!

- Jak? - spytałem.

Ale odwróciła się ode mnie. Po jej twarzy płynęły łzy, cała trzęsła się ze złości.

Tęgi mężczyzna wyrzucił pięść w powietrze.

- Niech pan mu powie, że czekamy na niego. Niech pan mu powie, że się go nie boimy!

Jakie to proste, pomyślałem. Strach zawsze wydobywa na jaw najbardziej pierwotne instynkty: w sytuacji zagrożenia mężczyźni odpowiadają agresją, natomiast kobiety, które myślą bardziej realistycznie, odczuwają udrękę.

Porter wypowiedział na głos to, o czym myślałem.

- Chciałbym zobaczyć odwrotną sytuację - odezwał się. - Mężczyznę, który zaciska ze strachu ręce i ze łzami w oczach pyta: „Co ja mogę zrobić?”, podczas gdy jego żona wygraża pięścią i krzyczy: „Do diabła, jestem gotowa się z nim porachować. Niech no tylko się pokaże”. - Roześmiał się i dalej robił zdjęcia.

Tego nocy siedziałem przy maszynie do pisania i myślałem o słowach kobiety. Próbuje, nie zaprzestawaj prób. Ale jak mam to zrobić? Wyrzuciłem te myśli z głowy i zacząłem kolejny artykuł.

Któregoś wieczoru, gdy właśnie miałem wychodzić z redakcji, zadzwonił Wilson.

- Mam tu coś, co pan na pewno chciałby zobaczyć - powiedział.

Gdy wyszedłem, odniosłem wrażenie, że ciemność świeci, ożywiana lekimi podmuchami wiatru. Wydawało mi się, że mogę chwycić noc w ręce, dotknąć ją, złapać powietrze w garść. Jechałem ulicami śródmieścia, światło reflektorów samochodu mieszało się ze światłami ulicznymi, rozjaśniając ciemne niebo.

Wilson czekał na mnie przy wejściu do komendy.

- Proszę za mną - powiedział. - Ma pan okazję poszerzyć swoje horyzonty.

Roześmiał się z tego frazesu i wprowadził mnie do środka. Na chwilę oślepiły mnie mocne jarzeniówki i gdy szliśmy do windy, kilka razy mrugnąłem. Policjanci znajdujący się w holu odprowadzali mnie wzrokiem.

Wjechaliśmy na piętro, na którym mieścił się wydział zabójstw, ale zamiast wejść do głównej sali, Wilson poprowadził mnie bocznym korytarzem. Tutaj pomalowane na biało ściany nie były obwieszane plakatami, na żadnych drzwiach nie widziałem tabliczek. Wilson maszerował środkiem korytarza, więc brakowało miejsca, bym mógł iść obok niego, musiałem podążać za nim. W końcu zatrzymał się przed nie oznaczonymi brązowymi drzwiami.

- To tu - powiedział. - Proszę nic nie mówić, póki to się nie skończy. Niech pan nie wykonuje zbyt szybkich ruchów, nie zapala papierosa. Po prostu niech pan patrzy. Niech pan słucha i uczy się.

Szybko otworzył drzwi i weszliśmy do niewielkiego pokoiku, oświetlonego tylko jedną słabą lampą. Przy stole, w cieniu, siedział jakiś mężczyzna, na stole stał włączony szpulowy magnetofon. Ale moje spojrzenie pobiegło od razu do okienka. Miało jakieś dwie stopy na cztery. Zobaczyłem przez nie przyległy pokój, dla odmiany dobrze oświetlony.

- Jednostronne lustro - szepnął Wilson.

Stałem obok niego i zacząłem się przyglądać temu, co tam się działo.

Przy stole zobaczyłem młodego mężczyznę. Miał długie rude włosy i skąpą brodkę, jego ciemne oczy były podkrążone. Co chwila wycierał nos wierzchem dłoni, a potem przesuwiał nią po twarzy. Bez przerwy odwracał głowę to w jedną, to w drugą stronę, próbując uchwycić wzrok dwóch przesłuchujących go detektywów. Jednym z nich był Martinez. Siedział z koszulą odpiętą pod szyją i rozluźnionym krawatem. Miał też rozpiętą marynarkę, widziałem więc pustą kaburę. Drugi detektyw, również niedbale ubrany, rozpierał się na krześle. Ręce miał założone na piersi, patrzył na zeznającego zarazem z niedowierzaniem i złością.

- No dobrze - powiedział Martinez. — A teraz, Joey, opowiedz to jeszcze raz.

Przeszedł się po pokoju, stanął za Joeyem, następnie znów zaczął krążyć, raz szybciej, raz wolniej. Podnosił wzrok do sufitu, potem patrzył na podłogę, a od czasu do czasu rzucał znudzone spojrzenie na mężczyznę przy stole.

- Czego jeszcze ode mnie chcecie? - spytał Joey. - Zrobiłem to. Popelniłem te wszystkie morderstwa. Czego jeszcze potrzebujecie? - Mówił urywaniem, podenerwowanym tonem. W pokoiku, w którym staliśmy, jego głos, przekazywany przez głośnik wbudowany w sufit, brzmiał dość piskliwie. - Najpierw dziewczyna, potem stare małżeństwo, a teraz kobieta i dziecko. Mam już tego dość.

- I dlatego się zgłosiłeś? - spytał Martinez.

- Tak.

- Gdzie jest pistolet?

- Wrzuciłem do kanału.

- Którego?

- Nie wiem. Jak mogę pamiętać coś takiego?

- Kiedy?

- *Zanim* tu przyszedłem.

- I nie pamiętasz? Joey, daj spokój.

- Mówię wam, że nie pamiętam.

- Jak się tu dostałeś?

- Na piechotę.

- Którą drogą szedłeś?

- Z przedmieścia.

- Tam nie ma kanałów.

- Są. - Głos stawał się coraz bardziej piskliwy, błagalny.
- No dobrze, Joey. Opowiedz o dziewczynie.
- A co tu jest do opowiadania? Zabiłem ją.
- Musisz nam o tym opowiedzieć.
- Niech wam będzie - powiedział po chwili. - Przedtem ją zgwałciłem.

Martinez pokiwał głową.

- Joey, po co dzwoniłeś do gazety?
- Chciałem ich o tym powiadomić. Chciałem, żeby wszyscy się dowiedzieli.
- Po co?
- Żeby pokazać, że jestem ważną osobą.
- Zabijanie powoduje, że czujesz się ważny?
- Tak.
- A teraz czujesz się ważny?

Mężczyzna zawahał się i zaczął mocno pocierać nos.

- Pewnie - odparł po chwili i uśmiechnął się do detektywów.

Zobaczyłem, że Martinez daje koledze znak. Ten gwałtownie pochylił się w stronę Joeya, podniósł rękę nad głowę, a potem wałnął nią w stół, kilka cali od ręki tamtego. W naszym małym pokoiku aż zahuczało.

- Kłamiesz — krzyknął detektyw. - Pieprzony kłamca! Tylko marnujemy przez ciebie czas!

Joey zgiął się na krześle i gwałtownym ruchem podniósł ręce, by zasłonić twarz.

- Mówię prawdę! - krzyknął. - Przysięgam!
- Kłamiesz - powtórzył detektyw. Martinez przeszedł na tył pokoju, oparł się o ścianę i zapalił papierosa tak obojętnie, jakby to, co się tu dzieje, nic go nie obchodziło. Drugi detektyw poderwał się na nogi i zaczął krążyć po pokoju. Wreszcie stanął za Joeyem. Gdy się pochylił, zobaczyłem strach na twarzy zeznającego.
- Przychodzisz i wciskasz nam taki kit! Bo to kit! Kit! - Detektyw podniósł rękę. - Powiniennem ci wlać... - Przerwał. W pokoju nastąpiła cisza, słychać było tylko, jak Joey nerwowo się drapie. Detektyw przeszedł kilka kroków i Joey odwrócił się, próbując na niego spojrzeć. Nagle detektyw znów pochylił się do przodu, jego usta znalazły się parę centymetrów od ucha Joeya. - Cholerny kłamca! - krzyknął. Joey drgnął jak od uderzenia. Detektyw złapał oparcie krzesła i przez chwilę mocno nim potrząsał. Joey omal nie spadł na podłogę. Zobaczyłem, że Martinez głęboko się zaciąga i daje koledze znak ręką. Ten kiwnął głową, jeszcze raz się pochylił i krzyknął Joeyowi prosto w ucho: - Cholerny kłamca! - a potem wyprostował się, znikając mi z pola widzenia.
- No więc, Joey - odezwał się łagodnie Martinez. - Spróbujemy jeszcze raz?

Mężczyzna rozplakał się i Martinez spokojnie czekał, aż przestanie łkać.

- Przepraszam - odezwał się Joey w końcu. - Nie chciałem tego. - Martinez podał mu papierosa. - Mogę zostać na noc w areszcie? - spytał jeszcze, zaciągając się z przyjemnością.

Martinez roześmiał się, a po chwili drugi detektyw też parsknął śmiechem. W końcu Joey też zaczął się śmiać, chociaż niezbyt pewnie. Przez cały czas nerwowo oglądał się na drugiego detektywa.

Wilson dotknął mojego ramienia.

— Idziemy - powiedział.

Z Martinezem spotkaliśmy się na korytarzu.

- Co za widowisko - rzekłem.

Uśmiechnął się.

- Prosta sprawa. Od razu było wiadomo, że to nie on. Ci wszyscy *przyznający* się do nie popełnionych zbrodni są jak wrzód na tyłku. To już piąty w tym tygodniu. Każdy przychodzi i mówi nam, że właśnie on jest tym mordercą. Chcą zrzucić z siebie jakiś ciężar. Czasami potrzeba godziny, dwóch albo na wet trzech, zanim facet zmieni zeznanie. A przecież my wiemy, że to nie on. Nie zna wszystkich okoliczności, widzimy, że jego osobowość nie jest taka, jaką podejrzewamy u mordercy. Poza tym brakuje im dowodów, na przykład broni.

Detektywi odprowadzili mnie aż na ulicę. Po przebywaniu w tym małym, ciemnym pokoiku odczułem prawdziwe ulgę widząc nocne niebo. Spytałem, jak idzie sprawdzanie rejestrów wojskowych.

- Niestety, nie mają danych w komputerze - wyjaśnił Martinez. - Wszystko trzeba sprawdzać ręcznie, nasi ludzie osobiście czytają każde akta. To zajmuje mnóstwo czasu.

- Dzwonił do pana znowu? - spytał Wilson.

- Nie. Czego chcielibyście się dowiedzieć?

- Kiedy był w wojsku, jaki miał stopień... to by nam bardzo pomogło.

- Spróbuję - obiecałem, ale była to chyba obietnica na wyrost. Detektywi wrócili do budynku, a ja pojechałem do redakcji. Napisałem artykuł o fałszywym przyznaniu się do winy. Został zamieszczony w rogu pierwszej strony. Nolanowi się podobał, innym też.

Christine zgadzała się ze mną kochać tylko pod warunkiem, że słuchawka będzie odłożona. Nie znosiła myśli, że morderca może zadzwonić, gdy -jak to ujmowała -jesteśmy zajęci. Wzruszałem ramionami i spełniałem jej życzenie, ale zaraz potem bieglem położyć słuchawkę na widełki. Bałem się, że morderca mógł właśnie przed chwilą dzwonić.

- Tylko o tym potrafisz myśleć? - spytała mnie kiedyś.

- *Zrozum* mnie - prosiłem. - Taka historia jak ta zdarza się tylko raz w życiu. Nie chcę przestać się w to angażować. Nie mogę przestać. Żaden dziennikarz by tego nie zrobił.

- Nie wierzę - powiedziała.

Podszedłem do okna i wyjrzałem na ulicę. Przed oczami pojawił mi się pewien obraz: ja sam, w wieku jedenastu lat, patrzę w dół z mojego pokoju na piętrze. Widzę ojca, matkę, brata i siostrę, siedzą na podwórzu przy

piknikowym stole. Ojciec i brat wstają i zaczynają rzucać do siebie piłkę, podczas gdy siostra sadzi się bliżej matki. Przez chwilę się temu przyglądam, a potem ręce zaciskają mi się w pięści. Słyszę jakiś dźwięk, jak odgłos alarmu, potem trzask. Mam krew na ręce, kawałki szkła leżą na parapecie. Odwracam się płacząc cicho, po chłopięcemu, i biegnę do łazienki, gdzie zanurzam ręce w wodzie. Widzę, jak na umywalce tworzy się różowa obwódka, potem róż przechodzi w czerwień. Po chwili ból się zmniejsza i owijam rękę ręcznikiem. Jeszcze chwila i krwawienie ustaje. Patrzę na głębokie rozcięcie na kostkach palców i jeszcze głębsze na palcu wskazującym. Znowu owijam rękę i wracam do pokoju. Nie sprawdzam, czy słyszeli, jak zbiłem szybę. Nie podnoszę także głowy, gdy po jakiejś godzinie ojciec *zagląda* do pokoju, zerkając na okno, a potem siada na moim łóżku. Pamiętam dotyk jego ręki na czole, chłodnej jak opakowanie lodów.

Christine zauważyła wyraz mojej twarzy, wstała z łóżka i objęła mnie od tyłu. Stała tak z głową na moim ramieniu i czułem, że głaszcze mnie po plecach, zupełnie jakbym znowu był małym dzieckiem.

Był wczesny wieczór, tydzień po czwartym morderstwie, gdy zadzwonił do mnie Wilson. Słyszałem w tle ludzkie głosy i kasę rejestrującą.

- Mówi Wilson - przedstawił się. - Wiemy, kim była.
- Słucham. - Chwyciłem notes i ołówek.
- Jeżeli chce się pan tego od razu dowiedzieć, proszę tu przyjść, bo inaczej będzie pan musiał czekać na konferencję prasową, którą planujemy na późny wieczór.

Dzwonił z hotelowego baru „Alibi”, naprzeciwko sądu kryminalnego. Znałem to miejsce, ciemne jak większość barów, udekorowane tylko pustymi butelkami, ustawionymi na półce za ladą z imitacji mahoniu. Mieli tu jednak łóżka, w których można było spokojnie porozmawiać. Klientom usługiwały kelnerki w krótkich spódniczkach i siatkowych pończochach. Stałą klientelę stanowili policjanci, adwokaci i prokuratorzy; nie stosowano się tu do prawniczych reguł, lecz zawierano ugody i wymieniano informacje. W lokalu zawsze było pełno i głośno.

Wilsona znalazłem w narożnej łóżce; jego i Martinez, który siedział wygodnie rozparty, z nogami wyciągniętymi na przejście.

- Czego się napijesz? - spytał.

Zamówiłem piwo i czekałem, aż detektywi powiedzą, po co mnie tu ściągnęli.

- Okropność - mruknął Martinez i wyciągnął z kieszeni kartkę papieru. Podał mi ją przez stół. Gdy czytałem, obaj bacznie mi się przyglądali.

Na górze strony widniał napis: „Komunikat dla prasy”, a pod nim była pieczęć hrabstwa. Komunikat brzmiał następująco:

Zidentyfikowano czwartą ofiarę Numerowego Mordercy. Jest to Susan Kemp, lat 29, zamieszkała w osiedlu Fontainebleau Park, dom nr 6, mieszkania 110. Znaleziona przy niej dziewczynka to jej

córka Jennifer, 21 miesięcy. Dziecko przebywa w szpitalu Jackson Memorial, jego stan jest dobry. Śledztwo trwa.

- Niewiele mi to mówi - stwierdziłem. - Chciałbym wiedzieć, jak dokonaliście identyfikacji.
- Dziwne, że jeszcze ci tego nie powiedział - rzucił Martinez.
- Dlaczego ten drań nie dzwoni? — rozłościł się Wilson i pokrępił się solidnym tykiem ze swojej szklanki.
- Wzruszyłem ramionami. Martinez spojrział na Wilsona, a potem kontynuował:
 - Nie miała przy sobie żadnego dowodu tożsamości, prawa jazdy, nic. Ale dziś rano zadzwoniła do nas pewna kobieta. Powiedziała, że jej sąsiadka pasuje do rysopisu zamordowanej, opublikowanego w gazetach. Nie widziała jej od kilku dni i jest zaniepokojona. Pojechaliśmy tam. Oczywiście to rutynowe postępowanie, ale musimy reagować na wszelkie takie sygnały. Administrator wpuścił nas do mieszkania, chyba sam już się niepokoił. Przeszliśmy przez próg i od razu zobaczyliśmy zdjęcie tej kobiety i dziecka, wiszące na ścianie. Musiało być zrobione jakiś miesiąc temu.
 - I kim ona była?
 - Martinez odchylił się do tyłu i przyłożył szklankę do czoła.
 - Nikim specjalnym - odparł. - To nauczycielka, korzystająca z letnich wakacji. Uczyła w czwartej klasie. Niedawno się rozwiodła.
 - Wiecie, kim jest mąż?
 - Biznesmenem z Tampy. Przyleciał tu dziś po południu i zidentyfikował ciało. Gdy tylko dziecko wyjdzie z szoku, zabierze je do siebie.
 - Gdzie on teraz jest?
 - Wilson machnął ręką i Martinez gwałtownie się zamknął.
 - Niech pan da spokój - napomniał mnie Wilson. - Nie sądzi pan, że ten facet ma dość jak na jeden dzień?
 - Może chciałby z kimś porozmawiać - sprzeciwiłem się. - Na ogół tak jest.
 - Wilson oparł głowę o ściankę łóża i zamknął oczy.
 - Zapytam go - obiecał. - Podam mu pana telefon. Zostawmy decyzję jemu. Zgodziłem się na tę propozycję. Mąż ofiary znajdował się najprawdopodobniej tutaj, w pokoju hotelowym. Bez trudu będę mógł to sprawdzić.
 - Nadal nie wiecie, jak morderca ją złapał?
 - Nie - odparł Martinez. - Nikt z jej sąsiadów nie widział nic niezwykłego. Nie zauważyli żadnych obcych obserwujących dom. Nic nie zwróciło ich uwagi.
 - A co z rejestrami wojskowymi? Dokonaliście jakiegoś postępu?
 - Sprawdziliśmy dziesięć lat, od sześćdziesiątego trzeciego do siedemdziesiątego trzeciego. Mamy do zbadania akta kilku tysięcy ludzi, a już zwłaszcza trzeba przyrzeć się bliżej tym, którzy mają szare oczy. Musimy też ustalić ich obecne adresy. To robota na całą wieczność. - W jego głosie czuło się

zniechęcenie. - Będziemy mieli większą szansę, jeżeli zauważono kogoś koło domu ofiary. Albo jeżeli pan dostarczy nam więcej informacji o mordercy.

- Psychiatra, z którym rozmawiałem, sądzi, że nadal będzie mówił o sobie. Chce was drażnić, rzucać wam wyzwania.

Wilson zamknął oczy.

- I właśnie to mnie tak rozwściecza - powiedział. Otworzył oczy i spoj rzał na mnie. - Wie pan, dziś postanowiłem wysłać żonę i dzieci do jej rodzi ców. Mieszkają w Minnesocie. Może to wystarczająca odległość. - Gorzko się roześmiał. - Martinez nie musi się martwić. Ma tyle dziewczyn, że nie zauwa żyłby nawet, gdyby zabrakło jednej czy dwóch.

Martinez grzecznie się uśmiechnął, ale nie zawtórował szefowi śmiechem.

Wilson mówił dalej, przerywał tylko po to, by machnąć na kelnerkę z prośbą o kolejną szklaneczkę.

- Patrolujemy ulice, przyciskamy informatorów, każdego, kto może coś wiedzieć. W ciągu tych ostatnich tygodni wywichnąłem więcej ramion niż przez całe lata. Ale nikt nic nie wie. Do diabła! Włóczędzy z Liberty City boją się tak samo, jak matki z Kendall.

- Dostajemy telefony - wtrącił się Martinez. - Każdego dnia, czasami na wet po kilka dziennie, zwłaszcza po porannym wydaniu „Journal”. Ktoś donosi na sąsiada, bo uznał, że zachowuje się podejrzanie. Inny myśli, że w domu szwa gra widział czterdziestkępiątkę. Notujemy to wszystko, a potem sprawdzamy. Każdy najmniejszy szczegół, każdą wskazówkę, nawet jeżeli wygląda niepraw dopodobnie. I nie jesteśmy ani o krok bliżej, niż byliśmy na samym początku.

- Musi nastąpić jakiś przełom - pocieszyłem go.

- Tak - mruknął. - Może taki, że ten gnojek przyniesie ciało pod drzwi komendy. Przynajmniej wtedy o kolejnym morderstwie dowiedzielibyśmy się pierwsi, a nie dopiero wtedy, gdy już cały świat o nim usłyszał.

Wilson przyglądał się sali. Nagle jego wzrok zatrzymał się na mężczyźnie, który szedł w naszym kierunku z drinkiem w ręku.

- Niech to szlag - powiedział.

Mężczyzna podszedł do nas. Przez chwilę wydawało się, że waha się, czy wyjść z cienia. Popatrzył na obu policjantów, na mnie nie zwrócił uwagi. Obserwowałem, jak powoli unosi szklanę do ust i ze spojrzeniem utkwionym w policjantach osuszają do dna. Gdy się odezwał, głos mu drżał.

- Widzę, że już skończyliście na dziś - powiedział. - Wolicie pić niż łapać mordercę, co?

Martinez wstał i przyciągnął krzesło od sąsiedniego stolika.

- Niech pan usiądzie, panie Kemp - poprosił.

Wyciągnąłem z kieszeni notes.

- Nie chcę siadać z wami - warknął Kemp, ale osunął się na krzesło.

- Panie Kemp - mówił dalej Martinez - to Malcolm Anderson. Dzienni karz z „Journal”.

Skinąłem głową.

- To pan rozmawia z tym facetem, tak?

- Tak. Ofiarą była pana żona?
 - Zgadza się.
 Kemp miał na sobie konserwatywny granatowy garnitur, ale wydawało się, że ubranie zwisa z niego, jakby jego ciało skurczyło się w jeden dzień.
 - Współczuję panu - powiedziałem.
 Popatrzył na mnie.
 - Nie, wcale mi pan nie współczuje. Zresztą oni też nie...
 Zacząłem protestować, ale pijackim gestem machnął ręką.
 - Proszę się tym nie przejmować - rzekł. - Bo dlaczego właściwie śmierć mojej żony miałaby pana obchodzić? - Zobaczyłem, że w kącikach oczu zbierały mu się łzy. - Wie pan, najgorsze jest to, że dwa miesiące temu, gdy się rozwodziliśmy, kłóciliśmy się bez chwili przerwy. Setki, a może nawet tysiące razy życzyłem jej śmierci. No i nie żyje. — Popatrzył na mnie wilgotnymi oczami, a potem powoli przeniósł wzrok na policjantów. - A dla was to po prostu jeszcze jedne zwłoki. Założyłbym się, że podczas lat pracy widzieliście już ich mnóstwo.
 - Panie Kemp - odezwał się Martinez, ale Kemp przerwał mu takim samym ruchem jak mnie. - Wcale nie chciałem was rozzłościć - powiedział, kiwając głową na wszystkie strony. - Nie była nikim wyjątkowym. Nikim takim, kogo śmierć powoduje wzburzenie w społeczeństwie. To tylko kolejne morderstwo. Ale jeżeli znajdziecie trochę czasu, może jednak uda wam się złapać tego faceta, chociaż wiem, że macie ważniejsze sprawy na głowie. - Wstał tak gwałtownie, że wywrócił krzesło. W barze zapanowała cisza i wszystkie oczy zwróciły się na niego. - Nie, proszę siedzieć! - krzyknął, gdy Martinez zaczął się podnosić. - Nie fatygujcie się. Prowadźcie sobie wasze śledztwo, piszcie historię... - Popatrzył na mnie. - To i tak nie ma znaczenia. Nic już nie ma znaczenia. - Chwiejnie odwrócił się od nas i popatrzył na ludzi siedzących w lokalu. - Pieprzcie się wszyscy razem i każdy z osobna!
 Nikt się nie poruszył, jego słowa zawisły w ciszy, a on zacisnął ręce w pięści i zaczął boksować powietrze. Nagle zamarł, potem rozejrzał się, zasłonił rękami twarz i wybiegł z baru.
 Zacząłem szybko bazgrać w notesie, żeby nie zapomnieć ani jednego słowa czy ruchu. Wilson patrzył na mnie.
 - Zapisał pan wszystko? - spytał z sarkazmem.
 Spojrzałem na niego przeciągle i odpowiedziałem dopiero po chwili:
 - Tak, chyba wszystko.
 Wstałem, żeby już sobie iść. Nasze spojrzenia zwały się. Wydawało mi się, że Wilson głęboko się nad czymś zastanawia. W końcu się odezwał.
 - Niech pan to opisz dokładnie - powiedział wreszcie.
 - Tak, zrób to - poparł go Martinez.
 - Zastanowię się - odrzekłem. Odwróciłem się i wyszedłem z baru. Właśnie zapadała noc, niebo było ciemnogramatowe, bez chmur. Oddychałem głęboko. Powietrze, gorące po upalnym dniu, wypełniało mi płuca, usuwając z nich nieruchomą atmosferę klimatyzowanego baru. Gdy zacząłem odtwarzać

w myślach słowa detektywów, poczułem nagle oszołomienie. Mieszały się z tym, co mówili mój ojciec i Christine. Przed oczami stanął mi mąż zamordowanej kobiety. Znow widziałem, jak chwieje się w pijackim żalu i bezradnie boksuje pustką.

Rozdział dwunasty

Wieczorem wróciłem jeszcze do redakcji. Idąc do swojego pokoju czułem, W jak podłoga drży od pracy maszyn drukarskich. W podziemiach pierwsze ranne wydanie schodziło z pras, inne urządzenia sortowały strony, układały je w pełne egzemplarze i pakowały. Gdy usiadłem przy maszynie do pisania, moje stopy zaczęły przekazywać wibracje całemu ciału, czułem się prawie tak, jakbym był częścią tych wielkich pras.

Wcześniej tego dnia byliśmy z Porterem w mieszkaniu zamordowanej kobiety. Następnie chodziliśmy od drzwi do drzwi, pukaliśmy do sąsiadów. Wydawali się zrezygnowani, twarze mieli pochmurne i skwaszone, rozmawiali niechętnie. Mówili, że policja już tu była, stawiała te same pytania co my. Znali ofiarę i starali się ignorować strach, jaki wzbudzał w nich fakt, że morderca przebywał tak blisko nich.

- To była miła, uprzejma kobieta - opowiadali. - Zawsze się uśmiechała, pierwsza wszystkich pozdrowiała. Nie utrzymywała jednak bliższych stosunków z nikim z tego domu, żyła samotnie z córeczką.

Pytałem, czy ktoś ją odwiedzał.

- Nikt - poinformowała mnie kobieta z sąsiedniego lokalu. Była w średnim wieku; jej włosy, zaczesane do tyłu, przytrzymywała czerwona opaska. Razem z mężem stali twardo w drzwiach, zupełnie jakby uważali, że wychodząc na korytarz pozbawiają się bezpieczeństwa, jakie zapewnia im sanktuarium własnego mieszkania.

- Wyjątkowo spokojna osoba - potwierdził mąż. - Przeważnie siedziała w domu.

Zapisałem jego słowa wiedząc, że umieszczę je potem w ramce. Czułem się tak, jakbym brał udział w jakiejś elżbietańskiej dworskiej sztuce czy tańcu, pełnym stylizowanych kroków, ukłonów i reżyserowanych gestów. Pukałem do kolejnych drzwi, zapisywałem wypowiedzi. Z góry wiedziałem, co usłyszę. Był to nieodłączny element rytualnego prasowego opisu śmierci. Dziennikarz wypytuje sąsiadów, sąsiedzi mówią, że ofiara była spokojną osobą i żyła samotnie, a potem dziennikarz pisze artykuł, w którym to cytuje.

Porter, przeklinając marne światło, trząsał zdjęciami. Chwilami oślepiało mnie światło lampy błyskowej; wydawało mi się, że to jeszcze jedno zaproszenie do tańca śmierci. Bez trudu znaleźliśmy mieszkanie administratora. Był to starszy mężczyzna, chodził rozważnie, wolnym krokiem, co chwilę odgarniał z czoła siwe włosy. Powiedział mi, że kobieta płaciła regularnie czynsz, rzadko się na coś skarżyła. Raz był u niej, by przetkać ubikację, i wtedy pokazała mu

fotografie swojej rodziny, mieszkającej na zachodnim wybrzeżu, daleko stąd. On również nie widział, by odwiedzał ją jakiś mężczyzna, ani w ogóle nikogo, kto kręciłby się koło domu.

W pierwszej chwili nie chciał nas wpuścić do jej mieszkania. To prywatna własność, mówił, ale nalegałem, pochlebiałem mu i w końcu dwadzieścia dolarów załatwiło sprawę.

- Tylko na kilka minut - powiedział, wsuwając banknot do kieszonki roboczej koszuli. - Rzućcie okiem, ale niczego nie dotykajcie.

Upewnił się, że na korytarzu nie ma nikogo, i otworzył drzwi. Szukając jakichś śladów, przedmiotów, dzięki którym zamordowana kobieta odżyłaby na łamach porannego wydania gazety, czuliśmy się jak złodzieje. Ledwie zdążyliśmy przestąpić próg, a aparat Portera już zaczął klikać. Na jednej ze ścian wisiał rząd zdjęć: kobieta i jej córka, starannie upozowane na trawniku pod drzewem, a także inne, mniejsze: raczkująca na golasa dziewczynka, matka kołysząca niemowlę w ramionach, zdjęcia rodzinne. Na jednym z nich rozpoznałem męża, na pozostałych musieli być krewni. Wszyscy patrzyli z uśmiechem w aparat. Odwróciłem się od zdjęć i obszedłem mieszkanie. Były tu dwie niewielkie sypialnie, nieskazitelnie czyste, pełne koronek i kolorowych drobiazgów.

Nad łóżeczkiem dziecka wisiała mała karuzela z wesołymi lwami i słoniami. Na szafce obok łóżka kobiety znalazłem otwarte broszurowe wydanie książki o samodoskonaleniu. Zapisałem tytuł, wziąłem książkę do ręki i moje oczy padły na zdanie: „Traktuj każdy dzień jak nowe wyzwanie”. To również zapisałem.

Administrator nerwowo chodził tam i z powrotem. Przeszedłem do kuchni. W lodówce leżały puszki z potrawami dla dziecka, mrożone dania obiadowe, paczka twarogu. Na drzwiach kobieta przykleiła dietetyczny jadłospis. W bawialni znalazłem stereo, taśmy i płyty. Szybko je przejrzałem, datowały się z lat sześćdziesiątych: kalifornijskie rytmy, trochę rocka. Wszystko było czyściutkie i porządnie poukładane. Nowoczesne meble, najwyraźniej kupione w półhurtowych, tanich magazynach, miały nie tyle zdobić mieszkanie, co służyć praktycznym celom. Na ścianach wisiały dwa plakaty, oprawione w stalowe ramki: siostra Corita niosąca posłanie „Służ bliźniemu”, i słynny Ben Shahn z Sacco i Yanzettim. Ciekawe, czy ta kobieta w ogóle wiedziała, kim byli ci ludzie.

Administrator stał już przy drzwiach i machał ręką, by nas ponaglić. Kiwnąłem mu głową i wyszliśmy na korytarz.

- Mieszkanie jak mieszkanie, nic nadzwyczajnego, ale mam kilka dobrych zdjęć - powiedział Porter. - Fotografie na ścianach, pokój dziewczynki, pokój matki. Nadadzą się.

Administrator spytał nas, czy jeszcze czegoś potrzebujemy. Ostrzegłem go, że niedługo zostanie wydany komunikat dla prasy i zaraz potem zaczną się najazd dziennikarzy z telewizji, którzy będą chcieli nakręcić materiał dla wiadomości o dwudziestej trzeciej. Nie skończyłem jeszcze mówić, gdy zobaczyłem pierwsze wozy transmisyjne wjeżdżające na parking.

Wyszliśmy z budynku. Gdy zmierzaliśmy do samochodu, Porter powiedział: - Zauważyłeś, że wszystkie ofiary tego mordercy wydają się takie zwyczajne, że nie ma w nich nic wyjątkowego? Oczywiście mówię tu o obcych, a nie o ludziach, którzy je znali.

Wsiadł do samochodu, na miejsce kierowcy. Drzwi zamknęły się z hukiem, ucinając jego myśl jak nożem.

Wiedziałem już, dlaczego morderca czekał tak długo z następnym telefonem. Był to rodzaj testu. Chciał się przekonać, jak długo potrwa, zanim policja zidentyfikuje tę kobietę.

Gdy tego wieczoru wróciłem do redakcji, była już prawie pora zamykania numeru. Nie miałem czasu na wygładzanie zdań. Wkładałem kolejne kartki do maszyny, a po chwili wyjmowałem wypełnione pismem. Nolan jeszcze tu był. Wpisywał tekst na komputer, adiustując go jednocześnie. Mówił niewiele, tylko od czasu do czasu mnie ponaglał. Pierwsze akapity artykułu brzmiały tak:

Ostatnia ofiara człowieka zwanego Numerowym Mordercą została zidentyfikowana jako Susan Kemp, dwudziestodwuletnia rozwódka, zamieszkała w jednym z bloków w zachodniej dzielnicy.

Znajomi i sąsiedzi mówią, że była uprzejmą, spokojną kobietą, trzymającą się z dala od ludzi, oddaną bez reszty swojej córce Jennifer, która niedawno skończyła dwadzieścia jeden miesięcy.

Były mąż zmarłej, Martin Kemp, przyleciał wczoraj do Miami, by zająć się dzieckiem i zidentyfikować ciało matki. Martin Kemp jest biznesmenem i mieszka w Tampie.

Policja nadal szuka motywów zbrodni i próbuje rozpoznać sposób, w jaki morderca podporządkował sobie panią Kemp. Dotychczas ten człowiek po każdej zbrodni przekazywał telefonicznie wyjaśnienia dotyczące swoich poczynań, ale tym razem jeszcze nie telefonował.

Dalej opisałem mieszkanie, zdjęcia ze ścian, cytowałem sąsiadów i męża. Jego bólowi poświęciłem dwa akapity w środku artykułu. Zrelacjonowałem wyśiłki policjantów i ich frustrację. Cytowałem Wilsona, ale nie podałem jego nazwiska ani nie napisałem nic o jego odczuciach.

W ostatnim akapicie opisałem jeszcze plakaty z mieszkania ofiary - światło i kolory kontrastujące z białym tłem plakatu z siostrą Coritą i twarde, czarne oczy obu torturowanych robotników, patrzących pustym wzrokiem zza Bena Shahna. Zakończyłem tekst cytując przesłanie, które wyczytałem w otwartej książce, pozostawionej na nocnym stoliku.

Wiedziałem, jak Nolan szczytuje ostatnią stronę w miarę, jak ją pisałem. Gdy dotarł do końca, z aprobatą skinął głową. Jego palce zaczęły biegać po klawiaturze, szybko dokonał adiustacji, a potem nacisnął klawisz, którym przesłał tekst

do składu. Podniósł ręce w pozdrowieniu, uśmiechnął się i rzucił okiem na ścienny zegar. Powiedziałem wzrokiem za jego spojrzeniem.

- Mamy już większość wydania - powiedział. - Chyba wszystkie końce we strony i serwis krajowy. Wiadomości miejskie już poszły, ale... -wzruszył ramionami. Podeszedł do mnie i położył mi ręce na ramionach. - Nie poszedłbyś do domu trochę się przespać?

Pomyślałem o ojcu. Gdy byłem jeszcze mały, miałem może dziesięć albo jedenaście lat, czasami grał ze mną w tenisa. Ja dopiero się uczyłem, on był znakomitym graczem. Mimo że miał grube nogi, biegł bardzo szybko, nie przepuszczał żadnej piłki. Niestrudzenie przeganiał mnie tam i z powrotem po korcie, dopóki nie popełniłem jakiegoś błędu. A wtedy wołał drwiąco: „Chcesz odpocząć?”

Spojrzałem na Nolana i pokiwałem odmownie głową.

- On niedługo zadzwoni - powiedziałem. - Najpewniej jutro albo poju trze. Gdy tylko przeczyta artykuł.

- Tu czy do domu?

- Nie wiem. Zresztą co to za różnica?

- Chyba masz rację - odparł Nolan. - Jednak powinieneś odpocząć.

Nie miałem racji. Różnica była, i to ogromna.

Wtedy nie wiedziałem jeszcze, że Martinez i Wilson poszli do *zaprzyjaźnionego* sędziego, który kiedyś pracował w policji, i uzyskali pozwolenie na założenie podsłuchu w moim domowym telefonie. Nie wiedziałem również, że towarzystwo telefoniczne dysponuje techniką umożliwiającą wyśledzenie numeru osoby dzwoniącej. Był to sposób powolny, lecz pewny. O tym wszystkim Martinez poinformował mnie dopiero po fakcie, wtedy, gdy opowiadał mi również o innych rzeczach, które wydarzyły się pod moją nieobecność. Gdy policjanci mówili mi, że nie mogą założyć w moim redakcyjnym telefonie urządzenia śledzącego osobę telefonującą, jak ostatni głupiec przyjąłem, że automatycznie dotyczy to także telefonu domowego. Nie zauważyłem też, jak technik, ubrany w robocze ubranie: spodnie khaki i koszulę z denimu, wśliznął się za mną do budynku, w którym mieszkałem, i zszedł do piwnicy, gdzie mieściła się centralka telefoniczna. Spotkałem się z nim dopiero później. Wyglądał jak mól książkowy, nosił okulary. To on właśnie prowadził nasłuch. Dwa kable podłączył w centralce do mojego numeru, a jeden do telefonu komendy. Drugi technik czekał w gmachu towarzystwa telefonicznego Southern Bell. Ten siedział przy komputerze i miał sprawdzać każdy telefon do mnie, aż usłyszy, że dzwoni morderca. Potem sprawa była już prosta. Komputer miał prześledzić wszystkie czynne w tym momencie linie i poinformować, gdy trafi na numer osoby telefonującej do mnie. Jak powiedział mi Martinez, wyśledzenie numeru telefonu mordercy powinno zająć niecałe dziesięć minut.

Christine postanowiła nie odbierać telefonów wieczorem i w nocy, jeżeli ja będę wtedy w domu. Nie chciała, by morderca wiedział, że ona też tu mieszka. Zresztą w ogóle nie chciała, by wiedział cokolwiek o niej. Z trudem tolerowała samo istnienie aparatu. Kilka razy zauważyłem także, że słuchawka jest odłożona.

Morderca zadzwonił pewnej nocy, parę dni po tym, jak napisałem ostatni artykuł. Nie musiałem patrzeć na Christine, która siedziała przy kuchennym stole, przyglądała mi się i słuchała mojej części rozmowy, by wiedzieć, że długie chwile, podczas których on mówił, wypełnia tworami swojej wyobraźni. Gdy telefon zadzwonił, dochodziła już północ. Wydawało się, że sama natarczywość tego dźwięku oznajmia mordercę. Włączyłem magnetofon, a potem podniosłem słuchawkę. Christine zdążyła jeszcze poprosić, żebym był ostrożny.

- Słucham? — odezwałem się.

- To ja - powiedział. - Mam nadzieję, że czekałeś na mój telefon.

- Wiedziałem, że zadzwonisz.

- Pewnie. - Jego głos brzmiał tak, jakby dochodził z oddali, chwilami stał się niepewny. Może morderca zastanawiał się, jak dalej prowadzić rozmowę. - Jasne. Musiałeś wiedzieć. Więc była rozwódka. A przecież powiedziała mi, że jej mąż ma niedługo wrócić i że właśnie tutaj na niego czeka. Przez prawie cały czas zachowywała się histerycznie, odzyskiwała panowanie nad sobą tylko wtedy, gdy dziecko zaczynało płakać.

W piwnicy mojego domu technik zastygł bez ruchu. Poczuję, że oblewa go gorąco. Słuchał naszej rozmowy kilka sekund, zanim wykręcił numer komendy. Był młody, łatwo się denerwował. W pierwszej chwili wykręcił zły numer, zaklął, spróbował jeszcze raz. Miał małą tarczę, którą mógł trzymać w ręku. Potem mówił, że piwnica wydawała mu się ciemniejsza niż sama noc. Po drugim sygnale na komendzie ktoś podniósł słuchawkę.

- To on! - szepnął technik. - Dzwoni! Teraz!

A potem słuchał, jak morderca zbiera się w sobie i zaczyna opowiadać.

- Ja najtrudniej było mi dopaść. - Morderca mówił spokojnie, z namyśłem. Tym razem jego ton nie był ani kpiący, ani żartobliwy. Zapisywałem wszystko w szalonym tempie.

- Potrwało kilka dni, zanim poznałem jej tryb życia. Wydała mi się osobą o stałych przyzwyczajeniach, czystą, porządną, taką, która zawsze o tej samej porze wykonuje te same czynności. Po południu zabierała dziecko na spacer. Wychodziła z domu, skręcała na prawo, w kierunku kortów tenisowych. Właśnie tam na nią czekałem. Udawałem, że naprawiam samochód. Miałem podniesioną maskę. Pamiętam, było bardzo jasno, wydawało mi się, że słońce to reflektor oświetlający scenę; szło za mną, wydobywało na jaw każdy szczegół,

każdy najdrobniejszy ruch. *Zbliżała się. Rozejrzałem się, ale nikogo nie zobaczyłem. Odbezpieczyłem pistolet. Ona była już prawie koło mnie. Czułem suchość w ustach, ze strachu było mi coraz trudniej oddychać. Widzisz, nigdy jeszcze nie pracowałem za dnia. Ona już szła dalej, ale spojrzała na mnie i lekko się uśmiechnęła.*

Zawahał się, a ja nie wypełniłem tej chwili milczenia żadnym pytaniem.

W centrali telefonicznej technik nadzorował pracę komputera, wyszukującego te numery połączeniowe między centralami, które odpowiadają śledzonemu połączeniu. Podał trzy pierwsze numery kierunkowe z różnych dzielnic Miami. On również się pocił patrząc, jak system przetwarza, a potem odrzuca podane numery. Wystukał trzy następne. Wilson i Martinez czekali na parking komendy. Silnik samochodu pracował na niskich obrotach, ale klimatyzację nastavili na cały regulator. Czekali, aż radio przekaże im adres.

- Gdy pokazałem jej pistolet, nie wydała żadnego dźwięku. Zasłoniła ręką usta, jakby chciała powstrzymać krzyk, ale stała spokojnie. Powiedziałem jej, żeby wzięła dziecko i wsiadła do samochodu. Wydawała się oszołomiona, więc powtórzyłem swoje polecenie. Ale nie musiałem jej dotykać. To właśnie jest najdziwniejsze. Podporządkowała mi się bardzo szybko. Wyjęła dziecko z wózka i wsiadła. Złożyłem wózek i położyłem go na tylnym siedzeniu, gdzie już przedtem umieściłem zapasy, które wcześniej zgromadziłem. Trzymając pistolet w ręku tak, żeby mogła go widzieć, zapaliłem silnik i ruszyłem. Wszystko odbyło się zadziwiająco spokojnie.

Zamilkł.

- Dlaczego właśnie ona? - spytałem.

- Bo to była matka z dzieckiem - odparł. - Chciałem mieć matkę i dziecko.

Znów milczał długą chwilę. Czekałem z zamkniętymi oczami.

- Było takie słynne zdjęcie - odezwał się w końcu. - Zrobione na początku drugiej wojny światowej, chyba w Hongkongu. Nie. W Szanghaju. Gdy Ja pończycy bombardowali miasto. Pośrodku zdjęcia jest dziecko, całe brudne, ma otwarte usta, płacze ze strachu, woła matkę. W tle widać tylko płonące domy, ruiny, to, co pozostało po nalocie. Pamiętam, że przyglądałem się zdjęciu i zastanawiałem się, gdzie jest matka. Myślałem również o tym, co się stanie z dzieckiem. Przypuszczam, że oboje umarli. Wydaje mi się, że dzieci zawsze umierają. Widzisz, ta kobieta, pani Kemp - wtedy nawet nie znałem jej nazwiska - nie jest pierwszą matką, jaką zabiłem. Była inna, i niosła swoje dziecko w ten sam sposób: bała się, ale osłaniała je całą sobą. To było w Wietnamie. Mówiłem ci, że coś się tam wydarzyło, a ona brała w tym udział.

Gwałtownie wciągnął powietrze, wydając przy tym ochryply dźwięk.

W centrali telefonicznej policjant kłął pod nosem. Wszystko to trwało bardzo długo.

- Masz już coś? - krzyknął do technika siedzącego przed zestawem monitorów, na których widniały numery central.

- Key Biscayne - powiedział technik. - Kierunkowy siedemset sześćdzieści pięć. - Śledził teraz numery telefonów. Nagle odchylił się na krześle i odwrócił do policjanta. - Mam! - zawołał. - Jest na ekranie.

Policjant połączył się z komendą.

- Nie rozmawialiśmy - kontynuował morderca. - Była zbyt przerażona. Ciągłe tylko pytała: „Co pan nam zrobi? Czy pan nas zabije?”. Chyba myślała, że ją zgwałcę. Próbowałem jej wszystko wyjaśnić, ale nie słuchała. Gdy zaszło słońce, kazałem jej zjeść i nakarmić dziecko, które po chwili zasnęło. Ale kobieta obserwowała mnie przez całą noc. Księżyc oświetlał jej twarz, wydawała się obrzmiała ze strachu. W końcu porzuciłem próby nawiązania rozmowy. I tak nic by to nie dało. Kobieta miała związane ręce, nie mogła nigdzie odejść. Po wiedziałem jej, że powinna się przespać i kazałem jej się położyć z dala od dziecka, w miejscu, w którym ją potem znaleźliście. Długo nie mogła zasnąć, ale strach wyczerpuje człowieka i wreszcie ją zmoгло, już prawie nad ranem. Czekałem, aż będzie spała naprawdę mocno, tak że nic nie poczuje. Wiesz, że strzał nie obudził dziecka? Spało spokojnie. Jednak ptaki z piskiem i skrzekiem poderwały się do góry. Były tam głównie czaple i mewy, widziałem ich białe skrzydła rozłożone w locie.

Znów zamilkł.

- To wszystko - powiedział po chwili. - Jestem zmęczony.

- Nie rozłączaj się! - krzyknąłem.

- Słucham? Atak. Zadzwoń jeszcze.

- Chcę się z tobą spotkać - mówiłem szybko. - Twarzą w twarz.

Cisza. Słyszałem, jak Christine wciąga powietrze i szepcze:

- Och, nie!

- Co za pomysł! - roześmiał się zabójca i przerwał połączenie. Odwróciłem się do Christine, ale ona z płaczem uciekła do sypialni. Chciałem jej wytmacyć, powiedzieć, że to jedyna szansa, by go złapać. Ale nie potrafiłem znaleźć słów, więc po prostu usiadłem przy stole. Czułem, jak oddalamy się od siebie coraz bardziej.

Policjant w piwnicy spojrzął na zegarek.

- Cholera! - mruknął. - Osiem minut.

Martinez i Wilson pędzili w ciemnościach pod podany adres. Przez przedmieścia przejechali nie zwracając uwagi na światła. Prowadził Martinez. Opowiadał mi później, jaki był podniecony. Myślał, że zaraz dopadną mordercę i wszystko się skończy. Natomiast Wilson sprawdzał swój pistolet. W ogóle nie

czuł, że na zakrętach siła odśrodkowa miota nim po fotelu. Gdy minęli rogatki i wjechali na groble, warkot silnika stał się głośniejszy. Po obu stronach grobli promienie księżyca odbijały się w wodach zatoki, a wysokie domy stojące na brzegu, ze swoimi jasnymi oknami, wyglądały jak wzgórza sygnalizacyjne. Martinez zwiększył prędkość do stu dwudziestu, a potem jeszcze przyspieszył. W centrali telefonicznej policjant otarł twarz z potu.

- Rozłączył się - powiedział. - Gdzie był?

Technik pochylał się nad ekranem patrząc, jak komputer dokonuje ostatnich ustaleń. Potem cmoknął z zadowolenia i zacisnął pięści.

- Mam go! - krzyknął. Wypisał numer na klawiaturze. Ekran mrugnął, a potem pojawił się na nim adres. — Budka telefoniczna w informacji turystycznej.

Policjant podał adres do komendy i rozparł się na krześle.

- Zaraz go złapię - oznajmił.

W radiu głos dyspozytora wydawał się wysoki i odcielesniony. Powtórzył adres kilka razy, a potem wezwał wszystkie radiowozy. Martinez zaklął i poślizgiem zawrócił o sto osiemdziesiąt stopni. Opony piszczały, kierownica drżała mu w rękach.

- Niech to szlag - powiedział Wilson. - Pojechaliśmy za daleko.

Pędzili teraz czteropasmową szosą w przeciwnym kierunku.

Informacja turystyczna mieści się w niewielkim budynku. Zajmuje jeden pokój z okienkiem dla klientów. Jest otwarta tylko w sezonie zimowym. Za budynkiem, w odległości jakichś trzydziestu metrów od drogi, stoi budka telefoniczna, otoczona palmami i paprociami. Poza sezonem rzadko kto tu bywa.

Gdy Wilson i Martinez dojeżdżali, słysząc już było nie milnący jęk syren radiowozów. Zahamowali tak ostro, że spod kół przysnął żwir, a samochód się zakolysał. Martinez mówił mi potem, że gdy wyskakiwali z samochodu, broń mieli już w pogotowiu. Wilson, z pistoletem w ręku, popędził do budynku.

Ale nikogo tam nie zastał.

- Cholera! Most! - krzyknął. Biegiem wrócił do samochodu i przez radio powiedział dyspozytorowi, że wszystkie radiowozy mają zablokować most tak, żeby żaden samochód nie wydostał się z wyspy. W tej chwili pół tuzina radio wozów zgromadziło się koło informacji turystycznej, ich reflektory oświetlały krzaki i palmy, rzucając niebieskie smugi w ciemność.

Policjanci wrócili do samochodów i pojechali do mostu, jakieś pięć kilometrów w tył. Zatrzymano cztery samochody. Martinez i Wilson wysiedli z bronią w pogotowiu. Ruszyli wzdłuż kolejki aut, zaglądając przez okienka, by sprawdzić, kto w nich siedzi.

W pierwszym kombi znajdowała się rodzina: małżeństwo z dwojgiem dzieci, które spały na tylnym siedzeniu, okryte kocem. Mężczyzna opuścił okienko.

- Co się tu dzieje? - spytał. - Byliśmy z wizytą u znajomych.

Ale nikt mu nie odpowiedział, detektywi kontynuowali przegląd samochodów. Martinez szedł od strony kierowcy, Wilson od strony pasażera.

W następnym samochodzie, volkswagenie, siedziało dwoje nastolatków. W milczeniu patrzyli na pistolety. Byli wystraszeni. Martinez usłyszał za sobą

krzyki i odgłos otwieranych drzwiczek. Domyślił się, że policjanci każą wszystkim wyjść na zewnątrz. Wiedział również, że Wilson idzie do przodu, nie zwracając uwagi na nic, co dzieje się za nim.

Trzeci samochód, ze starszym małżeństwem, minęli bez słowa. Kobieta sapnęła widząc pistolety. Potem Martinez powiedział mi, że adrenalina huczała mu w uszach jak ocean. Mówił też, że z podniecenia było mu bardzo gorąco.

W czwartym samochodzie siedziała tylko jedna osoba i patrzyła prosto przed siebie. Martinez poczuł, jak wszystkie mięśnie mu się sprężają, palce zacisnęły się kurczowo na rękojeści pistoletu. Pomyślał też o małym automacie, który nosił w kaburze przymocowanej do łydki. Nie był pewien, czy go odbezpieczył. Posuwali się z Wilsonem do przodu powolnym, rozważnym krokiem, ale czuli się tak, jakby szli po ruchomej krze. Martinez zatrzymał się kilka stóp od samochodu i krzyknął:

- Ty tam, w samochodzie! Policja! Wsiadaj! Ręce trzymaj z przodu!

Czekał wstrzymując oddech. Widział, jak kierowca powoli zaczyna wsiadać. Niemal czuł nacisk lufy pistoletu partnera na tył głowy kierowcy. Gdy drzwiczki się otworzyły, sam też wymierzył. Najpierw ukazała się noga, potem tors. Wpatrywał się w kierowcę, dość dobrze oświetlonego reflektorami samochodów i światłami dochodzącymi z budynków nad brzegiem. Pot skapywał mu z czoła do oczu, więc kilka razy wściekle mrugnął. W lewej ręce ścisnął latarkę, a gdy kierowca odwrócił się do niego, krzyknął:

- Stać! Nie ruszać się! - i skierował latarkę na jego twarz. Kierowca zasłonił oczy rękami. I wtedy usłyszał głos Wilsona:

- Cholera! Cholera! Niech to szlag!

Kierowcą była kobieta. Latarka oświetliła jej jasne włosy. Martinez odwrócił się słysząc, jak Wilson *zaczyna* się tłumaczyć, i podszedł do balustrady mostu. Potem mówił mi, że w oszołomieniu, czując mdłości od uchodzącego z niego napięcia, wpatrywał się w wodę i słuchał szelestu wydawanego przez drobne fale uderzające w filary. Ten dźwięk brzmiał mu w uszach jak śmiech, jak chichot mordercy, któremu udało się uciec i teraz chodzi swobodnie po mieście.

Rozdział trzynasty

Nolan wsluchiwał się w słowa płynące z taśmy. Siedział lekko pochylony, z łonkami opartymi na stole. Dwa razy nabazgrał jakieś uwagi w notesie. Gdy taśma dobiegła końca, wyprostował się i spojrzał na mnie przez pokój.

- Nic więcej nie mogłeś zrobić - powiedział.

- Może. Nie jestem pewny.

- Niepokoi mnie ton jego głosu - kontynuował Nolan. - Przedtem mówił inaczej. Teraz się spieszy, nie robi przerwy na zebranie myśli. Nie miesza uczuć z opisami. Dlaczego opowiadając o ostatnim morderstwie jest taki spięty? Chciałbym to wiedzieć.

Przewinął taśmę i głos mordercy po raz drugi wypełnił mały pokój, w którym siedzieliśmy.

- Posłuchaj - odezwał się Nolan. - Jest zdenerwowany. Co się stało z jego wiarą w siebie?

„... Potrwało kilka dni, zanim poznałem jej tryb życia...”

- Podglądał ją- powiedział Nolan. - To nie było spontaniczne działanie.

„... wydawało mi się, że słońce to reflektor oświetlający scenę...”

- Więc bał się. Bał się, że ktoś go zobaczy.

„... pośrodku zdjęcia jest dziecko...”

- Właśnie o to chodzi - mówił Nolan. - Takie właśnie jest jego wspomnienie.

„... coś się wydarzyło, a ona brała w tym udział...”

- Widzisz, mówi o zdjęciu, a potem o swoich własnych wspomnieniach.

„... Co za pomysł!” - i stukot odkładanej słuchawki.

Nolan wstał i zaczął niespokojnie spacerować po pokoju. Przeczesał palcami włosy, co jakiś czas zatrzymywał się i patrzył na wycinki z artykułami, które napisałem o mordercy, przypięte do ściany.

- Myślę, że planuje jakąś zmianę- powiedział. - Nie jestem pewny, ale mam takie przeczucie. Może ma już dość zabijania? A jeśli mamy do czynienia z rozdwojoną osobowością? Może jedna z nich zaczyna przeważać? Pytałeś swojego znajomego psychiatrę o taką ewentualność?

- Nie wydaje mi się, żeby w tych rozmowach nagranych na taśmę udało mu się *znaleźć* jakikolwiek dowód na rozdwojenie osobowości. Ale z drugiej strony, może do tej pory wypowiadała się osobowość zintegrowana? Powie dział, że to psychopata. Urodzony morderca. — Nolan spojrział na mnie wzrokiem wydawcy żądającego nowego tekstu. - No dobrze - zgodziłem się. - Za dzwonię i spytam go.

Po południu rozmawiałem z psychiatrą. Wysłuchał taśmy przez telefon. Jak zawsze chwilę się zastanawiał, zanim zaczął mówić.

- Ciekawe - powiedział. — Niech pan sobie wyobrazi konflikt, jaki musi się rozgrywać w umyśle mordercy: zabija kobietę, dziecko zostawia przy życiu. Zastanawiam się, czy to nie było przypadkiem symboliczne zabójstwo jego własnej matki.

- Nolan mówi, że morderca może cierpieć na rozdwojenie jaźni i że ta druga osobowość zaczyna brać górę nad tą, która morduje. Co pan o tym myśli?

Psychiatra znów chwilę milczał. Wyobraziłem sobie, że pali fajkę, a dym otacza jego głowę, potem ulatuje pod sufit.

- To możliwe - powiedział w końcu. - Nie wiemy zbyt wiele o tej chorobie.

- Możliwe? - zdziwiłem się.

- Może nie tyle możliwe, co niewykluczone. To wcale nie jest taki zły pomysł. Jednak trudno cokolwiek powiedzieć na pewno, póki morderca nie *zacznie* ujawniać drugiej osobowości, i to w warunkach kontroli klinicznej. Myślę, że można założyć taką ewentualność. Nie przypominam sobie, by w literaturze medycznej opisywano przypadek człowieka o rozdwojonej jaźni, u którego występowaliby jedna osobowość mordercy, a druga nie miałaby takich skłonności.

Wyobraźmy sobie człowieka o licznych osobowościach: jedna mogłaby być psychopatyczna, druga o skłonnościach samobójczych, kolejna mordercy, a jeszcze inna, powiedzmy... no, na przykład bibliotekarza. I wszystkie one walczą ze sobą. Wydawałoby się, że to musi doprowadzić do wybuchu... ale takie sprawy są bardzo skomplikowane. Niech pan powie swojemu wydawcy, że to dobra teoria, ale w tej chwili nie można jej udowodnić.

- A co z taśmą? - spytałem. - Czy nie wydaje się panu, że mówił inaczej niż poprzednio?

- Nie, nie inaczej. Może jest trochę rozczarowany. Ostatnie morderstwo okazało się mniej udane niż trzy poprzednie. Tak, jakby wybrał niezbyt odpowiednią ofiarę. Interakcja między nim a ofiarą nie była tak ożywiona. To mu siało mu sprawić zawód.

- Może pan przewidzieć, co się teraz stanie?

Psychiatra roześmiał się.

- Na jakiej podstawie? Chce pan, żebym użył swojej kryształowej kuli? - Spoważniał. - No dobrze. Jest coś, o czym pan wie. Chodzi o wydarzenie z czasów wojny, o to, które według jego własnych słów, obecnie odreagowuje. W tamtą sprawę zamieszana była matka z dzieckiem. To stanowi potencjalną psychologiczną bombę. I jeszcze coś... Proponując spotkanie powinien pan być bardzo ostrożny.

- Myśli pan, że zamierza wyrządzić mi krzywdę?

- A dlaczego nie?

Ale mu nie uwierzyłem.

Któregoś dnia poszedłem do szpitala zobaczyć dziecko. Kusiło mnie, żeby najpierw wstąpić na chirurgię i pogadać z Christine, ale szybko zrezygnowałem z tego pomysłu. Do tej pory nigdy nie odwiedzałem jej w pracy i pomyślałem, że już przy tym zwyczaju pozostanę. Lepiej, by opowiadała mi o swoich wrażeniach i przeżyciach niż żebym sam oglądał, jako to jest. W pierwszej chwili pielęgniarka w dyżurce odniosła się do mnie niechętnie, ale gdy pokazałem jej legitymację prasową i zorientowała się, kim jestem, doszła do wniosku, że nic się nie stanie, jeżeli spojrzę przez szybę na salę z chorymi dziećmi. Prowadziła mnie białym korytarzem, obcasy jej czystych, białych pantofli stukwały na wypolerowanych kafelkach podłogi. W ogóle cały szpital lśnił oślepiającą bielą, taką, jaką widzi się czasami pod powiekami, gdy słońce oświetla powierzchnię morza. Pielęgniarka podprowadziła mnie do wielkiego okna w ścianie. Zobaczyłem salę pełną dzieciennych łóżeczek.

- Jennifer leży na drugim - wskazała palcem. - Jest już prawie zdrowa. Jutro czy pojutrze zostanie wypisana.

Przez chwilę przyglądałem się dziewczynce. Spała skulona na boku, w buzi miała smoczek. Nie wiem, czego szukałem ani co spodziewałem się zobaczyć. Może strach wypisany na buzi dziecka, albo jakieś wspomnienie słońca, bagien i popularnego upału. W końcu odwróciłem się i podziękowałem pielęgniarce.

- Niewiele tu jest do zobaczenia - powiedziała. - Obserwujemy ją, ale trudno wyciągnąć jakieś wnioski. Wygląda jak normalne dziecko, tak samo płacze, wszystko robi tak samo, jak inne dzieci. Zresztą dlaczego miałyby zachowywać się inaczej? - Zamyśliła się.. Odchodząc dodała jeszcze: - Dlaczego on to robi? Przecież nie ma żadnego powodu, prawda?

Potrząsnąłem głową.

- Chyba z chęci zniewalania ludzi. Albo dlatego, że jego samego spotkało coś złego. Albo po prostu w jego sercu nie ma litości. Zresztą nie wiem.

Pielęgniarka, młoda kobieta z ciemnymi włosami ściągniętymi niezbyt twarzowo pod czepkiem, uśmiechnęła się do mnie, gdy odchodziłem. Drzwi windy zamknęły się z metalicznym trzaskiem.

Myślałem o tym, co jej powiedziałem. Nie można znaleźć racjonalnego wytłumaczenia dla morderstw. Istnieją w innej płaszczyźnie, w innym czasie. Są bezsensowne. Są niecywilizowane. Są niezrozumiałe.

Zastanawiałem się też, dlaczego nie potrafię wzbudzić w sobie nienawiści do mordercy. Przecież takiego właśnie uczucia doznają ci, z którymi przeprowadzałem wywiady, ci, których słowa rozpędzały mi palce na klawiaturze.

Po południu Porter zatrzymał się przy moim biurku. Miał w ręku aparat i przymierzał do niego rozmaite obiektywy, które zwisały mu z szyi na paskach. Gdy już włożył któryś z nich, podnosił aparat do oka i sprawdzał efekt, patrząc przez szerokość pokoju.

- Wiesz, co robiłem w nocy? - zaczął i nie czekając na odpowiedź kontynuował: - Pojechałem z policją na miejsce zbrodni z rodzaju tych, które nazywają „rodzinnymi”. Było to w Carol City, w robotniczej dzielnicy. Wiesz, jak tam jest: większość mieszkańców to czarni, z tych, co to przynoszą do domu tygodniówkę za pracę przy wywozie śmieci. Gdy tam dojechałem, zobaczyłem cztery czy pięć radiowozów zaparkowanych na trawniku i na ulicy.

Wydaje się, że facet po pracy poszedł na bilard i przegrał większość tygodniówki. Nie miałby z czego zapłacić czynszu, rachunków za wodę, światło, rachunku w sklepie, nie dostałby już kredytu w supermarkecie. Wobec tego zaczął się kłócić z żoną, na tyle głośno, że sąsiedzi wszystko słyszeli. Wreszcie żona uderzyła go w twarz. Mocno uderzyła. Nie spodobało mu się to, więc jej oddał. Prosto w brzuch.

To z kolei tak mu się spodobało, że postanowił wałnąć ją jeszcze raz. Ona zaczęła się cofać do zlewu.

Mąż się rozochocił, mógł jej zrobić krzywdę, więc ona chwyciła pierwszą rzecz, jaka jej wpadła do ręki. Okazało się, że to nóż do mięsa. Uderzyła. Trafiła w szyję, poderżnęła mu gardło. Mąż jak kłoda padł jej pod nogi.

Zaczęła krzyczeć, przybiegli sąsiedzi i wezwali policję. Facet musiał wykrwawić się na śmierć w kilka sekund. No a potem zjawiała się policja, zrobili zdjęcia, wzięli od niej zeznanie i aresztowali pod zarzutem morderstwa. Zabrali ją do kobiecego więzienia. Mam dobre zdjęcie, jak policjanci wyprowadzają

ją z domu. Jest oszołomiona, zdruzgotana. Gdy pomagali jej wsiąść do radiowozu, zaczęła wołać o pomoc. I wiesz, kogo wołała? Męża. Mężczyznę, którego właśnie przed chwilą zabiła.

Popatrzył na mnie, potem wyczyścił jeden z obiektywów skrajem koszuli, spojrzął przez niego i mówił dalej:

- Spytałem jednego z policjantów, ile morderstw zdarzyło się ostatnio, oczywiście nie licząc tych, które popełnia nasz chłopaczek. „Och, tyle samo co zawsze - odparł. - Każdej nocy ktoś traci życie. Dla nas praca nigdy się nie kończy”. I wtedy pomyślałem sobie, że to właściwie nie ma znaczenia. Żadnego znaczenia. Nie muszą złapać mordercy.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi - powiedziałem.

- Wyobraź sobie - wyjaśnił - że zignorujemy naszego mordercę. Niech sobie dalej zabija. Jego działalność i tak nie zmieni rocznej statystyki. Niezależnie od jego poczynań, w mieście zostanie popełnionych tyle samo morderstw. On po prostu jest elementem statystyki. Jednym spośród setek morderców. Mąż tej kobiety jest tak samo martwy jak którykolwiek z ofiar naszego mordercy. Tak samo martwy jest facet, którego zabito wczoraj, tak samo będą martwi ci, którzy zostaną zabici dziś. Nasz morderca nie różni się od innych. Jest po prostu bardziej konsekwentny. - Roześmiał się. - Widzisz, jacy stajemy się zbliżani?

Ale mnie to nie rozbawiło.

Jednak jego opowiadanie naprowadziło mnie na pewien pomysł. Tej nocy pojechałem z policjantami z wydziału zabójstw na miejsce innego morderstwa, do baru w getcie. Denat leżał na plecach, ostrze sprężynowego noża tkwiło głęboko w jego piersi. Mrugające światła reklamy piwa odbijały się w kałuży krwi rozlewającej się na podłodze. Za plecami słyszałem stukot kul bilardowych. Gracze nie przejęli się obrazem śmierci, który mieli przed sobą.

W innym kącie zauważyłem prostytutkę. Na jej twarzy malowała się wściekłość, gdy przyglądała się technikom i lekarzowi policyjnemu, wykonującym swoje czynności. Podejrzany był w kajdankach. Patrzył przez okno na grupkę gapiów, którzy już zdążyli się zebrać na ulicy.

Opisałem to wszystko i wyliczyłem morderstwa, które *zdarzyły* się w mieście od czasu, gdy nasz znajomy zaatakował po raz pierwszy. Tytuł artykułu brzmiał: RUTYNA MORDOWANIA: ZWYKLE MORDERSTWA NIE USTAJĄ. Tego dnia niewiele się wydarzyło, więc miałem dla siebie mnóstwo miejsca, trzy kolumny na pierwszej stronie, reszta artykułu na rozkładówce w środku.

Zastanawiałem się jednak, czy tamci dwaj klienci przerwaliby grę w bilard, gdyby to nasz morderca wstąpił do baru i zastrzelił tego człowieka ze swojej czterdziestki.

Porter znalazł zdjęcie, o którym mówił morderca. Usiadłem przy biurku i przez całe popołudnie wpatrywałem się w nie, a moja wyobraźnia pracowała na pełnych obrotach, zupełnie jakbym mógł słyszeć i czuć wybuchy bomb. Myślałem

też o ojcu. Zastanawiałem się, ile dzieci płakało, podczas gdy on zrzucił bomby. Oczami duszy widziałem, jak ojciec garbi się nad lukiem bombowym w B-25 i patrzy - na co? Na miasto? Na tory kolejowe? Na fabrykę? Wszystko to stanowiło dla niego jedynie kształty bez życia, jak rysunki na kartce papieru. Ojciec sprawdzał współrzędne na mapie, potem znów wyglądał przez luk bombowy, czekając ze zwolnieniem ładunku, aż samolot znajdzie się nad celem albo jak najbliższej niego. W dole świat wybuchał, a uwolniony od ciężkich bomb samolot unosił się wyżej i uciekał w niebo i chmury przed ogniem i dymem.

Ojciec przeważnie wylatywał na akcję z północnej Afryki, z jej brudnego, pagórkowatego koniuszka. Lecił nad Morzem Śródziemnym do Włoch i Sycylii. Wyobrażam sobie, że czuł się zawieszony między błękitem morza i niezmierzonym błękitem nieba. Na pewno były takie chwile, kiedy się bał, gdy wydawało mu się, że wstrząsana eksplozjami ziemia gniewnie wyciąga po niego ręce. Nigdy nie mówił wiele o samej wojnie. Zamiast tego opowiadał, jak to było, gdy wrócił, o defiladach i radosnych okrzykach tłumu, o podnieceniu zwycięstwem, zanim wszystko wróciło do pokojowej rutyny. Kiedyś powiedział, że ta powojenna euforia szła do głowy jak wino. Zachwycał się świadomością, że wrócił cało, że jego wewnętrzne organy i kończyny funkcjonują jak należy. Niemal czuł, jak krew płynie w jego żyłach. Pojechał odwiedzić brata, który po utracie oka przebywał jeszcze w szpitalu.

Zakryłem ręką prawe oko. Rozejrzałem się po redakcji. Przechyliłem głowę, bo nie mogłem objąć wzrokiem całego pokoju: dziennikarzy rozmawiających przez telefon, redaktorów przy komputerach. Pomyślałem, że mój stryj, słysząc, że ktoś wchodzi na salę, musiał pochylić głowę i zmienić pozycję na łóżku, żeby zobaczyć ojca.

Dzwonki telefonów i gwar rozmów odplynęły gdzieś daleko i spróbowałem wyobrazić sobie, jak ci dwaj mężczyźni patrzyli na siebie przez szerokość szpitalnej sali.

Co sobie wtedy powiedzieli? Jeden był zdrowy, drugi został inwalidą. Ich drogi już się rozchodziły.

Urodziłem się jako drugie z kolei dziecko. Brat był ode mnie starszy, siostra młodsza. Gdy byliśmy jeszcze dziećmi, ojciec miał zwyczaj rozsądzać nasze spory urządzając coś w rodzaju posiedzenia sądu. Każde z nas dostawało kilka minut na wyłuszczenie swoich racji. Brat mówił szybko, w podnieceniu; informował o faktach, wrażeniach i swoich potrzebach bez zająknięcia, przekonujące słowa wprost tryskały mu z ust. Siostra, gdy przychodziła jej kolej, co chwila milkła, w jej głosie słychać było łzy, a w końcu uciekała się do niezawodnego argumentu: biegła przez pokój i rzucała się ojcu w ramiona. Mnie natomiast złość zaciemniała myśli, nie pozwalała użyć właściwych słów, blokowała mój umysł, argumenty gdzieś uciekały. Jakałem się i zacięłem - i przegrywałem. Ojciec odchyłał się na oparcie krzesła, w prawej ręce trzymał ołówek, lewą bębnił w biurko - i wydawał wyrok. Nie miał twardego charakteru, ale był człowiekiem zasad i reguł. Odnosiłem wrażenie, że jego decyzje spływały gdzieś z góry, niezachwiane i dokładne, i tak samo niszczące jak bomby, które uwalniał w samolocie.

Ponieważ mój głos przynosił mi same klęski, postanowiłem opisywać to, co swoimi głosami mówią inni ludzie...

I wtedy zadzwonił telefon.

Hałas w redakcji się wzmógł, jak dźwięk w radiu, gdy pokręci się gałką; potem znów zaczął cichnąć, chociaż ciągle słyszałem znajomy gwar. Kiedy włączałem magnetofon, miałem wrażenie, że moja ręka należy do kogoś innego. Poczułem zimny plastik słuchawki pod palcami i powoli podniosłem ją do ucha. Czekałem, aż odezwie się jego głos.

Mówił powoli, obojętnie. Nie przedstawił się ani nie przywitał. W jednej chwili w słuchawce panowała cisza, a w drugiej już słyszałem jego głos, płaski i bez wyrazu.

- Myślałem o tobie - powiedział.

- No i?

Morderca pozwolił, by słuchawka wypełniła się ciszą.

- Pamiętam pewne wydarzenie z czasów, gdy byłem za oceanem - podjął po dłuższym milczeniu. - Często zgłaszałem się na ochotnika do PDZ, czyli Patroli Dalekiego Zwiadu. Oprócz mnie uczestniczył w nich radiowiec i jeszcze jeden strzelec. Wchodziliśmy do dżungli i posuwaliśmy się wśród roślin ności w tym doprowadzającym do szału powolnym tempie, bo tylko takie jest w dżungli możliwe. Od prawie stuprocentowej wilgotności miałem wrażenie, że powietrze ociera mi się o skórę ramion, gdy maczetą wycinałem przejście we wszechobecnych lianach i zaroślach. Upał wokół nas gęstniał, wprost topiliśmy się we własnym pocie. Było tak, jakbyśmy szli wśród ulewy.

Lubiłem to uczucie, że jestem sam, no, prawie sam. Radio stanowiło nasze jedyne powiązanie z zewnętrznym światem, tylko ono dawało nam złudne poczucie bezpieczeństwa, bo i tak nie można było na nim zbytnio polegać. Wydaje mi się, że nie ma nic bardziej ożywczego, bardziej podniecającego niż samotne przebywanie w obcym, wrogim kraju. Czułem, jak fale strachu i podniecenia jednocześnie przepływają mi przez ciało. Myślałem: „Umrą tutaj i nikt nigdy mnie nie znajdzie, będzie tak, jakbym zniknął, po prostu odszedł ze świata żywych”. Ale tak się nie stało, chociaż nieraz byłem już tego bardzo bliski.

Pewnego razu szliśmy przez zarośla. Posuwaliśmy się tak wolno, że tylko czekałem, aż wycięta przez nas ścieżka zdaży na naszych oczach zarosnąć z powrotem. Patrol Wietkongu chyba szedł nam naprzeciw. Zapewne myśleli o tym samym co my, gdy walcząc o każdy krok, wycinali liany i krzewy. Niespodziewanie wpadliśmy na siebie.

Szedłem na szpicy i nagle uświadomiłem sobie, że słyszę świst maczety i kroki ludzi zbliżających się do nas. Zatrzymałem się, a w tej samej chwili żołnierz idący na szpicy Wietkongu też musiał się zawahać. Staliśmy tak w bezruchu długą chwilę, a potem podniosłem karabin i puściłem serię w ich kierunku. Radiowiec i drugi strzelec dołączyli do mnie. W tym samym momencie cała dżungla wokół nas rozbrzmiała ogniem z ich AK-47. Pamiętam to, bo AK

wydają inny odgłos niż nasze karabiny, taki, jak przy darciu papieru. Chyba wszyscy jednocześnie wpadliśmy w panikę. W jednej chwili panowała cisza, w drugiej kule rozrywały dżunglę na strzępy.

I wtedy zdarzył się taki wyjątkowy moment. Nagle ustał wszelki dźwięk i nastąpiła absolutna cisza.

Wszyscy mieliśmy karabiny nastawione na strzelanie seriami i wszystkim nam jednocześnie skończyła się amunicja w magazynkach. Potem ciszę przerwało jakieś dziwne stukanie. Spojrzałem w dół i zdałem sobie sprawę, że pochodzi ono zarówno ode mnie, jak i od innych. Każdy z nas pospiesznie zmienił magazynek. Klik, klik, klik, i znów klik. Wstrząsnął mną niepohamowany śmiech. Tyle strachu wystrzelanego w jednej sekundzie seriami. Tyle morderczych intencji. Mój śmiech zagłuszył szmery dżungli. Pozostali patrzyli na mnie, a ja machnąłem ręką. Cofnęliśmy się na ścieżkę, którą przedtem oczyściliśmy. Myślę, że patrol Wietkongu zrobił to samo, bo ich również uderzyła dziwaczność naszego spotkania.

Teraz czuję się podobnie. Wiem, że to trywialne stwierdzenie, ale dla mnie miasto jest jak dżungla. Wyobrażam sobie, że wycinam ścieżkę w mieście, jak to robiłem w dżungli podczas patrolu, gdy tropiliśmy wroga i niszczyliśmy go. Miasto jest także obcym, niebezpiecznym krajem. Chodzę po tych samych ulicach co ty, przyglądam się ludziom, patrzę im w oczy i widzę, jak odwracają wzrok.

Któregoś wieczoru poszedłem na spotkanie organizacji sąsiedzkiej. Wiesz, jak to się odbywa, bo sam na nie chodziłeś. Czytałem o tym w twoich artykułach. Czytam wszystko, co napiszesz. W każdym razie wtedy, wczesnym wieczorem, znalazłem się w szkolnej auli. Te spotkania przeważnie odbywają się w szkołach. W tych jasnych światłach, szkolnych sztandarach, proporczykach i pamiątkowych plakietkach jest coś, co podnosi na duchu. W kierunku auli zmierzał tłum ludzi, przeważnie w grupkach, po troje, czworo. Po prostu wszedłem za nimi do budynku, a potem usiadłem wśród nich. Byłem jeszcze jedną osobą, na której twarzy malowały się lęk i troska.

Koło mnie siedział mężczyzna, krzesło dalej zajęła miejsce jego żona. Była to pulchna kobieta, zarumieniona od wysiłku, jaki kosztowało ją usadowienie się w małym, dzieciennym krzeselku. On był zły, miał zmarszczone czoło. Widziałem, jak zaciska ręce w pięści, potem je rozluźnia i znów zaciska. W pewnej chwili odwrócił się do mnie i nawiązał rozmowę.

- Do diabła! - powiedział. - To już trwa za długo. Co, do cholery, robi policja?

Pokiwałem mądrze głową i odpowiedziałem:

- Nie wydaje mi się, by zbyt przykładali się do pracy.

- Ma pan cholerną rację - zgodził się ze mną mój sąsiad. - Ma pan rację. - I jeszcze kilka razy wymruczał te słowa pod nosem.

Gdy skończyliśmy rozmawiać, sala była już pełna. Na estradę wszedł jakiś mężczyzna. Parę razy zamrugał, bo oślepiło go światło, a potem się przedstawił. Okazało się, że to lokalny polityk. Podziękował ludziom za przybycie

i wypowiedział kilka uwag na temat policji. Stwierdził, że ma do niej zaufanie i że jego zdaniem policja robi wszystko, co może. Potem przedstawił oficera w mundurze, takiego, jakich wielu poznałem w wojsku. Zależy im tylko na karierze; łapią wszelkie informacje, jakie mogą zdobyć, ale nic z nich nie rozumieją i nie potrafią ich wykorzystać.

Stał na estradzie kołysząc się lekko w przód i w tył, i przyglądał się audytorium. Wygłosił krótką mowę podkreślając, że cała komenda, wszyscy policjanci pracują na okrągło - mówił mniej więcej to samo, co piszesz w swoich artykułach. Mój sąsiad powtarzał jak nakręcony: „Bzdura. Bzdura. Przejdź do rzeczy”. Jednak glina tego nie zrobił. Zakończył stwierdzeniem: „Wiem, że trudno wam w to uwierzyć, ale policja podejmuje każdy, nawet najślabszy trop. Sprawdzamy wszystkie dowody. Mamy zespoły, które badają rejestry wojskowe”.

Następnie poprosił o pytania, ale ostrzegł, że nie może wdawać się w szczegóły. Widziałem, jak ludzie prostowali się na swoich krzesłach. A potem, jeden po drugim, wstawali i zadawali pytania: „Czy szybko dojdzie do aresztowania podejrzanego? Na jakim etapie sprawdzania rejestrów wojskowych jest już ten specjalny zespół? Dlaczego policja wydaje się bezradna, póki morderca nie poinformuje ich o kolejnej ofierze?” Myślę, że byłbyś zadowolony, bo stawiano dobre pytania. Policjant wiercił się pod światłami i osłaniał oczy ręką, żeby widzieć pytającego.

Nie miał wiele do powiedzenia, a im bardziej zdawkowo odpowiadał, tym bardziej widownia się denerwowała. Ta złość stawała się zaraźliwa, oburzenie rozlewało się coraz szerzej wśród tych ludzi z klasy średniej, tych żyjących dotąd bezpiecznie rodziców, mężów, żon. Gdy policjant tak się osłaniał przed ich słownymi pociskami, tłum stawał się coraz bardziej niezdyscyplinowany. Ludzie zaczęli wykrzykiwać pytania nie wstając z krzeseł, przekleństwa wybuchały nad audytorium jak granaty, co jeszcze bardziej wszystkich podburzało.

Mój sąsiad, z twarzą wykrzywioną od złości, krzyknął:

- Dlaczego nie wypuszczacie więcej nocnych patroli na miasto?

A gdy policjant zaczął mówić o braku ludzi, zakrzyczano go.

Wreszcie nie mogłem już się opanować, musiałem przyłączyć się do protestujących. To było tak, jakbym słyszał swój własny głos, przemawiający do mnie z innego miejsca, może z taśmy?

- Chcemy wiedzieć - zawołałem ponad tłumem - jak to się dzieje, że jeden człowiek może trzymać w szachu całe miasto? I dlaczego policja, na którą płaci my z naszych podatków setki tysięcy dolarów, nie potrafi nic z tym zrobić?

Wszyscy ucichli. Mój sąsiad klepnął mnie w kolano i powiedział:

- Ma pan cholerną rację. Oni potrafią tylko kłajstrować sprawę. Uśmiechnął się do mnie; odpowiedziałem uśmiechem. Policjant na estradzie zwrócił się w moją stronę.

- Mogę tylko powiedzieć - oświadczył - że staramy się pracować najlepiej jak potrafimy.

Reszta jego odpowiedzi zginęła wśród gniewnych krzyków. Na tym spotkanie się skończyło. Mój sąsiad gdzieś mi się zawieruszył w tłumie. Pamiętam, że gdy wyszedłem na ulicę, odczułem wielką różnicę między

atmosferą panującą w auli i na dworze. Tu wcale nie było chłodniej, lecz powietrze wydawało się mniej przytłaczające. Wiał lekki wietrzyk, a ciemność oddzielała mnie od tłumu. Podchodziłem już do samochodu, gdy spostrzegłem dwóch policjantów. Stali obok radiowozu i obserwowali tłum wylewający się na parking. W pierwszej chwili chciałem rzucić się do ucieczki, ale było to tak, jakbym znajdował się na zewnątrz siebie i z pewnego oddalenia obserwował swoje zachowanie. Miałem wrażenie, że znów jestem w Wietnamie, idę na szpic, wystawiony na niebezpieczeństwo. Przeszedłem obok nich spokojnym krokiem. Mieli rozbiegane oczy, nie sądzę, by w ogóle mnie zauważyli. I wtedy już wiedziałem, że jestem wolny i niezwyciężony.

W słuchawce zapadło milczenie, ale tylko na chwilę.

- Gdy wsiadłem do samochodu, zacząłem się śmiać na cały głos. Nie mogłem się opanować. Podniosłem szyby, żeby mnie nie usłyszeli. Łzy spływały mi po policzkach, z trudem łąpałem powietrze.

Znów zamilkł.

- Nigdy mnie nie złapią - powiedział wreszcie. - Chyba że sam się pod dam.

Przerwałem mu.

- Jak długo jeszcze zamierzasz to robić?

— Zabijać? Och, jeszcze trochę.

- To znaczy?

- Niezbyt długo. Dlaczego jesteś taki niecierpliwy?

- A co potem?

Przez chwilę się zastanawiał.

- Może pojedzie do innego miasta. Zdobę inną tożsamość. Nowe życie. Albo może - zaakcentował słowa, robiąc między nimi przerwy - nadal będzie robił to samo.

- Będziesz popełniał morderstwa.

- Możesz to tak nazwać. Ale dobrym słowem będzie również przypomnie nie, przestroga. Lekcja z przeszłości.

- Złapią cię - powiedziałem.

- Nie. A jeżeli nawet, to co? Wyobrażasz sobie mój proces? Myślę, że to byłoby czymś najlepszym, co mogłoby cię spotkać. - Jego głos znów ucichł. Chyba się nad czymś zastanawiał. - Ale wątpię, by mnie złapali. Raczej sądzę, że zapadnę się w cień. Dołączę do tych ludzi, o których mówi się „zaginiony w akcji”. Ciało zgnije gdzieś w nieznanym miejscu, za daleko, by ktoś poczuł odór. Ale wspomnienie o mnie pozostanie. - Roześmiał się. - Odszedł, lecz pozostał w pamięci.

Stuchając jego wesołego śmiechu wciągnąłem głęboko powietrze.

- Dlaczego tak mówisz? - spytałem. - Nie chciałbyś się ze mną spotkać?

Śmiech gwałtownie ucichł.

- Po co? Żebyś mógł doprowadzić do mnie policję?

- Nie, nie zrobiłbym tego - skłamałem. - Bylibyśmy sami.

- Nie, nie bylibyśmy sami - odparł. - To nie byłoby możliwe.

Obaj przez chwilę milczeliśmy. Potem się odezwał tym samym dziwnym tonem.

- Jak myślisz, może już się kiedyś spotkaliśmy?

Zabrakło mi tchu.

- Na przykład na ulicy. Gdzieś w tłumie. Albo w windzie. Nigdy nie zdarzyło ci się zatrzymać spojrzenia na kimś, kto stał obok ciebie, i pomyśleć: „Czy to on?”. A może czekałeś na światłach i nagle poczułeś, że ktoś cię obserwuje, a gdy się rozejrzałeś, spostrzegłeś wlepiony w siebie wzrok kierowcy samochodu z sąsiedniego pasa? Nie doznałeś nigdy takiej chwili niemal fizycznego kontaktu? Potem światła się zmieniły i obaj pojechaliście załatwiać swoje sprawy. Pomyśl o tym. O wszystkich tych przypadkach, kiedy to mogłem być ja. Pomyśl o wszystkich tych znakach, jakie mogłem dać: ruch ręki, skinienie głową, spojrzenie w oczy. Coś drobnego, osobistego, tylko między nami dwoma, coś, co powiedziałaoby ci: „To on”. A jednak nigdy nie będziesz tego wiedział na pewno. Jesteśmy sobie tak bliscy, ty i ja, a przecież nie możesz mnie rozpoznać. Jesteś ślepy, potykasz się, twoje wyciągnięte ręce trafiają w mur. A ja stoję za twoimi plecami.

Z sykiem wciągnął powietrze.

- Nie wierzę ci - powiedziałem.

Niemal zobaczyłem, jak wzrusza ramionami.

- Wierz w co chcesz. Ale pamiętaj: prawda i fałsz często są tym samym... fakty od fikcji oddziela bardzo cienka linia.

Znów zamilkł. Do moich uszu zaczęły docierać normalne odgłosy pracy redakcji. Świat wokół mnie powracał do życia.

- Wyglądam zwyczajnie - powiedział jeszcze. - Niecałe metr osiemdziesiąt, niecałe dziewięćdziesiąt kilogramów, ciemne włosy, takie jak twoje. Po wiedz to policji. Może im się przyda.

- Dlaczego myślisz, że przekazuję policji to, co mi mówisz?

- Nie okłamuj mnie - ostrzegł. — Nagrywają moje telefony. Śledzą cię. Ja rozmawiam z tobą, potem ty rozmawiasz z nimi. To pewnego rodzaju partnerstwo. Powinieneś być bardziej niezależny. - Zamilkł i głośno odetchnął. - Widzisz, ile o tobie wiem? Mogę być wszędzie. Mogę być kimkolwiek. Więc nie okłamuj mnie.

- Dlaczego to robisz? - spytałem. Tylko tyle potrafiłem wymyślić. Nie odpowiedział.

- Do widzenia, Anderson. Niedługo znów porozmawiamy.

I odłożył słuchawkę.

Rozdział czternasty

Pod koniec sierpnia nad Karaibami rozszalał się huragan. Zesłał na wyspy gwałtowne wichury, niebiosy otwierały się i spuszczały na ziemię potoki wody. Jednak Miami było chyba w jakiś sposób chronione przed kaprysmi natury.

Gdy wydawało się, że żywioł już zaraz rozpęta na kontynencie swoją niszczycielską moc, huragan skręcił nagle nad Atlantyk i zapadł się w głębiny oceanu, poza zasięgiem ludzkiego wzroku. Ale i tak w mieście upał przylegał do skóry jak maska, zniekształcając ludzkie rysy.

Ostatni telefon mordercy odnowił we wszystkich gniew. Mieszkańców szokowała świadomość, że taki człowiek chodzi swobodnie po ulicach naszego miasta. Gdy spojrzenia dwóch przechodniów spotykały się, natychmiast odwracali wzrok. Zachowywano dystans. Trzymanie się z dala od innych stało się zwyczajem. Gdy przypadkiem doszło do kontaktu, ludzie wzdrygali się. Widziałem kiedyś, jak jakaś kobieta przypadkiem otarła się o młodego mężczyznę, gdy oboje czekali na zmianę świateł. Odskoczyli od siebie jak oparzeni, rzucając sobie nawzajem wściekłe spojrzenia. Potem każde z nich przeszło przez jezdnię. Szli obok siebie, ale ignorowali się nawzajem.

Tematów do artykułów mi nie brakowało. Pisałem, że policja wyselekcjonowała z rejestrów wojskowych dwieście pięćdziesiąt nazwisk ewentualnych sprawców i że teraz sprawdza je dokładnie, by *znaleźć* wśród nich mordercę. Martinez śmiał się, gdy mi o tym opowiadał.

- Przecież i tak w naszym mieście nie używa własnego nazwiska - powie dział. - Nie jest ghipi.

Popołudniowa gazeta, „Post”, sprowadziła z Nowego Jorku znane medium. Człowiek ten obejrzał wszystkie miejsca zbrodni, obchodził je z mądrą miną, wąchał powietrze, twierdził, że wyczuwa bardzo silne wibracje, aż wreszcie oświadczył, że policja nigdy nie złapie mordercy, ale i tak umrze on w niezwykłym wypadku. Podejrzewam, że nie o to chodziło wydawcom „Post”. Nolan wyciął artykuł, napisał nad nim wielkimi literami: „Dlaczego ja nie mam tak przedsiębiorczych dziennikarzy?”, i przypiął do tablicy w pokoju redakcyjnym. Dało to asumpt do wielu żartobliwych pomysłów. Proponowano użyć różdżki, zorganizować seanse spirytystyczne i tego rodzaju rzeczy. Jednak Christine nie uznała tego za zabawne. Przypomniała mi natomiast, że morderca już jakiś czas nie zabijał i pewnie teraz szykuje się do następnej zbrodni.

- Co zamierzasz zrobić? - spytała.
- Nie wiem. Po prostu muszę czekać, tak jak wszyscy.
- Nienawidzę czekania - powiedziała ze złością.
- Ale nic innego nam nie pozostaje.
- Mimo to nienawidzę czekania - powtórzyła. - Obawiam się jednak, że morderca chce wprowadzić jakieś zmiany.

Warknąłem na nią, że opowiada głupstwa. Potem już o tym nie rozmawialiśmy, ale oczywiście okazało się, że, jak zwykle, miała rację.

Któregoś wieczoru zadzwonił Martinez i zaprosił Nolana i mnie do baru w śródmieściu. Gdy przyszliśmy, siedział przy kontuarze, przed nim stała pusta szklanka. Machnął, żebyśmy usiedli obok niego, potem machnął na barmana zamawiając następną szklankę, potarł oczy, a wreszcie przeczesał palcami swoje

czarne włosy. Głos miał cichy i zmęczony, ledwo do nas docierał przez gwar rozmów i brzęk szkła. Ciekaw byłem, gdzie jest Wilson.

- Musimy się dowiedzieć czegoś więcej o tym facecie - powiedział Martinez. - Nie mamy wskazówek, nad którymi moglibyśmy pracować. - Wypił jednym haustem większość zawartości szklanki, którą postawił przed nim barman. - Chyba od samego początku nie posunęliśmy się ani na krok.

- A co z listą nazwisk z rejestrów wojskowych? - spytał Nolan, przyglądając mu się znad kufła.

- Na pewno na niej nie figuruje - odparł Martinez. - Ten facet uwielbia gry. Podaje nam informacje, które zamiast pomóc, prowadzą nas na manowce.

- Ale psychiatra powiedział... - zacząłem.

- Nawet psychiatrzy nie wiedzą wszystkiego - przerwał mi. - Czasami nie wiedzą po prostu nic. On zwyczajnie zgaduje, tak jak wszyscy. Podam wam przykład. Całe tygodnie przedzieraliśmy się przez rejestry wojskowe w Pentagonie i w Fort Bragg. Wysłaliśmy nawet ludzi do komisji rekrutacyjnych w Ohio. I niczego się nie dowiedzieliśmy. Wiecie dlaczego? Z powodu broni. Ten facet naprawdę umie posługiwać się czterdziestkapiątką. Chcę przez to powiedzieć, że wie, jaki tor lotu przyjmie kula, jak kontrolować strzał, żeby nie oderwać głowy swojej ofierze. Przypuszczam więc, że przeszedł szkolenie, a to oznacza, że albo był oficerem, albo, co jest bardziej prawdopodobne, należał do żandarmerii wojskowej, bo ich szkoli się w użyciu ręcznej broni. Regularne wojsko posługuje się karabinami. Jednak, z drugiej strony, czterdziestkapiątka należy do standardowego wyposażenia piechoty morskiej. Rozumiecie, o co mi chodzi? Jeżeli widział walkę, o której opowiadał, a jednocześnie przeszedł szkolenie w użyciu czterdziestkapiątki, to najprawdopodobniej służył w innej formacji niż ta, którą sprawdzaliśmy. Ale to tylko taka moja teoria. Jednak za stanawiam się nad nią. Wszystko, co on mówi, wygląda na mieszaninę półprawd, kłamstw i tworów wyobraźni. Może jednak buduje ją na bazie rzeczywistych przeżyć.

- A więc chcesz nam po prostu powiedzieć, że do niczego nie doszliśmy - przerwał mu Nolan.

- Tak. Uważam... - Martinez chwilę się wahał, zanim zaczął mówić dalej. — Słuchajcie, nie dzwoniłem do was po to, aby w jutrzejszym wydaniu gazety przeczytać, że policja to banda głupców. Chciałem tylko, żebyście mieli pełny obraz sytuacji.

- Doskonale - powiedział Nolan. - Przynajmniej na razie.

- To wszystko jest cholernie przygnębiające - oznajmił Martinez. Skończył drinka i machnął na barmana o następny. - Jutro jedziemy z Wilsonem do Ohio, na jeden dzień, sprawdzić niektóre nazwiska. I wrócimy wieczorem... z pustymi rękami.

- A co myślisz o tym wszystkim Wilson? - spytałem

Martinez uśmiechnął się, wpatrzony w szklankę.

- On żyje pracą. Przyznam się wam, że gdy wyznaczono mnie na jego partnera, myślałem, że nie wytrzymam z nim nawet dwóch dni. A teraz to już

trwa prawie pół roku. On ma kompletnego bzika. Zawsze się mówi, że policjant nie powinien przynosić pracy do domu, ale to niemożliwe. Nie można wyrzucić sprawy z pamięci. Zresztą zawsze powinieneś mieć przy sobie broń. Jak możesz zapomnieć o służbie, gdy masz przy pasie pistolet? Powiem wam, że Wilson zamęcza się na śmierć, tak bardzo chce dorwać tego faceta. Częściowo dlatego, że pierwsza ofiara przypominała mu jego córkę. Poza tym nie może znieść tego, że morderca dzwoni do ciebie. Fakt, że się jest policjantem, oznacza, że ma się dostęp do informacji, jest się osobą wtajemniczoną. Właśnie dlatego wstąpiłem do wydziału zabójstw. Wilson kierował się tymi samymi pobudkami. Robimy to, bo lubimy dochodzić do sedna sprawy, łączyć elementy w całość. A teraz tak się składa, że musimy czekać, aż facet zadzwoni do ciebie. Nie możemy nic na to poradzić, ale to nas gryzie, a już zwłaszcza Wilsona. Wiecie, że stracił bratanka na wojnie? Miał dziewiętnaście lat. Chciał być policjantem, jak stryj. Brat Wilsona zmarł dawno temu na serce i myślę, że Wilson traktował chłopca jak syna. Chłopak zaciągnął się zaraz po skończeniu szkoły i zginął za oceanem. Chyba wszedł na minę. Czasami myślenie o tym doprowadza Wilsona do szału. Wydaje mi się, że on zabije tego faceta, jeśli będzie miał okazję. Teraz prawie nie wychodzi z komendy. Łapie tylko kilka godzin snu na polowym łóżku. Myje się i goli w łaźni aresztu. Ja tak nie robię. Gdy tylko mogę, wracam do domu, słucham muzyki. Staram się przynajmniej na chwilę zapomnieć o pracy. A Wilson nigdy nie zapomina.

- Co według ciebie stanie się teraz? - spytał Nolan.

Martinez roześmiał się.

- Może będziemy mieli szczęście. Może facet postanowi wyjechać z miasta. Albo na odwrót, znów zabije, i tak jak w przypadku pani Kemp, nikt akurat nie będzie wyglądał przez okno, nikt nie zapamięta numeru rejestracyjnego samochodu.

- Gdy rozmawialiśmy całe tygodnie temu, mówiłeś to samo - odezwałem się.

- No właśnie - potwierdził Martinez. - To ci tylko może uświadomić, jak daleko jesteśmy od złapania tego człowieka.

Gdy wyszliśmy z baru, było już ciemno. Jeszcze przez chwilę czuliśmy zapachy lokalu, słyszeliśmy brzęczenie szkła, kroki Martineza. Przeszliśmy parę kroków. Nolan zatrzymał się i spytał, co ja o tym wszystkim myślę.

Wzruszyłem ramionami.

- Nie wiem - odpowiedziałem.

Pokiwał głową i znów przeszedł parę kroków.

- Powinniśmy to opublikować? - zastanawiałem się na głos.

- Co?

- To, co mówił Martinez-wyjaśniłem. -Naprawdę nie zbliżyli się do rozwiązania ani na krok. To piekielna sprawa.

- Wiem - odpowiedział. Przeszliśmy w milczeniu ze sto metrów. - Lepiej nie pisać o tym - zdecydował w końcu.

- Dlaczego?

- Wiesz, jak ludzie by to odebrali?

- Bardzo źle - przyznałem. - Organizowano by jeszcze więcej obywatelskich patroli, właściciele domów kupowaliby broń. Szaleństwo sięgnęłoby zenitu.

- No właśnie. Poczekajmy przynajmniej, aż przejrzą te listy nazwisk. I spróbujmy znaleźć jakiś sposób na złagodzenie szoku, gdy policja znów nic nie osiągnie. Ukazmy ludziom jakieś perspektywy.

Znów szliśmy milcząc.

A potem Nolan jeszcze raz się odezwał:

- Musisz pamiętać o tym, że to my kształtujemy opinię. Nikt nie da zła manego szeląga za to, co mówią w telewizji albo w „Post”. Morderca dzwoni do nas. Ścisłej mówiąc, do ciebie. To my tkwimy w tym wszystkim po uszy, więc jesteśmy najważniejsi. Jeżeli powiemy, że policja to banda idiotów, ludzie nam uwierzą. Jeżeli powiemy, że policja robi wszystko, co może, też nam uwierzą. To nasza gazeta prowadzi kronikę działań mordercy. Jeżeli powiemy ludziom, że mają wpaść w panikę, posłuchają nas. Wiesz, że liczba naszych prenumeratorów wzrosła o sto procent? A przecież już przedtem wydawało się nam, że osiągnęliśmy najwyższy możliwy nakład. A w dni, kiedy twój artykuł pojawia się na pierwszej stronie, sprzedaż uliczna wzrasta o połowę. Przeprowadzono ankietę. Okazało się, że ci, którzy kupują gazetę w kioskach, dostają ją również do domu. Po prostu nie mogą się doczekać rana, kiedy to dostawca przyniesie im egzemplarz na próg. - Uśmiechnął się. - Czasami wydaje mi się, że morderca to ktoś z działu sprzedaży. A tam szaleją z zachwytu i uwielbiają faceta. Tak więc musimy uważać, co piszemy, bo wszyscy liczą się z naszą opinią, a właściwie z twoją. Dział sprzedaży wpadł też na pomysł, by sprawdzić jeszcze jedną rzecz. Wiesz, że na ogół nikt nie zwraca uwagi na nazwisko autora tekstu. No więc pytano ludzi, kto to jest Anderson. I wielu z nich rozpoznało twoje nazwisko i kojarzyło je z artykułami. Sława jest ulotna, ale w tej chwili jesteś sławny.

Znów chwilę zbierał myśli. Dochodziliśmy już do gmachu redakcji. W wielu oknach paliły się jeszcze światła.

- Widzisz więc, w jakiej sytuacji się znajdujemy. Musimy być absolutnie pewni tego, co zamieszczamy. Och, wiem, że jesteś ostrożny. Ale ludzie na nas liczą bardziej niż myślisz.

Zatrzymaliśmy się na parkingu.

- Co za piekielny sposób na zdobycie sławy - powiedziałem.

Nolan uśmiechnął się.

- Ale ty to uwielbiasz - stwierdził. - Wszyscy to uwielbiamy. Artykuł jest jak żywa istota, prawda? Niebezpieczny, tętni życiem, trudny do złapania, trudny do utrzymania. Ale uwielbiamy to.

Zgadzałem się z nim.

Następnego dnia rano dostałem list.

Był napisany niezbyt wprawnie na zużytej taśmie, litery ledwo się odznaczały na białej kartce. Zanim otworzyłem tanią kopertę, chwilę trzymałem ją

w ręku. List przyszedł do redakcji z poranną pocztą, razem z codziennymi komunikatami dla prasy i oświadczeniami polityków. Nie było adresu nadawcy, tylko moje nazwisko, adres „Journal” i stempel. Wyjąłem kartkę z koperty. Nadawca pisał:

*Szanowny Panie Anderson,
z wielkim zainteresowaniem czytałem wszystkie pana artykuły dotyczące ostatniej serii morderstw w Miami.*

Jednak dopiero po ostatnim uświadomiłem sobie, że sprawca wzoruje się na wydarzeniu, którego świadkiem byłem podczas służby wojskowej w Wietnamie. Gdy zabił matkę, a dziecka nie, upewniłem się, że wiem, jaki epizod ze swojego życia morderca pragnie odtworzyć.

Będę rozmawiał tylko z panem, z nikim innym. Nie życzę sobie żadnej policji, żadnych kamer, nikogo. Jeżeli ktoś przyjdzie z panem, wszystkiego się wyprę.

Czekam na pana o pierwszej po południu tego dnia, w którym dostanie pan mój list. Adres: 671 NW Trzynasta Avenue, mieszkania 5.

List był nie podpisany.

Pojechałem przez śródmiejskie getto, zabudowane podniszczonymi domami z drewna i gazobetonu. Po chodnikach snuli się ludzie wyrzuceni poza nawias społeczeństwa: czarni, na których twarzach zmarszczki wyglądały jak bliźny, włóczędzy, bezrobotni, siwi, w łachmanach. Opierali się o wypłowiałe od słońca ściany domów, patrzyli przed siebie pustym wzrokiem. Słońce wprost parzyło; to samo niebo w żywym, bogatym odcieniu jasnego błękitu rozpościerało się nad tą dzielnicą i nad zatoką, po której mknęły luksusowe jachty i szybkie motorówki. Te dwa zupełnie odrębne światy oświetlane były tym samym, nieubłaganiem palącym słońcem. Czułem, jak śledzą mnie oczy ludzi stojących beczynnym na chodnikach. Gdzieś z tyłu słyszałem przytłumione odgłosy pracy na budowie, mieszające się z krzykami bawiących się dzieci.

Na domu, którego szukałem, wisiał szyld: UMEBLOWANE POKOJE. WYNAJEM NA DNI I TYGODNIE. Był to budynek typowy dla tej dzielnicy, ale pomalowano go na czerwony kolor, który, choć już spłowiały, kontrastował z wszechobecną tu wyblakłą bielą. Miał trzy kondygnacje, jedną więcej niż inne domy. Wąskie zewnętrzne schody z ciemnej stali prowadziły na wyższe piętra. Na każdym znajdowały się dwa mieszkania i małe cementowe tarasy, zawieszane suszącą się bielizną, która powiewała na wietrze. U stóp schodów zawałałem się. Bezlitosny upał wysysał mi powietrze z płuc. Mieszkańcy wyszli na ulicę i gapili się na mnie. Pewnie myśleli, że jestem inkasentem albo detektywem. Nikt się nie odezwał. Powoli zacząłem wchodzić na górę.

Mieszkanie znajdowało się na najwyższym piętrze. Na odrapanych drewnianych drzwiach nie było tabliczki z nazwiskiem ani skrzynki pocztowej, tylko

wymalowany farbą numer pięć. Kiedyś ktoś musiał się tu włamywać, bo koło zamka zobaczyłem głębokie rysy. Zapukałem raz, potem jeszcze cztery razy. Dźwięk odbił się od ścian i zawisł w gorącym powietrzu.

Drzwi uchyliły się na parę centymetrów. Nie mogłem nic zobaczyć, ale poczułem na sobie badawcze spojrzenie. Stłumiony głos spytał, czy jestem sam. Odpowiedziałem, że tak.

Gdy wpuścił mnie do środka, przejście ze światła w mrok na chwilę mnie oślepiło. Gwałtownie zamrugałem, próbując zogniskować wzrok.

- Cieszę się, że przyszedłeś. - Głos dochodził z dołu. - Nie wiem, co bym zrobił, gdybyś jednak się nie zdecydował.

W półmroku zobaczyłem mężczyznę na fotelu inwalidzkim. Skinałem mu głową, a on ostro obrócił fotel. Przez moment wirował w miejscu, a potem pojechał w głąb mieszkania. Wpadające przez niewielkie okienko przyćmione światło rzucało cienie na pokój i odbijało się w stalowych obręczach kółek fotela.

— Wejdz - zaprosił mnie i wskazał krzesło przy kuchennym stole.

Miesz

kanie było skąpo umeblowane: zapadnięta kanapa, stół z plastikowym blatem, kuchenka, mała lodówka i kilka krzeseł nie od kompletu. Wszędzie stały przepełnione popielniczki. Zauważyłem też kilka nieporządnie porozrzucanych pism: „Time”, „Newsweek”, „Playboy”. Na podłodze leżał stos gazet. Mój ostatni artykuł znajdował się na samym wierzchu, niektóre akapity były obwiedzione na czerwono. Usiadłem, wyjąłem notes i magnetofon. Mężczyzna w fotelu przyglądał się temu bez słowa.

Nosił wielkie lotnicze okulary z żółtymi szklami, jasne włosy miał zaczesane do tyłu i założone za uszy. Chyba zapuszczał brodę, zarost był o wiele ciemniejszy niż włosy. Ubrany był w podkoszulek i dżinsy, nogi przykrył kocem. Wydawało mi się, że ma spuchnięty policzek. Zobaczył, że zauważyłem to i powiedział:

- To tylko infekcja w zębie. Jutro jadę do szpitala dla weteranów, żeby go wyrwać. Całkiem nieźle się tam mną zajmują. - Z powrotem skierował spojrzenie na magnetofon. — Będziesz nagrywał? - Opuchlizna zniekształcała mu słowa.

— Jeżeli się zgodzisz - odpowiedziałem.

Wzruszył ramionami.

- Do licha, czemu nie? - Przez chwilę siedział cicho, a potem podjął: - Wiesz, spędziłem tyle czasu zastanawiając się, czy przyjdiesz, że teraz nie wiem, od czego zacząć.

- Na początek powiedz, jak się nazywasz - zaproponowałem, włączając magnetofon.

- Może później - odparł. - Jeszcze nie obiecałeś, że nie wymienisz mojego nazwiska.

- Dlaczego ci na tym zależy?

- Bo znam tego faceta... mordercę i wiem, że bez namysłu by mnie za bił. - Roześmiał się. - I tak już jestem półmartwy - wskazał swoje nogi - ale chcę wykorzystać cały czas, jaki mi jeszcze pozostał.

Niech mu będzie, pomyślałem. Najpierw opowie mi swoją historię., a potem wydobędę z niego nazwisko.

- Zgoda - powiedziałem. - W artykule zapewnię ci anonimowość, ale po licja będzie chciała z tobą porozmawiać.

- Muszę się nad tym zastanowić - oświadczył. - Najpierw opowiem ci, co wiem. - Zawahał się. - Nie sądzę, by coś mi z tego skapnęło, no wiesz, na przykład zwrot kosztów? - Pokiwałem przecząco głową. - Nie miałem specjalnej nadziei, ale zawsze warto spróbować, bo Wuj Sam nie daje mi zbyt wiele. Jak widzisz, moje mieszkanie nie przypomina pałacu.

- Więc co chcesz mi powiedzieć? - ponagliłem go. - Oczywiście, jeżeli zdecydujesz się mówić.

- No dobrze, niech ci będzie. Powiem wszystko. - Żwawo pokiwał głową i potarł zarośniętą brodę tak mocno, że usłyszałem chrzęst.

I zaczął mówić.

- Nazywam się Mike Hilson. Służbę odbywałem w Czwartej Strefie Specjalnej. W styczniu siedemdziesiątego pierwszego, w pobliżu jakiejś zakazanej wioski, której nazwy nawet nie pamiętam, wpadliśmy pod ostrzał moździerzy i dostałem szrapnelem. To się zdarzyło na półwyspie Batangan. Prawdziwa dziura. A wiesz, co w tym było najśmieszniejsze? Właśnie wtedy upływał mi termin służby polowej. Spędziłem tam dziewięć miesięcy i prawie już się pakowałem, bo miałem zostać przeniesiony do Sajgonu albo Da Nang, czy innego miasta i przez jakiś czas siedzieć za biurkiem, mieć regularne godziny pracy. W każdym razie pewnej nocy spadło na nas to całe gówno. Obudziłem się słysząc, wrzaski: „Nadchodzi! Nadchodzi!” i nagle łup!, rozhuczały się moździerze i wszyscy tylko szukali jakiejś kryjówki. Oprócz mnie.

Leżałem płasko na brzuchu, zastanawiając się, czy mogę się poruszyć i co za diabelska sztywność weszła mi w plecy. A potem zaczęło mi się kręcić w głowie, i kręciło się coraz bardziej, jak wtedy, gdy za dużo wypijesz i urywa ci się film. No i tak się to dla mnie skończyło. Potem w szpitalu bazy wyjęli mi z ciała kawałek metalu i odesłali statkiem do domu. Tyle że już nie mogłem chodzić, a na dodatek nie chciałem się z tym pogodzić. Więc spędziłem trzy lata w szpitalu dla weteranów, a potem mnie wypisali.

Rozejrzał się po pokoju, omiatając wzrokiem puste, brudne ściany i byle jakie meble.

- To nie wygląda jak dom, prawda? Jednak powiem ci, że to miejsce jest o wiele lepsze niż szpital dla psychicznych. Przydzielili mi opiekunkę, przychodzi tu popołudniami i robi co trzeba. Jakoś dają sobie radę. Zresztą szpital jest niedaleko. Jeżdżę tam codziennie. Po drodze wstępuję do sklepów. - Szerokim gestem zatoczył ręką, jakby pokazywał, że wszystko jest w porządku.

- Pochodzisz stąd? - spytałem.

- Rodzice tu mieszkali. Umarli w zeszłym roku. Wypadek samochodowy. Zmiotło ich z szosy. Ale mam siostrę, mieszka w Orlando.

- Opowiedz mi o mordercy - ponagliłem go. - Opowiedz mi o nim wszystko, co wiesz.

Roześmiał się.

- Nawet nie znam jego prawdziwego nazwiska. Tak się dzieje na wojnie. Wszyscy mają przezwiska. Mnie nazywali Gładysz, bo nosiłem kucyk, jak uczniowie liceum. W plutonie każdy miał jakieś przezwisko, zupełnie jakby imię, które dano ci na chrzcie, było czymś, co mogło przyspieszyć śmierć.

Zaczął bębnić palcami po kole fotela. Mówił o wojnie, o plutonie. Gdy się podniecał, skrobał paznokciami po poręczy, jakby chciał wskrobać z pamięci jeszcze więcej wspomnień. Chwilami kołysał się w przód i w tył, chwycił koła i podnosił je do góry, obracał nimi pod nogami. Chyba pomagało mu to ułożyć wspomnienia w logiczny ciąg.

- Na przykład czarnucha z Arkansas nazywaliśmy Wielki Czarny, a chłopa z Bronksu w Nowym Jorku Ulicznik. Jeden taki, co skończył jakąś elegancką szkołę w Bostonie, miał przezwisko Koledź. Rozumiesz, o co mi chodzi. W wojsku każą ci nosić na koszuli naszywkę z nazwiskiem, nawet na kombinezonie roboczym. Na mojej naszywce było wypisane Hilson. Ale chyba nikt, no, może oprócz kilku oficerów, nigdy nie zwracał się do mnie po nazwisku. A jeżeli któryś kretyn nie był na tyle obyty, by wołać na mnie Gładysz, wynajdywał jakieś inne paskudne słowo, i też było dobrze.

Wyjął papierosa z otwartej paczki, która leżała przed nim, i zapalił.

- Chcę ci przez to powiedzieć, że w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym było to bardzo dziwne miejsce. Jeszcze do tej pory sobie tego wszystkiego nie poukładałem w głowie, a przecież prawie cały czas spędzam myśląc o tym. Po prostu siedzę i myślę. Zresztą właśnie wojsku zawdzięczam to, że właściwie nic innego nie mogę robić.

Wydmuchał kilka kółek dymu, a ja patrzyłem, jak unoszą się w zatęchłym powietrzu pod sufit.

- Byłeś tam? - spytał.

Przed oczami stanęły mi obrazy z tamtych lat: liceum, college, studia. Miałem jakieś niejasne wspomnienie rozmów z ojcem. Zaciągnąć się albo nie zaciągnąć - oto było pytanie. Przypomniałem sobie pismo z komendy uzupełnień z rozkazem stawienia się na badania lekarskie. Dostałem kategorię jeden-A. Ojciec był zły, na twarz wystąpiły mu czerwone plamy. W college'u nie wypełniłem odpowiednich formularzy, dzięki którym uzyskałbym odroczenie na czas studiów. „Cholera! - krzyknął ojciec. - Jak mogłeś o tym zapomnieć?” Nie odpowiedziałem mu, bo wcale nie chodziło o to, że zapomniałem wypełnić i wysłać te formularze. Pamiętam, jak wyglądały. Trzeba było tylko wpisać imię i nazwisko, wojskowy numer identyfikacyjny, rok studiów i adres, zaadresować i wrzucić do skrzynki. Resztę załatwiał wojsko. Ale formularze leżały na moim biurku miesiącami. Od czasu do czasu brałem je do ręki i oglądałem, dziwiąc się, dlaczego jeszcze ich nie wypełniłem. To było tak, jakbym wyzywał rzeczywisty świat, ten, który istniał na zewnątrz college'u, jakbym wołał: przyjdź i zabierz mnie. A oni przyjęli wyzwanie.

Jednak jakoś sobie poradziłem. Pomogli mi w poradni dla takich jak ja. Co kilka dni zmieniałem adres. A raz, gdy już miałem jechać, po prostu przespałem czas zbiórki. W końcu dali mi odroczenie.

Teraz, siedząc w tym małym mieszkanku, myślałem o tym, jak wojna wpłynęła na moje życie. Codziennie czytałem wiadomości z frontów. Oglądałem ziarniste, czarno-białe zdjęcia ludzi, jakby bezcielesnych i bez twarzy pod hełmami, jadących do obcego kraju. Uczestniczyłem w marszach protestacyjnych, rozdawałem ulotki, wykrzykiwałem hasła, wzniesioną pięścią pozdrawiałem setki najrozmaitszych mówców. Ale wtedy nie rozumiałem jeszcze, czym jest wojna.

Na ostatnim roku college'u w akademiku mieszkałem po sąsiedzku z chłopakiem, który wrócił z Wietnamu. Był wysoki, miał czarne kręcone włosy, rosnące dziko od czubka głowy i spadające w lokach na uszy i kark. Został zraniony w stopę i teraz kulął i chodził o lasce. W pokoju przykleił na ścianie swoje kolorowe zdjęcie, zrobione przez fotografa z magazynu „Life”. Siedział w samym środku kadru, ręce opierał na ziemi, z buta wyciekała mu struga krwi. Fotograf uwiecznił moment prawdziwego życia: sanitariusz przeskakuje wał z worków z piaskiem, drugi wyciąga do niego rękę. W tle widać wybuch, wylatujące w powietrze błoto. Na wszystkich twarzach maluje się takie samo przeżenie.

Mój sąsiad nie uczestniczył w marszach, rajdach i zebraniach. Nie chciał rozmawiać z nami o wojnie i zatrząskiwał drzwi przed nosem kampusowych aktywistów, którzy chcieli go wciągnąć do swojej roboty. „Nic nie rozumiecie” — mówił. Kiedyś spytałem go, czemu tak postępuje, ale tylko pokiwał głową.

Któregoś ranka, niedługo po dyplomie, zobaczyłem w gazecie jego zdjęcie. Grupa weteranów zorganizowała marsz. Ubrani w połowe mundury, szli w nierównych szeregach na Kapitol, by zwrócić medale. Na zdjęciu mój były sąsiad wchodził niezręcznie po schodach Kongresu. Pomagał sobie przytrzymując się balustrady. Podpis wyjaśniał, że zwraca Srebrną Gwiazdę, która jest drugim w kolejności najważniejszym narodowym orderem przyznawanym za odwagę. Ciekaw byłem, czego dokonał, by zasłużyć na ten zaszczyt. Wydawało się, że zarówno on, jak i wszyscy jego koledzy mieli dwie zupełnie odrębne egzystencje: domową, normalną, z cheeseburgerami i szybkimi samochodami, a drugą - na wojnie. Potem już nigdy nie spotkałem mojego sąsiada, ale w roczniku college'u wyczytałem, że został lekarzem.

- Nie - powiedziałem. - Nie byłem na wojnie.
- Studiowało się, co? Założę się, że dali ci odroczenie.
- Tak.

Roześmiał się, potem rozkaszał, aż wreszcie z szerokim uśmiechem powiedział:

- Ach, szkoda. To naprawdę było coś.
- Wiem.

Pokiwał głową.

- Nie. Nie wiesz. Powinieneś być tam być. Właśnie na tym polega kłopot. Ktoś, kto tam nie był, nigdy nas nie zrozumie.

- Opowiedz mi o tym - poprosiłem. Jakże często powtarzałem to zdanie. Niemal stanowiło sens mojego życia.

Znów zakaszłał.

- Dobrze - zgodził się. - Usiądź wygodnie i słuchaj. Potem będziesz mógł napisać artykuł o wojnie.

Nagle usłyszałem głosy z korytarza i kroki na cemencie podestu. Hilson gwałtownie odwrócił się w kierunku dźwięków, ręce zacisnął na poręczach tak mocno, że pobiełały mu kostki palców. Ktoś wykrzyczał jakieś przekleństwa, a potem rozległ się stukot butów biegnących ludzi. Mój rozmówca najwyraźniej poczuł ulgę. Wyglądził sobie koc na nogach.

- Czasami dzieci sąsiadów próbują się tu włamać. Obrzydliwi gówniarze. Powinienem postarać się o pistolet i zastrzelić jednego czy dwóch. Może to by ich powstrzymało. Ale i tak, chociaż nie jest to najwspanialszy dom, całkiem mi odpowiada.

Przez chwilę śledził wzrokiem moje skrobiące po papierze pióro, a potem przeniósł spojrzenie na magnetofon.

- Tak więc — podjął opowiadanie - mówiłem ci, że wszyscy mieliśmy ja kies przezwiska. Faceta, który, jak mi się wydaje, popełnia te morderstwa, na zywaliśmy Sową, bo on chyba nigdy nie spał w nocy. Na warcie próbowałeś zawsze zejść jak najniżej do dziury, którą sobie wykopałeś, oczy w ciemno ściach miałeś szeroko otwarte ze strachu, a tu on podchodzi cicho jak cień, rozbudzony, patrzy na drugą stronę drutów w dżunglę, zupełnie jakby to był biały dzień i mógłby coś zobaczyć. Łapał kilka godzin snu wieczorem, czeka jąc, aż zajdzie słońce, a rano, gdy już robiło się jasno, wchodził do swojej dziury, przykrywał się pałatką i szedł spać. Chyba potrzebował o wiele mniej snu niż normalny człowiek.

W każdym razie był tam w tym samym czasie co ja. A właściwie nawet dłużej, chociaż słyszałem, że gdy już mnie ewakuowano po tym, jak oberwałem szrapnelem, stał się dziwny, czy też jeszcze dziwniejszy, i wysłano go gdzieś do szpitala psychiatrycznego. I chyba to musi być prawda, bo popatrz, co on robi teraz. Nie pamiętam, bym widział kiedyś, żeby był naćpany albo pijany. Po prostu lubił bawić się w wojsko, lubił zabijać. Nigdy z nikim wiele nie rozmawiał. Zależało mu na tym, by wyznaczano go na szpicę, bo wtedy mógł iść z dala od innych. Chcę przez to powiedzieć, że był spokojnym, bardzo dziwnym facetem. Nie wydaje mi się, by pluton wytrzymał z nim tak długo, gdyby nie to, że tam każdy był trochę pomyłony.

- Znałeś jego prawdziwe nazwisko?

- Nie, przecież już ci mówiłem.

- No, dobrze. A co powiesz o waszym oddziale? Jak się nazywał oficer?

- Dowodził nami porucznik O'Shaughnessy, Peter O'Shaughnessy. Trudno zapamiętać takie nazwisko. Oczywiście miał rude włosy. A pluton należał do trzysta pięćdziesiątej drugiej kompanii piechoty polowej.

- I gdzie...

- To też już ci mówiłem. Na półwyspie Batangan.

- Rzeczywiście - przyznałem. - Po prostu chcę to sobie wszystko ułożyć po kolei.

Uśmiechnął się i znów zaczął bębnić palcami po obręczy koła.

- Doskonale - powiedział. - Ja też chcę, żebyś wszystko zapisał jak trzeba.
- Pamiętasz nazwiska innych ludzi z oddziału?
- Nie. Jak powiedziałem, tylko przydomki. Dziwne, co?

Wzruszyłem ramionami i zmieniłem temat.

- Gdzie on się nauczył władać ręczną bronią?
- Nie wiem. Ale pamiętam, że zawsze miał przy sobie pistolet. Wielką czterdziestkępiątkę, taką samą, jakiej używa teraz. Pewnie kupił w Sajgonie na czarnym rynku. Widzisz, wykonywaliśmy misje, które tam się nazywały „znajdź i zniszcz”, więc wszyscy zawsze starali się mieć przy sobie coś, co pomogłoby im wyostać się z trudnego położenia. Ten facet wierzył w czterdziestkępiątkę. Wiem, że kilku innych też miało pistolety. Czasami, gdy nie byliśmy na moczach albo w dżungli, po południu siadał przy granicy obozu i bawił się strzelaniem do palm kokosowych, ptaków, do wszystkiego.
- Czy ktoś go spytał, dlaczego to robi?

— Nie. Jak już ci mówiłem, był dziwny. Stuknięty. Wszyscy, nawet dowódca, zostawiali go w spokoju. W końcu nie robił nic takiego, nikomu nie wyrządził krzywdy. Poza tym zawsze zgłaszał się na ochotnika na wszelkiego rodzaju gówniane akcje, na przykład na przetrząsanie okolicy. Ja się nie zgłaszałem. Co to, to nie. Chciałem zachować cały tyłek. Tak więc póki on szedł na ochotnika i jak długo brał nocną wartę, po prostu nie wtrącaliśmy się do niego i pozwalaliśmy mu żyć tak, jak mu się podobało.

- Wiesz, co się z nim później stało?
- Słyszałem tylko plotki. Jedni mówili, że zginął, inni, że wyleciał z wioski, jeszcze inni, że zwariował. Ktoś mi opowiadał, że zastrzelił kilku wieśniaków, a potem tylko stał i śmiał się, śmiał się tak długo, aż przyszli po niego. Myślę, że nigdy się tego nie dowiemy. Wojsko nie chwali się takimi bohaterami jak ja, którym strzelają w tyłek podczas snu, ale jeszcze mniej mówi o ludziach, którzy zwariowali. Po prostu odsyła się ich do kraju i trzyma gdzieś w ukryciu.

Kiwnąłem głową na znak, że rozumiem, o co mu chodzi, a on jeszcze przez chwilę mruczał pod nosem:

- Był dziwny, bardzo dziwny.
- No dobrze - odezwałem się w końcu. - Opowiedz mi o tym incydencie.

Westchnął głęboko i zaczął opowiadać:

- Było cholernie gorąco. Pamiętam to doskonale. Upał przygniatał nas do ziemi tak jak teraz, tutaj, w mieście. W ogóle nie mieliśmy czym oddychać. Jak już ci mówiłem, wykonywaliśmy misje „znajdź i zniszcz”. - Roześmiał się. - Numer dziesięć. Te świnię tak to właśnie nazywały. I to było okropne, najgorsze, co można sobie wyobrazić. Rano poleciliśmy helikopterem nad oznaczony cel. Szkoda, że nie miałeś okazji latać jedną z tych maszyn. Pilot bał się tak samo jak my. W jednej chwili jeszcze wisieliśmy w powietrzu, kilka tysięcy stóp nad ziemią, a w drugiej już się ześlizgiwaliśmy w rejon lądowania. Silnik warczał, strzelec pokładowy siedzący w otwartych drzwiach krzyczał, kłął i strzelał ze swojej pięćdziesiątki najszybciej i najdalej, jak mógł, dosłownie siekał dżunglę na drzazgi.

Wiesz, co w Wietnamie było naprawdę najdziwniejsze? Ciągłe strzelaliśmy do czegoś, co tak naprawdę wcale nie istniało. To *znaczy*, gdy dolatywaliśmy do rejonu lądowania, wszyscy mieli już puste magazynki, bo wystrzelali je do wyimaginowanego wroga, kryjącego się w zaroślach. W nocy artyleria waliła nam nad głowami, by ustalić współrzędne na wypadek, gdybyśmy zostali zaatakowani w ciemnościach. Ale nigdy nikt nas nie atakował. No, prawie nigdy.

Tamtego dnia w rejonie lądowania nikt do nas nie strzelał, co uszczęśliwiło chłopców z helikoptera. Szybko zawrócili i odlecieli, zostawiając nas samych. Nasze zadanie polegało na przeczesaniu dwóch obszarów. Druga kompania szła z innego punktu i mieliśmy się spotkać w jakiejś wiosce figurującej na mapie. Nam kazano przejść przez pola ryżowe i zniszczyć wszystko, co nawinęłoby się nam pod strzał. To był jeden z tych idiotycznych pomysłów, które wyglądały dobrze na papierze, w kwaterze głównej, ale w terenie absolutnie się nie sprawdzały. Pamiętam naszego dowódcę, O'Shaughnessy'ego. Chryste, to był typowy Irlandczyk. I wielki chłop, co najmniej metr osiemdziesiąt, jakieś sto dwadzieścia kilo żywej wagi. Każdy natychmiast spełniał jego rozkazy. Miał też paskudny charakter. Zawsze się dziwiłem, że nikt go nie zdmuchnął podczas którejś z bitew. Ale jedno muszę mu przyznać: gdy zostałem ranny, powiedział pilotowi helikoptera, że oboiście go zastrzeli, jeżeli mnie stąd bezpiecznie nie wywiezie. Tak więc chyba nie powinienem narzekać.

Więc, jak mówiłem, helikoptery zrzuciły nas pośrodku ryżowiska i zaraz widzieliśmy już tylko ich ogony, gdy uciekały prosto w słońce. Zebraliśmy się wokół O'Shaughnessy'ego. Pamiętam, że czułem się tak, jakbym tam był zupełnie sam, a przecież staliśmy zbici w ciasną grupę, każdy miał broń, przez radio można było wezwać pomoc. Jednak nigdy nie potrafiłem pozbyć się tego wrażenia, że zostałem porzucony, że samotnie dryfuję na morzu. Wiesz, tak samo musiał się czuć Robinson Crusoe. I było tak cholernie gorąco. Już po kilku sekundach wszyscy topiliśmy się we własnym pocie, wielkie krople spływały spod hełmu na czoło i oczy. Ale gdy w jednej ręce trzymasz karabin, a drugą musisz się podpierać, żeby utrzymać równowagę, nawet nie ma jak wytrzeć twarzy. Widziałem, jak chłopaki wariują od upału, siadają tyłkami w błocie ryżowiska, wśród pijawek, i odmawiają pójścia dalej. Słońce czasami bywało jeszcze okropniejsze niż to, co nam robił Wietkong.

Porucznik podzielił nas na dwa oddziały. Jeden wziął pod swoją komendę, drugim miał dowodzić sierżant. Kazano nam zachować odległość na niecałe pół kilometra, ale, do diabła, to się nigdy nie udawało. Na przykład jeden oddział mógł ugrzęznąć w bagnie, a drugi wysforował się do przodu. Człowieku, moim zdaniem to było jedno wielkie szaleństwo. No więc ruszyliśmy. Było nas dwunastu. I, jak zawsze, bardzo szybko zaczęliśmy się ślizgać po gównie. Pamiętam ten ranek jak przez mgłę. Nie różnił się niczym od wielu innych, jakie przeżyłem w Wietnamie. I tak było do chwili, aż doszliśmy do wioski. Wtedy wszystko się zmieniło.

Zamilkł i zapalił kolejnego papierosa. Jego oczy zza szkieł okularów śledziły smugi dymu unoszące się z popielniczki.

- My dotarliśmy do wioski pierwsi, sporo przed drugim oddziałem. Usie dliśmy na brzegu dżungli, żeby poczekać na kolegów. Nawet wygodnie się zło żyło, bo potrzebowaliśmy chwili wytchnienia. No dobrze. Facet, o którym ci opowiadałem, ten, co tak chętnie strzelał i zabijał, jak zwykle szedł pierwszy. Kiedy znaleźliśmy się w pobliżu wioski, on już siedział, oczywiście w takim miejscu, żebyśmy się do niego z nadto nie zbliżyli, i przez krzaki przyglądał się chatom. Wszystko działało się jak zawsze. Tyle że on w pewnej chwili gwałtownie poderwał się na nogi i podszedł do nas.

- Coś tam się rusza - powiedział. - Chyba dzieciak z AK.

Wszyscy chwyciliśmy mocniej karabiny i też zaczęliśmy obserwować. Pamiętaj, że facet nawet w nocy potrafił wypatrzeć każdy, choćby najbardziej niewyraźny kształt, więc mu uwierzyliśmy. A zapamiętałem tę chwilę, bo stał tak nad nami, plecami do słońca, i musiałem osłonić oczy ręką, żeby widzieć jego twarz.

Zaczęliśmy dyskutować, co teraz trzeba zrobić. Każdy miał własne zdanie. Większość chciała czekać, aż przyjdzie porucznik z drugim oddziałem, ale sierżant - który był zawodowym żołnierzem i, jak sądzę, tylko marzył o awansie, orderze albo czymś takim - postanowił działać. Następna rzecz, jaką pamiętam, to fakt, że rozciągnęliśmy się w tyralierę i, czołgając się, ostrożnie podchodziliśmy do wioski. A gdy już się w niej znaleźliśmy, skradaliśmy się od chaty do chaty, jak na filmie. Tyle że w przeciwieństwie do aktorów, my byliśmy przerażeni. Naprawdę przerażeni.

Ta wioska była maleńka, jak pryszcz na tyłku świata. Najwyżej sześć chatynek, nawet trudno było to nazwać wioską. Tak więc obejście jej nie zabrało nam wiele czasu, chociaż poruszaliśmy się bardzo ostrożnie z powodu dzieciaka, którego widział nasz Sowa.

Hilson przejechał ręką po włosach i zaciągnął się papierosem. Potem zaczął bębnić palcami po boku fotela. Może pragnął zwiększyć tempo, w jakim słowa płynęły w zatechłe powietrze mieszkania.

- Jeszcze nigdy nikomu o tym nie mówiłem - powiedział. - Nie chcę, by zaciągnięto mnie do sądu, jak tego frajera Calleya.

Skinąłem głową.

- Rozumiem - uspokoiłem go. - Nie opublikuję twojego nazwiska.

- No właśnie. O to chodzi.

I podjął opowiadanie.

- Zebraliśmy się na drugim końcu wioski. Sierżant wystawił wartę, a dwóch ludzi wysłał w kierunku, z którego przyszliśmy, żeby tam czekali na drugi oddział. Byłem zdenerwowany. Zresztą wszyscy byli. Chyba z powodu upału. A po za tym mówiono nam, że w tym rejonie Wietkong jest naprawdę mocny. Po wiedziano nam jeszcze, że pewnie się na nich natkniemy, więc każdy, kogo zobaczymy, powinien być potraktowany jak wróg. Tak więc sądzę, że należało się spodziewać tego, co się potem wydarzyło.

Ostrzegano nas na szkoleniach: „Nie wierz nikomu! Uważaj na siebie zawsze, nawet jeżeli zobaczysz trzęsącego się staruszka. Strzeli do ciebie, ledwo

zdążysz odwrócić się do niego plecami. Wyrwie ci jaja, gdy się do niego uśmiechniesz. Albo do niej". Ale co my tam mogliśmy wiedzieć. Szliśmy w ciemno nawet wtedy, gdy wysyłali z nami dezertarów z Wietkongu albo kogoś z Południa. Oni bali się tak samo jak my i gdy tylko widzieli, że coś się rusza, zaraz krzyczeli, żeby strzelać. Nie byli dla nas żadną pomocą. A tamtego dnia nie mieliśmy ze sobą nawet takiego przewodnika.

Tak więc ustawiliśmy w szeregu wszystkich mieszkańców wioski. Było ich w sumie dziewięcioro. Starcy, staruszki, bardzo młode kobiety i dzieci. Żadnego młodego mężczyzny. Jeden staruch trochę mówił po angielsku. Pamiętam, jak siedział i kiwał głową, w górę i w dół. „Nie ma Wietkongu, powtarzał, nie ma Wietkongu”. Sierżant wrzeszczał: „Bzdura! Bzdura!”, a Sowa ciągle na nowo mówił, że jest pewny tego, co zobaczył. Stał przed starcem z ręką na czterdziestcepiątce. Zwykle nosił ją w kaburze pod pachą, osłoniętą bluzą. Ale teraz trzymał pistolet w rękę i bawił się bezpiecznikiem.

Sierżant wrzasnął, żebyśmy przeszukali chaty. Zaraz zaczęliśmy je rozwalać, wściekli, bo było nam okropnie gorąco, a poza tym baliśmy się. I jak zwykle, któryś z nas znalazł karabin, ukryty na krokwi pod strzechą. I wtedy to już naprawdę się wystraszyliśmy.

Sierżant ciągle jeszcze krzyczał na starego, a ten tylko powtarzał: „Nie ma Wietkongu”, nawet gdy potrząsaliśmy mu pod nosem kałasznikowem. Reszta wieśniaków wydawała się bardzo przestraszona. Małe dzieci płakały, niemowlę zawodziło. Pamiętam, że podszedłem do Sowy i powiedziałem. „Chyba miałeś rację”, a on tylko pokiwał głową i uśmiechnął się. Sierżant miał już dać staremu spokój, gdy Sowa zaproponował: „Ja się tym zajmę”. Sierżant wzruszył ramionami i powiedział: „Rób, co chcesz”.

Sowa podszedł do dziewczyny, która siedziała na ziemi, trzęsąc się ze strachu. Chwycił ją mocno za ramię i postawił przed starym. Odwiódł kurek pistoletu i mówi: „Gdzie jest Wietkong?” A gdy stary nadal tylko kiwał głową, naciśnął spust.

Następną rzeczą, jaką pamiętam, jest głośny strzał z tej pieprzonej czterdziestki-piątki. W końcu okazało się, że była załadowana. A dziewczyna po prostu upadła do przodu, prosto pod nogi starego. Pistolet odstrzelił jej pół głowy. Pamiętam to, jakby to był namalowany obrazek. Na starego kapnęło trochę krwi i mózgu. Widziałem, jak w tym momencie jego twarz się wykrzywiła. Przez głowę musiały mu przebiegać najrozmaitsze myśli - przede wszystkim, jak mi się wydaje, strach - ale siedział wyprostowany i tylko kiwał się, powtarzając bez przerwy, jak jakaś cholerna zepsuta płyta: „Nie ma Wietkongu, nie ma Wietkongu”. Sierżant popatrzył na Sowę jak na szaleńca i wydaje mi się, że jego ocena była słuszna. Ale ten facet niczym się nie przejął. Stał z kamienną twarzą i przez chwilę patrzył staremu prosto w oczy. W jego spojrzeniu malowała się śmierć. Potem powoli zbliżył się do wieśniaków i wyciągnął z grupki wiekowe małżeństwo. Spojrzał na starego, ale ten tylko powtarzał: „Nie ma Wietkongu”. Wtedy ta pieprzona czterdziestki-piątka znów wystrzeliła: bum! bum! - i oboje, mężczyzna i kobieta, zwalili się na ziemię. Pamiętam, jak ich krew mieszała

się z piaskiem. A my tylko staliśmy i patrzyliśmy na to. Chcę powiedzieć, że po prostu zastęgliśmy, nikt nie mógł się poruszyć. Ale i tak nie sędzę, bym wtedy chciał powstrzymać Sowę. Był jedyną osobą, która w ogóle robiła cokolwiek. Przypominało to jakiś okropny nocny koszmar.

Słuchaj, wcale nie jestem z siebie dumny. Do diabła, wcale. Ale musisz zrozumieć. Tamtego dnia wszyscy byliśmy trochę szaleni. Może od słońca, od pieprzonej dżungli, od pieprzonych ryżowisk. Nie wiem. Gdy myślę o Wietnamie, zawsze jako pierwsze przychodzi wspomnienie słońca. Wszyscy wtedy byliśmy na krawędzi obłądzenia. I chyba właśnie dlatego nikt go nie powstrzymał.

Zamilkł. Jego oczy, ukryte za żółtymi szklami, patrzyły w biały sufit.

- Potem złapał jakąś matkę z dzieckiem. Nikt się nie poruszył. Bum! - wybuchnęła czterdziestapiątka. I wtedy usłyszałem, jak facet się cicho śmieje. Zupełnie jakby po prostu robił wszystko, by sprawa posuwała się do przodu. Jakby to była jakaś gra. „Gdzie jest Wietkong?” - spytał i znów się roześmiał.

Ale zanim stary zdążył odpowiedzieć, sami już to odkryliśmy.

Nagle gdzieś z obrzeża wioski rozległ się ten odgłos. Człowieku, jeżeli raz usłyszysz strzał z moździerza Wietkongu, nigdy już go nie zapomnisz. No więc z tyłu zahuczało - whump! i zobaczyliśmy, jak rozlatuje się jedna z chat. Pamiętam, że Sowa nadal się śmiał. Podniósł swój M-16, a wszyscy pozostali krzyczeli, żeby szukać sobie jakiejś kryjówki. Biegliśmy w kierunku, z którego miał nadejść porucznik z drugim oddziałem. Ale gówno! Stamtąd też strzelano. Powietrze wypełniło się hukami moździerzy. Ja też biegłem, nie wiedząc dokąd. Ale pamiętam jedną rzecz: gdy się odwróciłem, zobaczyłem, że wszyscy wieśniacy nie żyją i leżą na jednym stosie. Żyło tylko niemowlę, dziecko kobiety, którą Sowa zabił wcześniej. Zawodziło i krzyczało. Słyszałem je przez minutę, a może tylko przez sekundę? Potem zrobiło się za głośno.

Wszyscy wycofywaliśmy się na polankę. Pamiętam, że radiowiec wrzeszczał do porucznika, a porucznik kazał nam się cofać do niego. Potem powiedział jeszcze, że wzywa bombowce. Widzisz, jakie to było proste? Zawsze tak się działo. Prerażona garstka naszych uciekała z wioski ostrzeliwując się, a potem zaraz słyszało się warkot silników bombowców. Wtedy też nie upłynęło wiele czasu, zanim do naszych uszu dotarł wysoki dźwięk motorów Phantomów, lecących kilkaset stóp nad ziemią. Tamtego dnia przyleciały cztery. Widziałem je na tle słońca. Promienie odbijały się od skrzydeł, wyglądały jak zapalone lampy. Samoloty zrzuciły ładunek bomb i cała wioska została zdmuchnięta z powierzchni ziemi, zupełnie jakby nigdy jej tu nie było. I jeżeli nawet do tamtej chwili istniały jakieś dowody na to, co zrobił Sowa, teraz poszły z dymem.

Znów zamilkł na długą chwilę. Chyba rozmyślał o tym, co wtedy się stało.

- CTShaughnessy zwołał odprawę i pytał każdego z nas po kolei, co wi dział i co robił. Wszyscy wskazywaliśmy Sowę. I wiesz, co w tym było najdziwniejsze? Nikt nie skłamał. Wszyscy mówili porucznikowi prawdę. I zgadnij, co było potem? Porucznik nikomu tego nie powiedział. Nikomu. Podeszedł do sierżanta i chwilę rozmawiał z nim przyciszonym głosem. Podśledzałem,

jak mówi: „Pieprzyć to. Kogo to obchodzi?” A sierżant tylko skinął głową. Tydzień później został odkomenderowany do Sajgonu. A ja oberwałem w tyłek. I tak to się dla mnie skończyło.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu.

- Nie było śledztwa? - spytałem w końcu.

Pokręcił przecząco głową.

- Żadnych raportów?

Znów zaprzeczenie.

- A porucznik?

- Słyszałem, że zginął. Podobno od bomby rozpryskowej. Zresztą kto wie, co mogło się z nim stać?

W mojej wyobraźni fragmenty jego opowiadania wirowały jak w kalejdoskopie. Dziewczyna. Stare małżeństwo. Kobieta z niemowlęciem. Wszystko się układało w całość.

- Chciałbym to sobie jakoś uporządkować - powiedziałem. - Gdy odwróciłeś się, zobaczyłeś, że wszyscy wieśniacy nie żyją, tak?

Skinął głową, wbijając we mnie spojrzenie.

- Jak umarli?

- Nie rozumiem.

- Chcę wiedzieć, czy to ten facet ich zastrzelił, czy też zostali wzięci w krzyżowy ogień, czy może zginęli od granatów moździerzowych.

- To takie ważne? I tak już nie żyli.

- Tak, to ważne - upierałem się. - Bardzo ważne.

Aż mi się w głowie zakręciło od wniosków, jakie wyciągnąłem z jego opowiadania. Jeżeli Hilson mówił prawdę, to morderca albo już skończył swoją serię zabójstw, albo dopiero zaczynał. A tylko ja o tym wiedziałem. Ogarnęło mnie podniecenie.

Hilson wahał się, przeczesał palcami włosy.

- Człowieku, tego nie wiem na pewno, ale chyba rozumiem, o co ci chodzi. Zastanawiasz się, co on teraz robi, prawda? Nie mogę ci pomóc. Z tego, co się wydarzyło później, pamiętam tylko, że już pierwszy strzał z moździerza całkiem mnie oszołomił, a potem już od razu helikopter wznosił się w powie trze. Wiesz, w takiej sytuacji człowiek nie ma czasu obserwować otoczenia.

Znów zamilkł.

- Jednak pamiętam ciała, wszystkie skupione w jednym miejscu. Zupełnie jakby ktoś puścił po nich serię z automatu. Ale nie wiem, kto to zrobił, bo kule leciały ze wszystkich stron. Każdy mógł to zrobić.

Zalala mnie fala rozczarowania, ale zaraz pomyślałem, że Hilson i tak wiele wyjaśnił. I mimo że nie mieliśmy jeszcze odpowiedzi na najważniejsze pytanie, bardzo się do niej przybliżyliśmy. Próbowałem sobie wyobrazić tych wieśniaków, leżących w kałużach krwi, ale nie potrafiłem. A przynajmniej nie tak, jak widział ich człowiek siedzący przede mną.

- No więc - odezwał się - teraz wiesz więcej o mordercy. - Uśmiechnął się, pokazując rząd równych zębów. - Jesteś zadowolony?

- Tak - przyznałem. Spojrzałem na swoje notatki. Trudno było je czytać w tym zadymionym, słabo oświetlonym pokoju, ale wiedziałem, że tu właśnie znajduje się początek końca. Zaczynałem rozumieć, dlaczego on zabija w tej właśnie kolejności. W myślach już pisałem artykuł, dzieliłem tekst na akapity, wymyślałem tytuł, ustalałem rozkład kolumn na pierwszej stronie. Wzięłem głęboki oddech i wstałem.

Hilson odprowadził mnie do drzwi. Uścisnęliśmy sobie ręce, jego dłoń była śliska i wilgotna. Było już późne popołudnie. Minąłem próg, ale jeszcze się odwróciłem. Bawił się zasuwą, nerwowo otwierał ją i zamykał.

- Przyznasz, że bardzo ci pomogłem - powiedział.

- Tak - odparłem. - Oczywiście.

- To dobrze.

Podniosłem rękę w ostatnim pożegnaniu, i przypomniałem sobie najważniejsze pytanie, które tak głupio pominąłem.

- Słuchaj, jeszcze ostatnia sprawa. Potrzebuję kogoś, kto potwierdzi twoje słowa.

Wzruszył ramionami.

- Może zwróć się do Boga, chociaż nie sądzę, by specjalnie interesował się tym, co działo się w Wietnamie.

Potem zatrzaskał drzwi i usłyszałem, jak zasuwę wślizguje się na swoje miejsce.

Rozdział piętnasty

Oczywiście był to główny artykuł wydania. Nagłówek, obwieszczaający: NAOCZNY ŚWIADEK WSPOMINA „WYDARZENIE”, O KTÓRYM MÓWI MORDERCA, rozciągnięty na całą szerokość strony, znajdował się zaraz pod tytułem gazety, tak jak to się już zdarzało tyle razy, odkąd zacząłem o tym pisać. Siedziałem w szlafroku przy kuchennym stole i przebiegałem wzrokiem tekst, czując narastające podniecenie. Wiedziałem, że potrząsnąłem drzewem, a teraz trzeba już tylko czekać, aż wibracje wprawia pień w ruch i dojrzały owoc spadnie mi prosto w ręce.

Byłem sam. W półświetle letniego świtu Christine nago wysliznęła się z łóżka. Miała dziś poranny dyżur na chirurgii. Gazetę, ciągle jeszcze w opasce, położyła na stole. Wczoraj wieczorem czekała prawie całą noc, aż wrócę do domu po zamknięciu numeru.

Opowiedziałem jej o wszystkim, co się wydarzyło. Mówiłem chodząc nerwowo po mieszkaniu, podczas gdy ona siedziała z rękami złożonymi na brzuchu i cierpliwie słuchała. Rzadko się odzywała, natomiast ja co chwila milkłem, sam sobie zadawałem pytania i wypowiadałem komentarze. Było to tak, jakbym usiłował uprzedzić pytania, które ona może formułowała w myślach.

Powiedziałem jej też o tym, jak się spieszyliśmy, żeby zdążyć przed zamknięciem numeru. Nolan wysłuchał pierwszych kilku zdań z taśmy, a potem

rekonstrukcji rozmowy, której dokonałem na podstawie notatek. On także był podniecony, ale nalegał, że musimy mieć potwierdzenie od innej osoby. Zatelefonowałem więc do biura informacji w Pentagonie, by dowiedzieć się, czy w ich rejestrach figurują nazwiska Hilson albo O'Shaughnessy, i czy tacy ludzie byli w Wietnamie w tym właśnie czasie, ale biuro było już zamknięte. Nolan wahał się z podjęciem decyzji.

- Co by się stało, gdybyśmy przez dzień wstrzymali się z publikacją artykułu? - spytał. - Przecież nic na tym nie stracimy.

- Musimy to zamieścić w jutrzejszym wydaniu- argumentowałem- bo inaczej facet może pójść na policję albo do telewizji, albo nawet zniknąć. Chcę, żeby artykuł ukazał się jutro.

Nolan w końcu się zgodził, ale zawarliśmy kompromis: zachowam w tajemnicy tożsamość informatora, numer jednostki i nazwisko oficera dowodzącego. Nie napiszę też, że dowódca wiedział, co się wydarzyło, żeby w razie czego nie wyciągnięto wobec niego konsekwencji.

Usiadłem przy maszynie, przekonany, że to, co napiszę, wypłoszy mordercę z kryjówki, jaką sobie urządził w mieście. Miałem też nadzieję, że artykuł naruszy rytm morderstw i że teraz, gdy już tyle wiemy, facet dwa razy się zastanowi, zanim podejmie dalsze działania.

Jednak Christine była do tego nastawiona sceptycznie.

- Na odwrót, będzie się bardziej spieszył - powiedziała.

Gdy poszliśmy do łóżka, okazała się niechętna, nie odpowiadała na moje pieszczoty, ale wybuchnąłem w niej, a potem ześliznąłem się z jej ciała. Zasnąłem prawie natychmiast, ale jeszcze poczułem, jak odwraca się do mnie plecami.

Martinez zadzwonił w połowie przedpołudnia. Spodziewałem się tego telefonu.

- Jedziemy do ciebie - zapowiedział.

Miałem nadzieję, że morderca także zadzwoni. Ranek minął mi szybko. Przyjmowałem gratulacje od kolegów i wydawcy, zatelefonowałem do biura informacji w Pentagonie, a oni obiecali, że natychmiast sprawdzą te dwa nazwiska i zaraz oddzwonią.

Nolan czekał na detektywów razem ze mną. Poprzedniej nocy, gdy zacząłem mu opowiadać o człowieku w fotelu inwalidzkim, podniósł ręce w obronnym geście.

- Nie chcę wiedzieć - powiedział. - Policja może mieć nakaz, a ja wołał bym nie znaleźć się w przymusowej sytuacji. To twój informator i ty musisz go chronić. Gazeta cię poprze. Mam nadzieję, że to będzie proste.

Roześmieliśmy się obaj.

Egzemplarz gazety leżał na moim biurku. Nolan wziął go do ręki i przeczytał na głos: „Działo się to jakieś pięć lat temu, pod pałącym słońcem południowego Wietnamu, w wiosce kontrolowanej przez Wietkong. Dziewięć osób:

mężczyzn, kobiet i dzieci, zostało zastrzelonych przez amerykański oddział podczas «incydentu», którego konsekwencją jest obecna seria morderstw w Miami. Opowiedział nam o tym weteran wojenny, inwalida, który był naocznym świadkiem zdarzenia".

- Naoczny świadek - powtórzył Nolan. - Wspaniałe słowo na początek. Dzięki niemu nikt nie wątpi w wiarygodność tekstu.

Przeleciał wzrokiem kilka akapitów, a potem znów zaczął czytać na głos: „Boję się - powiedział świadek, gdy zaczął opowiadać o tym okropnym wydarzeniu, które jego zdaniem dało początek obecnej serii morderstw w Miami. Świadek, którego nazwisko jest znane redakcji, opowiedział o wszystkim niezwykle szczegółowo. - Do diabła - zakończył - nie jestem dumny z tego, co zrobiliśmy".

Nolan przerwał lekturę i spojrzął na mnie.

- Policjanci dostaną szału, gdy to przeczytają. - Skinąłem głową. - Zaraz powinni tu być. - Odszedł na chwilę, by załatwić telefony przy swoim biurku.

Wiedziałem mniej więcej, co czeka mojego informatora. Teraz, gdy artykuł został opublikowany, wróć do niego, a on zgodzi się na rozmowę z policją. To się zawsze dzieje w ten sposób. Gdy już raz ktoś o wszystkim opowie, nie ma obiekcji przed powtarzaniem tego nawet sto czy tysiąc razy, bo zaczyna czuć się bezpiecznie, wyobraźnia przestaje wyolbrzymiać wspomnienia.

Od Hilsona dowiemy się nazwisk i adresów żołnierzy z oddziału. Po raz pierwszy od chwili, gdy to wszystko się zaczęło, można było mieć nadzieję, że cała sprawa powoli zaczyna dobiegać końca. To już tylko kwestia czasu. Pamięć Hilsona wypłoszy mordercę z jego kryjówki na światło dnia. I to ja tego dokonałem. Czułem się tak, jakbym wygrażał pięścią wszystkim lękom, które męczyły mnie w życiu: wzbudzonym przez rodzinę, przez Christine. Uśmiechnąłem się.

- Już tu są. - Nolan wyrwał mnie z zadumy.

W chwili gdy ruszaliśmy policjantom na spotkanie, zadzwonił telefon. Popatrzyłem na aparat, zastanawiając się, czy odpowiedzieć, potem spojrziałem na Nolana

- Pójdę do nich sam - zaproponowałem.

Tak więc włączyłem magnetofon i podniosłem słuchawkę.

Staram się przypomnieć sobie te chwile, ale wszystko zakrywa mgła. Zastanawiam się, kiedy utraciłem tę odrobinę kontroli nad wydarzeniami, jaką miałem do tamtej pory. I chyba stało się to właśnie wtedy, bo w tamtym momencie uświadomiłem sobie, że ściany pokoju otaczają mnie jak więzienny mur, że coś mnie ciągnie za nogi i wsysa na dno stawu, pod powierzchnię.

Telefonał oficer z biura informacji w Pentagonie. Mówił sztywnym, wojskowym językiem, wystrzeliwując słowa jak z karabinu.

- Sir - powiedział. - Osobiście sprawdziłem te nazwiska.
- I?
- Nie znalazłem ich, sir.
- Co pan przez to rozumie? - Poczulem nagle, że na czole perli mi się pot.
- Sprawdziłem listy nazwisk i jednostek. Ustaliłem, że oddział, o którym pan mówił, rzeczywiście wykonywał w tamtym czasie misje „znajdź i zniszcz” w wymienionym przez pana rejonie. Ale na liście żołnierzy tego oddziału nie figuruje ani nazwisko starszego szeregowego Hilsona, ani porucznika Petera O' Shaughnessy'ego.

- Nie należeli do tej jednostki?
- Nie. Potem sprawdziłem listę rannych podczas walk w tym okresie. Ale tam ich nazwiska również nie figurują.

Zastanowiłem się.

- Może chodzi o inny okres?

- Być może, sir. Jednak przejrzałem rejestry na parę miesięcy w przód i w tył. Może też tak być, że podał pan niewłaściwy rok. Jednak wątpię, by w innym okresie w tamtym rejonie działała ta sama jednostka. Jak pan zapewne wie, jednostki były dość często przenoszone z miejsca na miejsce.

- Rzeczywiście, wiem - odparłem. Usiłowałem przetrwać jego słowa.

- Mogę pana o coś zapytać? - spytał oficer z Pentagonu.

- Proszę.

- Czy pańskie poszukiwania mają coś wspólnego z morderstwami w Miami?

- Tak. Mają z nimi wiele wspólnego.

- Zrobię, co będę mógł - obiecał oficer. — Sir, obawiam się, że nie okazałimy się zbyt pomocni. Ale jeżeli będzie pan miał inne dane do sprawdzenia, proszę zaraz do mnie dzwonić.

- Dziękuję-powiedziałem.

- Nie ma za co — rzekł i rozłączył się.

Popatrzyłem na gazetę leżącą na moim biurku. To wszystko jest kłamstwem, pomyślałem. Wziąłem głęboki oddech, by zwalczyć mdłości. Wyszedłem zza biurka i spojrzałem w stronę sali konferencyjnej. Przez szybę zobaczyłem czekających na mnie detektywów.

Usiadłem obok Nolana i wsunąłem mu do ręki karteczkę, na której przedtem napisałem: „Pentagon nie ma na swoich listach ani Hilsona, ani O' Shaughnessy'ego”. Podkreśliłem „nie ma” potrójną kreską. Oczy Nolana rozszerzyły się ze zdziwienia i spojrzał na mnie tak, jakby nie rozumiał nagłego zwrotu wydarzeń. Ale nie miał czasu, aby cokolwiek powiedzieć, ani by wyciągnąć mnie na chwilę z pokoju i zażądać wyjaśnień, bo Wilson już walił otwartą dłonią w stół.

- Graliśmy z wami uczciwie! - krzyczał. - A teraz dokonaliście przełomu, wielkiego przełomu, i trzymacie nas w niewiedzy! Powiniennem was aresztować za utrudnianie śledztwa!

- Niech pan posłucha - spróbowałem go zmitygować. - Jest pewien kłopot...

- Jasne! To pan wpadł w kłopoty. Po mieście chodzi seryjny morderca, wy macie klucz do rozwiązania sprawy, a nawet nie jesteście na tyle uprzejmi, by zadzwonić do nas! Co za banda cholernych hipokrytów! - Odepchnął się, z krzesłem od stołu. — Chcę wiedzieć wszystko! - krzyknął. - Niczego nie wolno wam ukrywać. Do diabła, przecież możemy go zaraz złapać. Nawet już dziś! Gdzie mieszka ten inwalida? Muszę go dorwać!

Martinez wszedł mu w słowo. Też był zdenerwowany, ale potrafił się opanować.

- Mamy przeczucie, że ten człowiek może nas naprowadzić na ślad mordercy. Jeżeli to się okaże konieczne, za pół godziny wrócę tu z nakazem sądu wym. Ale chyba nie chcecie nas do tego zmuszać. Postępowaliśmy wobec was uczciwie — mówił, patrząc najpierw na mnie, a potem na Nolana. - Teraz przyszła wasza kolej na to, by postąpić uczciwie z nami.

— Jest pewien kłopot — powiedział Nolan.

- O co panu chodzi? - spytał Wilson, pochylając się w moją stronę.

Nolan też spojrzął na mnie.

- Powiedz im — nakazał.

Zawahałem się, szukając odpowiednich słów, a potem im powiedziałem:

- Dziś rano skontaktowaliśmy się z Pentagonem. Nie znaleźli w swoich rejestrach nazwiska informatora. Nie mają również nazwiska dowódcy od działu.

Wilson zerwał się z krzesła.

- Chryste! - zaklął.

— Nie rozumiem - zdziwił się Martinez.

- Ten facet podał mi fałszywe nazwisko, a właściwie kilka fałszywych nazwisk. Teraz już nie wiem, co jeszcze w jego opowiadaniu było kłamstwem.

- Czyli przed opublikowaniem artykułu nie pofatygowałeś się, by sprawdzić, czy mówi prawdę? - zdziwił się Martinez.

- Próbowałem.

- Nie na wiele się to zdało.

Przez chwilę w pokoju panowała cisza. W końcu przerwał ją Nolan:

- To znaczy, że nie mamy już obowiązku chronić informatora. Jeżeli kłamał, nie musimy trzymać jego nazwiska w tajemnicy

- Podaj nam jego dane - rozkazał Martinez, wyjmując notatnik. Wilson wpatrywał się we mnie bez słowa.

Zacząłem opowiadać całą historię od początku. Mówiłem, jak jechałem przez miasto do średniejskiego getta, jak wchodziłem po schodach, jak wszedłem do mieszkania informatora.

- Chwilę - przerwał mi Wilson. Zamilkłem w połowie zdania. Martinez spojrzął na swojego partnera tak, jakby się zastanawiał, co mu chodzi po głowie.

- Ten człowiek używa fotela inwalidzkiego, bo ma złamany kręgosłup? - upewnił się Wilson.

- Tak.
- Na którym piętrze mieszka?
- Na trzecim.
- I powiedział, że codziennie jeździ do szpitala?
- Tak powiedział - przyznałem.

No i wtedy sprawy nabrały szalonego tempa.

Wilson na sekundę zastygł w krześle, przygwoździł mnie wzrokiem, a potem nagle, bez ostrzeżenia, zerwał się na równe nogi i chwycił mnie za koszulę. Jednym ruchem podniósł mnie do góry i przycisnął do stołu, tak że patrzyłem prosto w jego wykrzywioną z wściekłości twarz.

- Ty cholerny idioto! - wrzeszczał, pryskając na mnie śliną. - Ty głupcze!
- Puść mnie! - krzyknąłem.

Martinez i Nolan usiłovali oderwać go ode mnie; przez chwilę wszyscy czterej skłębiliśmy się w walce.

A potem Wilson nagle odpuścił. Opałem na krzesło, on usiadł na swoim. Oczy niemal wychodziły mu z orbit i tylko powtarzał: „Cholera, cholera”.

Martinez zaczął go potrząsać za ramię, a Nolan spytał, czy nic mi się nie stało. Poprawiłem koszulę i krawat, skinąłem głową, że czuję się dobrze, i obaj wpatrzyliśmy się w Wilsona.

- Nie rozumiecie? - spytał pozbawionym wyrazu głosem.

I wtedy zrozumieliśmy.

Nolan wypuścił powietrze z płuc i ciężko usiadł na krześle.

Martinez zakrył rękami twarz.

Poczułem się chory, miałem mdłości.

To był on. Prosiłem go o spotkanie, więc się ze mną spotkał.

Panowała godzina szczytu, jak zawsze w porze lunchu. Andrew Porter przeciskał się wielkim samochodem przez zatłkane ulice. Przed nami światło właśnie zmieniało się z zielonego na żółte. Porter przycisnął pedał do dechy i śmignęliśmy przez skrzyżowanie, ludzie w panice uciekali na chodniki. Słyszałem, jak Nolan mruczy jakieś przekleństwa na tylnym siedzeniu. Porter spojrzął we wsteczne lusterko.

- Są zaraz za nami - powiedział.

Odwrociłem się i zobaczyłem Martineza z Wilsonem w ich nie oznakowanym radiowozie. Jechali nam prawie na błotniku. Porter prześliznął się przez zakręt i już byliśmy wśród niskich domów śródmiejskiego getta. Zobaczyłem refleks słońca na samochodzie policyjnym, który wyjechał z bocznej uliczki i ustawił się za Martinezem i Wilsonem.

- Jadą posiłki - skomentował Porter. - Ale po co? - Roześmiał się. - Raczej nie sądzę, by czekał na nas. Byłoby to za bardzo w stylu Jimmy'ego Cagneya z *Białego upału*: „Gliny, chodźcie tu i złapcie mnie!” Nie, tego się po nim nie spodziewam.

Nolan znów zaklął.

Zahamowaliśmy ostro przecznicę przed domem Hilsona. Słyszałem jak opon, gdy samochód policjantów stawał za naszym. Wilson wyskoczył na zewnątrz, zanim jeszcze radiowóz przestał się kiwać.

- Idziemy - zarządził. Gdy już byliśmy w połowie drogi, odwrócił się do Nolana. - Pan tu zostaje. - Wskazał na Portera. - Pan też.

Widziałem, jak policjanci z drugiego radiowozu zajmują pozycje wokół budynku, poza zasięgiem wzroku mieszkańców. Szykowali broń, śrutówki i pistolety lśniły w promieniach stojącego w zenicie słońca. Przypominało to pole bitwy na chwilę przed rozkazem do ataku.

- Chodźmy - powiedział Wilson. - Tylko pan, Martinez i ja.

Weszliśmy na dziedziniec. Od rozgrzanego cementu niósł się żar, otaczając mi nogi jak spirale dymu. Nie widziałem nikogo z ludzi, którzy przy mojej poprzedniej bytności wylegli na dwór. Przeczuli widać, że szykują się kłopoty i rozplynęli się w cieniu, stali się niewidoczni.

Powoli wchodziliśmy po schodach, każdy następny stopień wymagał większego wysiłku.

- Teraz pan rzeczywiście bierze udział w akcji - szepnęła Wilson. - Jak się pan z tym czuje?

Nie odpowiedziałem. Martinez spojrzał na mnie z troską.

- Na pewno chcesz tam wejść? - spytał.

Nie chciałem, ale skinąłem głową, że tak. Detektywi zatrzymali się na podęście, jeszcze raz sprawdzili broń.

- W porządku - powiedział Wilson. - Wchodzimy.

Pamiętałem, co miałem zrobić. Podeszedłem na kilka stóp do drzwi. Zobaczyłem te same głębokie rysy koło zamka. Stałem z boku i głośno zapukałem.

Nie usłyszeliśmy żadnego odzewu.

Znów zapukałem.

Nic.

Obejrzałem się do tyłu na detektywów. Martinez lewą ręką wykonał taki ruch, jakby otwierał drzwi. Położyłem rękę na klamce i nacisnąłem ją.

Drzwi otworzyły się.

Pchnąłem je na całą szerokość. Promienie słońca wdarły się do ciemnego, przypominającego jaskinię mieszkania. Wydało mi się, że dostrzegam jakiś ruch, więc odskoczyłem do tyłu, pod ścianę. W ustach miałem zupełnie sucho. Ale nic się nie poruszyło.

Zawołałem.

Odpowiedziała mi cisza.

Zajrzałem do pokoju. Poruszałem głową bardzo ostrożnie i tak powoli, że na każdy milimetr potrzebowałem sekund, a może nawet minut.

I wtedy zobaczyłem, że promienie słońca odbijają się od jakiegoś przedmiotu stojącego pośrodku pokoju. Trwało chwilę, zanim uświadomiłem sobie, co to jest, ale gdy już wiedziałem, odwróciłem się i przyłgnałem do ściany. Oddychałem ciężko i chrapliwie, w płucach czułem parzące powietrze, jak tonący człowiek wyniesiony nagle na powierzchnię.

To był fotel inwalidzki. Pusty.

Obaj detektywi odepchnęli mnie i z wyciągniętą bronią wkroczyli do mieszkania. Wiedziałem już, że nikogo tu nie ma. Zrozumiałem, jakie przesłanie zostawił nam morderca. Wilson, mrużąc przekleństwa, wrócił do drzwi.

- To ten fotel? - spytał. Skinąłem głową. - A więc już wiemy, że zostawił nam tylko to.

Ale nie miał racji.

Nagle Martinez wydał okrzyk zdziwienia. Wszedłem za detektywami do mieszkania.

- Widzisz? - spytał Martinez, pokazując palcem siedzenie fotela. Pośród ku leżała kasetka.

Wilson przyglądał się jej przez dłuższą chwilę.

- Ma pan swój magnetofon? - spytał.

Wyjąłem przenośny magnetofon z kieszeni marynarki.

- Doskonale — oświadczył. — Posłuchajmy, co ten łobuz ma do powiedzenia. Podniósł taśmę końcem długopisu, bez dotykania jej, i włożył do magnetofonu. Przycisnąłem klawisz odtwarzania i przez moment słyszeliśmy tylko szumy.

A potem rozległ się śmiech.

Trwał nieprzerwanie, nieokiełznany, coraz głośniejszy, przez pół minuty albo minutę, a potem nagle się urwał, pozostawiając w pokoju ciszę i pustkę. Taśma przewijała się w dalszym ciągu, więc wyłączyłem magnetofon. Wszedłem na podest i spojrzałem w górę. Na niebieskim niebie rozszerzała się biała smuga po przelocie wojskowego samolotu. Na podeście, wokół mnie, tłoczyli się policjanci i technicy. Nolan coś mówił, aparat Portera trząsał, gdy ten, stojąc w drzwiach, fotografował pusty fotel inwalidzki. Ale wszystkie te dźwięki dochodziły do mnie gdzieś z oddali. Wreszcie umilkły i słyszałem jedynie hipnotyzujący śmiech.

Nolan siedział przed monitorem komputera, ręce fruwały mu po klawiaturze, marszczył czoło odczytując słowa, które pojawiały się na czarnym tle.

- Cholera - powiedział. Zmienił szyk któregoś zdania, nacisnął klawisz, jedno słowo zniknęło, inne pojawiły się, wskazując na swoje miejsce. - Cholera - powtórzył. Odsunął się od ekranu. - Nie mam pojęcia, jak to powiedzieć. - Pobiegnął wzrokiem przez salę redakcyjną, w kierunku gabinetu wydawcy. Znowu zmarszczył czoło i wrócił do ekranu.

Opisałem policyjny najazd na mieszkanie i to, co zostało odkryte. Surowym dziennikarskim stylem oznajmiłem, że wszystko wskazuje na to, iż mordercą jest właśnie człowiek z inwalidzkiego fotela. Nie rozwodziłem się na ten temat, staraliśmy się tylko krążyć wokół sprawy, by ukryć moją głupotę. Właśnie nad tymi paragrafami męczył się teraz Nolan.

- Kłopot polega na tym - powiedział - że nie wiemy, ile w tym było prawdy. Jak możemy pisać, że wcisnął nam stek kłamstw, skoro nie wiemy tego na pewno? A jeżeli nieprawdziwe były tylko nazwiska? Jak O'Shaughnessy na

przykład? Wyobraźmy sobie, że tylko lekko je zmienił, i że dowódcą w rzeczywistości był jakiś O'Hara, Malone czy inny Irlandczyk. Niech to szlag. - Znów spojrział na ekran i poprawił kilka słów.

- Oni jeszcze czekają - zauważyłem. Martinez i Wilson siedzieli z tyłu po koju redakcyjnego przy pustym biurku i wlepiali w nas spojrzenie. Przyjechali tu po przesłuchaniu administratora budynku i sąsiadów. Nikt nic nie wiedział. Po prostu: zgłosił się jakiś mężczyzna, zapłacił czynsz za tydzień. Potem już go nie widziano. Nosił kapelusz, ciemne okulary. W takich domach nie stawia się pytań, zwłaszcza gdy lokator płaci gotówką i z góry.

- Wiem - odparł Nolan. - Idź z nimi i przynieś rysopis, to zamieścimy go razem z artykułem. Gdy będziesz na komendzie, ja tu pracuję.

Skinąłem głową i dalej patrzyłem, jak bawi się tekstem. Widząc, jak manipuluje moimi słowami, czułem się tak, jakbym ponosił jakąś stratę. To był mój pierwszy artykuł od czasu, gdy zaczęła się ta cała historia, który został tak surowo zaadiustowany. Wydawało mi się, że przestaje być mój, wyslizguje mi się z rąk. Widząc kolejną poprawkę zacząłem coś mówić, ale zrezygnowałem. Po kiwałem detektywom i sięgnąłem po marynarkę, wiszącą na oparciu krzesła.

I wtedy zadzwonił telefon.

Moją pierwszą myślą było: „Oby tylko nie następne morderstwo”.

Ten natarczywy dzwonek brzmiał jak wezwanie, brzmiał uwodzicielsko. Obejrzałem się na detektywów. Patrzyli na mnie. Włączyłem magnetofon i podniosłem słuchawkę.

- Słucham - odezwałem się cicho.

Usłyszałem śmiech.

- To ty! — powiedziałem. Śmiech był głośny. Wydawało mi się, że w po koju ustał wszelki ruch. Martinez i Wilson ruszyli w moją stronę. Nolan prze stał stukać w klawisze.

- A więc - powiedział morderca, urywając gwałtownie śmiech - chciałeś się ze mną zobaczyć. Chciałeś usłyszeć o wojnie. No to usłyszałeś.

- Dlaczego? - spytałem.

Nie odpowiedział na moje pytanie.

- Widzisz - kontynuował - ciebie też można osiągnąć, prawda?

- Do diabła! Dlaczego? - krzyknąłem. — Co ty robisz?

- Nikt nie jest bezpieczny - powiedział. - Byłeś pewien, że tobie nic nie grozi. Tak myślałeś w szkole. Na studiach. Podczas marszów protestacyjnych. Gdy piłeś piwo. Gdy odpoczywałeś. A teraz okazało się, że odroczenie nie trwa wiecznie.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Byłem wściekły.

Mówił cicho, spokojnie, chłodno.

- Ja też studiowałem. Zwyczaję, tryb życia, rozkłady dnia. To zadziwiają ce, jak bardzo nasze życie jest zorganizowane, uporządkowane.

- O czym ty mówisz? - spytałem, próbując się opanować.

- Wystarczy, że ktoś włoży białą marynarkę. Można jeszcze dodać wysta jący z kieszeni stetoskop. I wtedy człowiek staje się niewidzialny, bez trudu

dowiaduje się o czyichś rutynowych zajęciach, a już zwłaszcza osoby na takim stanowisku.

Christine, pomyślałem.

- Więc wyobraź sobie, że ktoś chce spotkać się z określoną osobą, na przykład z pielęgniarką. Będzie wiedział, kiedy wychodzi ze szpitala, kiedy idzie przez parking do swojego samochodu i gdzie na tym parkingu wyznaczono jej miejsce. I wyobraź sobie również, że jej samochód nie chce ruszyć. Skąd może wiedzieć, że chodzi tylko o kabel odłączony od akumulatora? Zastanów się teraz: czy taka osoba odmówi, gdy młody mężczyzna, najwyraźniej stażysta w szpitalu, albo może już rezydent, który właśnie tędy przechodzi, zaoferuje jej pomoc? Czy odrzuci ofertę pomocy w dostaniu się do stacji obsługi, choćby to była oferta dotycząca czegoś zupełnie innego?

- Zostaw ją! - ryknąłem. - Nic ci nie zrobiła!

- Spójrz na zegarek - polecił morderca. - To już się stało.

I przerwał połączenie. Linia była martwa.

Spojrzałem na ścienny zegar. Za pięć czwarta. Właśnie o tej porze Christine kończyła pracę.

- Co powiedział? - To Nolan. Wilson już stał obok mnie i przewijał taśmę.

Zerwałem słuchawkę z widełek i zacząłem wybierać numer dyżurki pielęgniarek. Pomyliłem się, nakręciłem jeszcze raz.

- Christine! - krzyknąłem, gdy ktoś się odezwał.

- Już wyszła.

- Nie!

- Niestety - odpowiedział głos. - Wyszła.

- Nie! Zatrzymajcie ją!

- Kto mówi? — W głosie pojawiła się podejrzliwość.

- Wywołajcie ją przez pager - krzychałem. - Grozi jej niebezpieczeństwo!

- Przepraszam - kontynuował głos, chłodny, opanowany głos pielęgniarki, która nie zwykła ulegać żądaniom - ale muszę wiedzieć, z kim rozmawiam.

- Na litość boską, tu Anderson. Jej przyjaciel! Proszę ją zatrzymać, proszę!

- Och, pan Anderson. Nie poznałam pana. Zaraz ją wywołam.

Ścisnąłem słuchawkę z całej siły i przepędzałem z umysłu obraz, na którym widziałem parking, jej uszkodzony samochód, nagłą propozycję pomocy. Wilson, Martinez i Nolan pytali mnie, co się stało. Pielęgniarka znów się odezwała:

- Panie Anderson? Niestety, nie odpowiada. Pewnie już wyszła z budynku.

Rzuciłem słuchawkę na widełki.

Mogłem myśleć tylko o tym, że muszę się spieszyć.

Wpadłem w popołudniowy szczyt, niezliczone pojazdy gromadziły się wokół mojego samochodu i zatrzymywały go. Pędziłem przez ulice, przelatywałem na czerwonych światłach, wciskając klakson z całej siły. Ignorowałem przekleństwa i krzyki pieszych i innych kierowców. Udało mi się uniknąć

nieuniknionej zdawałoby się kolizji, zmusiłem jakiś samochód do ucieczki, ale właściwie nawet sobie tego nie uświadomiłem. Były dla mnie tak samo niematerialne jak przezrocza. Wiedziałem, że Wilson i Martinez pojechali za mną, ale nie obchodziło mnie, czy nadążają. Pamiętam tylko, że chyłąc się ku zachodowi słońce świeciło mi prosto w oczy i oślepiło mnie. Wystawiłem rękę przeciw niemu, zupełnie jakbym mógł zablokować zżerające mnie przerażenie.

Silnik rozpaczliwie zajęczał, gdy wjeżdżałem na szpitalny parking. Jakiś inny samochód, który blokował mi drogę, uciekł ze świstem opon. Jego kierowca pogroził mi zaciśniętą pięścią, ale zignorowałem go. Wyskoczyłem z auta i pobiegłem. Podeszwy moich butów uderzały o czarny makadam, brzmiało to tak jak wściekłe bicie w bęben. Upał mnie otaczał, przygniatał do ziemi. Pędziłem z trudem łapiąc powietrze. Kierowałem się na tyły budynku, tam, gdzie Christine parkowała swój samochód. Usłyszałem kocie wrzaski radiowozów i policja zaczęła wjeżdżać na parking. Hałas wypełniał mi uszy, potęgując strach. Za mną biegli inni ludzie, chyba detektywi, ale zbyt się spieszyłem, by się odwrócić i sprawdzić.

A potem nastąpiła cisza.

Zatrzymałem się tak gwałtownie, że nie mogłem utrzymać równowagi, musiałem się chwycić jakiegoś samochodu. Omiatałem spojrzeniem parking tak samo szaleńczo, jak szaleńczo przed chwilą waliłem nogami w makadam.

Ani śladu Christine.

Ani śladu jej samochodu.

- Christine! - wrzasnąłem, ale mój bezużyteczny krzyk tylko uniósł się nad parkingiem i zanikł w oddali.

- Gdzie? - dobiegło mnie pytanie zza pleców. To był Martinez. Ciężko dyszał.

- Tu - odpowiedziałem.

Stał z przygotowaną bronią i tak samo jak ja przeczesywał wzrokiem parking.

- Nie ma jej tu - odezwał się drżącym głosem.

Martinez odwrócił się do Wilsona. Wilson, starszy od nas, ciężko opierał się o jakiś samochód i ledwo łapał oddech.

- Nie ma jej - poinformował Martinez. - Ani jej samochodu, prawda? - to pytanie skierował do mnie.

- Tak - przyznałem. Nagle uderzyła mnie nowa myśl. - Boże! - krzyknąłem. - On kłamał o parkingu. W rzeczywistości czekał na nią przed domem.

Przez sekundę Martinez patrzył na mnie pustym, nieruchomym spojrzeniem, ale zaraz zrozumiał, o co mi chodzi.

- Cholera - zaklął.

Wilson wyciągnął z kieszeni marynarki radio i zaczął wydawać nowe rozkazy.

Nie czekałem na nich, tylko popędziłem po swoje auto. Nie mogłem jednak wyjechać, bo wjazd na parking blokował policyjny radiowóz.

- Odjedź! Odjedź stąd - krzyczałem. - Zabierz to pieprzone auto!

Policjant spojrział na mnie podejrzliwie, ale zaraz zobaczył Martineza, który gwałtownie machał rękami. Martinez wskoczył na siedzenie obok mnie, docisnąłem gaz do dechy, samochód skoczył do tyłu, biegi zazgrzytały, gdy wykręciłem, by minąć radiowóz, ale zaraz śmignęliśmy do przodu i gnailiśmy ulicą w prawie nie kontrolowanym pędzie.

Budkę, w której pobiera się opłaty przy wjeździe na autostradę, przejechaliśmy nie zatrzymując się, i pędziłem dalej, co chwila skręcając na inny pas ruchu, by wyminąć powolniejsze auta. Hamowałem i przyspieszałem, przeciskając się przez roje samochodów. Martinez z całej siły trzymał się drzwiczek, ale jeszcze mnie ponaglał.

- Jedź poboczem — zawołał w pewnej chwili, przekrzykując hałas, jaki robiło powietrze wpadające jak huragan przez otwarte okna.

Prześliznąłem się na prawo i popędziliśmy jeszcze szybciej, wyprzedzając wszystkie pojazdy.

- Wciskaj klakson! - zawołał. Zrobiłem to, i za nami zaczęło się ciągnąć wysokie, przeraźliwe wycie, jak ślad zostawiany na wodzie przez statek.

Potem wpadliśmy w ciche podmiejskie uliczki. Gnałem nie zwracając uwagi na światła ani na znaki stopu. Nie uświadamiałem sobie, co się dzieje za mną, mój umysł skoncentrował się na tym, co mnie czeka.

- Szybciej! - popędzał Martinez.

Samochód zakołysał się dziko, gdy skręciłem na podjazd mojego domu. Była to spokojna uliczka i jęk opon rozdarł ciszę. Zahamowałem, wyskoczyłem z samochodu, zachwiałem się, odzyskałem równowagę i pobiegłem, mając umysł wypełniony hałasem i strachem. Słyszałem, jak Martinez pędzi o kilka kroków z tyłu.

- Tam! - krzyknąłem.

To był jej samochód.

- Och, nie — jęknąłem i gwałtownie się zatrzymałem, bo zobaczyłem pod niesioną maskę.

- Christine! - krzyknąłem. Z przerażenia żołądek zacisnął mi się w twarde węzeł. - Spóźniłem się - powiedziałem. - Już ją zabrał.

Martinez zatrzymał się obok mnie. On też wpatrywał się w samochód Christine.

- Do diabła - zaklął. - Jesteś pewny?

Ale ja już myślałem o czymś innym. Popędziłem do mieszkania. Oczami duszy widziałem jej skręcone, pozbawione kształtu ciało porzucone na podłodze.

- Na górę! - wrzasnąłem i już przeskakiwałem po dwa, trzy stopnie, walcąc butami w trzeszczące drewniane schody. Klatka schodowa odpowiadała mi echem. Rzuciłem się ramieniem na drzwi mieszkania, naciskając jednocześnie klamkę. Drzwi otworzyły się, straciłem równowagę. Podłoga wybiegła mi na spotkanie, wyciągnąłem ręce, by osłabić uderzenie. Martinez był tuż za mną. W przysiadzie zaglądał przez otwarte drzwi, pistolet trzymał w obu rękach i, nie wiedząc nawet, czy ktoś jest w mieszkaniu, krzyczał piskliwie:

- Nie ruszać się!

I w tym momencie obaj zastygliśmy.

Christine, z twarzą wykrzywioną od nagłego przerażenia, stała pośrodku pokoju. U jej stóp leżało czasopismo, kartki fruwały w przeciągu. Z dworu dobiegał jęk syren, coraz głośniejszy i bliższy.

Wydała jakiś dziwny dźwięk i zakryła usta rękami.

- O mój Boże! - krzyknęła. — Co się stało?

Przez długą chwilę czułem się jak zawieszony w nieważkości, nie byłem w stanie mówić. Martinez podszedł bliżej, po jego twarzy widać było, że stara się zrozumieć sytuację, ale nie może. Powoli, z niedowierzaniem pokiwał głową. Drżąca ręka opadła mu do boku z lufą pistoletu skierowaną w dół. Przekreśliłem się na plecy i słuchałem nasilających się odgłosów: kroki na schodach, trzask zamykanych drzwiczek samochodów, ucichające syreny, głosy podniesione w niepotrzebnym już pośpiechu. Słyszałem również głos Christine. Mówiła coś przez zły, usiłowała jeszcze raz zadać swoje pytanie. Wciągałem wielkie hausty powietrza, próbując opanować dzikie walenie serca, aż wreszcie wszystkie dźwięki rozmyły się w tle i jedyne, co słyszałem, to słowa mordercy, powtarzane raz za razem, bez końca:

- Odroczenie nie trwa wiecznie.

Rozdział szesnasty

Następnego dnia rano Christine wyjechała.

L > Leżąc w łóżku przyglądałem się, jak pakuje rzeczy do wielkiej walizki w kratę. Jej dłonie poruszały się zręcznie, wyciągały przedmioty z szafy i szuflad. Wyobraziłem ją sobie na sali operacyjnej, jak z tą samą spokojną skutecznością, tymi samymi szybkimi, pewnymi ruchami podaje chirurgowi instrumenty. Prawie się nie odzywała, czasami tylko zastanawiała się na głos, gdzie leży jakaś rzecz. Przez cały czas odwracała ode mnie wzrok. Gdy skończyła, przycisnęła wieko walizki, opierając się na nim całym ciałem. Zamki zaskoczyły z głośnym trzaskiem, który wypełnił narastającą między nami ciszę. Potem się wyprostowała, zdjęła walizkę ze swojej strony łóżka i stanowczo postawiła ją na podłodze.

- Jest ciężka - powiedziała i w końcu spojrzała na mnie. Udało jej się uśmiechnąć, chociaż było to tylko szybkie drgnienie kącików ust, w górę i w dół. - Muszę wyjechać - dodała. - Nie mogę tu zostać. Nawet policjanci tak uważają.

Skinałem głową, ale się nie odezwałem.

Popatrzyła na zegarek.

- Zawieziesz mnie na lotnisko?

— Oczywiście - odparłem głosem bez wyrazu.

Nie mam wyraźnych wspomnień z tych dni. W mojej pamięci wszystko jest splątane. Było to tak, jakby w chwili telefonu mordercy wystrzelił pistolet

startera i zaczął się szaleńczy wyścig, najpierw do szpitala, potem do domu, następnie noc, świt, aż do momentu, gdy machałem jej ręką, a ona przechodziła przez bramkę do samolotu.

W mieszkaniu roło się od policjantów mundurowych i detektywów. Ze-wewnętrzny spokój Christine rozpadł się na kawałki, zaczęła szlochać, zanim jeszcze opowiedziałem jej o wydarzeniach tego popołudnia, i tylko mówiła do siebie, do mnie, do wszystkich: „Wiedziałam, że coś się musi zdarzyć, po prostu wiedziałam”. Trwało też dobrą chwilę, nim opanowałem się na tyle, by móc usiąść koło niej i wszystko wytłumaczyć. Objąłem ją za ramiona i usiłowałem pomóc jej odzyskać panowanie nad sobą. Na chwilę wpadła w histerię. Odwróciła się do mnie gwałtownym ruchem i powtarzała: „Mówiłam ci! Mówiłam! Wiedziałam, co się stanie!”. Cofnąłem się przed jej nagłym gniewem, ale ona zaraz znów położyła głowę na moim ramieniu. Zastanawiałem się, dlaczego nie potrafię skuteczniej jej pocieszyć. Ale ona z każdą minutą odzyskiwała coraz więcej swojej zwykłej rezerwy, aż wreszcie opanowała się do końca i poprosiła:

- Opowiedz mi dokładnie o wszystkim. Chcę wiedzieć, na czym stoję.
- Na czym stoimy - poprawiłem ją.

Ale ona tylko pokiwała przecząco głową.

Opowiedziałem jej o telefonie od mordercy i rzekomym planie porwania jej, potem o szalonej jeździe do szpitala, a następnie do domu. Kazała mi powtarzać każde słowo mordercy, a już zwłaszcza to, co mówił o tym, jak wyglądał przebrany za lekarza, gdy stał koło jej zepsutego samochodu.

- Przecież on tam był - powiedziała nagle.

Martinez i Wilson, którzy trzymali się z boku, jednocześnie odwrócili głowy w naszą stronę. W tej samej chwili Christine spojrzała na nich.

- Widziałam go. Wyglądał tak, jak to opisał.

Martinez usiadł obok niej i wyjął notes.

- Nie spiesz się - poprosił. - Spróbuj sobie przypomnieć każdy szczegół.

Christine wzięła głęboki oddech i skinęła głową. Uśmiechnęła się do mnie, a potem wzruszyła ramionami.

- Mój samochód był zepsuty. Wyszłam z pracy trochę wcześniej, może za kwadrans czwarta. Gdy usiadłam za kierownicą, nie chciał zapalić. Przekręcałam kluczyk, ale samochód był jak martwy.

- Tak jak zapowiedział - przerwałem jej.

Martinez spiorunował mnie wzrokiem, a Christine kontynuowała:

- Siedziałam za kierownicą, przeklinałam, przekręcałam kluczyk, błagałam silnik, by zaskoczył, sami wiecie, jak to jest. Mówiłam samochodowi, że chcę jechać. I wtedy nagle przy drzwiczkach pojawił się jakiś kształt, i przez okienko zobaczyłam twarz pochylonego mężczyzny.

- Pamiętasz, jak wyglądał? - spytał Martinez. Wilson słuchał w milczeniu.

Christine zawahała się.

- Niezbyt dokładnie.

- Więc powiedz wszystko, co pamiętasz, z najdrobniejszymi szczegółami.

- Wydał mi się wysoki, trochę ponad metr osiemdziesiąt. Ciemne włosy, dość długie, sięgające do kołnierzyka. Ale miał wielkie okulary przeciwsłoneczne. I na dodatek stał plecami do słońca. Pamiętam, że musiałam się osłonić ręką, bo blask mnie oślepił. Ale wtedy zobaczyłam tylko swoje odbicie w jego szklach.

- Co powiedział?

- Spytał, co się stało. Ubrany był tak, jak powiedział, że będzie. Biała ma rynarka, czarne spodnie, stetoskop. Myślałam, że to ktoś z personelu.

- Mów dalej.

Przez chwilę zbierała myśli. Nagle poczułam się wyłączony poza nawias. Chciałam wtrącić jakieś słowa, przerwać ich rozmowę, zrobić cokolwiek.

- Zwolniłam zatrask maski i już miałam wysiąść z samochodu, ale kazał mi zostać wewnątrz. Potem powiedział: „Wiem już, o co chodzi”. Zobaczyłam tylko, że coś tam poprawia i zaraz zawołał: „Proszę spróbować jeszcze raz”. Przekręciłam kluczyk i silnik zastartował. Pamiętam, że on zatrzasnął maskę i odstał o krok, wszystko to niemal jednym płynnym ruchem.

- I co powiedział? - wybuchnąłem.

- Powiedział: „Wszystko w porządku. Miło mi było panią poznać”. Tylko tyle. - Zamilkła na chwilę. - Nie. Powiedział jeszcze coś. Powiedział: „Życie jest pełne tajemnic, prawda?”. I po prostu zniknął.

- Widziałś jego samochód? A może wiesz, w jakim kierunku odszedł?

- Nie - odparła. - Po prostu miałam wrażenie, że rozpułnął się w promieniach słońca.

Martinez szybko zapisał w notatniku jeszcze kilka słów. Słyszałem, jak jego ołówek sunie po papierze. Był to irytujący dźwięk, jak skrobanie paznokciem po tablicy.

- Co on mógł zrobić? - spytałem.

- Najprawdopodobniej odłączył przedtem kabel od akumulatora, tak, jak zapowiedział - wyjaśnił Martinez. Christine przeszły dreszcz. Chwyciła mnie za rękę. Zastanawiałem się, dlaczego morderca puścił ją wolno. Gdy spojrzałam na zegarek słuchając jego głosu, była za pięć czwarta. „To już się stało” - powiedział. I mówił prawdę.

- Ale dlaczego maska była podniesiona, gdy tu przyjechalіśmy? - spytał Martinez.

- Przegrzałam silnik jadąc do domu. To się ostatnio zdarzało. - Odwróciła się do mnie. - Pamiętasz, prosiłam cię, żebyś się tym zajął.

Ale ja tego nie pamiętałem.

Z komendy zadzwoniłem do Nolana. Był w trakcie uzupełniania artykułu; dodawał informację o ostatniej taśmie i groźbach pod adresem Christine.

- Co za bałagan - narzekał. - Aż trudno za tym wszystkim nadążyć.

Opowiedziałem mu o najświeższych wydarzeniach.

- Jezu -jęknął. - Było już blisko katastrofy.

- Nie jestem pewny - sprzeciwiłem się.
- Co chcesz przez to powiedzieć?
- Nie jestem pewny, czy rzeczywiście było tak blisko katastrofy. Kto wie, co on naprawdę planował? Czy chciał ją zabrać ze sobą? A może coś go przestraszyło, albo tylko zamierzał mnie przestraszyć? Jeżeli o to chodziło, to mu się udało.

- Wiem - powiedział Nolan. - Jak się czuje Christine?
- Wyjeżdża do rodziców.
- Gdzie mieszkają?
- W Madison, Wisconsin. Mam nadzieję, że to dość daleko.
- Ja też - odparł Nolan.

Słyszałem kłopot klawiszy komputera, gdy zapisywał to, co mu dyktowałem. Cytując Christine poczułem się dziwnie, jakbym dokonywał gwałtu. Nie chciałem, by jej słowa znalazły się w tekście. Nolan musiał mnie ponaglać, zanim przekazałem mu wszystko, co wiedziałem.

- No dobrze - powiedział w końcu. - Jakoś sobie poradzę. Będzie to prawdziwy bigos, ale i tak nic lepszego nie możemy zrobić. Zobaczymy się rano. I zdejmij słuchawkę z widełek, gdy wrócisz do domu. — Zanim zdążyłem się rozłączyć, dodał jeszcze: - Aha... artykuł będzie podpisany twoim nazwiskiem, jak zawsze.

Nie zdobyłem się na to, by mu powiedzieć, że nie chcę tego, że pragnąłbym przerwać swój związek z całą tą historią i mordercą. Ale nie powiedziałem tego, bo nie mogłem. To nie byłoby prawdą.

Policyjny rysownik skończył tworzyć portret pamięciowy dopiero późną nocą. Martinez i Wilson siedzieli w milczeniu, podczas gdy Christine i ja opisywaliśmy mordercę. Ona co chwila potrząsała głową i mówiła: „To nie było całkiem tak”, ale gdy policzki, brwi i podbródek powoli nabierały kształtu, moim zdaniem podobieństwo stawało się coraz wyraźniejsze. Artysta domalował wielkie lotnicze okulary, a to bardzo pomogło, chociaż Christine nie była zadowolona.

- Właściwie wcale go nie widziałam - powtarzała wzruszając ramionami. - Nie mam pewności, jak wyglądał.

- To i tak dużo, jak na początek - powiedział Martinez.

Wilson przyglądał się szkicowi przez długą chwilę, aż wreszcie zacisnął rękę w pięść i zamarkował uderzenie prosto w puste oczy patrzące z białej kartki.

Zabrałem kopię portretu do redakcji. Nolana już nie było, ale zastałem nocnego redaktora działu miejskiego. Obrzucił Christine aprobującym i jednocześnie badawczym spojrzeniem, potem wziął kartkę i poszedł do składu. Tam usunęli jakieś zdjęcie, które miało iść w tym wydaniu, i zamiast niego obok artykułu umieścili portret pamięciowy mordercy, ze słowami wyróżnionymi wielkim, tłustym, czarnym drukiem: „Czy widziałeś tego człowieka?”. W pokojku zobaczyłem egzemplarz wcześniejszego wydania, a w nim artykuł, również

podpisany moim nazwiskiem, ale moje oczy nie zatrzymały się na tekście. Nie był to już mój tekst.

Do domu jechaliśmy milcząc. Na ulicach nie było zwykłych przechodniów, w posiadanie objęli je ludzie ze świata przestępczego, starcy i nastolatki, a także włóczędzy, z których wielu mieszkało pod wiaduktami, w zbudowanych z kartonów szałasach. Byli tu starzy ludzie ze skórą pokrytą wrzodami, ruszali się w ciemności jak cienie, szukając możliwości napicia się. Mieszali się bezkonfliktowo z młodymi uciekinierami z domu, którzy przybywali międzystanową autostradą 1-95, wielką, szeroką drogą wiodącą z Maine aż do centrum Miami.

W nocy obie te grupy wychodziły na ulicę. Czekając na światłach, obserwowaliśmy dwóch nastolatków, którzy drażnili się z jakimś starym mężczyzną. Zerwali mu z głowy baseballową czapkę i rzucali ją do siebie ponad jego wyciągniętymi rękami, a stary okręcał się i podskakiwał, próbując odzyskać swoją własność.

- Dlaczego oni to robią? - spytała Christine.

Nie wiedziałem, co jej odpowiedzieć.

W końcu stary upadł. Widziałem, jak jego pierś ciężko się podnosi w wysiłonym oddechu. Był wyczerpany, a ponadto chyba cierpiał na rozedmę płuc. Chłopcy przez chwilę mu się przyglądali, a potem rzucili mu czapkę. Ale on nie sięgnął po nią i tylko leżał na chodniku nieruchomo, jak sterta fachmanów.

Podjechał jakiś samochód i kierowca opuścił szybę. Obaj chłopcy podszli, chwilę porozmawiali, a potem jeden przeszedł na drugą stronę i wsiadł. Drugi popatrzył za odjeżdżającym samochodem i zaraz zniknął w ciemnościach. Nasze światło zmieniło się na zielone i ruszyłem.

- O co tu chodziło? - spytała Christine.

- Męska prostytutka — wyjaśniłem. - Piskłę jastrzębia, jak to nazywa policja. Starszy homoseksualista wynajął go na noc.

Christine parsknęła z obrzydzeniem, a potem znów milczeliśmy.

Przez głośniki zapowiedziano lot Christine. Podniosła rękę i dotknęła palcami mojego policzka.

- Na pewno jesteś zmęczony - powiedziała. - Żałuję, że tak się musi stać.

Wzruszyłem ramionami.

- Ostatnio nie byliśmy ze sobą zbyt blisko - dodała.

Skinąłem głową.

- Zadzwonisz? - spytałem.

- Oczywiście.

- Wrócisz?

Zawahała się.

- Nie wiem. - Na chwilę ogarnął nas jakiś spokój. - A jeżeli on zapołuje na ciebie? - mówiła dalej. - Boisz się?

- Raczej nie.

Zmarszczyła czoło.

- No właśnie. Nie boisz się. I na tym polega cały kłopot. Niby wszystko dostrzegasz, ale jesteś całkowicie ślepy na to, co się dzieje naprawdę. - W kąciakach jej oczu pokazały się łzy. - Tak mi żal - powiedziała jeszcze i odwróciła się. Wzięła z krzesła plik czasopism, broszurowe wydanie opowiadań Hemingwaya i stanowczym, szybkim krokiem przeszła przez bramkę. Chciałem jej pomachać, już podniosłem rękę, ale się rozmyśliłem. Zresztą i tak się nie obejrzała.

Potem znów zacząłem myśleć o mordercy.

Po południu, siedząc przy biurku w redakcji, zebrałem wszystkie notatki, jakie miałem na jego temat. Przeglądałem je, tworzyłem listę śladów, wskazówek i domniemań dotyczących tożsamości mordercy. W końcu zacząłem się wczytywać w to, co spisałem.

Na górze kartki figurowało słowo Jedynak".

Dzieciństwo spędzone w Ohio. Dorastał w mieście.

Ojciec mściwy, matka pobłażliwa, ale silna.

Służba wojskowa.

Okrucieństwo

Na końcu dopisałem: „Odroczenie nie trwa wiecznie”.

Potem po kolei skreślałem każdą pozycję. Wszystkie artykuły, wszystkie słowa i zdania, które wypełniały kolumny gazety, przestały mieć znaczenie. Zabrakło im życia, straciły sens. Spojrzałem w dół i spostrzegłem, że wyrysowałem na stronie wielki znak zapytania. Uśmiechnąłem się. „Bardzo stosownie” - mruknąłem pod nosem, żeby nikt mnie nie usłyszał. Mimo że tyle się wydarzyło, i tyle już zostało powiedziane, nie wiedziałem nic. Wpatrzyłem się w portret pamięciowy i moje myśli znów wróciły do rozmowy z mordercą. Przypomniałem sobie coś, co powiedział przy innej okazji: że jesteśmy tylko my dwaj, on i ja. Teraz to rozumiałem.

Sprzedawca w sklepie z bronią podniósł na mnie wzrok, gdy przechodziłem przez drzwi. Jedynymi klientami byli tu dwaj mężczyźni, którzy oglądali śrutówki wyłożone w oszklonej i zamkniętej na zamek gablotce. Sprzedawca uśmiechnął się. Widziałem, że czytał „Journal”. Wyciągnął rękę na przywitanie.

- Właśnie czytałem pański artykuł - powiedział. - I miałem przeczucie, że niedługo tu pana zobaczę. Chce pan się przygotować, w razie, gdyby znów spróbował, prawda?

- Tak.

Zatarł ręce z zadowoleniem.

- Nie przychodzi tu zbyt wielu młodych ludzi - kontynuował. - To zna czy, owszem, przychodzą, ale nie tacy jak pan. Mam na myśli ludzi wykształconych, pracujących umysłowo. Większość klientów w pańskim wieku to robotnicy, gliniarze i od czasu do czasu ktoś, kto lubi sobie postrzelać. Na przykład

iść na bagna zapolować na kaczki, albo nawet na jelenie. Oczywiście odkąd po mieście grasuje ten morderca, przychodzi tu więcej osób. Ale nie takie, jak pan. Nic nie odpowiedziałem, więc mówił dalej:

- To chyba ma coś wspólnego z wojną. Teraz ludzie nie przepadają za bronią, to znaczy za pistoletami, strzelbami, nie chcą nawet kulek na rzemieniu. To tylko taka moja teoria, rozumie pan, obserwacja. A w takim sklepie jak ten ła two o obswerwacje, tu się poznaje życie od podszewki. Ale - przerwał swoje wywody - pan nie przyszedł tu w poszukiwaniu cytatów do artykułu, prawda? No więc, co wybieramy? Może magnum trzysta pięćdziesiąt siedem? Wydaje mi się, że już taki panu niedawno pokazywałem. Nie? Ale i tak nadałby się dla pana.

Pokręciłem przecząco głową.

- A może któryś z tych? - Zdjął z półki pistolet automatyczny. - Dziewięć milimetrów - zachwalał. — Magazynek na trzynaście naboju, wyrzucane łuski. Bardzo wygodny. Nigdy się nie zacina, przynajmniej tak mi mówiono.

Znów pokręciłem głową.

- Chcę taki sam, z jakiego on strzela - oświadczyłem.

- Powinienem być się domyślić. - Sprzedawca uśmiechnął się. - Ogień zwalczaj ogniem. Wyrównaj szansę, i tak dalej. Trochę szczęścia, trochę pomyślnku, i nawet można uzyskać przewagę. Bardzo słusznie. - Wyciągnął z szuflady szarą czterdziestkępiątkę. - Proszę. Podstawowy model. To powinno za trzymać łobuza od razu w drzwiach. Nic wymyślnego, żadnych bajerów, po prostu sama istota broni. Po co chcieć więcej niż się potrzebuje? Bo przecież pan ma określony cel, prawda?

- Prawda - przytaknąłem.

- Niech mi pan wierzy, jestem dobrym znawcą charakterów. Sprzedaję broń, człowiek nabywa takich umiejętności. Potrafię odgadnąć, co klientowi chodzi po głowie i czego potrzebuje. Ten pistolet będzie dla pana jak przedłużenie ręki.

- Biorę go.

- Ej, chwileczkę. Chyba pan wie o siedemdziesięciu dwóch godzinach karencji? To czas na ochłonięcie.

- Mam tu jeszcze raz przychodzić?

- Jest pan dziennikarzem i powinien pan znać to prawo. Nie można po zwolnić człowiekowi, by kupić broń i zaraz z nią wyszedł ze sklepu. Taka jest ustawa hrabstwa: okazać prawo jazdy, zapłacić i wrócić po trzech dobach. Ma cię to ustrzec, gdybyś na przykład pokłócił się z sąsiadem, żoną czy szwagrem i przyśzedł tutaj po coś, co ostatecznie załatwiłoby wasze rachunki. Ustawodawca ma nadzieję, że po kilku dniach będziesz już widział to inaczej.

- A więc mam kłopot - powiedziałem.

Sprzedawca popatrzył mi w oczy.

- Tak mi się wydaje. — Pochylił się przez ladę, przybliżając usta do mojego ucha. - Coś panu powiem. Pan mi da słowo, że nikomu tego nie opowie, a ja antydatuję rachunek, żeby pan mógł od razu zabrać ze sobą pistolet. Nigdy

jeszcze tego nie robiłem, ale chyba od tego jednego razu mnie nie przyłapią. A na pewno czułbym się winny, gdyby ten łajdak przyszedł i pana zastrzelił podczas okresu karencji. W końcu jestem pana sympatykiem, no nie?

- Ma pan moje słowo. - Mój głos wydał mi się obcy.

Gdy wypisywał rachunek, zważyłem pistolet w rękę. Wydawało mi się, że wypełnia mi dłoń, pokrywając każdą cząsteczkę skóry. Podobał mi się jego ciężar, kształt, chłód. Przypatrywałem mu się, czując jak ogarnia mnie podniecenie, idące od ręki przez całe ciało. Swego czasu morderca musiał doznawać podobnych uczuć.

- Jesteśmy odpowiedzialnymi ludźmi - powiedział Nolan.

Zza biurka rzucił okiem na naszą ścienną wystawkę materiałów dotyczących wszystkich popełnionych do tej pory przez naszego faceta morderstw. Przebiegał wzrokiem strony i nagłówki, zatrzymując się dłużej przy zdjęciach.

- Po prostu tego nie rozumiem - ciągnął. Odchylił się na oparcie krzesła i przetarł oczy rękami. - Postępowaliśmy zgodnie z zawodową etyką. Spójrz na te artykuły. Nie ma tu żadnych wezwań do zemsty, nie pałają nienawiścią, nie sieją paniki. Staram się zrozumieć, w którym miejscu poszliśmy w złą stronę. Czy w jakiś sposób poinstruowaliśmy tego człowieka? A może go zachęci liśmy? Do diabła, „Journal” zawsze jest ostrożny. Agresywny, owszem, ale ostrożny, aż do ostatniego artykułu. Czy „Times” albo „Washington Post” po prowadziłyby to inaczej? Nie sądzę. Och, na pewno wgrzyłyby się w tę historię jeszcze mocniej, oddelegowały do niej dziesiątki reporterów, chociaż ja nadal uważam, że dobrze postąpiliśmy przydzielając całą sprawę tobie jednemu. Dzięki temu historia jest prawidłowo zogniskowana, ma punkt ciężkości. No i telefo nował do ciebie, a nie do całego zespołu...

Przerwał, by zebrać myśli.

- Gdybyśmy należeli do koncernu Hearsta, albo gdyby to była angielska gazeta, taka w rodzaju Fleet Street, może sprawy miałyby się inaczej. Sprawa dzałibyśmy jakieś medium albo jasnowidzów i publikowalibyśmy listy otwar te do mordercy. Nasze nagłówki codziennie krzyczałyby: „Morderstwo!”, tek sty pisane bez krzty opanowania, w szaleńczym dziennikarskim stylu, nawoływałyby do świętej wojny, zamieszczałybyśmy ociekające krwią zdjęcia. Ale nic takiego nie robiliśmy. Zachowaliśmy spokój. Owszem, jak mówiłem, byliśmy agresywni, ale jednocześnie oględni. Przyjęliśmy postawę godną i... odpowiedzialną, taką, jakiej oczekuje się od naszej miejskiej gazety. Nikt nie może nas oskarżyć o to, że to my skłanialiśmy tego faceta do popełniania zbrodni.

Znów potarł oczy palcami. Zauważyłem, że raczej myśli na głos niż rozmawia ze mną.

- Wiesz, poprosiłem nawet, żeby wyciągnięto mi z archiwum wszystkie nasze artykuły o wojnie w Wietnamie. Po prostu po to, by sprawdzić, co wtedy pisaliśmy. I okazało się, że byliśmy bardzo umiarkowani. Pod koniec lat sześć dziesiątych wycofaliśmy nasze początkowe poparcie dla wojny, a w roku

siedemdziesiątym pierwszym nawoływaliśmy do natychmiastowego sprowadzenia wojska do kraju, a także do tego, by już nie udzielać pomocy marionetkowemu rządowi Południowego Wietnamu. Nie byliśmy w tym pierwsi, ale i nie ostatni. - Westchnął głęboko. - Starzeję się- powiedział. - To wszystko chyba zaczyna mnie przerastać. Wiesz, dwa tygodnie temu wysłałem żonę i dzieci do jej brata.

- Dlaczego? - spytałem.

Spojrzał na mnie ze złością.

- Chyba żartujesz. Bo się o nich bałem. Moje nazwisko figuruje w książce telefonicznej. On mógł dopaść nas tak samo łatwo, jak dopadł Christine.

Po chwili milczenia dodał jeszcze:

- Wydaje mi się, że nikt z nas nie jest bezpieczny.

I tak zaczęło się czekanie.

W domu i w redakcji wpatrywałem się w aparat, pragnąłem, żeby zadzwonił, żeby morderca znalazł się na wyciągnięcie ręki. Chyba się nie bałem, albo przynajmniej nie w taki sposób jak Wilson i Nolan, którzy wysłali swoje rodziny daleko stąd, ani też na sposób Martineza, który, by uwolnić się od myśli o mordercy, potrzebował dodatkowego drinka albo nowej dziewczyny. Bez przerwy wyobrażałem sobie moje spotkanie z mordercą, sam na sam, w jakimś odлюдnym miejscu. Widziałem dwa identyczne pistolety wskakujące w nasze ręce, i słyszałem bliźniacze wystrzały. W mojej wyobraźni on zawsze był o ułamek sekundy powolniejszy. Widziałem, jak się zgina i pada, jak jego ciało roztrzaśnie się na kawałki. Czasami nawet widziałem siebie w roli przynęty, podskaakującego na powierzchni wody, haczyk trzymał się mocno w moim gardle, już umierałem, nie żyłem.

A gdy czas oczekiwania przeciągał się w nieskończoność, zacząłem przegrzywać taśmy, na których były nagrane telefoniczne rozmowy z mordercą. W pokoju rozlegał się jego chłodny głos. Tylko on i ja, sam na sam.

Nie miałem tematu do artykułów, po prostu czekałem.

I wtedy odezwał się O'Shaughnessy.

Dźwięk telefonu rozbrzmiał mi w uszach jak kościelny dzwon. Tak działo się zawsze. Byłem pewny, że to morderca, więc wcisnąłem klawisz magnetofonu i porwałem słuchawkę z widełek. Wreszcie, powiedziałem sobie. Dochodzimy do końca tej historii. Czułem się tak, jakbym musiał usunąć jego, żeby samemu móc wrócić do świata. Milczałem, czekając aż się odezwie, ale usłyszałem obcy głos.

- Halo? - powiedział głos. Rozluźniłem chwyt na słuchawce.

— Słucham - odezwałem się. - Tu Anderson.

- Panie Anderson - kontynuował głos. - Nazywam się Peter O'Shaughnessy, były porucznik Armii USA.

Chwilę trwało, zanim zdołałem się odezwać. Na podstawie informacji przekazanych mi przez Pentagon doszedłem przecież do wniosku, że wszystkie nazwiska podane przez Hilsona są fałszywe.

- O Boże - powiedziałem. - Więc pan naprawdę istnieje.

Roześmiał się.

- Przynajmniej mam taką nadzieję. Istniałem rano, gdy się obudziłem, i mogę pana zapewnić, że teraz też jeszcze istnieje.

- Nie rozumiem jednej rzeczy. Pentagon poinformował mnie, że na listach wojskowych dotyczących tamtych jednostek nie figuruje żaden O'Shaughnessy...

- Och, nie jestem pewny, że chodzi panu właśnie o mnie - wpadł mi w słowo. - Ale ze względu na zbieżność nazwisk uznałem, że powinienem się z panem skontaktować.

- Skąd pan dzwoni?

- Z Memphis w Tennessee. Jestem prawnikiem. Znajomy mieszkający w Miami przesłał mi pański artykuł. Kilka dni zastanawiałem się, czy skontaktować się z panem, czy nie. Ale przeważała ciekawość. Zbieżność jest zbyt wyraźna, a poza tym wcale nie jestem pewny, czy w moich czasach służył tam jakiś inny O'Shaughnessy. Tak naprawdę to wcale nie jest popularne nazwisko.

- Widział pan tamtą walkę? - Dążyłem prosto do sedna sprawy.

- Właśnie to jest najdziwniejsze - odparł. - Nigdy nie byłem świadkiem prawdziwej strzelaniny, a przynajmniej nie takiej, jaką opisuje ten facet. Widzi pan, ja byłem przełożonym urzędników w bazie lotniczej koło Da Nang. Jedynymi walkami, jakie widywałem, to przypadkowe ostrzelanie obozu z moździerzy albo przelatujące w pobliżu rakiety. Czasami mieliśmy też okazję obserwować śmiecie, jakie Wietkong umieszczał na drogach... przeważnie miny przeciwpiechotne - ale żeby brać udział w prawdziwej walce? Nie, to mi się nie przydarzyło. Przekładałem papierki, formularze, cały ten chłam, jakiego wojsko zawsze potrzebuje w co najmniej trzech egzemplarzach.

- Urzędnicy? - powtórzyłem oszołomiony.

- Właśnie. Och, nie wiem, ilu ich się tam przewinęło, chyba od pięćdziesięciu do stu w ciągu półtora roku mojej służby. Byli to najrozmaitsi ludzie, często dziwni, ale jedno mieli wspólne.

- Co takiego?

- Znaleźli się tam, bo chcieli uratować swoje tyłki przed odstrzeleniem.

— Nie rozumiem - powiedziałem.

- No, przed wysłaniem nas do jakiejś bazy polowej w Wietnamie wojsko proponowało nam umowę: zgoda na drugą albo nawet i trzecią turę w zamian za służbę na tyłach, siedzenie przy maszynie do pisania, wypełnianie formularzy i czyszczenie mundurów.

- Więc...

- Więc my wszyscy, którzy na to przystaliśmy, byliśmy tchórzami. Baliśmy się, ale byliśmy bezpieczni.

Rozmawialiśmy prawie godzinę. Przyznał, że morderca podał właściwy opis jego osoby. Mówił o wojsku, o życiu w obozie otoczonym kolczastymi drutami, o tym, jak często widywał zza nieb tłumy uciekinierów, jakby druty były barierą, która powstrzymywała uczucia równie skutecznie jak saperów. Powiedział, że nigdy nie wiedział, czy to żołnierze złapali się w pułapkę za drutami, czy też cywile są w pułapce na zewnątrz. Szybko notowałem jego słowa, to były pierwsze notatki, które sporządzałem od wielu dni. Wydawało mi się, że jego głos mnie odmładza. Czułem złośliwą uciechę. W głowie miałem tylko jedną myśl: teraz cię dopadnę.

O'Shaughnessy opowiadał także o tym, jak jechali do miasta, spacerowali po zatłoczonych ulicach, jak to oni, Amerykanie, wyróżniali się dzięki swojemu wzrostowi w tłumie miejscowych. Mówił o ciemnych barach, gdzie okiennice wzbraniały dostępu słońcu, a światło czerwonych lamp lśniło na nagiej skórze bezimiennych tancerek. Zdarzało się tam wiele okropności, mówił, morderstwa, tortury, zabójstwa, wszystko usprawiedliwiane wojną; ochryple głosy, niewyraźne od nadmiaru piwa albo taniej whisky, opowiadały pośród tej atmosfery tworzonej przez czerwone światło o makabrycznych wydarzeniach.

- Wszyscy tego słuchaliśmy, nie mogliśmy nie słyszeć. Żołnierze z jedno stek polowych pili, żeby zapomnieć, ale zapominanie jest powolnym procesem. Widzi się wszystko jak na scenie. A jedynym miejscem, gdzie można się było do pewnego stopnia uwolnić od tych koszmarów, były właśnie bary. Lu dzie opowiadali tam o wszystkim, jak na spowiedzi, i przez chwilę czuli ulgę.

Oczami duszy widziałem naszego mordercę. Siedzi w barze, słucha, co mówią żołnierze na przepustce, ich słowa fruują w powietrzu i zakorzeniają się w jego wyobraźni.

- Wie pan, co tam było najgorsze? - spytał O'Shaughnessy.

- Nie.

- Bez przerwy wysłuchiwało się tego wszystkiego, a jednak czuliśmy się w jakiś sposób odcięci, wydarzenia wydawały nam się nierealne. Takie samo wrażenie ma człowiek, kiedy się budzi i nie może sobie przypomnieć, co mu się przed sekundą śniło. Wszystko jest rzeczywiste, ale jednak nie jest. Nawet teraz zdarzają się chwile, gdy coś robię, a nagle jakiś ton głosu, jakieś słowo, przypomina mi tamte rozmowy. To prawie tak, jakby się czuło obecność ducha w sobie.

Niemal widziałem, jak na drugim końcu linii potrząsa głową, żeby uwolnić się od wspomnień.

- Jak się panu wydaje, dlaczego właśnie jego to wszystko tak poruszyło? - spytałem.

Chwilę się zastanawiał.

- Nie powiedziałem panu jeszcze, czym zajmowała się moja jednostka.

- A więc?

- Przygotowywaliśmy naszych poległych do wysłania do domu. Sprawdzaliśmy nazwiska, blaszki identyfikacyjne, pilnowaliśmy, żeby do zwłok

dołączano właściwe pudełko z osobistymi *rzeczami*. Po prostu pracowaliśmy w kostnicy. Niektóre ciała były tak uszkodzone, że nie można ich było zidentyfikować, inne prawie nietknięte. Właśnie dlatego w sekcji panowała taka fluktuacja. Praca była zbyt makabryczna, zbyt dziwaczna. Niech pan sobie to wyobrazi: cały dzień ze sztywnymi. Mieliśmy klimatyzację, ale ciągle jeszcze czuję zapach śmierci. Czasami nawet łapią mnie mdłości. Lekarze nie mogą sobie z tym poradzić. Mówią, że to nie jest choroba żołądka, lecz głowy. Właśnie na tym polega kłopot z wojną: zawsze mieliśmy zbyt wiele w głowie.

Nie wiedziałem, co mu odpowiedzieć. Wyobraziłem sobie mordercę przy pracy: oddychał ciężko, powoli, cały dzień w kostnicy. A z każdym oddechem wciągał do płuc smród martwych ciał.

- Czy przydałem się panu na coś? - spytał O'Shaughnessy.
- Bardziej niż może pan to sobie wyobrazić - odparłem.

Rozdział siedemnasty

Mam cię, ty draniu! Nikomu nie powiedziałem o mojej rozmowie z O'Shaughnessym. Pozwoliłem za to poszaleć wyobraźni. Widziałem już, jak łapię drania. Czułem, że udało mi się przeskoczyć przepaść między sobą a mordercą, że wszystkie jego kłamstwa się rozwiewają. Siedziałem przy biurku, huśtając się na krześle. Kto jest teraz łowcą, a kto zwierzyną? - radowałem się. Zacisnąłem triumfalnie pięści. Nolan zobaczył to i podszedł do mnie.

- Jakież nowiny? - spytał. - Może dla odmiany dobre?

Skinąłem głową, a on lekko się wykrzywił, a potem rozpląnął w uśmiechu.

- Tylko proszę cię, nie coś takiego, jak to fiasko ze spotkaniem. I niech to nie będzie niebezpieczne.

Więc puściłem mu taśmę z rozmową. Słuchał w milczeniu, gładził się po brodzie i lekko huśtał na krześle. Wreszcie odchylił się na oparcie.

- Może masz rację- powiedział. Potem roześmiał się, był to wielki wybuch śmiechu, który wypełnił cały pokój. - Do licha! Może właśnie o to chodzi!

- Sprawa właściwie dobiega końca - stwierdziłem.

- Masz rację. Zadzwoń do Pentagonu.

- Oni podadzą nam nazwisko...

- A my dopadniemy mordercę. - Popatrzyliśmy po sobie. - Może. Ale wy obraź sobie, że od tamtego czasu zmienił nazwisko. Co wtedy?

- Tak sądzisz? To chyba nie w jego stylu.

Nolan pokiwał głową.

- Nie. Rzeczywiście raczej nie.

Zerknęliśmy na siebie przez stół, artykuły patrzyły na nas ze ścian. To one wyznaczały nam rytm życia, stanowiły treść naszych dni, decydowały o naszych wlotach i upadkach.

- Dorwiemy tego sukinsyna - powiedział Nolan. - Do diabła! Ty go dorwiesz!

Oficer w biurze informacji w Pentagonie wystrzeliwał z siebie salwy słów:

- Tak, sir. Lista nazwisk, sir. Natychmiast, sir. - Słyszałem skrobanie ołówka po papierze. - Tak, sir - powtórzył. - To wystarczy. Zrekapituluję: chce pan dostać listę nazwisk i w miarę możliwości adresy żołnierzy, którzy w tym czasie służyli w Da Nang w jednostkach rejestracji poległych.

- Tak. - Jeszcze raz podałem mu numery oddziałów i jednostki, przekazane mi przez O'Shaughtmessa'ego. Poprosiłem go też, by sprawdził dla mnie są mego porucznika.

- Roger - pokwitował prośbę,. — Na kiedy pan chce te dane, sir?

- Jak najszybciej.

- Potrzeba na to jakichś dwudziestu czterech godzin - uprzedził. - Ale zajmę się tym osobiście i od razu wszystko panu przekażę.

- Doskonale. - Nagle poczułem się spokojny, zupełnie jakbym miał nieograniczony czas. Już ci depczę po piętach, pomyślałem. Jestem blisko ciebie. Pragnąłem, by morderca do mnie zadzwonił, chciałem dać mu to do zrozumienia, chciałem, żeby zaczął się pocić. Byłem blisko.

Po południu poszedłem zobaczyć się z Martinezem i Wilsonem. Podążałem za nimi przez labirynt biur i przepierzeń. Tutaj nic się nie zmieniło. Wydawało mi się, że ci sami policjanci przeszukują tych samych podejrzanych, te same zmęczone głosy podają te same informacje. Słońce wpadało do pomieszczenia jakoś krzywo, oświetlało kąty, rzucało cienie na podłogę. Głosy unosiły się w zadymione powietrze, mieszały się z szumem urządzeń klimatyzacyjnych, tworząc w sumie niezrozumiały gwar.

Zaprowadzili mnie do pokoju przeznaczonego tylko na tę sprawę.

- Dzwonił do pana? - spytał Wilson.

- Jeszcze nie.

- Zadzwoni - zapewnił nas Martinez. - Zawsze dzwonił. Gdy morderca już raz ustali jakiś wzór działania, bardzo trudno mu *złamać* swoją rutynę. Tak robią zarówno najgorsze świry, w rodzaju naszego faceta, jak i opanowani zabójcy na zlecenie. Szybko wciągają się w system, który sami stworzyli, w swój własny sposób postępowania. I potem albo trzymają się go bardzo ściśle, albo zabijanie przestaje sprawiać im satysfakcję. To jest jak podpis. Czasami widać drobną zmianę, czasami jakieś zachwianie ręki, ale ogólnie pozostaje taki sam. A system tego faceta polega na tym, że on musi do ciebie telefonować.

- A nie wydaje ci się, że ostatni telefon był już naprawdę ostatni?

- Nie. To tylko domysł, ale sądzę, że zaczyna tracić wiatr. Może któryś z policjantów wypytujących ludzi na ulicy zanadto zbliżył się do niego; może się wystraszył. Ale nie sądzę, by potrafił powstrzymać się od następnego telefonu. Ani od

popelnienia następnego morderstwa. To się stało dla niego zbyt ważne. Nie będzie mógł bez tego żyć. Ma już zbyt rozdęte ego. I dzięki temu go złapiemy.

Już chciałem go zawiadomić o swojej rozmowie z O'Shaughnessym, ale nakazałem sobie jeszcze poczekać.

- Myślicie, że grozi mi niebezpieczeństwo? - spytałem.
- Trudno powiedzieć - odparł Wilson. - Może już zrobił panu to, co chciał zrobić: wystraszył pana. Z drugiej strony, to mógł być tylko początek. Tak więc musimy uznać, że grozi panu niebezpieczeństwo.
- Nie widzę w tym żadnej logiki - sprzeciwiłem się.
- Logika! Kto tu się przejmuje logiką? Na pewno nie nasz facet.
- Przecież już ze sto razy miał okazję mnie zabić.
- Jasne - wtrącił się Martinez. - Ale to nie oznacza, że nie wykorzysta sto pierwszej.

Potrząsnąłem głową. On nie poluje na mnie, pomyślałem. To ja poluję na niego.

- Musisz sobie uświadomić - kontynuował Martinez - że on lubi ustana wiać osobisty związek ze swoimi ofiarami. Właśnie dlatego ta kobieta z dzieckiem, tam, na moczarach, sprawiła mu takie rozczarowanie. Nie chciała z nim rozmawiać. Ale musisz sobie również uświadomić, że spośród wszystkich ludzi, z którymi miał styczność, właśnie ty jesteś mu najbliższy. Więc dlaczego miałby cię nie zabić? A poza tym pomyśl o nagłówkach, jakie spowodowałyby takie morderstwo.

- Nadal uważam, że on mnie potrzebuje, i dlatego nie będzie nawet próbował. Po prostu mam takie przecucie.

Wilson zaklął.

- I to przecucie może pana zabić. Niech pan nie będzie taki zaślepiony. I niech pan nie sądzi, że potrafi go zastrzelić tym swoim ślicznym pistoleciem. Nie jesteśmy na Dzikim Zachodzie. Ten facet zna się na broni.

- Nie próbuj mu nim grozić - ostrzegł mnie Martinez - bo zginiesz pierwszy.
- Dlaczego wydaje wam się...
- Do diabła! - przerwał mu Wilson. - Uważa nas pan za głupców?
- Wiemy o czterdziestcepiątce, którą kupiłeś - wyjaśnił mi Martinez. - Lepiej pozbadź się jej, zanim zrobisz sobie krzywdę.

Nic im na to nie odpowiedziałem.

- Nawet o tym nie myśl - dodał jeszcze Martinez.
- A co wy będziecie teraz robić? - spytałem, by zmienić temat. - Gdzie się teraz wybieracie?

- Znow na ulicę - odrzekł Martinez. - Mamy portret pamięciowy. Będzie my go wszystkim rozdawać. Coś musi z tego wyniknąć. Może rozpozna go jakiś podejrzliwy sąsiad albo barman, który lubi przyglądać się twarzom. A wtedy go złapiemy. Trochę to z pewnością potrwa, ale będziemy go mieli. To już tylko kwestia czasu.

Wyobrażałem sobie końcowy artykuł. Widziałem, jak słowa materializują się przede mną. Najpierw konkretne informacje: nazwisko mordercy, doniesienie, że został złapany, może nawet zastrzelony. Potem dane dostarczone przez Pentagon i O'Shaughnessy'ego. Następnie powrót do akcji: opis ostatecznej konfrontacji, zapędzenia mordercy w róg i rzucenia go na ziemię.

Myślałem o T.S. Eliocie. Nie będzie już więcej domysłów, jedynie gwałtowne uderzenie.

Ostatni artykuł. Bez kłamstw, bez półprawd, bez owijania w bawełnę, bez informacji prowadzących na manowce. Czysta prawda: nazwiska, miejsca, fakty.

Czysta prawda.

Zadzzwoniłem do Christine, do domu jej rodziców w Madison. Telefon przyjęła jej matka. Gdy się przedstawiłem, nastąpiła chwila ciszy.

- Nie wiem, czy będzie chciała z tobą rozmawiać - powiedziała w końcu - ale spytam ją.

Usłyszałem cichą wymianę zdań, zaczekałem i wreszcie w słuchawce rozległ się głos Christine:

- Jak się miewasz?

- Dobrze - odparłem. - Wrócisz?

Milczenie. Słyszałem, jak oddycha.

- Po co?

- Może być tak jak dawniej.

- A morderca?

- To już prawie skończone.

- Skąd możesz wiedzieć?

- Mamy ślad. Wiem, że go złapiemy.

- A jeżeli nawet, to dlaczego uważasz, że między nami coś się zmieni?

- Christine, to już koniec tej historii. Czuję to!

- Może ta historia rzeczywiście dobiega końca - stwierdziła. - Ale będą następne.

- Jasne, oczywiście, że będą. To *znaczy*, przecież tym właśnie się zajmuję...

- I tylko tym - rzuciła. - Wszystko inne zniknęło z twojego życia. Nie ma już w nim miejsca na nic innego, a już zwłaszcza dla mnie.

- Pragnę cię. Zrobię miejsce dla ciebie.

Sapnęła i czułem, jak traci panowanie nad sobą, w jej głosie słysząc było łzy.

- To nieprawda - powiedziała. - Malcolm, wiesz, że nic się nie zmieni.

Odpowiedz mi na jedno pytanie: co byś zrobił, gdybyś musiał wybierać między mną a pisaniem o mordercy?

- To nie fair.

- Życie też nie jest fair - rzekła. - Przyleciałbyś po mnie jutro?

- Ja...

- No widzisz.
- Przyleciałbym. Po prostu nie mogę uwierzyć, że tego ode mnie wymagasz. Czuję, jak potrząsa głową.
- Nie, nie wymagam. I nie wiem, czy przyniosłoby to coś dobrego. Byłbyś nieszczęśliwy, bo bardziej cię obchodzi twoje pisanie niż ja. Zawsze tak było.
- Mylisz się. Powiedz tylko, co byś chciała. Zrobię wszystko, czego zażądasz. Chcę, żebyś wróciła.
- Leciutko się zaśmiała.
- Chciałabym ci wierzyć. Mówisz tak ładnie.
- Więc mnie wypróbuj - powiedziałem. Modliłem się, żeby nie zażądała właśnie tego.
- Nastąpiła chwila napięcia. Czuję wilgoć na słuchawce, pod moją spoczną ręką.
- Nie - powiedziała wreszcie. - Zadzwoń do mnie, gdy to się skończy.
- Dobrze - zgodziłem się. - Gdy to się skończy.
- Jeżeli ten koniec kiedykolwiek nastąpi - dodała i przerwała połączenie.

Oficer z Pentagonu zadzwonił następnego dnia późnym wieczorem.

- Sir! Zestawiliśmy listę, o którą pan prosił.
- Ogarnęło mnie podniecenie.
- Jest długa?
- Jakieś sto siedemdziesiąt pięć nazwisk, sir. Jeden-siedem-pięć.
- Z adresami?
- Tak jest, sir. Ale nie mogę zagwarantować, że wszystkie są aktualne. Pochodzą z okresu, kiedy ci ludzie odbywali służbę wojskową. Od tamtego czasu wiele się mogło zmienić. Weterani nie zawsze informują nasze biuro o zmianie miejsca zamieszkania.
- Ale nazwiska...
- Och, to co innego, sir. Rejestry tych właśnie jednostek administracyjnych prowadziliśmy wyjątkowo starannie. Było to konieczne, bo nie chcieliśmy tam żadnych pomyłek, jeżeli pan rozumie, o co mi chodzi, sir. I każdy, kto tam pracował, jest na liście.
- AO'Shaughnessy?
- Porucznik Peter O'Shaughnessy, numer identyfikacyjny DR jeden-siedem-jeden-cztery-trzy-zero-siedem. Zapis w aktach odpowiada danym i okresowi, które mi pan podał. Zwolniony z honorami w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim, marzec. Obecny adres Memphis, Tennessee.
- Nagle poczułem się pusty. To koniec. Tym razem to naprawdę koniec.
- Dziękuję-powiedziałem.
- Cieszę się, że mogliśmy się przydać, sir. Prześlę listę przez nocnego kuriera.

Lista dotarła do mnie rano. Zapakowana była w grubą manilową kopertę. Od razu ją zauważyłem, bo sporo wystawała z mojej przegródki na pocztę. Zważyłem kopertę w rękę, czułem jej ciężar, czułem podniecenie. Tutaj jest wszystko, pomyślałem, mam go jak na dłoni. Wiedziałem, że nie pofatygował się, by zmienić nazwisko, że wyśmiałyby takie elementarne środki ostrożności. Po co szukać nowej tożsamości, skoro tak starannie osłonił prawdziwą? A jednak zostawił otwartą furtkę. Pamiętam, co mówił psychiatra: on chce, żeby go złapano. A więc, niech tak się stanie. Ustalił własne reguły, grał według nich, tak samo jak ja. Otworzyłem kopertę i nawet nie zaglądając do środka poszedłem do biurka Nolana.

Popatrzył na mnie od komputera. Na chwilę nasze spojrzenia się spotkały, w jego oczach widziałem pytanie. Potem spostrzegł żółtą kopertę. Uśmiechnął się.

- Masz to?

- Tak.

Usiadłem przy swoim biurku i popatrzyłem na nazwiska wpisane na pierwszej stronie. Od samej góry figurował Adams, Andrew S., numer identyfikacyjny AD2985734, Lexington, Kentucky. Zajrzałem na ostatnią stronę: Zywicki, Richard, numer identyfikacyjny CH1596483, Chester, Pensylwania. Rzuciłem okiem na grubą książkę telefoniczną, leżącą w rogu biurka. Przecież to nie może być aż takie proste, pomyślałem, i sięgnąłem po nią.

Ale to było właśnie takie proste.

Patrzyłem na nazwisko, moje palce lekko drżały na odpowiedniej stronie w otwartej książce telefonicznej Miami.

Czterdziesta siódma pozycja listy Pentagonu:

Dolour, Alan, numer identyfikacyjny MB 1269854, Hardwick, Ohio.

A w książce telefonicznej:

A. Dolour. Dwa-dwadzieścia-cztery NE, Siedemdziesiąta Ósma ulica.

To on. Z całą pewnością. Kiwnąłem ręką do Nolana, a on szybko podszedł do mojego biurka. Bez słowa pokazałem mu obie pozycje, na liście Pentagonu i w książce telefonicznej. Przez chwilę patrzył szeroko otwartymi oczami, a potem skinął głową. Nie uśmiechał się. Teraz wymagana jest powaga.

I wtedy zadzwonił telefon.

Wiedziałem, że to on. Zbieżność czasu była zbyt wyraźna, by mógł to być ktoś inny. W jego głosie usłyszałem jakiś nowy ton, pośpiech, zadyszkę, jakby trudno mu było oddychać i płuca musiały pracować zbyt ciężko.

Włączyłem magnetofon i dałem znak Nolanowi. Gwałtownym ruchem pokazałem mu numer obok nazwiska w książce telefonicznej, a on skinął głową i podszedł do pobliskiego aparatu.

- To ja - powiedział głos. - Przypuszczam, że czekałeś na mój telefon.

— Owszem - odparłem.

- Czego się dowiedziałeś? - spytał niespodziewanie. Przez moment sądziłem, że mówi o wykazie z Pentagonu. - Zaczynasz wreszcie rozumieć?

Uświadomiłem sobie, że on ciągle jeszcze przebywa w świecie wojny, który sobie stworzył.

- A czego powinienem być się dowiedzieć?

Nie odpowiedział. Spojrzałem na Nolana. Wpatrywał się w swoją słuchawkę. Gdy zauważył, że na niego patrzę, chwycił ołówek i napisał: „Zajęte”.

- Wszyscy wpadliśmy w pułapkę. Wszyscy byliśmy winni - powiedział morderca. - Wszyscy. Tyją, każdy.

- A co nam pozostało teraz? - spytałem.

—Nic. Po prostu ciemność. Zło. Śmierć. Zniszczenie.

- Będziesz dalej zabijał?

Nie zwrócił uwagi na moje słowa, lecz kontynuował swoją myśl.

- Wszyscy jesteśmy chorzy. To epidemia.

- Będziesz dalej zabijał? - krzyknąłem.

- Nigdy nie przestanę - odpowiedział.

- Wiem, kim jesteś - zaryzykowałem.

Wydawało mi się, że przez chwilę przestał oddychać.

—Żegnaj, Anderson. Żegnaj na zawsze.

- Wiem! - powtórzyłem. - Cholera! Wiem.

Znów się roześmiał.

- Zaginiony w akcji. Poległ, ale nie wciągnięto go na listę poległych.

Zawołałem go po nazwisku, ale linia była już martwa.

Odsunąłem od siebie słuchawkę i patrzyłem na nią w oszołomieniu. Potem wszystko zaczęło się dziać naraz. Nolan rozmawiał z Wilsonem, wyjaśniając pospiesznie, co się wydarzyło. Andrew Porter biegł ze studia fotograficznego, zarzucając sobie rzemyki aparatów na szyję, torba z filmami i obiektami huśtała się dziko w rytm jego kroków.

- Jedziemy - krzyczał. - Jedziemy!

Potem ja też biegłem, Nolan pędził obok mnie, usiłowaliśmy dogonić Portera, który już stał przy windach.

- Szybciej, szybciej! - ponaglał nas. - Mam windę!

Zostałem wepchnięty do kabiny z taką siłą, jakbym się dostał w poranny odpływ.

- Jadę z wami. Nie mogę tego stracić - powtarzał Nolan, gdy stłoczyliśmy się w windzie. - Ruszaj! - krzyknął do mechanizmu, i pojechaliśmy w dół, opuszczając nasze sanktuarium.

Na dworze upał otoczył nas jak gruby mur.

- Pospiesz się! - wołali chórem Nolan i Porter, ciągnąc mnie za sobą.

Porter bezlitośnie nacisnął pedał gazu, samochód skoczył do przodu, silnik i opony zgodnie zajęczały. Popędziliśmy Bulwarem, przebijaliśmy się przez popołudniowe korki, Porter nie zdejmował palca z klaksonu. Gdzieś z daleka usłyszałem syreny.

- Ha! Adrenalina pompuje im się do żył - powiedział Porter.

Ludzie na ulicy zwracali do nas głowy, sylwetki przelatwały nam przed oczami, przechodnie zatrzymywali się, by zobaczyć, co się dzieje, na ich twarzach malowała się ciekawość, lęk, podniecenie. A my pędziliśmy do przodu. Przed nami pojawiły się niebieskie światła migaczy.

- Tam! To tam! - krzyknął Nolan.

Zobaczyłem skromny budynek mieszkalny. Otaczały go radiowozy i nieoznakowane samochody policyjne. Właśnie nadjeżdżała furgonetka antyterrorystycznych jednostek SWAT. Znalazła sobie miejsce do zaparkowania, i zaraz wysypał się z niej oddziałek mężczyzn w kuloodpornych kamizelkach, niebieskich kombinezonach i czapczkach baseballowych. Mieli broń. Rozpoznałem ich automatyczne M-16. Tak samo uzbrojeni byli żołnierze piechoty w Wietnamie.

- Boże - powiedział Nolan. - To wygląda jak początek trzeciej wojny światowej.

Porter już biegł w kierunku domu, strzelając z aparatu na wszystkie strony tak, jak piechociarz strzela ze swojego karabinu.

Budynek był niewielki, dwie kondygnacje, pięć, może sześć mieszkań. Zauważyłem rysy na murze i wielką smugę brudu, biegnącą spod czerwonych dachówek aż do samej ziemi. Żadnego trawnika, jedynie ulica i brud. Kilkunastu policjantów, mundurowych i tajniaków, stało przy drzwiach z bronią gotową do strzału. Oddział SWAT wszedł pierwszy. Wydawało się, że czas przestał biec, stanął w bezruchu pod palącym słońcem.

I nagle wszystko się skończyło. Pistolety wróciły do kabur, policjanci wysypali się na ulicę i ze złością wymieniali uwagi.

Ruszyliśmy z Nolanem w stronę tego tłumku. Pośrodku stał Martinez. Pokiwał na mnie ręką.

- Uciekł - powiedział.

- Gdzie? - spytałem.

- Musi być gdzieś blisko. Dostaniemy go.

Wilson zszedł po schodach i dołączył do nas.

- Dziękuję za telefon - zwrócił się do Nolana. - Ale co go mogło wystraszyć?

Jeszcze przez chwilę milczałem, ale potem musiałem przyznać:

- Ja. - Obaj detektywi spojrzeli na mnie. - Powiedziałem mu, że wiem, kim jest.

Martinez jęknął, Wilson odwrócił się do mnie plecami.

- A już byśmy go mieli - rozżalił się Martinez.

Wolałem zachować milczenie.

- No trudno - odezwał się Martinez po chwili. - Wydaje mi się, że mimo wszystko zasługujesz na to, by rzucić okiem na jego mieszkanie.

Poprowadził nas do budynku. W środku było chyba chłodniej, na moment oślepiła mnie ciemność.

- Marne lokum - zauważył Martinez. - Nie lepsze niż mieszkania w śródmiejskim getcie.

Weszliśmy na piętro. Ktoś z oddziału SWAT palił papierosa na podeście. Drzwi do mieszkania były otwarte. Martinez skinął mi głową i poinformował:

- Zaraz przyjadą technicy. - Potem odwrócił się do nas. - Zasady są takie same. Możecie patrzeć, tylko niczego nie dotykajcie. - A potem do Portera: - Proszę fotografować do woli, ale nie przeszkadzać nikomu w pracy.

Weszliśmy do mieszkania.

Było małe, umeblowane byle jak. W jednym kącie stała kuchenka i lodówka, w innym wąskie łóżko z brudną pościelą. W całym pomieszczeniu rozchodził się stęchły, dość niezwykły zapach. Drut telefonu został wyrwany ze ściany i leżał w skrzętach na podłodze. Ale to ściana przyciągnęła moją uwagę.

Zawiesił tam prawdziwy ołtarzyk. Pośrodku znajdował się wielki, zielonoczerwony plakat pokazujący masakrę w My Lai. Od niego, jak z grzybni, odchodziły dziesiątki innych zdjęć, najrozmaitszych kształtów i rozmiarów: Jane Fonda, generał Westmoreland, Robert MacNamara, Siódemka z Chicago, prezydent Lyndon Baines Johnson, Daniel Ellsberg, Ho Shi Minh. Strony wyrwane z magazynu „Life” pokazywały żołnierzy czołgających się pod ogniem po bagnach i ryżowiskach, a także dzieci, patrzące spojrzeniem pustym od przerażenia zza drutów obozu dla uchodźców. Na niektórych zdjęciach dokonał twórczych operacji: Nixon i Agnew, obaj z rękami uniesionymi w geście zwycięstwa, a w ramionach trzymają martwe wietnamskie dziecko. Henry Kissinger, w stroju wieczorowym, towarzyszący równie pięknie ubranej kobiecie z głową Wietnamki. Te obrazy maszerowały przed oczami patrzącego, nadając pokojowi wprost niesamowity nastrój.

Odwróciłem się od ściany i zobaczyłem magnetofon, pozostawiony na stoliku obok jedynego okna w mieszkaniu. Za stolikiem znajdowało się lustro, powieszona na ścianie przy łazience. Lustro było sfuczone, w jego środku widniała czarna dziura. Kawalki szkła rozprysnęły się po podłodze.

Znów spojrzałem na stolik. Obok magnetofonu leżała otwarta książka w miękkiej oprawie. Przeczytałem tytuł z grzbietu: Malraux, *Dola człowieka*.

Martinez także zobaczył te przedmioty. Porywczo chwycił książkę, chociaż najpierw owinął rękę chusteczką. Przez chwilę czytał to, co zobaczył na otwartej stronie, a potem nakierował ją tak, żebym i ja mógł widzieć. Jeden akapit był podkreślony.

„Często widział śmierć... Zawsze myślał, że piękną rzeczą jest umrzeć z własnej ręki, bo taka śmierć przypomina życie. Śmierć jest czymś biernym, ale gdy człowiek sam się zabija, działa świadomie...”.

Popatrzyliśmy na siebie z Martinezem, ale nie odezwaliliśmy się słowem.

Gdy Wilson do nas podszedł, Martinez położył książkę na jej pierwotnym miejscu, obok magnetofonu.

- Posłuchajmy, co miał nam do powiedzenia - zaproponował Wilson i włączył magnetofon.

Przez jakiś czas słyszeliśmy wyłącznie szum.

Potem jego zwykły śmiech.

Potem słowa:

- Cześć, Anderson. Cześć, policjanci.

I znów ten sam śmiech.

Potem:

- Nigdy mnie nie złapiecie.

Znów usłyszeliśmy szum. Wilson już chciał wyłączyć magnetofon, ale zaraz rozległy się nowe dźwięki. Morderca nucił jakąś piosenkę. Natychmiast rozpoznałem melodię, bo pamiętałem ją jeszcze z college'u.

Śpiewał wysokim, nerwowym głosem:

*...Najpierw jeden, dwa i trzy.
Powiedz, o co walczysz ty? Nie
pytajcie, celu nie znam, Następny
przystanek Wietnam. Potem
cztery, pięć i sześć: Każdy musi
przez to przejść. Co nas czeka?
Powie wam. Jazda! Czeka nas...*

Ostatnie słowo rozplynęło się w wybuchu czterdziestki i rozbryzgu lustrzanego szkła.

- Jezu-jęknął Martinez.

Wszyscy podskoczyliśmy na dźwięk eksplozji, płynący z taśmy.

- No więc mamy go - oznajmił Wilson. - Mamy rysopis i od sąsiada numer jego samochodu. To biały plymouth. Powinniśmy go złapać jeszcze dziś, najpóźniej wieczorem. Gdzie on mógł się ukryć?

- Anderson... - odezwał się głos z magnetofonu. Przeciągał moje nazwisko, akcentując każdą sylabę. - To dla ciebie, Anderson. Jeszcze jedno. Rozumiesz? Jeszcze jedno.

Martinez spojrział na mnie ze zdumieniem, a Nolan spytał:

- Co to, do diabła, ma znaczyć?

Porter wycelował we mnie aparat jak pistolet i raz za razem strzelał zdjęcia, by udokumentować moją reakcję.

- Nie przejmuj się. - Martinez mówił spokojnie, chciał mnie podnieść na duchu. - To mogło znaczyć dosłownie wszystko.

- Myślisz, że on miał na myśli mnie? - spytałem.

Martinez wzruszył ramionami, ale odpowiedział Wilson:

- A nawet jeżeli, no to co? Już go mamy. Dopadniemy go jeszcze dziś po południu. Nie musi się pan niczego obawiać. - Potem spojrział mi w oczy. - To mi się podoba - dodał jeszcze. - Wszystko wydaje się o wiele bardziej realne, gdy to pan jest na celowniku, prawda?

- Słuchaj, nie przejmuj się - mówił tymczasem Martinez. - Złapiemy go. Już go mamy. Nic ci się nie stanie.

Ale mylił się.

Rozdział osiemnasty

Nagłówek, wydrukowany czterdziestoósmiopunktową antykwa, zajął całą szerokość strony.

NUMEROWY MORDERCA ZIDENTYFIKOWANY. POLICYJNE POLOWANIE NA CZŁOWIEKA DOBIEGA KOŃCA.

Zacząłem od najważniejszych informacji: nazwisko, adres, szalona jazda przez miasto do mieszkania mordercy, a od tego przeszedłem do opisu ściany ze zdjęciami. Główkę złożono czternastopunktową czcionką cycero, ciągnęła się przez dwie kolumny. Pośrodku strony zamieszczono portret pamięciowy i stare zdjęcie mordercy, sprzed wielu lat, przekazane nam z Waszyngtonu przez Associated Press. Otrzymaliśmy je dzięki uprzejmości Pentagonu. Opisałem mieszkanie, rewizję przeprowadzoną przez policję, rozmowę telefoniczną z O'Shaughnessym, wykaz nazwisk sporządzony przez Pentagon. Główna część artykułu została przeniesiona do środka numeru, na rozkładówkę, żeby zmieściły się również inne fotografie, przede wszystkim czterokolumnowe zdjęcie, które Porter zrobił szerokokątnym obiektywem, pokazujące całe wnętrze pokoju mordercy. Postacie na ścianie były widoczne w tle, jak duchy.

Nolan krążył wokół mojego biurka i zaglądał mi przez ramię, dopingując mnie jak cheerleaderka futbolistów.

- Pisz wszystko - powtarzał. - Pisz wszystko. Nie przejmuj się objętością, po prostu opisz wszystko.

I tak zrobiłem. Gdy wyciągnąłem z maszyny ostatnią stronę, tak gwałtownie, że wałek obracał się jeszcze przez chwilę, poczułem przypływ uniesienia, niemal seksualne podniecenie. Moje myśli pobiegły do Christine, ale szybko wypędziłem z umysłu jej obraz.

Nolan przeczytał ostatni akapit.

- Do licha, to jest tutaj - powiedział. - Tu jest wszystko... oprócz jednej rzeczy.

W głowie rozbrzmiewał mi głos mordercy: „Jeszcze jedno”.

- Czy powinienem...

- Nie, nie, przecież nie wiemy, o co mu chodziło - przerwał mi Nolan. - To ty jesteś ekspertem w jego sprawie, więc sam podejmij decyzję.

Wzruszyłem ramionami.

- No właśnie - kontynuował. - Po co wzmagać w ludziach strach, skoro nic nie wiemy na pewno. - Odszedł do swojego biurka, zabierając ostatnią stronę.

Ale mnie coś ścisnęło w żołądku, zupełnie jakby ktoś chwycił go ręką i zacisnął pięść. Nie mogłem złapać oddechu, zakreśliło mi się w głowie, zrobiło mi się słabo. Schyliłem się i włożyłem głowę między kolana.

Bo wiedziałem.

Chodziło mu o mnie.

Gdy tekst został zaadiustowany i poszedł do składu, Nolan odprowadził mnie do samochodu. Było już ciemno.

- Dobrze się czujesz? - spytał. - Słuchaj, nie musisz się niczego obawiać. Złapią go jeszcze dziś.

Zanim zaparkowałem przed domem, objechałem go kilka razy, żeby sprawdzić okolicę. Wszystko wydawało się ciche, normalne, takie jak zawsze. Potem siedziałem w samochodzie i czekałem, aż oczy przyzwyczają mi się do ciemności. Jak oczy sowy, pomyślałem.

Wchodząc do mieszkania nie zapaliłem światła. Prześliznąłem się tylko przez drzwi i stałem tak, wstrzymując oddech, by wyczuć obcą obecność w ciemnych pokojach. Nagle wypuściłem powietrze z płuc, bo wydało mi się, że słyszę jakiś dźwięk. Przestraszyłem się. Nadal nie zapalając światła poszedłem do sypialni, i z górnej szuflady komody wyjąłem czterdziestkępiątkę. Włożyłem na miejsce magazynek, przeładowałem i odwiodłem bezpiecznik. Potem powoli obszedłem mieszkanie. Sprawdzałem każdą szafę, zaglądałem za każde zamknięte drzwi. Naciskając klamkę czułem się tak, jakby czekała mnie za nimi jakaś przygoda, na moment ogarniała mnie panika, potem ulga, i szedłem do następnych drzwi, by przeżyć to samo. W końcu, usatysfakcjonowany, zapaliłem małą lampkę, która ledwo rozpraszała ciemność, i usiadłem twarzą do drzwi wejściowych. Czekałem.

Podskoczyłem, gdy dzwonek telefonu rozdarł ciszę.

Z walącym sercem podszedłem do aparatu i pozwoliłem mu dzwonić. Jeden dzwonek, drugi, trzeci. Pięć. Siedem. Dziewięć. Zamilkł, gdy doliczyłem do trzynastu.

Tylko ty i ja, pomyślałem.

Tej nocy nie poszedłem spać.

Gdy rano wróciłem do redakcji, Nolan nerwowym krokiem przemierzał pokój, co chwila zaciskał pięści, a potem prostował palce.

- Idioci - powiedział. - Idioci! - Odwrócił się do mnie. - Nic. Żadnego śladu. Szukają go wszyscy policjanci w mieście. Na Boga, przecież mają zdjęcie cie, opis, wiedzą, jakim samochodem jeździ, wiedzą wszystko. Czego jeszcze potrzebują? Żeby sam im się przedstawił?

Znów zrobiło mi się słabo.

Potem zadzwoniłem do państwa Dolour, zamieszkałych w Hardwick, Ohio. Próbowałem trzy razy, ale było zajęte, i dopiero za czwartym odezwał się opryskliwy głos. Przedstawiłem się i powiedziałem:

- Panie Dolour, chciałbym z panem porozmawiać o pańskim synu.

- Nie mam syna - oznajmił i rzucił słuchawką.

Nolan nie mógł podjąć decyzji: trzeba było kogoś tam posłać i chciał wiedzieć, czyja podejmę się rozmowy z nimi.

- To twoja historia - powiedział. - Ale z drugiej strony, jej koniec musi my dopisać tutaj.

Przez chwilę chciałem jechać. Tam byłbym bezpieczny. Nie miałbym się czego bać. Rozgorzała we mnie wewnętrzna walka: osobiste bezpieczeństwo kontra... co? Nie mogłem znaleźć właściwego słowa.

- Nie - odpowiedziałem mu. - Zostanę tutaj.

Wysłano którąś z dziennikarek.

Nie mogłem się zdobyć na przeczytanie jej artykułu.

Po południu komendant miejskiej policji przemawiał w trzech stacjach telewizyjnych, prosząc mordercę, by się poddał. Mówił, że odnalezienie go to już tylko kwestia czasu.

- Oddaj się w nasze ręce - powiedział, patrząc bez drgnienia powiek w kamerę. - Uratuj się sam i oszczędź nam dalszego rozlewu krwi.

Nolan roześmiał się na cały głos, a ja do niego dołączyłem. W redakcji mieliśmy kilka telewizorów i komendant widniał na każdym z nich, jakby odbijał się w serii luster.

- Uwielbiam takie obrazki - powiedział Nolan. - Wygląda zupełnie jak pogromca złoczyńców na filmie z lat pięćdziesiątych.

Śmiech śmiechem, ale nadal nie było ani śladu mordercy.

POLOWANIE NA MORDERCĘ TRWA. POLICJA PRZECZESUJE MIASTO.

- Gdzie on, do diabła, się ukrywa? - spytał Nolan. - Nie wierzę, że nie po trafią go *znaleźć*. - Chodził przytupując wokół sali. Nie mógł myśleć o niczym innym tylko o poszukiwaniu mordercy, wszystkie inne sprawy oddał zastępcom. Ja też czekałem, aż wreszcie go znajdą, a mój strach stawał się wprost materialny.

Jeździłem z Martinezem i Wilsonem na tylnym siedzeniu ich nie oznakowanego radiowozu. Wszyscy trzej pochyłaliśmy się do przodu, patrzyliśmy przez okna na ulicę, analizowaliśmy każdy szczegół, a potem go odrzucaliśmy. Napisałem o tym artykuł: o poszukiwaniu, o miejscach, które zostały sprawdzone, o podejrzanych, których przesłuchano, przebadano i wypuszczono.

Trzeciego dnia ochroniarz z uniwersytetu zauważył białego plymoutha. Miał zmienione tablice rejestracyjne. Szybko okazało się, że został ukradziony. Policjanci otrzymali wykaz wszystkich samochodów skradzionych w ciągu ostatnich trzech dni, od chwili, gdy morderca zniknął. Sprawdzono dworzec autobusowy, lotnisko, stację kolejową. Zatrudniono dodatkowy personel, zwiększono limit nadgodzin. Opisywałem to wszystko w codziennych artykułach.

Miasto trzęsło się od plotek: ukraść prywatny samolot albo łódź i niepostrzeżenie uciekć z miasta; widziano go w Key West, w Fort Lauderdale; wziął pewną rodzinę jako zakładników i na spokojnym przedmieściu czeka, aż uwagę ludzi przyciągnie jakaś inna sprawa, a wtedy bez trudu wymknie się z miasta.

Piątego dnia zebrałem te wszystkie plotki w jednym artykule. Został wydrukowany na pierwszej stronie, a jego tytuł brzmiał: „Gdzie on jest?”

— No właśnie - skomentował to Nolan. — Gdzie on jest?

Pewnego popołudnia, gdy jechaliśmy radiowozem, Wilson zapytał: -
Nadal ma pan tę nielegalną czterdziestkępiątkę?

Skinałem głową.

- To dobrze - powiedział.
- Dlaczego? - Żołądek znów mi się zacisnął w supeł.
- Nie wiem. Po prostu mam złe przeczucia.
- Zamknij się - skarcił go Martinez, a mnie poradził: - Nie słuchaj go.

Morderca gdzieś tu jest, ale myśli tylko o tym, by uratować swój tyłek. Mimo wszystko, co opowiada, nie ma czasu na gonienie za tobą. - Spiorunował Wilsona wzrokiem, ale ten tylko prychnął. Śmieszne, pomyślałem, bo pamiętałem, przy jakiej okazji słyszałem te same słowa.

Sypiałem jak zając albo wcale, z pistoletem koło łóżka.

Jednak najczęściej sen morzył mnie w bawialni, w fotelu, w którym zasiadałem twarzą do drzwi. Nocne odgłosy przedzierały się nawet do mojego uspiętego umysłu. Przy najmniejszym dźwięku budziłem się z szeroko otwartymi oczami, zamierającym sercem, mięśniami gotowymi do skoku. Czekałem.

Martinez i Wilson wpadli w cierpki, ponury nastrój. Z każdą godziną byli bardziej zdenerwowani. Nolan traktował zwłokę w ujęciu mordercy jak osobisty afront. Spędzałem z detektywami każdą wolną chwilę, przyglądałem się, jak Wilson mechanicznymi ruchami poleruje swój służbowy pistolet, podczas gdy Martinez kieruje samochód w kolejną ulicę, na której i tak nic nie mieliśmy *znaleźć*.

- Nie wezwę chłopców ze SWAT - mruzczał pod nosem Wilson. - Ten drań jest mój. Osobiście go złapię.

Martinez milczał. Raz tylko odwrócił się do mnie:

- Nie powinieneś być mu mówić. Gdybyś mu nie powiedział, że wiemy, kim jest, byłoby o wiele łatwiej.

Wzruszyłem ramionami. Zawsze, gdy z nimi jeździłem, miałem przy sobie własny pistolet. Do domu wchodziłem z bronią gotową do strzału. Odbezpieczoną.

Morderca odezwał się siódmego dnia po swoim zniknięciu.

Gdy rozległ się dzwonek telefonu, wykonałem rutynowe czynności: włączyłem magnetofon, chwyciłem notes i ołówek. Jednak gdy usłyszałem znajomy głos, doznałem wstrząsu. Ten człowiek się śmiał.

- Mówiłem ci - powiedział. Nie uznał za stosowne przedstawić się.

Musiałem zwalczyć w sobie chęć rzucenia słuchawki, ukrycia się.

- Gdzie...

Przerwał mi.

- Nie tak szybko.

- Nie możesz się stąd wydostać - oświadczyłem. - Dlaczego nie oddasz się w ręce policji?

Znów się roześmiał.

- Andersen, już czas.

- Nie! - wyplułem z siebie.

Jego śmiech brzmiał jak echo rozbrzmiewające w kablu.

- Anderson - powiedział, cedząc słowa. - Życzę powodzenia.

- Co? - Ale połączenie już zostało przerwane.

Z wrażenia miałem zaciśnięte gardło. Nie wiedziałem, co robić. Wyłączyłem magnetofon i spojrzałem przez salę na Nolana. Pomyślałem o detektywach. Wyobraziłem sobie tytuł: MORDERCA TELEFONUJE DO DZIENNIKARZA. Ale co on właściwie powiedział? I co to miało znaczyć? On i ja. Powodzenie? Zaczęła we mnie narastać panika, ale odepchnąłem ją w głąb umysłu. Nie, on nie zamierza przyjść po mnie. A jeżeli tak? On i ja. To sprawa między nami dwoma. Z trudem przełknąłem ślinę, wyjąłem taśmę z magnetofonu i wrzuciłem na dno szuflady.

- Masz coś nowego? - spytał Nolan jakiś czas później.

Pokiwałem przecząco głową.

- On musi tu gdzieś być - stwierdził.

- Tak, jest gdzieś tam - odparłem.

Tej nocy gorąco w pokoju wydawało mi się ciężkie, nieznośne. Siedziałem w fotelu i bębniłem palcami po pistolecie. Zadzwoił telefon. Christine? Już sięgałem po słuchawkę, ale zaraz cofnąłem rękę. Nie mogłem mieć pewności. Około północy przysnąłem. Przez ten półsen przedarł się odgłos kroków na podeście schodów. Przez chwilę walczyłem o odzyskanie pełnej świadomości. Dźwięk stawał się coraz głośniejszy: jakieś szuranie, kroki. Wbiłem spojrzenie przed siebie.

Odgłosy ucichły przed moimi drzwiami.

To on, pomyślałem.

Panowała całkowita cisza. Żadnego ruchu, żadnego dźwięku.

Mój oddech był spokojny.

Nadal żadnego odgłosu.

Przygotuj się, pomyślałem.

Podniosłem pistolet na wysokość oczu i wycelowałem w drzwi. Moje uszy łowiły dźwięki jak najwyższej klasy urządzenie podsłuchowe.

Usłyszałem, że jakaś ręka przyciska klamkę.

Wypaliłem.

Huk mnie ogłuszył, odrzut rzucił na oparcie fotela. W powietrzu rozszedł się zapach kordytui dymu. Przez sekundę byłem jak znokautowany, moje reakcje się spowolniły, ruchy stały się niezręczne. Potem hałas ucichł, w uszach już mi nie dzwoniło. Skoczyłem przez pokój ze wzrokiem utkwionym w czarnej poszarpanej dziurze w drzwiach. Chwyciłem klamkę i szybko ją nacisnąłem, jednocześnie chowając się za ścianą i celując z czterdziestkiptki.

Podest był pusty.

Przez chwilę trwałem w oszołomieniu. Gdzie on jest? Gdzie jest ciało? Zobaczyłem otwór po kuli w tynku naprzeciwko drzwi. - Ale przecież ktoś tu był - odezwałem się na głos. Słyszałem go. Był tutaj. Pobiegnęł schodami na dół, prosto w noc. Ulica była pusta.

- Wiem, że tu jesteś! - krzyknąłem.

- Gdzie? - odezwał się jakiś głos za moimi plecami.

Okręciłem się z wycelowanym pistoletem. Ale nie nacisnąłem na spust.

- Jezu, człowieku! Uważaj, co robisz! - To był sąsiad. Stał przede mną w piżamie, z kijem baseballowym w ręku. Zacząłem wracać do rzeczywistości. Widziałem światła, słyszałem jakieś głosy.

- Nic się panu nie stało? — spytał sąsiad. - On tu był?

- Nic mi nie jest - odpowiedziałem. Ale sam w to nie wierzyłem.

Rozdział dziewiętnasty

List przyszedł następnego dnia, ósmego od zniknięcia mordercy. Koperta była tania i zwyczajna, brakowało adresu zwrotnego. Gdy wzięłem ją do ręki, od razu wiedziałem, że zawiera tylko jedną kartkę. Spojrzałem na znaczek. Stempel pochodził z Miami, ale reszta była zamazana. Moje nazwisko zostało starannie wypisane dużymi, czarnymi literami. Nolan rozmawiał przez telefon, tyłem do mnie, więc nic nie zauważył. Usiadłem przy biurku i dopiero wtedy otworzyłem kopertę. Czcionka maszynowa na kartce też była znajoma.

Anderson,

mam dla ciebie cytat:

„Czasami jeden rodzaj -więzienia nie różni się od innego, tak samo jak coś, co rzeczywiście istnieje, nie różni się od tego, co nie istnieje”.

Pomyśl o tym.

I dam ci pewną radę: nie wierz we wszystko, co widzisz.

Zrozumiałeś?

A oto najważniejsza informacja:

żyję.

List nie był podpisany.

Nie wiem, dlaczego nie pokazałem listu ani Nolanowi, ani policji. Wrzuciłem go do zamykanej na klucz szuflady, gdzie pozostał razem z ostatnią taśmą. Zdaję sobie sprawy, że to się wydaje dziwne. Mógłbym napisać o liście i o taśmie. Taki artykuł rzuciłby światło na moje stosunki z mordercą, dostarczyłby nowych szczegółów, byłby jak świeże pociągnięcie pędzlem na portrecie malowanym w ciągu całego lata. Siedziałem i rozmyślałem nad tym, że istnieją dziesiątki powodów, by opublikować list. Ale nie zrobiłem tego.

Żyję.

Dlaczego w to nie wierzę?

Odpowiedź na to pytanie otrzymałem pięć dni później.

Zająłem się opisem poszukiwań mordercy, którym policja oddawała się z prawdziwą pasją. Wychodziło z tego sześć do dziesięciu akapitów dziennie, mówiących o tym, że właściwie nie ma o czym mówić. Znów odwiedziłem psychiatrę. Próbowałem telefonować do krewnych ofiar, ale nikt nie chciał ze mną rozmawiać. Zatrzymywałem ludzi na ulicy, by przeprowadzać z nimi wywiady. Reakcja była na ogół taka sama: chwila napięcia, gdy spodziewali się, że morderca został aresztowany, potem ulga, bo znane jest przynajmniej jego nazwisko, wygląd i przeszłość. Pewna kobieta powiedziała:

- To już tylko kwestia czasu. - Uśmiechnęła się do mnie. - Ale wydaje mi się, że wyjechał z miasta już dawno temu. Zapewne do Kalifornii.

Nie spytałem jej, dlaczego uważa, że właśnie tam.

W ciągu tych dni zaczęły do nas napływać pewne dane dotyczące mordercy. Opinia z wojska: nie wyróżniał się. Opinia ze szkoły w Illinois i Ohio: nie wyróżniał się. Nigdy się nie wyróżniał. Jego nauczyciele właściwie go nie pamiętali. Próbowałem *znaleźć* kogoś, kto go znał. Bez skutku. Nie pamiętali go nawet sąsiedzi z domu, w którym mieszkał. Jeszcze zanim zacząłem z nimi rozmawiać, już wiedziałem, co powiedzą: był zamknięty w sobie, trzymał się na uboczu, mówili. Jednak nawet brak informacji stanowił temat do artykułu. Wypowiedzi ludzi, którzy zapewniali mnie, że nic nie wiedzą o swoim sąsiedzie, uczniu, koledze z wojska, też o czymś świadczyły. Pracownikom składu artykuł się podobał. Umieścili go na całej szerokości strony, w dolnej połowie.

Na biurku Nolana zadzwonił telefon. Nolan odebrał go, chwilę słuchał, a potem okręcił się z krzesłem i pomachał, by przyciągnąć moją uwagę.

Był już wrzesień. Zrobiło się jeszcze goręcej, od Karaibów nadciągały sztormy i znęcały się nad wyspami. Do pory huraganów brakowało jeszcze miesiąca. Niektórzy starsi dziennikarze wspominali dawniejsze huragany, które jakby wyczekiwały swojej pory w upale lata, a potem zbierały się, skręcały nad ocean i tam się wyładowywały. Jednak na razie nie było nadziei na zmianę pogody, gorąco dokuczało, oddychanie sprawiało trudność. Sypiałem mało. Od nocy, kiedy słyszałem, jak jakaś ręka naciska klamkę moich drzwi, leżałem rozbudzony aż do rana. Pistolet trzymałem przy sobie. Ciągle zastanawiałem się, co wtedy naprawdę usłyszałem. Martinez i Wilson obejrżeli przestrelone drzwi i pokiwali głowami.

- Blisko - powiedział Wilson. - Tu, wewnątrz, jest naprawdę blisko, prawda?

Nie rozumiałem, o co mu chodzi.

Nolan gwałtownie gestykulował, żebym wziął drugą słuchawkę. Zrobiłem to.

- Halo? - odezwałem się.

- Mówię z Andersenem? Z tym dziennikarzem? - W głosie rozmówcy słyszałem południowy akcent.

- Tak.

- Mam list dla pana - powiedział mężczyzna. - Znalazłem go dziś rano na jednej z moich łodzi. Niech pan sobie wyobrazi, leżał na ławeczce. Cholera, szukałem tej łodzi prawie trzy dni. W końcu ją znalazłem, a tam leżał list. Chce pan, żebym go otworzył?

- Proszę.

Nolan, pochylony nad biurkiem, czekał na dalszy ciąg rozmowy. Popatrzyłem na niego i wzruszyłem ramionami.

- Eee - westchnął mężczyzna. - To tylko kilka słów.

- Niech pan czyta.

- Chwileczkę. O, już: „Jestem tu i czekam”. To wszystko. Nie ma podpisu ani nic więcej. Dziwne, no nie?

Spojrzeliliśmy z Nolanem po sobie, a potem on odchylił się w krzesło, z twarzą rozjaśnioną od podniecenia i w geście zwycięstwa wyrzucił rękę w powietrze.

- To on! - zawołał. - To on!

Miasto uciekało do tyłu w mgiełce upału i słońca. Prowadził Porter. Nolan usiadł z tyłu i wyglądał przez okno. Na twarzy miał leciutki uśmiešek. Gdy skręciliśmy na wielką przestrzeń Everglades, porośniętą na poboczach krzakami szosa poprowadziła nas na zachód.

- Może się tu ukrywać całe miesiące — powiedział Porter. - W dzieciństwie przychodziłem tu na okonie. Kiedyś się zgubiłem. Pamiętam, że noc nadchodziła okropnie szybko, a niebo było purpurowe. Widziałem aligatory i wodne mokasyny. Myślałem, że już tu umrę. Wokół mnie ani żywego ducha, byłem zupełnie sam. Wiecie, miałem takie śmieszne wrażenie, że nie ma już żadnej cywilizacji, że na świecie zostałem tylko ja. Strażnicy znaleźli mnie koło północy. Nie było zimno, ale cały drżałem. Jeżeli on tu gdzieś jest, to nic dziwnego, że nikt się jeszcze na niego nie natknął.

- Myślicie, że w ten sposób chce zamknąć sprawę? - spytał Nolan.

Nic nie odpowiedziałem, a Porter tylko wzruszył ramionami.

- Spójrzcie! - zawołał nagle i pokazał palcem w górę.

Nad nami pojawił się policyjny helikopter, samochód się zatrzęsł, uszy wypełnił nam warkot silników. Porter przyspieszył i wysforował się do przodu.

Godzinę po zjeździe z autostrady znaleźliśmy się na dwupasmowej szosie. Samochód podskakiwał na wybojach. Wzdłuż drogi rosły wielkie cyprisy i palmy, na zmianę wpadaliśmy w plamy słońca i cienia. Ponad czubkami drzew widziałem jasny błękit nieba, przechodzący w wypraną biel. Nad ziemią powoli krążył jastrząb, unosił się w prądach powietrza, chwilami zawisał nieruchomo. Potem, gdy już prawie straciliśmy go z oczu, runął w dół po jakiś łup. Wyobraziłem sobie jego morderczy skrzek, gdy spadał z nieba po swoją ofiarę.

Jechaliśmy dalej.

Przed nami otworzyła się polana, na skraju bagna stało kilka chat, a obok nich zobaczyłem domowej roboty tablicę oznajmijającą, że można tu dostać piwo,

przynętę i łódkę. Za chatami znajdowało się kilka rybackich łodzi, wyciągniętych na brzeg, a także suche pontony, z których wypuszczono powietrze.

Po drugiej stronie polany czekały już radiowozy. Inny helikopter przeleciał nam nad głowami, nacisk powietrza poruszanego łopatom niemal przygniół nas do ziemi.

- Jezu! - mruknął Porter. - Sprowadzili całą armię.

Z dwóch wielkich niebieskich autobusów wyspały się oddziały SWAT. Sprawdzali teraz broń. Z boku zobaczyłem karetkę. Chyba spodziewali się, że będą ranni i zabici. Ustawiono blokadę drogową, ale jeszcze nie była zamknięta, więc Porter przejechał do środka. Chwycił torbę ze sprzętem fotograficznym i wysiadł. Nolan podążył za nim, a ja do nich dołączyłem.

Nad nami przeleciał kolejny helikopter, na drodze podniósł się tuman kurzu. W tej właśnie chwili zobaczyłem Martineza i Wilsona. Stali koło łódek i rozmawiali z jakimś starym mężczyzną. To nasz listonosz, pomyślałem.

Detektywi pomachali, żebyśmy podeszli. Martinez podał mi kartkę papieru. Zobaczyłem znajomą czcionkę, taką samą jak w poprzednich listach.

- Poznajesz? - spytał.

- Tak.

- Zostań w pobliżu - polecił mi. - Będzie ciekawie.

Czekaliśmy z właścicielem przystani w jednej z chat. Zdezelowany klimatyzator słabo poruszał powietrze, wydając takie dźwięki, jakby go torturowano. Stary opowiedział nam, jak to kilka dni temu zorientował się, że zniknęła jedna z jego łódek. Szukał jej, ale bez efektu. Znalazł ją po paru dniach, a na ławeczce leżał list, zapakowany w foliową torebkę.

- A co najdziwniejsze - kończył - byłbym przysięgł, że już sprawdzałem to miejsce. Do diabła, nie mogę tego zrozumieć.

Wrócił do dżungli, uznałem. Do tej samej dżungli, w której przedtem bał się walczyć.

- Czy można tu *przeżyć*? - spytał Nolan.

- Jasne, jeżeli tylko się chce - odpowiedział stary. — Jednak to niezbyt przyjemne miejsce.

Czekałem. Mój umysł napełnił się obrazami wojny: błoto, słońce, krew i śmierć. To jest to, pomyślałem. Nolan wymówił to na głos:

- Właśnie tego się spodziewałem. To jest to.

Minęła jedna godzina. Potem druga. Czekaliśmy. Policjanci w grupach rozeszli się na poszukiwania. Słyszałem trzaski w ich radiach, gdy uzgadniali swoje pozycje z krążącymi w kółko helikopterami.

Kolejne pół godziny. Stary powiedział:

- Do diabła, nigdy go nie znajdą.

Wreszcie nastąpił nagły zwrot w akcji. Usłyszałem, jak jeden z policjantów krzyczy do odpoczywających ludzi ze SWAT:

- To on!

Ludzie podnieśli się, przygotowali broń. Porter kłął:

- Muszę tam iść, cholera, muszę robić zdjęcia.

Nolan chwycił mnie za ramię, nie po to, żeby mnie zatrzymać, lecz żeby złapać równowagę.

A potem, tak samo jak w domu mordercy, wszystko nagle się uspokoiło.

- Co tam się dzieje? - spytał Nolan.

Nikt mu nie odpowiedział. Próbowaliśmy dowiedzieć się czegoś od policjantów, ale tylko kiwali głowami. Martinez i Wilson gdzieś poszli. Tak samo lekarz sądowy. Znow czekaliśmy, stojąc na skraju bagna. Następne pół godziny. Czas rozciągał się nie jak elastyczna guma, lecz jak rzemień: rozdzierał się w końcu.

Zobaczyłem łódkę, którą dwóch policjantów płynęło do brzegu. Ich mundury były białe od potu i unurzane w błocie. Jeden z nich spojrzał na nas.

- Pan jest Anderson? - zawołał.

Skinąłem głową.

- Proszę wsiąść. Detektywi chcą, żeby pan tam był. Ciało znajduje się jakieś pół mili dalej.

- Ciało? - zdziwił się Nolan.

Policjant nie odpowiedział. Włączył z powrotem silnik. Wszyscy trzej stoczyliśmy się na dziobie, bo metalowa ławka była brudna.

- Nie wiem, jak on to zrobił - odezwał się policjant. - Nie mógł tam do płynąć wplaw z miejsca, w którym zostawił łódź. - Ostrożnie ominął wodorostry i dryfujące pnie. Po prawej wleciało w górę stadko czapli. Pamiętałem, jak morderca opisywał swoją czwartą ofiarę, kobietę, którą zabił na skraju bagna. My teraz byliśmy o wiele głębiej na moczarach, o wiele lepiej ukryci. - Widzi pan - kontynuował policjant - nie można pływać w tym gównie. Wodorosty łapią człowieka za nogi, idzie się na dno. Są tu węże, aligatory... Hej! proszę tam spojrzeć! - Odwróciłem się i zobaczyłem prawie dwumetrowego aligatora prześlizgującego się przez krzaki. - Proszę sobie wyobrazić takie spotkanie w nocy. Okropne, co?

Porter strzelał zdjęcie za zdjęciem.

Skręciliśmy w wąski kanał. Zobaczyłem małą wysepkę błota, porośniętą krzakami. Kilku policjantów w mundurach stało na jej skraju, a pośrodku Martinez i Wilson, razem z lekarzem policyjnym, pochylali się i wpatrywali w ziemię. Nie mogłem dostrzec, co ich tak zainteresowało.

- Zauważył go pilot helikoptera - wyjaśnił policjant. - Z poziomu wody nigdy się niczego nie widzi, nawet jeżeli jest się tuż obok. - Łódka zaryła w błoto. — Ostatni przystanek - zażartował.

Wysiadłem i noga wpadła mi na co najmniej pięć centymetrów w bagno. Martinez już na nas kiwał.

Odór poczułem dopiero wtedy, gdy prawie wszedłem na ciało. Jakieś zawirowanie wiatru, i smród okrył nas jak kołdra. Przez chwilę myślałem, że zwirotuję. Potem wiatr znow zmienił kierunek i okropna woń śmierci poniosła się gdzieś dalej. Przypomniałem sobie dom w Miami Beach. Wilson zauważył po mojej minie, jak zareagowałem czując ten smród, i coś powiedział do lekarza. Obaj się roześmieli. Nie zrozumieliem dowcipu.

Pierwszy odezwał się Martinez.

- Spójrz - poprosił.

Lekarz zapalał fajkę i bacznie mi się przyglądał.

- Tutaj - ponaglił mnie Wilson. - Niezbyt to ładne, co?

Podszedłem do nich i spojrzałem w dół na to, co leżało na ziemi.

W pierwszej chwili trudno było zgadnąć, że to człowiek. Ciało zrobiło się ciastowate, białe, jak ryba pozostawiona zbyt długo w garnku. Oczy miał otwarte, ale oczodoły były puste, gałki oczne zniknęły. Skóra, popękana i pomarszczona, ciasno opinała twarz; była popalona od słońca. Dolna połowa twarzy także zniknęła, kilka białych kości wystawało z miejsca, gdzie kiedyś była szczęka. Wierzch czaszki został odstrzelony. Żołądek podszedł mi do gardła. Odwróciłem się tyłem do tego okropnego widoku.

- Niech pan patrzy - powiedział Wilson.

Wzięłem głęboki oddech i znów spojrzałem na ciało. Na jego nogach zobaczyłem wojskowe buty z płótna i gumy, takie, jakich używano w wietnamskiej dżungli. Dżinsy wypołowiały na słońcu. Na piersi miał strumyki zakrzepłej krwi, płamiące biały podkoszulek.

- Co niby mam zobaczyć? - spytałem.

Martinez wskazał rękę, i wtedy spostrzegłem pistolet. Na szarym metalu czterdziestkopiątki przez chwilę zalsniło słońce, światło odbiło się i rozjaśniło brązowo-zieloną trawę. Pistolet leżał kilka cali od wyciągniętej ręki, jakby w chwili śmierci ręka go odrzuciła.

- Napatrzył się pan? - spytał Wilson.

Skinąłem głową.

- Więc kto to jest?

To pytanie mnie zdziwiło.

- Przecież pan wie - odrzekłem.

- Niech pan mi to powie - nakazał Wilson.

Ale ja milczałem. Patrzyłem na twarz, zrujnowaną przez kulę i słońce. Kto to jest? - zastanawiałem się.

Martinez podszedł do mnie i gestem zaprosił Nolana, by też się zbliżył.

- Potrzebujemy oficjalnej identyfikacji - powiedział. - Musimy być pewni.

Zanim zdążyłem otworzyć usta, odezwał się Nolan.

- O co, do cholery, wam chodzi? - Był zły. Jego głos poniósł się w ciszy moczarów. - Macie pistolet. Ten sam kolor włosów. Ten sam wzrost. Wszystko tu macie. Na miłość boską, możecie sprawdzić odciski palców, zęby. Nie wiecie, że wojsko ma kartoteki dentystyczne?

Dołączył do nas lekarz policyjny. Palił fajkę, wypuszczając chmurki dymu, a wietrzyk niósł je dalej, na bagna.

- To na nic - powiedział.

- Co to znaczy: „Na nic”? - obruszył się Nolan.

- No dobrze. Powiem panu. — Mówił spokojnie, jakby wygłaszał wykład do studentów. - Po pierwsze: skóra palców jest zbyt zniszczona. Nie uzyskamy odcisków z tak porwanej tkanki, więc ta metoda identyfikacji odpada. Po drugie:

kolor oczu. Moglibyśmy go porównać z rysopisem zachowanym w wojskowych archiwach, ale miejscowe ptaki już się tym zajęły. Poszukajmy innej metody: kartoteka dentystyczna. Wspaniale. Jedyne kłopot polega na tym, że albo ten facet przewidział nasze działania, albo po prostu miał szczęście. Przyłożył pistolet do podbródka i pociągnął za spust. Oderwało mu całą jamę ustną, chociaż niepotrzebna do identyfikacji część twarzy pozostała nienaruszona. Inne znaki szczególne? Na pewno się to sprawdzi, ale archiwiści wojskowi twierdzą, że morderca nie miał żadnych. Tak więc pozostaje nam tylko jedna metoda: musi go zidentyfikować osoba, która widziała tego człowieka za życia. Och, na pewno okaże się, że pistolet jest własnością mordercy. Ale to niczego nie dowodzi. No więc, czy to on? Leżał tutaj przez kilka dni. Trudno powiedzieć dokładnie, ile. Co najmniej trzy, ale raczej pięć, może nawet tydzień. Teraz nawet rodzona matka by go nie rozpoznała.

Lekarz podniósł rękę, żeby nie dopuścić, bym zadał nasuwające się pytanie.

- Tak, skontaktowano się z nią. Odmówiła przyjazdu. Nie widziała syna od czasów wojny. Ale pan już o tym wie. - Zamilkł na chwilę i spojrzał na mnie. - Rozumie pan teraz, na czym polega kłopot?

Pomyślałem o liście, schowanym w szufladzie mojego biurka. Czy to naprawdę on?

- Tyle czynników wpływa na rozkład ciała — kontynuował lekarz. - Słońce na przemian z deszczem. Wilgoć. Wie pan, tutaj, na bagnach, kilometr dalej może lać jak z cebra, a to miejsce pozostanie suche. Nikt nie zdoła określić dokładnie, od kiedy on tu leży. Kiedyś badałem ciało, o którym było wiadomo, że porzucono je na bagnach, niedaleko stąd. Morderstwo na zlecenie. Złapaliśmy mordercę. Ale zanim trafiliśmy na ciało, został już tylko szkielet, oczyszczony do czysta. Wystarczył na to tydzień.

„Żyję. Nie wierz we wszystko, co widzisz”. Tak napisał.

- Widzi pan, musimy być pewni identyfikacji - wtrącił się Wilson. - Pan go widział w tamtym mieszkaniu. Czy to jest ten sam mężczyzna, z którym pan wtedy rozmawiał? Czy to mężczyzna z fotela inwalidzkiego?

Zawahałem się.

- Nie wiem.

- Do cholery, proszę patrzeć! - wybuchnął Wilson. - Niech pan patrzy! Policzki, nos, uszy, brwi! Czy to on? Musimy wiedzieć. Musimy to wiedzieć teraz! Czy to on?

Znów wpatrzyłem się w ciało. Oddychałem z trudem. Nolan chwycił mnie za ramię i odwrócił twarzą do siebie, aleja ciągle wbijałem wzrok w poharataną głowę zmarłego.

- To ważne - powiedział Nolan. - On ma rację. To bardzo ważne. Słuchaj - szepnął mi do ucha. - Od samego początku ta historia była twoja. Niczyja inna. Musimy napisać zakończenie. Jeżeli nie napiszemy, że to on, nikt nie będzie miał pewności, jak to się wszystko skończyło, nikt nigdy nie będzie tego wiedział do końca. Nie chodzi tu tylko o identyfikację. Chodzi o całe miasto, o to, jak będzie dalej żyło. Musimy dać stanowcze oświadczenie. Nikogo nie

obchodzi, co mówiąmi. Ważne jest to, co my mówimy. Jesteśmy jedyną gazetą, której ludzie wierzą. - Czułem, jak przesywa mnie wzrokiem. - Spójrz jeszcze raz - rozkazał. - Musimy mieć pewność. Czy to on?

- Czy to on? - spytał Wilson jak echo. Stojąc nad ciałem wymierzył pięścią najpierw we mnie, a następnie w dół, w nieruchomy kształt wtapiający się powoli w ziemię i powietrze.

Popatrzyłem na Wilsona, potem na Martineza i policyjnego lekarza. Ten ostatni wyciągnął z kieszeni jakieś zdjęcie i pochylił się nad zwłokami. Przez chwilę bacznie się przyglądał, wreszcie pokiwał głową, wzruszył ramionami i odwrócił się do mnie. Nolan też na mnie patrzył. Porter przykucnął i dalej robił zdjęcia. W końcu on też wpatrzył się we mnie i czekał na odpowiedź.

- Czy to on? - spytał Nolan ponownie.

Zmusiłem się, by spojrzeć w puste oczodoły.

Promienie słońca wydawały się czymś materialnym, zastygliśmy w wybuchu upału i światła. Czułem, jak gorąco przewierca mi czaszkę i wchodzi do mózgu. W moim umyśle tłoczyły się różne obrazy, walczyły o miejsce dla siebie. Widziałem uśmiech mordercy, gdy patrzył na mnie przez dym i cienie ciemnego mieszkania, a jego palce bębniły po poręczy fotela. Wyobraziłem sobie, jak pochyla się nad okienkiem samochodu i patrzy na Christine. Zobaczyłem jego ofiary, jak w szyku bojowym: kilkunastoletnia dziewczyna, starsze małżeństwo, młoda kobieta z płaczącym dzieckiem. Poszukałem ich wokół siebie, prześlizgując się wzrokiem po bagnach i drzewach. Pomyślałem o wojnie, o kostnicy przy pasie startowym. Wróciły do mnie słowa mordercy: tylko my dwaj, ty i ja. Pomyślałem o liście schowanym w szufladzie. Czy to on? „Nie wierz we wszystko, co widzisz”. Ale co ja tak naprawdę widziałem?

Przypominałem sobie noc po tym, jak zabawił się z Christine w grę w morderstwo. Wyobraziłem sobie tych młodych mężczyzn na słabo oświetlonych nocnych ulicach Miami, bezimiennych, opuszczonych, żyjących bez celu, męskie prostytutki wynajmowane przez ludzi przejeżdżających tamtędy samochodem. Jak łatwo byłoby mu przejechać się po ulicach, znaleźć kogoś tego samego wzrostu i budowy, z takimi samymi ciemnymi włosami. Samochód się zatrzymuje, kierowca macha ręką, może pokazuje pieniądze, i chłopak wsiada, bez strachu, bo nie wie, co go czeka. Jadą na zachód, daleko na bagna. Morderca kradnie łódkę, wypływa, wsuwa pistolet pod brodę ofiary i pociąga za spust. Pozorne samobójstwo. Pamiętam zagubioną łódkę, starannie przygotowaną notatkę, której celem jest wezwanie mnie tutaj; pamiętam policjanta wiozącego mnie do wysepki. Nie mógł tam popłynąć wpław, powiedział. Może łódką popłynęło dwóch, a wrócił jeden i zniknął w ciemnościach, wyjechał, by znaleźć sobie inne miasto, inną tożsamość.

Popatrzyłem na ciało leżące na ziemi. Czy to on? Przyjrzałem się dokładnie. A może nas oszukał? Może to nowe kłamstwo, nowa fikcja? Być może. Wszystko jest możliwe.

Nie, pomyślałem. To on.

Spojrzałem jeszcze raz.

Nie, to nie on. To ktoś inny.

Nie. Tak.

Kto to jest?

Nolan stał obok i mówił cicho, lecz nagle:

- Musimy mieć pewność. Żadnych wątpliwości, żadnych „być może”. Miało musi wiedzieć, musi raz na zawsze zostać uwolnione od strachu. Zależy to tylko od ciebie. Od samego początku sprawa była twoja. Czy to on?

- Niech pan przestanie kręcić - wybuchnął Wilson. - No! Czy to on?

Pomyślałem o Christine, o ojcu, o stryju. Wydawało mi się, że słońce to wahadło, poruszające się na wietrze, z każdą chwilą nieubłagane coraz bliżej mnie.

- Czy to on? - usłyszałem głos, ale nie wiedziałem, kto pyta.

I wtedy skłamałem.

- Tak - powiedziałem. - To on.

Rozdział dwudziesty

Moje kłamstwo rozrastało się, zapuszczało korzenie, kwitło. Nagłówek na pierwszej stronie porannego wydania przyciągał wszystkie oczy.

SAMOBÓJSTWO NUMEROWEGO MORDERCY CIAŁO ODNALEZIONO NA BAGNACH

Jeden z kolegów powiedział mi, że była to największa czcionka od czasów rezygnacji prezydenta, a przedtem taką samą wyróżniono tylko spacer na Księżycu.

To był ostatni artykuł, ukoronowanie wszystkich, jakie napisałem do tej pory. Cały wieczór spędziłem przy telefonie. Tym razem krewni ofiar rozmawiali chętnie. Zbierałem cytaty i reakcje, by ukazać czytelnikom ich uczucia. Nolan wybrał najlepsze cytaty i umieścił je w grubych ramkach, pośrodku rozkładówki.

- Co za ulga - powiedział ktoś - wiedzieć, że to już się skończyło.

Ale czy naprawdę się skończyło?

Gdy rozmyślałem nad wydarzeniami dnia, zbierałem głosy i fakty w akapity, zacząłem wierzyć, że moje wątpliwości nie są uzasadnione. Pochylając się nad klawiaturą maszyny, widziałem oczami duszy poharataną twarz, mierzyłem, porównywałem, dopasowywałem uszy, brwi, nos i policzki do ukrytej w cieniu twarzy człowieka siedzącego w brudnym pokoju na inwalidzkim fotelu. W wyobraźni nakładałem na tę twarz portret pamięciowy, a potem zdjęcie dostarczone przez wojsko. Zaciskałem zęby; do licha, to on.

Żyję.

Nie wierz.

Gdy nikt na mnie nie patrzył, wyciągnąłem z szuflady list. Popatrzyłem na zapisane na kartce słowa, próbując zmusić je, by stały się zrozumiałe. Końcowe

kłamstwo? Po tylu rozmowach, tylu zwrotach jego wyobraźni, zamysłów, nadal nie wiedziałem, co jest prawdą.

Nolan promieniał czytając artykuł w miarę, jak obracał się wałek maszyny.

- O to chodzi! - powiedział machając kartkami, które już wyciągnął. - Co za artykuł! Wszystko tu mamy.

Odpychając ludzi ze składu, osobiście karmił skaner komputera stronami. Nie ma racji, pomyślałem. Człowiek nigdy nie jest w stanie napisać wszystkiego. Ale ta myśl nie przeszkodziła mi pisać dalej; upychałem kłamstwa w tekście, w każdym słowie, zdaniu, akapicie. Kłamstwa tłukły jak pałeczki o bęben. Przez chwilę - gdy doszedłem już do zakończenia i opisywałem broń mordercy odbijającą promienie słońca - wyobraziłem sobie, że on to czyta. Widziałem jego uśmiech, który zaraz rozpułynał się w oddali, w miejscu, gdzie przebywał, tam, gdzie odszedł z własnego wyboru, nawet jeżeli moja gazeta oficjalnie, na pierwszej stronie, uznała go za zmarłego.

Potrząsnąłem głową, by widzieć wszystko jaśniej. Nie, pomyślałem. Ciało na bagnach było ciałem mordercy.

Nolan pochylał się nad ekranem, zajęty adiustacją. Miałem chwilę spokoju. Znów wyciągnąłem list.

Ależ oczywiście. Poszedł na bagna, by w samotności umrzeć tam, gdzie nikt nie znajdzie jego ciała. Wykonał ten końcowy gest, żeby zachować swoją tajemnicę tylko dla siebie. To podobne do niego. Zagadkowy, zwłaszcza w ostatnich chwilach.

Jednak...

To słowo rozbrzmiewało mi w myślach przez cały czas. Chciałem je wyrzucić z głowy. Wziąłem kartkę papieru i spisałem swoje wątpliwości:

„Już czas”, powiedział. Czas na co?

„Żyje”. No, żył przynajmniej wtedy, gdy to pisał.

„Wszystko, co widzisz”. Ale czy liczył na to, że zobaczę jego ciało?

Notatka na łódce. „Czekam”. I był tam. Martwy.

Tylko czy to naprawdę był on? Jak doprowadził łódź z powrotem na brzeg, z dala od miejsca, gdzie leżało ciało? Czy to on je tam zostawił?

Chciało mi się krzyknąć: nie wiem, nie wiem!

Znów wzruszyłem ramionami.

Nigdy się nie dowiem.

W pole widzenia wszedł mi aparat telefoniczny, stojący w rogu biurka. Druty biegnące do magnetofonu okręciły się wokół słuchawki. Zadzwoń, pomyślałem. Zadzwoń, do diabła. Powiedz mi prawdę. Całą prawdę, jakakolwiek ona jest.

Ale telefon się nie odezwał. Nagle, po tylu tygodniach, milczał, był martwy.

Christine napisała:

Nie wracam do Miami. Straciliśmy to, co mieliśmy. Takie wyświechtane, staroświeckie słowa, prawda? Chciałabym umieć

wyrazić się lepiej, ale gdybym umiała, może by tak się nie stało. Żałuję, że to się musiało tak skończyć. Czy w jakikolwiek inny sposób. Jednak koniec był nieunikniony.

Spakowałem rzeczy, które u mnie zostawiła, i wysłałem do domu jej rodziców, do Wisconsin.

Gdy artykuł poszedł do druku, Nolan zapragnął się napić. Zadzwoił jeszcze po Portera i zaprowadził nas do pobliskiego baru. Powiedział, że upijemy się na wesoło, a potem wrócimy do redakcji i złapiemy gazetę schodzącą z prasy. W drzwiach baru uderzył w nas gwar. Siedzieli tu przeważnie dziennikarze i rozmawiali o mordercy. Gdy przechodziliśmy, klepali mnie po plecach, gratulowali, chcieli stawiać drinki. Wziąłem kufel piwa z jakiejś wyciągniętej ręki, uniosłem go, zaczęto wykrzykiwać toasty. Nolan jednym haustem wypił szkocką i zaraz splukał ją piwem. Potem wepchnął nas do narożnej łoży, pomachał o następne drinki i rozparł się wygodnie w krzesło.

- Co za historia - powiedział. - Jezu, co za historia. Możecie w to uwierzyć?

Porter pociągał ze swojej szklaneczki, uśmiechał się i kiwał głową.

- Zastanawiałem się - rzekł - o co tu naprawdę chodzi.

Nolan spojrział na niego ze zdumieniem.

- No bo posłuchajcie - kontynuował Porter. - Ktoś zabija cztery osoby i dzwoni do gazety, by nam o tym opowiedzieć. Czy to aż taka piekielna historia?

- Nie rozumiem - przerwał mu Nolan.

- Przecież było tylu innych morderców, o wiele gorszych. Speck w Chicago... ten facet w Teksasie... Leopold i Loeb. Nazywali to zbrodnią stulecia. I porwanie dziecka Lindbergha... przez jakiś czas też było zbrodnią stulecia. - Pociągnął mały łyżeczek ze szklanki.

- Do czego zmierzasz? - spytał Nolan.

- To był po prostu temat na artykuł, a jutro *zdarzy się* następny.

Nolan chwilę nad tym pomyślał.

- To prawda - powiedział w końcu — ale zawsze tak jest. To wcale nie zmniejsza znaczenia tego, co się właśnie dzieje. Dziennikarstwo już ma to do siebie: interesuje je tylko teraźniejszość. Nie przeszłość, nie przyszłość, nie historia, nie przewidywanie tego, co będzie, lecz chwila obecna. - Odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się. Kilku klientów baru spojrzęło w naszą stronę, ale zaraz wrócili do swoich drinków. Nolan wymierzył palcem w Portera. - Tak czy owak, to była piekielna historia.

Porter też się roześmiał, obaj śmiali się głośno i długo.

- Masz rację - powiedział wreszcie, unosząc szklankę w kpiarskim toaście. - Masz rację, nawet jeżeli mam zaprzeczyć samemu sobie.

Następnego dnia Nolan powiedział mi, żebym wziął urlop. Zasluguję na to, stwierdził. Kazał mi lecieć do Wisconsin i przywieźć Christine z powrotem. Tylko pokiwałem przecząco głową.

- Chcę następny temat - odrzekłem. - Po prostu następny temat.

Długo patrzył mi w oczy.

- Jesteś pewny? - spytał.

- Tak.

- Doskonale. Na naszym półwyspie odżył Klan. Pałą krzyże, organizują marsze, utrudniają wszystkim życie. Napisałbyś o nich?

- Pojadę w poniedziałek - odparłem.

- Jak sobie *życzysz* - zezwolił i wrócił do pracy.

Usiadłem przy biurku i wyjąłem z szuflady list od mordercy.

„Jeszcze jedno” - napisał.

Sądziłem, że chodzi mu o mnie. Czy mógł mieć na myśli siebie samego?

Zaginiony w akcji.

Znów w mojej głowie zaroilo się od ewentualności. Potem, upewniając się, że nikt na mnie nie patrzy, podarłem list na kawałki i wrzuciłem do kosza.

W południe wyszedłem z redakcji, by przespacerować się po mieście. Od zachodu, znad moczarów, szły burzowe chmury. Poczulem mocny wiatr, wiejący na miasto z tego kierunku. Pomyślałem, że za godzinę czy dwie rozpęta się burza, wyobraziłem sobie strugi deszczu. Patrzyłem na twarze przechodniów, próbując doszukać się jakiejś różnicy, ale nie zdołałem odkryć żadnych emocji, żadnych wspomnień. Wszystko, co jeszcze wczoraj wydawało się takie oczywiste, dziś już nie istniało. Czyja to sobie wyobraziłem? Ten cały strach? To, co się wydarzyło?

W weekend poleciałem do New Jersey, na grób stryja. Tam już nastała jesień, w powietrzu fruwały nitki babiego lata. Liście brązowiwały, opadały z drzew.

Na cmentarz wiózł mnie ojciec. Opuściłem szybę i poczułem na twarzy wiatr. Był zimny, obcy, odurzający.

Na grobie stryja leżały świeże kwiaty. Ciekaw byłem, kto je przyniósł. Ojciec stał obok mnie, patrzył w ziemię. Po dłuższej chwili powiedział spokojnie;

- Już lata temu próbowałem mu to wytłumaczyć. Wojna się skończyła, mówilem. Przestań o niej myśleć. Ale on nigdy nie zdołał się przystosować do życia. Czasami to, co się przeżyło, wywiera na człowieka tak potężny wpływ, że umysł nie potrafi tego przyjąć i wykoleja się. Większość z nas dała sobie z tym radę, zobojętniała, ale niektórym wspomnienia na to nie pozwalają. Pewni ludzie, a do nich należał również twój stryj, nigdy nie otrząsnęli się z szoku.

Zobaczył, że na niego patrzę.

- A ty? - spytał.

- Powinienem być jechać do Wietnamu - powiedziałem.

- Co takiego? Na wojnę? Do tego zapomnianego przez Boga kraju, gdzie nie powinniśmy się znaleźć? Może jeszcze dać się zabić przez czystą głupotę? -

Zeżłościł się. - Byłbyś jeszcze gorszy niż on. Nie tylko kula sprawia, że człowiek staje się kaleką.

Przez chwilę milczał.

- Są dwa rodzaje ran - dodał jeszcze. - Niektóre się goją, niektóre nie zagoją się nigdy, a człowiek sam sobie wybiera sposób, w jaki chce być zraniony.

Przez całą drogę powrotną z cmentarza milczeliśmy.

Morderca już nigdy się do mnie nie odezwał.

Czasami, gdy w redakcji nie ma dużo pracy, schodzę do archiwum i wyciągam teczkę zatytułowaną „Numerowy morderca, lipiec-wrzesień 1975”. Rozpościeram przed sobą strony wypełnione słowami, największy temat mojego życia, przebiegam oczami kolumny w poszukiwaniu jakiejś wskazówki, stwierdzenia, zapomnianego zdania, żeby znaleźć odpowiedź na pytanie, którego nie mogę wyrzucić z umysłu. Ale tajemnica się nie wyjaśnia. Po kilku drinkach Nolan lubi mówić, że mieliśmy po prostu szczęście, że te wszystkie godziny, jakie spędziliśmy my i policja na poszukiwaniu go, cały strach, złość, frustracja mieszkańców miasta na nic się nie zdały, ponieważ morderca prowadził własną grę. Jednak zastanawiam się, czy mordercy nie chodziło w tej grze właśnie o to.

Zdarza mi się to, gdy czytam artykuły o innym mordercy albo o niewyjaśnionych zabójstwach w jakimś mieście czy stanie. Wtedy zamysłam się na chwilę. Wokół mnie zaczynają się tłoczyć twarze; w wyobraźni porównuję rysy z portretu pamięciowego z tym, co widziałem tam, w pełnym słońcu, na tej rozkładającej się twarzy. Często też, gdy na moim biurku dzwoni telefon, chwilę się waham, zanim podniosę słuchawkę, zastanawiając się, czy usłyszę ten chłodny, znajomy głos. Myślę też, że to dzięki mojemu kłamstwu miasto uwolniło się od strachu i wątpliwości, jakie mnie nie opuściły do tej pory.

I chyba właśnie z tego czerpię pewną pociechę.



WYDAWNICTWO AMBER Sp. z o.o. 00-108
Warszawa, ul. Zielna 39, tel. 620 40 13, 620 81 62
Warszawa 1999. Wydanie I
Druk: Finidr, s.r.o., Český TOS f n